

MAGAZYN *razem z dodatkami*

Paradoks spiskowy, czyli kto w Polsce wierzy w tajne grupy sterujące światem

● Sanatoria leczą kręgosłup, kolana, stawy i... samotność ● Za miedzią wierzą do 1900 metrów

PLUS TELEMAGAZYN z programem TV oraz omówieniami najciekawszych propozycji



Piątek
15.05.2026
Nr 111

Gazeta WROCŁAWSKA

www.gazetawroclawska.pl
Cena 6,50 zł
(w tym 8% VAT)

Śląsk awansuje w sobotę, niedzielę, lub... wcale? Dzieje się na finiszu sezonu Betclie 1 ligi. **str. 32**



Słynny śląski ród Hochbergów będzie miał swoje muzeum w Wałbrzychu. Jest już budynek **str. 5**

Ostatni bastion III Rzeszy na Dolnym Śląsku. O Krukowskiej Górze opowiada historyk z Żarowa **str. 24-25**



WROCŁAW
Strażnicy na meleksach pojedą tam, gdzie nie wjadą radiowozy policji **str. 4**



REPORTAŻ „NIE POZWOLIMY NA ZABICIE ŻUŻŁA WE WROCŁAWIU”

Sparta nie chce hotelu przy torze żużlowym

Konrad Bałajewicz
Wrocław

Przeciwko budowie hotelu studentckiego na terenie dawnych basenów przy Stadionie Olimpijskim protestują nie tylko mieszkańcy. Klub żużlowy WTS Sparta Wrocław też sprzeciwił się realizacji inwestycji Start Park.

Na działce przy al. Paderewskiego 35, należącej do Dolnośląskich Inwestycji, ma powstać Start Park. Nowoczesny obiekt określany przez inwestora jako akademik lub coliving dla studentów i młodych ludzi. Projekt zakłada

budowę dwupiętrowego budynku z 375 lokalami na wynajem, częścią usługową oraz zapleczem sportowo-rehabilitacyjnym. W planach są też lokale gastronomiczne, przestrzenie dla klubów sportowych, fizjoterapia, odnowa biologiczna, zaplecze sanitarne, rowerownia na 700 rowerów oraz miejsca wspólne dla mieszkańców i użytkowników kompleksu sportowego. Inwestor zapowiada również nową zieleń, odbudowę skarpy dawnej trybuny i stworzenie zbiorników retencyjnych. Zakończenie inwestycji planowane jest na 2028 rok.

Inwestycja budzi sprzeciw części mieszkańców, urbanistów i społeczni-

ków. Podkreślają, że teren basenów olimpijskich powinien pozostać ogólnodostępną przestrzenią sportowo-rekreacyjną, a nie prywatną inwestycją.

Wskazują, że nowa zabudowa może zniszczyć historyczny układ urbanistyczny Stadionu Olimpijskiego. Obawiają się zwiększenia ruchu samochodowego, problemów z parkowaniem i konfliktów związanych z hałasem generowanym przez np. mecze żużlowe.

Teraz pojawiło się stanowisko klubu WTS Sparta Wrocław, który oświadcza, że nie pozwoli na zabicie żużla we Wrocławiu.

Czytaj str. 6

Nr ISSN 2353-6152

Nr indeksu 350-206



Nasza firmowa krzyżówka oraz ciekawostki ze świata show-biznesu **str. 27**

REKLAMA

0011516838

KENO MNOŻNIK

Wygraj
2 000 000 zł
i więcej!

Ale to kręęęęę!

Graj z Mnożnikiem

Graj w punktach LOTTO, w aplikacji i na lotto.pl

18+

TYDZIEŃ Z NASZĄ GAZETĄ

GAZETA WROCŁAWSKA
● przy **SOBOCIE**
tłumaczy, radzi, bawi...

PONIEDZIAŁEK
● **DODATEK SPORTOWY**
Wyniki, tabele i analizy

WTOREK
● **PULS BIZNESU**
Przepisy prawne, opinie

ŚRODA
● **MAGAZYN ZDROWIE**
Jak zadbać o siebie i bliskich

CZWARTEK
● **POD PARAGRAFEM**
Historie kryminalne

PIĄTEK
● **PULS POLSKI**
Reportaże i publicystyka

ZAMÓW PRENUMERATĘ: „GAZETA WROCŁAWSKA” z dostawą do Twojego domu lub biura. Tel. **71 72 76 237**, e-mail: **bok.prenumerata@polskapress.pl**

Janusz Michalczyk



TROJE RODZICÓW? PROSZĘ BARDZO

W konstytucji zapisano, że małżeństwo jest związkiem mężczyzny i kobiety. Niektórzy uważają, że to przestarzały pogląd i nie powinno się stawiać tamy miłości, jeśli szczerym uczuciem zapalają do siebie dwaj mężczyźni lub dwie kobiety. Jak to z wieloma sprawami bywa, są dobre argumenty za utrzymaniem tradycyjnego podejścia, jak i za rozsądnymi zmianami. W krajach zachodniej Europy dyskusja jest spokojniejsza niż u nas, bo tamtejsi politycy nauczyli się pomijać kwestie obyczajowe w partyjnej naparzanicy między lewicą i prawicą albo konserwatystami i liberałami.

U nas znów robi się gorąco, bo w rządzie zdaje się przeważać pogląd, że w końcu trzeba zdecydować się na transkrypcję aktów małżeńskich zawartych pomiędzy osobami tej samej płci w państwach Unii. Skutki prawne są na razie niejasne, bo nie oznacza to automatycznie korzystania z rozwiązań przewidzianych dla małżeństw w polskich przepisach. Oczywiście, byłoby o wiele łatwiej znaleźć sensowny kompromis, gdybyśmy przyjęli już w jakiejś postaci ustawę o związkach partnerskich, ale na to się nie zanoszą, bo politycy koniecznie chcą się kłócić.

Jednym z argumentów przeciwników małżeństw jednopłciowych pozostaje sytuacja dzieci. Interesująca wiadomość dotarła właśnie z Włoch, gdzie sąd uznał, że dziecko ma troje rodziców: matkę i dwóch ojców. To niejako zalegalizowanie decyzji władz niemieckich w sprawie czteroletniego chłopca, wychowywanego przez dwóch mężczyzn. Jeden z nich spłodził dziecko z kobietą, która jest przyjaciółką tej pary, więc jest ojcem biologicznym. Włoski sąd został niejako wmieszany w całą sytuację, ponieważ drugi z mężczyzn ma pochodzenie włosko-niemieckie i zależało mu na tym, by został formalnie uznany za ojca na zasadzie adopcji.

Wszystko pięknie, dopóki cała trójka rodziców żyje w zgodzie i troszczy się o dzieciaka. Komplikacje mogą się pojawić, gdyby doszło do rozstania i konfliktu z finałem na wokandzie. Z drugiej strony, dodatkowy rodzic może się przydać, bo los potrafi nieźle dokuczyć. W pierwotnych plemionach dzieci wychowywała cała wioska i miało to niewątpliwie zalety. Poza tym, czy nie sądzicie, że w czasach kryzysu demograficznego każda osoba, która chce być rodzicem, jest na wagę złota?

”

Liczba amerykańskich żołnierzy w kraju się nie zmniejsza, trwają rozmowy o jej zwiększeniu

Władysław Kosiniak-Kamysz, wicepremier, szef MON

Pierwsze polskie truskawki już na targowiskach



Nasze krajowe truskawki mają swój oryginalny smak i zapach

Aneta Kolesińska
Wrocław

Na wrocławskich targowiskach stragany są już pełne sezonowych owoców i warzyw, a wśród nich polskie truskawki, młode ziemniaki czy szparagi. Za ile dostaniemy polskie towary?

Maj na wrocławskich targowiskach pachnie świeżymi nowalijkami, choć niskie temperatury i chłodne noce sprawiły, że owoce oraz warzywa dojrzewają wolniej, z tego względu niektórych towarów jest nieco mniej. W Hali Targowej widać pierwsze oznaki prawdziwej wiosny. Na sto-

iskach królują botwinka, szczaw oraz szparagi. Klienci pytają o młodą kapustę, świeże zioła i rabarbar.

Na targowisku Komandor pojawiły się już pierwsze polskie truskawki po 25 zł/kg.

Na innych targach też są te owoce, ale pochodzenia zagranicznego. I droższe, bo np. w Hali Targowej opakowanie 0,5 kg kosztuje 16 zł.

Choć ceny wciąż są wysokie, chętnych nie brakuje. Obok czerwonych owoców można znaleźć młode ziemniaki, koper, rzodkiewki i kapustę od polskich rolników. Z zagranicznych rarytasów kupujący mogą liczyć na wczesne czereśnie, morele i arbuzy.

Ile za nowalijki?

Groszek - 45-49 zł za kg
Szczypiorek - 4 zł za pęczek
Rzodkiewka Carmen Polska 4 zł za pęczek

Botwinka polska 7,50 zł/pęczek

Ziemniak polski - 9 zł/kg

Kapusta młoda - 6,99

zł za sztukę

Szparagi - 16 zł/wiązka

Salata lodowa polska - 8 zł

za sztukę

Pomidor ogrodowy malinowy polski - 29 zł/kg

Ceny rarytasów z importu?

Czereśnie hiszpańskie - 65 zł/kg

Morela hiszpańska 39 zł/kg

Brokuły hiszpańskie - 10

zł/kg.

ZDJĘCIE DNIA

Dolnośląscy, opolscy, małopolscy i śląscy funkcjonariusze ruchu drogowego prowadzili 12 maja działania pn. „Trzeźwa A4”. Skontrolowali ponad 24 tysiące kierowców! Zdecydowana większość była trzeźwa. Jednak zatrzymano 16 kierowców, którzy prowadzili po jazdy znajdując się pod wpływem alkoholu. Dolnośląscy policjanci tego dnia na terenie całego województwa przebadali ponad 19 tysięcy kierujących, zatrzymując 32, którzy byli pod wpływem alkoholu i 2 prowadzących mimo posiadania aktywnego sądowego zakazu. RED.



HOROSKOP

Wodnik (20.01 - 18.02)

Odważnie sięgniesz po nowe cele. Horoskop dzienny zapowiada, że szczerą rozmową przyniesie ulgę.

Ryby (19.02 - 20.03)

Spokojne tempo dnia pozwoli uporządkować wiele spraw. Horoskop na dziś wróży, że życzliwy gest wzmocni ważną relację.

Baran (21.03 - 19.04)

Ciekawa wiadomość rozbudzi ambicje, więc horoskop dzienny na piątek radzi wykorzystać energię na twórcze działania.

Byk (20.04 - 20.05)

Wsparcie bliskich doda ci sił. Horoskop dzienny wróży, że domowe sprawy nabiorą harmonii i ciepłego rytmu.

Bliznięta (21.05 - 21.06)

Precyzja przyniesie sukces, a krótki odpoczynek pozwoli odzyskać równowagę emocjonalną. Horoskop na dziś zapowiada udany dzień.

Rak (22.06 - 22.07)

Dyplomacja pomoże załagodzić spór. Horoskop dzienny na piątek wróży, że niespodziewane spotkanie odmieni plany na lepsze już dziś.

Lew (23.07 - 22.08)

Twoja charyzma przyciągnie sprzymierzeńców. Horoskop dzienny mówi, że odważna decyzja otworzy nowe drzwi.

Panna (23.08 - 22.09)

Intuicja wskaże właściwy kierunek. Horoskop na dziś to wskazówka, by zaufać przecuciom w ważnej sprawie.

Waga (23.09 - 22.10)

Spontaniczna decyzja przyniesie ekscytującą przygodę. Horoskop dzienny na piątek zapowiada, że ludzie Ci trochę tego pozazdroszą.

Skorpion (23.10 - 21.11)

Konsekwencja w działaniu zaowocuje uznaniem. Horoskop na dziś zapowiada, że cierpliwość przyspieszy efekty podejmowanych działań.

Strzelec (22.11 - 21.12)

Kreatywny pomysł zyska aprobatę ludzi z otoczenia. Horoskop na dziś mówi, że szczerą rozmową oczyści atmosferę wokół ciebie.

Koziorożec (22.12 - 19.01)

Wrażliwość stanie się atutem, a artystyczna inspiracja pozwoli wyrazić skryte marzenia. Horoskop dzienny na piątek wróży nostalgiczny nastrój...

nasz REGION

WROCLAW

Dwa ciała na Sępolnie. Sąsiedzi: To zabójstwo

Na jednej z posesji znaleziono ciała kobiety i mężczyzny. Według okolicznych mieszkańców to starsze małżeństwo. Sprawę bada prokuratura.

Zwłoki zostały ujawnione w środę (13 maja) po południu (około godz. 17) na jednej z posesji przy ul. Sierakowskiego we Wrocławiu. Jak nieoficjalnie się dowiedzieliśmy, ciała znalazła synowa pary. Zwłoki starszego mężczyzny znajdowały się w ogrodzie, natomiast kobiety w ich mieszkaniu.

Doniesienia o śmierci pary potwierdza komisarz Wojciech Jabłoński z Komendy Miejskiej Policji we Wrocławiu. Przekazał nam, że funkcjonariusze prowadzą działania pod nadzorem prokuratury, jednak na ten moment nie podają, co mogło być

przyczyną śmierci małżeństwa.

- Zgłoszenie otrzymaliśmy wieczorem, 13 maja, od 45-letniego syna pary. Ciała 76-letniej kobiety i 77-letniego mężczyzny zostały skierowane na sekcję zwłok - mówi Wojciech Jabłoński.

Okoliczni mieszkańcy opowiadają, że dobrze znali zmarłych. Jak usłyszeliśmy od jednej z kobiet: „to było starsze i zamożne małżeństwo”. Niestety, oboje zostali znalezieni martwi.

- Przyjechało mnóstwo służb. Oględziny trwały do nocy. W ciągu dnia biegli działali na terenie ogródka i ścieżki, prowadzącej do domu, a jak już zrobiło się ciemno, to weszli do domu - relacjonuje nam jedna z sąsiadek.

Karolina Kwiatek



Akcja Służb na Sępolnie. Mieszkańcy mówią, że to zabójstwo.

DOLNY ŚLĄSK

Kontrole na granicach przedłużone do października

Zgodnie z ostatnim Rozporządzeniem Ministra Spraw Wewnętrznych i Administracji kontrole zostały przedłużone o pół roku, czyli do 1 października 2026 r. Przypomnijmy, że tymczasowe kontrole na granicy z Niemcami i Litwą obowiązują od 7 lipca 2025 roku. Niemcy tymczasowe kontrole na granicy z Polską prowadzą od 16 października 2023 r.

W kontrolach straż graniczną wspierają policja, Żan-

darmeria Wojskowa i żołnierze WOT. W ciągu minionych 10 miesięcy najczęściej wjazd odmawiano z powodu braku wymaganych dokumentów (565 osób). Dominowali w tej statystyce obywatele Ukrainy, Rosji i Syrii. Zatrzymano też 230 migrantów podczas próby nielegalnego przedostania się do Niemiec. Były to głównie osoby z Ukrainy, Gruzji oraz Afganistanu. W ręce funkcjonariuszy wpadło też 8 przemytników ludzi.

KŁODZKO

Trzech pijanych Holendrów szarżowało na motocyklach. Policja ukończyła wycieczkę motocyklistów po Kłodzku. Okazało się, że mają po 1,2-1,6 prom. alkoholu. Zarekwirowano im drogie motocykle na poczet przyszłych kar.

ZĄBKOWICE

37-latek stosował przemoc wobec swojej rodziny. Mężczyzna miał 3 prom. alkoholu, groził śmiercią rodzinie. Usłyszał już zarzuty znęcania się psychicznego i fizycznego nad bliskimi i kierowania wobec nich gróźb karalnych.



BOLESŁAWIEC

55-latek zniszczył trzy butelkomaty przy marketach. Chciał „wydobyć taśmę z urządzeń”. Wszędzie był monitoring i ujęcie sprawcy przez policję nie było trudne. Straty - 3 tys. zł. 55-latkowi grozi do 7,5 roku więzienia.

Sport czy bandytyzm? Złamał rękę młodemu piłkarzowi

Michał Perzanowski
Wrocław

„Bandytyzm” na meczu amatorskiej ligi we Wrocławiu. Bez pardonu piłkarz złamał rękę 15-latkowi z drużyny przeciwnej. Czy to już przestępstwo?

Był wtorek, 12 maja, gdy w 2 lidze PRO Ligi we Wrocławiu mierzyły się zespoły ZF Group i FC Legionnaires. Spotkania tych rozgrywek są na żywo transmitowane w internecie. W 41. minucie kibice nie dowierzali w to, co zobaczyli. Zawodnik FC Legionnaires chwycił swojego rywala za bark i mocno go szarpnął. Trzask wyśkakującego barku słychać na filmie.

Rozpętała się awantura, ponieważ kontuzjowanym zawodnikiem został... 15-latek. Przebywający na boisku ojciec chłopaka od razu chciał go obronić. Mecz na dłuższą chwilę wstrzymano. Jeden z komentujących napisał: „Ogromny szacunek dla taty za utrzymanie nerwów na wodzy, bo myśle, że większość z nas zachowałaby się zupełnie inaczej”.

Warto dodać, że zaledwie dwa tygodnie wcześniej podczas innego meczu miało dojść do dużego napiecia i bójki spowodowanej przez tego samego zawodnika. Tamto zdarzenie zakończyło się zawieszeniem piłkarza. Co istotne, wtorkowy mecz miał być jego pierwszym występem po odbyciu kary.

Złamanie zasad fair play

W oficjalnym komunikacie zarząd Pro Ligi napisał: „W meczu ZF Group - FC Legionnaires zawodnik FC Legionnaires dopuścił się rażącego naruszenia zasad fair play, działając tym samym celowo na szkodę zdrowia innego uczestnika”.

To sformułowanie stało się jednym z najmocniejszych elementów całej sprawy, ponieważ organizatorzy wprost zasugerowali, że działanie zawodnika nie było zwykłym faulem wynikającym z walki sportowej, lecz świadomym atakiem.

Jak bowiem tłumaczy adwokat Maciej Kowalewski, nawet faul podczas meczu piłkarskiego może być... przestępstwem. Okazuje się, że jeśli zawodnik



W 41. minucie kibice nie dowierzali w to, co zobaczyli. Zawodnik FC Legionnaires chwycił swojego rywala za bark i mocno go szarpnął. Trzask było słychać na filmie z tego meczu

„rażąco narusza zasady gry”, np. wykonując brutalne zagranie z premedytacją, może być oskarżony o popełnienie przestępstwa, takiego jak naruszenie netykalności cielesnej bądź spowodowanie uszczerbku na zdrowiu. Grozi za to do 5 lat więzienia.

- Granica jest cienka i każda sytuacja powinna być oceniana indywidualnie. [...] Warto też wspomnieć, że niektóre faulujące zachowania mogą rodzić nie tylko odpowiedzialność karną, ale również cywilną. Poszkodowany zawodnik może dochodzić odszkodowania lub zadośćuczynienia przed sądem cywilnym - niezależnie od postępowania karnego - twierdzi adwokat z Kancelarii Adwokackiej Maciej Kowalewski.

Zawodnik został zawieszony. Lawina komentarzy pod oświadczeniem

Zarząd PRO Ligi poinformował, że dożywotnio wykluczył piłkarza FC Legionnaires z numerem 15 ze swoich rozgrywek.

- Ponadto zespół FC Legionnaires otrzymał również pisemne ostrzeżenie. Każdy kolejny incydent z udziałem tej drużyny będzie skutkował usunięciem całego zespołu z rozgrywek. Fundamentem powstania PRO LIGI była chęć

stworzenia przestrzeni do zdrowej, sportowej rywalizacji, promocji aktywnego trybu życia oraz budowania społeczności opartej na wzajemnym szacunku i zasadach fair play. Misją naszych rozgrywek jest dostarczanie sportowych emocji w bezpiecznym i profesjonalnym środowisku - podaje zarząd w oficjalnym oświadczeniu.

PRO Liga ma dołożyć wszelkich starań, aby wyciągnąć dalsze konsekwencje. „W naszych rozgrywkach nie ma miejsca na bandytyzm” - czytamy.

Internauci zwracają uwagę, że wcześniejsze sygnały ostrzegawcze mogły zostać zlekceważone.

„Jeśli poprzednia drużyna została wykluczona całkowicie za „liścia” i niepanowanie nad sobą, to za celowe złamanie ręki powinno być tym bardziej wyrzucenie drużyny, a nie formalne pismo” - czytamy w jednym z komentarzy.

Kontrowersje wzbudziła także decyzja o kontynuowaniu spotkania mimo dramatycznych wydarzeń.

Według relacji uczestników, mecz nie został natychmiast przerwany na stałe, co spotkało się z ostrą krytyką.

„Mecz powinien zostać zakończony wynikiem sprzed incydentu albo walkowerem dla ZF. Chyba nikt nie był w stanie

wrócić mentalnie do gry po tym” - napisał jeden z uczestników ligi.

Wielu komentujących zarzucało również organizatorom oraz sędziom brak odpowiedniej reakcji kryzysowej. Według relacji świadków, karetka pogotowia nie została wezwana przez organizatorów rozgrywek, a pomoc medyczną mieli organizować przedstawiciele drużyny ZF Group.

„Zero wezwania karetki przez Was, musiał to robić ZF (drużyna przeciwna - red.)” - czytamy w jednym z komentarzy.

Pojawiły się także głosy, że w tak poważnej sytuacji od razu powinna zostać wezwana policja.

„To nie miało nic wspólnego z ‘faulem’. Typ złamał po prostu chłopakowi rękę. To zwykła napaść” - napisał jeden z internautów.

Cała sprawa nabrała jeszcze większego ciężaru, gdy zaczęło się mówić o narodowości atakującego.

Drużyna FC Legionnaires składa się bowiem z zawodników ukraińskich.

Na ten moment policja interesuje się sprawą, jednak - według dostępnych informacji - nie wpłynęło jeszcze oficjalne zawiadomienie dotyczące incydentu.

PRZEGLĄD MINIONEGO TYGODNIA

CZWARTEK, 7.05

Mniej lotów
SAS
z Wrocławia

Skandynawskie linie lotnicze SAS ograniczają liczbę lotów na trasie Wrocław - Kopenhaga. W majowym rozkładzie przewoźnik zmniejsza liczbę połączeń z 49 do 38 - to jedna z największych redukcji w Polsce. Dla pasażerów oznacza to mniejszą dostępność połączeń do duńskiego hubu i trudniejsze przesiadki na dalsze kierunki. Powód? Rosnące koszty operacyjne oraz ceny paliwa lotniczego. Tona kerozyny

kosztuje obecnie około 1800 dolarów, czyli dwukrotnie więcej niż na początku 2026 roku.

Inkubator
zamiast kina

Kino Ognisko w Legnicy zamieni się w inkubator przedsiębiorczości. Zostanie sala kinowa, która będzie salą konferencyjną. Modernizacja kosztuje 45 mln zł, z czego 25 mln zł to pieniądze z funduszy europejskich. Ognisko rozpoczęło działalność po wojnie jako pierwsze kino na Dolnym Śląsku. Zamknięto je z chwilą uruchomienia w Legnicy multiplexu w galerii handlowej.

PIĄTEK, 8.05

Braun znów
sobie wyszedł

Grzegorz Braun, szef Konfederacji Korony Polskiej, wyszedł z prokuratury w trakcie przesłuchania dotyczącego zajścia w olesnickim szpitalu, gdzie przetrzymywano lekarzkę. Prokuratura informuje, że zgodnie z wezwaniem Grzegorz Braun stawiał się wraz z obrońcą w Prokuraturze Okręgowej we Wrocławiu. W trakcie czynności procesowej, tj. przedstawiania zarzutów, formułował wypowiedzi niezwiązane z przedmiotem postępowania. Przed zakończeniem czynności bez zgody prokuratora opuścił gabinet i oddalił się z budynku Prokuratury. Zachowanie to uniemożliwiło zakończenie czynności procesowej, jednak nie było podstaw prawnych do jego zatrzymania. Była to już druga taka sytuacja, kiedy europoseł Grzegorz Braun przerwał przesłuchanie, bo wcześniej nie wrócił z przerwy. Minister sprawiedliwości Waldemar Żurek zapowiedział zdecydowane działanie.

SOBOTA, 9.05

Nagrody
dla aktorów

Podczas inauguracji Festiwalu Aktorstwa Filmowego we Wrocławiu nagrodę Platynowego Szczeniaka za wybitne osiągnięcia w aktorstwie filmowym otrzymał Andrzej Grabowski. Nagrodę za twórczą współpracę aktora z reżyserem (Platynowy Dzik) otrzymał Zbigniew Buczkowski.

NIEDZIELA, 10.05

Susza uderza
też w stawy

Potężna susza spowodowała, że w dramatycznej sytuacji znalazła się hodowla karpia w Stawach Milickich. Na kompleksach stawowych wiosną poziom wody obniżył się nawet o pół metra. Przy dalszym braku opadów i wysokiej temperaturze może nastąpić przyduszenie ryb.

PONIEDZIAŁEK, 11.05

Policijny sport

Dwanaście dyscyplin sportowych i ponad 1000 funkcyj



Ks. Jan Gargasewicz z Wałbrzycha zwyciężył w ogólnopolskim plebiscycie Osobowość Roku 2025 w kategorii działalność społeczna i charytatywna

riuszy z 30 krajów: rozpoczęły się Międzynarodowe Igrzyska Policji, czyli największe policyjne wydarzenie sportowe w Europie. Będą rywalizować m.in. w biegach, siatkówce, tenisie, pływaniu i szachach.

Zginął przy
remontie drogi

W Małuszowie (gmina Kobierzycy) podczas rozładunku, przyczepa samowyladowcza zahaczyła o linię energetyczną. Na miejscu śmierć poniósł 53-letni pracownik, który ob-

sługiwał wywrotkę. Do wypadku doprowadziło niefortunne ustawienie samochodu, w miejscu, nad którym przebiega linia średniego napięcia.

WTOREK, 12.05

Najdroższe OC

Kierowcy we Wrocławiu płacą najwięcej w kraju za obowiązkowe ubezpieczenie OC. Z danych Rankomat.pl wynika, że średnia składka wynosi tu już 876 zł i w ciągu miesiąca wzrosła o 24 zł. Ekspert wskazuje, że wpływ mają m.in. duży ruch uliczny, liczba kolizji, młody profil kierowców i wysokie koszty likwidacji szkód.

ŚRODA, 13.05

Dwie ofiary
strzelaniny

Dwóch młodych mężczyzn nie żyje, a trzeci jest ranny i przebywa w szpitalu. Taki jest efekt nocnej strzelaniny, do której doszło w bloku przy ulicy Jastrzębiej w Lubinie. Policja szuka czwartej osoby, która też uczestniczyła w zdarzeniu. Nieoficjalnie mówi się o porachunkach dot. handlu narkotykami.
Zebrał GCH



Z powodu remontu wiaduktów na Brochowie wschodnia część Wrocławia stanęła w korkach

REKLAMA

0011521027

Udział jest w 100% BEZPŁATNY!

**ŚWIAT ONLINE
JEST PROSZY NIŻ MYŚLISZ!**

**DARMOWE SZKOLENIA
KOMPUTEROWE
DLA MIESZKAŃCÓW 55+**

**NAUCZYMY CIĘ OBSŁUGI
SMARTFONA, TABLETU I KOMPUTERA
OD PODSTAW.**

DOWIEDZ SIĘ, JAK BEZPIECZNIE:

- ✓ załatwiać sprawy urzędowe i zdrowotne (e-recepty, IKP)
- ✓ korzystać z bankowości elektronicznej
- ✓ rozmawiać z bliskimi przez darmowe wideo-komunikatory.

GWARANTUJEMY:

- 14 godzin zajęć z cierpliwym instruktorem
- ciepły obiad i catering kawowy dla każdego
- materiały szkoleniowe i oficjalny certyfikat.

**ZAPISY TELEFONICZNE:
48 570 806 649**

wykluczeni78.fioi.org

Patrole straży miejskiej wyjadą
meleksami na ulice WrocławiaRemigiusz Biały
Wrocław

Wrocławska Straż Miejska szykuje się do patrolowania centrum w nowej formie. Cztery meleksy mają ułatwić strażnikom pracę tam, gdzie radiowozy przegrywają z wąskimi uliczkami i tłumem.

Nowe pojazdy mają usprawnić pracę funkcjonariuszy na terenach trudno dostępnych dla radiowozów spaliny.

- Przede wszystkim tam, gdzie wjazd samochodem jest utrudniony. Chodzi o Stare Miasto, Ostrów Tumski, tereny nadbrzeżne, bulwar Dunikowski, bulwar Kaczyńskich - mówi Piotr Kościelny, komendant Straży Miejskiej we Wrocławiu.

Pojazdy osiągają prędkość do około 60 km/h. Do tego są elektryczne i ekologiczne. Wyposażone będą w apteczki i wszystko to, co niezbędne do niesienia pierwszej pomocy.

- Pojazdy będą mieć kołoty z niebieskim światłem, ale bez sygnałów dźwiękowych, bo to nie są pojazdy policyjne. One bardziej służą



We Wrocławiu meleksy służą głównie do przewożenia turystów, ale niedługo otrzymają je także patrole straży

do sprawnego przemieszczania się - dodaje Piotr Kościelny.

Meleksy będą obsługiwane głównie przez dwuosobowe patrole, choć dopuszczalne są także przejazdy pojedynczych strażników. Nie będą służyć do transportu zatrzymanych.

- Nie, to nie do tego służy. Dla zatrzymanego są radiowozy specjalne - mówi Piotr Kościelny. Rozważane jest natomiast wyposażenie części pojazdów w blokady na koła.

- Zastanowimy się nad tym, jak już je będziemy

mieli, bo to trzeba przetestować - dodaje Piotr Kościelny. Kiedy zobaczymy pierwszy patrol na meleksie?

Cena jednego meleksa to około 100 tysięcy złotych. Pojazdy będą garażowane na Grobli, skąd ruszą na stałe patrole w centrum.

- Pierwszy pojazd powinien się pojawić lada chwila, w ciągu miesiąca, natomiast trzy w trochę późniejszym czasie - deklaruje Piotr Kościelny. Oprócz czterech meleksów straż kupi też 10 radiowozów.



Projekt współfinansowany przez Unię Europejską w ramach Krajowego Planu Odbudowy i Zwiększania Odporności.
Sfinansowane przez Unię Europejską - NextGenerationEU..

Wałbrzych: w Willi Keindorffa powstanie Muzeum Hochbergów

Adrianna Szurman
Wałbrzych

Miasto przekazało Willę Keindorffa przy ul. Zamkowej w Wałbrzychu Zamkowi Książ, który wykona remont zabytku i zorganizuje w nim muzeum sławnego rodu.

Ostatnim gospodarzem Willi Keindorffa było Wojewódzkie Kuratorium Oświaty. Urzędnicy opuścili zabytek po reformie administracyjnej w 1999 roku. Nieremontowana i nieogrzewana willa popadała w coraz większą ruinę.

Był pomysł utworzenia tu Urzędu Stanu Cywilnego. - Musieliśmy zrezygnować z tej koncepcji, bo nie zgodził się na to konserwator zabytków, nie było też możliwości wprowadzenia udogodnień dla osób niepełnosprawnych - zaznaczał Roman Szełemej, prezydent Wałbrzysza, podczas konferencji prasowej, na której ogłoszono, że obiekt będzie poddany kapitalnemu remon-

towi. A docelowo utworzone zostanie tu Muzeum Hochbergów. Zabytek ma też służyć pobliskiej Akademii Nauk Stosowanych oraz innym instytucjom.

- Przez lata czyniliśmy starania o to, by odzyskać od Skarbu Państwa prawa do tej nieruchomości i do jej otoczenia, byśmy mogli wykorzystywać ją na cele publiczne. Mamy przygotowany projekt, który zresztą nadal jest aktualny. Przez długi czas zastanawialiśmy się, jak wykorzystać ten obiekt, z myślą o Wałbrzyszanach i turystach. Uznaliśmy wspólnie z historykami, prezeską Zamku Książ i prezesem Fundacji Księżnej Daisy, by ta willa stopniowo poddawana restauracji i modernizacji stała się częścią kompleksu pałacowo-parkowego Książa. Spółka dobrze radzi sobie z takimi trudnymi wyzwaniami konserwatorskimi i jest bardzo skuteczna w pozyskiwaniu środków na renowację - tłumaczył prezydent Szełemej. I podkreślał, że Zamek



FOT. ADRIANNA SZURMAN

Willę w 1907 roku wybudował Gustav Keindorff, dyrektor dóbr Hochbergów

Książ zyskał tytuł pomnika historii, dzięki czemu mógł sięgnąć po kolejne pieniądze na remonty. A to 30 mln zł z programu Feniks.

- Bardzo cieszymy się, że willa powraca do zasobów Zamku Książ, będziemy intensywnie poszukiwać funduszy na jej remont i mamy już koncepcje i plany. Willa sąsiaduje z willą księżnej Daisy i chcemy, aby przeznaczenie tych obiektów łączyło się pewną klamrą. W zamku nie mamy już przestrzeni na to, by mówić o samych Hochbergach, o tym jakie majątki posiadali, jakie kopalnie prowadzili, a tu będzie na to przestrzeń. W willi obok powstanie natomiast sala poświęcona księżnej Daisy - mówiła Dorota Karolewska, prezeska Zamku Książ w Wałbrzychu.

Mateusz Mykityszyn, prezes Fundacji Księżnej Daisy, zaznaczył, że majątek Hochbergów obejmował znaczną część miast i wsi aglomeracji wałbrzyskiej, więc jest o czym opowiadać. - Budynek ma charakter neore-

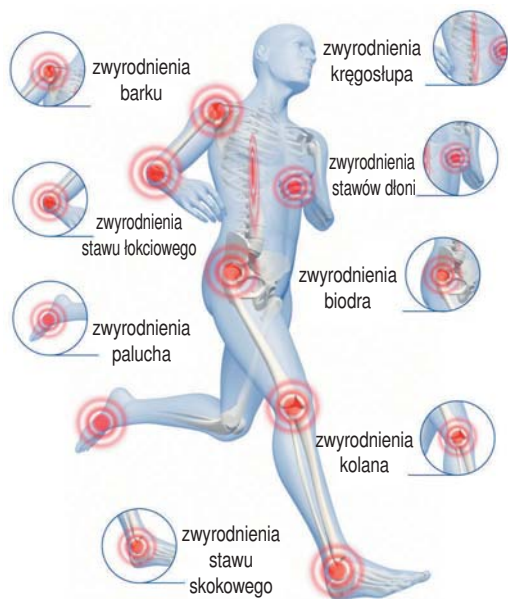
nesansowy, obecnie trwa inwentaryzacja tego, co jest w środku, a zachowało się całkiem sporo ciekawostek. Jak choćby piękne boazerie, kominek z herbem Hochbergów, zażytkowa stolarka czy elementy szkła, z których będziemy mogli odtworzyć secesyjne ozdoby. Powstanie nowa atrakcja w Śródmieściu, zabytek zostanie uratowany, q to jest najważniejsze.

Na spotkaniu był lider klanu Hochbergów, książę Peter von Hochberg-Pless z żoną Anną. Cieszy się, że spuścizna jego rodziny trafia pod skrzydła Zamku Książ. Książę chętnie zagląda do zamku. Przez lata jego rodzina przekazała cenne pamiątki. W weekend książę świętował w Zamku Książ swoje 70. urodziny, na które zjechało ponad 140 osób z Niemiec i innych krajów europejskich.

Remont szacuje się na kwotę 15-20 mln zł. Wniosek w tej sprawie jeszcze w tym roku złożony zostanie w ramach programu Feniks.

REKLAMA

0011513435



Jesteśmy w Centrum Terapii Kręgosłupa (SPONDLO-CLINIC group) prowadzonego przez dra Jarosława Jawnego - (uznany ekspert w dziedzinie spondyliatrii i znany terapeuta manualny) - który pracuje ponad 30 lat z tkanką łączną, a jego zespół to uznani specjaliści w swoich dziedzinach. **Centrum słynie z nowoczesnych i skutecznych metod leczenia kręgosłupa, stawów i mięśni.**

Z jakimi schorzeniami najczęściej trafiają do nas pacjenci?

Z bólami i uszkodzeniami kręgosłupa, kolana, biodra czy też barku (cały aparat ruchu) - uszkodzenie po urazie, przeciążenie, wiek i zwyrodnienie. Tam, gdzie inni lekarze nie potrafili pomóc lub chcieli tylko operować. A dysfunkcje i ból należy leczyć zawsze i za wszelką cenę. Im wcześniej podejmiemy leczenie, tym szybciej i taniej dojdziemy do zdrowia.

Co to jest proloterapia?

Proloterapia to najnowocześniejsza na świecie metoda leczenia i regeneracji kręgosłupa, więzadeł, stawów i mięśni. Podajemy preparat w miejsce uszkodzenia i w punkty sterujące. Likwidujemy ból poprzez **naprawę uszkodzonej tkanki**. Dużą skuteczność osiąga się podając gotowy **kolagen MD**. **PRP to osocze bogato-płytkowe a i-PRF to fibryna**, które uzyskuje się po odwirowaniu z krwi własnej pacjenta. **PRP to skoncentrowana objętość płytek krwi i czynników wzrostu stymulujące**

FENOMEN OSOCZA i FIBRYNY

Jedynie przyczynowe leczenie bólu - REGENERACJA KRĘGOSŁUPA, STAWÓW, MIĘŚNI I TKANEK

przebudowę naprawczą. **I-PRF** to najwyższe osiągnięcie medycyny regeneracyjnej, jest świetnie **usieciowana (struktura 3D)** i zawiera **dodatkowo znaczną ilość komórek macierzystych** (nazywana jest **osoczem III generacji**). Z **HBOT (komora tlenowa hiperbarczna)** działa rewelacyjnie. **Odrasta zwykła, zdrowa tkanka.**

Metody u nas stosowane są uznawane za najlepsze na całym świecie

Dodatkowo, aby przyspieszyć proces regeneracji, stosujemy proloterapię, terapię manualną, igłoterapię, masaże, trening indywidualny kręgosłupa, kinezyterapię, dietę, ale też fizykoterapię - najnowsze technologiczne XXI wieku. Dzięki temu uzyskujemy **najwyższą skuteczność**.

Czemu kolagen jest aż tak ważny?

Kolagen, a szczególnie fibrynogen jest odpowiedzialny za to, że nasze tkanki są elastyczne i mocne. Jego brak sprzyja uszkodzeniom wielu struktur (kolana, biodra, ale też dyskopatie czy przepukliny).

Czy starszym ludziom można pomóc?

Tak, dostarczamy kolagen w ten sposób, żeby w uszkodzonym miejscu następowała regeneracja. Do **pobudzenia regeneracji** należy podać **czynniki wzrostu (PRP), komórki macierzyste, tlen** i zapewnić nowoczesną rehabilitację. **Zaczynają być sprawni i bez bólu.**

A co z ludźmi po wypadkach lub urazach sportowych?

Ważne jest prawidłowe i szybkie rozpoczęcie leczenia. Zastosowanie **proloterapii z kolagenem, PRP lub i-PRF i właściwej rehabilitacji oraz fizykoterapii na najnowocześniejszym sprzęcie** znacznie skraca czas leczenia i całkowitego wyzdrowienia. Tutaj **HBOT** (hiperbaria tlenowa) czyni wręcz cuda. Mówimy o prawdziwej rewolucji w regeneracji. **Uważa się, że leczenie PRP, i-PRF i kolagenem jest lepsze od innych metod.** Około **90% ludzi po leczeniu u nas** funkcjonuje bez bólu. Nawet u pacjentów ze skierowaniem na operację mamy podobne wyniki.



Czy warto polecić leczenie tlenem pod ciśnieniem (HBOT)?

Tak. Leczenie **tlenem pod wyższym ciśnieniem** to nie moda, ale **nowoczesna i bardzo skuteczna** metoda wspomagania terapii w bardzo wielu schorzeniach. Także **znacznie skraca czas leczenia i regeneracji**. Po kilku zabiegach w komorze tlenowej poziom **komórek macierzystych** zwiększa się nawet **7-8 krotnie**. To także skuteczna profilaktyka (idealna w czasach COVID-19) oraz **najdoskonalszy doping sportowy i intelektualny**.

Do naszej oferty wprowadziliśmy również **INHALACJE WODOROWE**, do których stosujemy jedno z najbardziej wydajnych i technologicznie zaawansowanych urządzeń na rynku. Inhalacje te stanowią uzupełnienie prowadzonej terapii - zwiększają odporność organizmu, działają antyoksydacyjnie oraz wspomagają przy leczeniu wielu chorób (cukrzyca, nadciśnienie, astma, reumatyzm, alergie) oraz stanów zapalnych mięśni i uszkodzeń tkanek miękkich.

WARTO WIEDZIEĆ: Schorzenia, w leczeniu których się specjalizujemy to:

bóle kręgosłupa, dyskopatie (przepukliny), rwa kulszowa, bóle i zawroty głowy, migreny, bóle kończyn, barku, bóle kolan i bioder, łokieć tenisisty, wady postawy i skoliozy, bóle menstruacyjne, nerwobóle oraz wszelkie urazy sportowe i po wypadkach komunikacyjnych. Nasze metody (przy współpracy ze specjalistą stomatologią) są bardzo skuteczne przy **regeneracji stawu skroniowo-żuchwowego oraz przy leczeniu BRUKSIZMU (o ile wiadomo, jesteśmy pierwsi).**

Dr Jarosław Jawny prowadzi szkolenia z praktycznego stosowania osocza i fibryny dla lekarzy z całej Polski, propagując nowe metody.

**ZAPRASZAMY
DO CENTRUM TERAPII KRĘGOSŁUPA,
Wrocław, ul. Wyszyńskiego 116/2,
tel. 71 726 11 71, 503 183 095,
www.ckregoslupa.pl**

Sparta nie chce hotelu przy torze żużlowym

Konrad Bałajewicz
Wrocław

Przeciwko budowie hotelu studenckiego na terenie dawnych basenów przy Stadionie Olimpijskim protestują nie tylko mieszkańcy. Sprzeciwili się też klub żużlowy WTS Sparta Wrocław,

Dokończenie ze strony 1

W oświadczeniu Sparty Wrocław czytamy, że podczas meczu żużlowego 3 maja w strefie kibica rozdawano ulotki promujące inwestycję. Klub uznał to za działanie wprowadzające kibiców, sponsorów i partnerów w błąd poprzez sugerowanie związku inwestycji z WTS-em. Sparta podkreśla, że Start Park nie ma związku z rozwojem infrastruktury sportowej Stadionu i ocenia projekt jako „bardzo szkodliwy”. Klub wskazuje, że stadion rewitalizacji dysponuje już odpowiednim zapleczem dla sportu i kibiców, a budowa kilkuset lokali mieszkalnych zmieni charakter tego miejsca.

Zdaniem działaczy, mieszkańcy nowej inwestycji mogą domagać się ograniczenia działalności sportowej ze względu na hałas czy uciążliwości związane z organizacją imprez. Sparta

ostrzega, że mogłoby to uderzyć najpierw w treningi dzieci i młodzieży, a docelowo nawet zagrozić organizacji meczów ligowych oraz zawodów Speedway Grand Prix we Wrocławiu.

W oświadczeniu przywołano głośny przykład Toru Poznań, gdzie działalność toru wyścigowego znalazła się pod presją po pojawieniu się nowej zabudowy mieszkaniowej w sąsiedztwie obiektu.

Klub zwraca uwagę na problemy komunikacyjne. Planowana liczba miejsc parkingowych jest niewystarczająca, a samochody mieszkańców mogą doprowadzić do chaosu podczas wydarzeń sportowych.

Żużel ma tu pozostać

Na oświadczenie Sparty odpowiedział Dolnośląskie Inwestycje. Pełnomocnik zarządu, Tomasz Majda podkreśla, że Start Park nie jest klasycznym osiedlem, lecz zarządzanym obiektem zamieszkania zbiorowego dla studentów, sportowców i osób związanych z AWF-em oraz Stadionem Olimpijskim.

Deweloper zaznacza, że specjalizuje się w budowie i prowadzeniu akademików we Wrocławiu, a Start Park ma być czwartą tego typu inwestycją firmy. Wg spółki,



Tak ma wyglądać Start Park - akademik w miejscu dawnych basenów, w sąsiedztwie Stadionu Olimpijskiego

projekt od początku tworzone jako uzupełnienie infrastruktury sportowej wokół stadionu.

Co do ulotek - materiały miały charakter informacyjno-ankietowy i służyły zbieraniu opinii kibiców na temat funkcji potrzebnych wokół Stadionu.

Spółka zapewnia także, że dostrzega problem potencjalnych konfliktów związanych z hałasem i proponuje rozwiązania organizacyjne, prawne i techniczne mające zabezpieczyć funkcjonowanie stadionu oraz żużla.

- Skierowaliśmy pisma i propozycje rozwiązań do: WTS

Sparta Wrocław, AWF, Miasta Wrocławia. Nie uciekamy od tematu sąsiedztwa stadionu. Wręcz przeciwnie - próbujemy go rozwiązywać kompleksowo razem z instytucjami funkcjonującymi w tym miejscu. Porównanie do Toru Poznań pokazuje przede wszystkim, jak ważne jest wcześniejsze, systemowe uregulowanie relacji między istniejącym obiektem sportowym a nową zabudową. Dlatego nie czekamy na spory w przyszłości, zaproponowaliśmy już konkretne rozwiązania organizacyjne, prawne i techniczne dla ca-

łego otoczenia Stadionu Olimpijskiego - mówi Tomasz Majda.

Dolnośląskie Inwestycje przekonują, że projekt nie doprowadzi do paraliżu komunikacyjnego. Inwestycja przewiduje więcej miejsc parkingowych niż wymagają przepisy, rowerownię dla 700 rowerów oraz model funkcjonowania typowy dla akademika, a nie tradycyjnego osiedla.

- To będzie obiekt zamieszkania zbiorowego z funkcjami wspólnymi, usługowymi i sportowo-rekreacyjnymi, zaprojektowany jako uzupełnienie otoczenia Stadionu Olimpijskiego, a nie konkurencja dla niego - zapewnia deweloper.

W przesłanym do naszej redakcji oświadczeniu podkreśla, że inwestycja przeszła wieloletnią kontrolę instytucji administracyjnych i sądów oraz uzyskała pozwolenie na budowę. Firma przypomina o ubiegłorocznym wyroku Naczelnego Sądu Administracyjnego, który uchylił wcześniejsze decyzje podważające pozwolenie na budowę i przywrócił je do obrotu prawnego.

Spółka zwraca też uwagę, że same dawne baseny olimpijskie i trybuny nie były indywidualnie wpisane do rejestru zabytków. Jak argumentuje inwestor,

ochroną konserwatorską objęte jest całe założenie urbanistyczne Stadionu Olimpijskiego, ale nie wszystkie jego elementy posiadają status odrębnych zabytków.

Kontrargumenty

Na to protestujący także mają kontrargument: - W rejestrze zabytków Wrocławia pod numerem 457/Wm z datą 1991 r. basen olimpijski, w którego skład wchodzi trybuna ziemna, pojawia się pośrednio w dwóch miejscach. Raz jako „obiekty zaprojektowane przez Richarda Konwiarza” oraz wyliczając trybuny ziemne: „Tereny olimpijskie wraz z położonymi na nich obiektami, zaprojektowane przez Richarda Konwiarza w 1926 r. - częściowa realizacja w 1927 r. uzupełnienia i rozbudowa w latach 1937 - 1938 - oznajmia Grupa Inicjatywna Stadion Olimpijski, która sprzeciwia się budowie inwestycji.

„Stadion Olimpijski był tu pierwszy. Żużel ma tu pozostać” - deklaruje deweloper, przekonując, że Start Park ma uzupełniać funkcjonowanie kompleksu sportowego, a nie z nim konkurować. Na tym spór wokół zabudowy terenu basenów Stadionu Olimpijskiego z pewnością się nie zakończy. Do sprawy będziemy wracać.

REKLAMA

0011519917



Otwórz się na WIĘCEJ!

DOŁĄCZ DO NOWOCZESNEJ FIRMY, KTÓRA ZAPEWNI CI ROZWÓJ I STABILIZACJĘ.

Zatrudniamy specjalistów w działach:

- ☑ Utrzymania Ruchu i Automatyki
- ☑ Technologii
- ☑ Jakości
- ☑ Sprzedaży
- ☑ Zarządzania Produkcją
- ☑ Administracji

Oferujemy:

- ☑ Pracę w zakładzie produkcyjnym w Ujeźdźcu Małym pod Wrocławiem
- ☑ Bezpłatną stołówkę
- ☑ Bony i paczki świąteczne
- ☑ Dofinansowanie do kształcenia (szkoły, studia, kursy, szkolenia)
- ☑ Bilety na koncerty oraz mecze Panthers Wrocław
- ☑ Prywatną opiekę medyczną LUXMED
- ☑ Kartę Multisport
- ☑ Ubezpieczenie na życie
- ☑ Atrakcyjny program poleceń pracowników

Poznaj szczegóły:

tarczynskipraca.pl

726-665-555

rekrutacja@tarczynski.pl



W Bogatyńskim Ośrodku Kultury znów wybiorą Króla Łgarzy

Redakcja
Wrocław

Już niedługo w Bogatyni 43. Ogólnopolski Festiwal Turnieju Małych Form Satyrycznych. Impreza nazywana jest po prostu Turniejem Łgarzy, odbędzie się 23 maja.

Turniej Małych Form Satyrycznych jest coroczną ogólnopolską imprezą organizowaną w Bogatyni przez Stowarzyszenie Turnieju Małych Form Satyrycznych od 1984 roku. Celem Turnieju jest m.in. promowanie autorów tekstów i wykonawców estradowych (satyryków) - informują organizatorzy i dodają:

- Główny konkurs (na prezentację sceniczną) polega na autorskim pomysle ludycznej zabawy (prezentacji) w celu rozbawienia publiczności. Jury złożone z przedstawicieli mediów publicznych i sponsorów wybiera Króla Łgarzy na dany rok. Impreza propaguje dobre i sprawdzone wzorce kulturowe oraz aktywną i mądrą rozrywkę w postaci prezentacji satyrycznych: krótkich utworów scenicznych oraz twórczości literackiej.



Turniej Łgarzy ma ponad 40-letnią historię. Powstał w czasach trudnych, bo końca PRL, ale dla satyry ciekawych

Finał turnieju odbędzie się 23 maja o g. 16 w Bogatyńskim Ośrodku Kultury (bilet 40 zł). Ale zanim to nastąpi, do 1 marca organizatorzy zbierali zgłoszenia i utwory.

Uczestnik konkursu przygotowuje prezentację o dowolnej treści i formie (monolog, piosenka, skecz, scenka pantomimiczna itp.), celem jest rozbawienie publiczności. Prezentacja musi być dziełem, oryginalnym i nigdzie wcześniej nie publikowanym i przedstawianym publicznie - czytamy o zasadach konkursu bogatynskiej imprezy.

Kto wystąpi w finale?

Jury zakwalifikowało następujące formacje i osoby: Kabaret Flanele z Będzina Cezary Sadowski z Lubawy Piotr Malejczyk ze Szczecina

Bartek Chmiel - laureat festiwalu Fermenty z Bielska Białej oraz Książę Łgarzy A.D. 2026, czyli laureat konkursu na tekst satyryczny.

Gwiazdą imprezy będzie Bartosz Gajda, a turniej poprowadzi Marcin Woroniecki. Życzmy dobrej zabawy!

FOT. MATERIAŁ PRASOWY

30 mln zł dla firm.

Dolny Śląsk uruchamia pożyczki na bezpieczeństwo i odporność przedsiębiorstw

Dolnośląskie firmy będą mogły skorzystać z nowego programu wsparcia przygotowanego przez Samorząd Województwa Dolnośląskiego i Dolnośląski Fundusz Rozwoju. Inwestycyjna Pożyczka Obronnościowa ma pomóc przedsiębiorcom zwiększyć bezpieczeństwo działalności, zadbać o cyberbezpieczeństwo oraz przygotować się na sytuacje kryzysowe. Na program przeznaczono 30 mln zł, a pojedyncza firma może otrzymać nawet 4 mln zł preferencyjnego finansowania.

Samorząd Województwa Dolnośląskiego wspólnie z Dolnośląskim Funduszem Rozwoju uruchomił nowy instrument wsparcia dla mikro, małych i średnich przedsiębiorstw. Inwestycyjna Pożyczka Obronnościowa ma pomóc firmom budować odporność na kryzysy, zabezpieczać ciągłość działania oraz przygotować się na wyzwania związane z bezpieczeństwem gospodarczym i sytuacją geopolityczną.

– Odpowiadając na wyzwania cywilizacyjne i na to, co dzieje się z naszą wschodnią granicą, podejmujemy działania w różnych obszarach – od służby zdrowia po kwestie gospodarcze. Teraz proponujemy produkt pożyczkowy, który będzie dystrybuowany do dolnośląskich mikro, małych i średnich przedsiębiorców przez Dolnośląski Fundusz Rozwoju – mówi **Paweł Gancarz, marszałek województwa dolnośląskiego**.

Nowe finansowanie będzie można przeznaczyć m.in. na inwestycje związane z cyberbezpieczeństwem, zabezpieczeniem dostaw energii, unowocześnieniem zaplecza technologicznego czy budową odporności operacyjnej przedsiębiorstw. Program zakłada również wsparcie dla firm, które chcą dostosować swoją działalność do funkcjonowania w sytuacjach kryzysowych.

– Ta pożyczka ma przygotować dolnośląskie firmy na wyzwania przyszłości, do



Chcemy przygotować dolnośląskie firmy na wyzwania przyszłości i wzmacniać bezpieczeństwo regionalnej gospodarki – marszałek Paweł Gancarz

których mamy nadzieję, że nie dojdzie. Staramy się jednak wspierać również sektor gospodarczy. To finansowanie oprocentowane preferencyjnie, a nie komercyjnie – podkreśla **marszałek Paweł Gancarz**.

Firmy mają być gotowe na sytuacje kryzysowe

Program opiera się na zasadzie tzw. podwójnego zastosowania inwestycji. Oznacza to, że zakupione urządzenia i technologie mają służyć przedsiębior-

stwom w codziennej działalności, ale jednocześnie pozwalają na szybkie dostosowanie produkcji do potrzeb sytuacji nadzwyczajnych czy infrastruktury krytycznej.

Chodzi m.in. o zakup nowoczesnych obrabiarek, maszyn CNC czy systemów zwiększających bezpieczeństwo cyfrowe przedsiębiorstw. W czasie pokoju będą wykorzystywane w standardowej działalności, a w razie potrzeby umożliwią szybkie przedstawienie produkcji na potrzeby sektora obronnego lub zabezpieczenia dostaw.

– Dziś bezpieczeństwo gospodarcze i odporność przedsiębiorstw są równie ważne jak ich rozwój. Chcemy, aby dolnośląskie firmy mogły inwestować nowocześnie i jednocześnie budować swoją gotowość na nieprzewidziane sytuacje. Ten program daje przedsię-

województwa, program skierowany jest przede wszystkim do lokalnych przedsiębiorców silnie związanych z regionem i jego gospodarką.

Preferencyjne warunki i nabór ciągły

Inwestycyjna Pożyczka Obronnościowa ma charakter inwestycyjny. Maksymalna kwota wsparcia dla jednego przedsiębiorcy wynosi 4 mln zł. Finansowanie będzie dostępne na okres do 84 miesięcy, z możliwością półrocznej karencji w spłacie kapitału. Oprocentowanie w formule de minimis wynosi obecnie 2,15 proc.

– To produkt wyjątkowy zarówno ze względu na swój cel, jak i przeznaczenie. Wszyscy widzimy, z jakimi wyzwaniami mierzą się przedsiębiorcy w ostatnich latach. Dlatego wspólnie z Urzędem Marszałkowskim Województwa Dolnośląskiego zdecydowaliśmy o przygotowaniu właśnie takiej pożyczki – podkreśla **Robert Koszut, prezes Zarządu Dolnośląskiego Funduszu Rozwoju**.

Nabór wniosków rozpoczął się 6 maja i prowadzony będzie w trybie ciągłym – do wyczerpania środków. Wniosek można składać wyłącznie elektronicznie za pośrednictwem strony Dolnośląskiego Funduszu Rozwoju.



Ten program daje przedsiębiorcom konkretne narzędzia do budowania stabilności i długofalowego bezpieczeństwa – wicemarszałek Michał Rado



Operatorem programu jest Dolnośląski Fundusz Rozwoju

Pierwszy odwiert i sukces. Jest woda w Kowarach

Redakcja
Jelenia Góra

Pierwsze odwierty potwierdziły, że w jednej z dzielnic jest woda, która może nadać się do użytku. Jeśli będzie jej wystarczająco dużo, gmina będzie dostarczać ją do tamtejszych domostw.

Mieszkańcy Kowar zmagają się z niedoborami wody. Powód? Ich ujęcia wody są powierzchniowe, a więc zależne od warunków atmosferycznych. - Odwierty trwają w dzielnicy Podgórze. Pierwszy odwiert już się odbył i już wiemy, że woda tam jest - mówi Ryszard Rzepczyński, zastępca burmistrza. Wodę znaleziono na głębokości 40 i 60 metrów. Równocześnie miasto buduje wodociąg, który ma zasilać dziel-



FOT. UM KOWARY

Kowary chcą swoje wodociągi uniezależnić od wód powierzchniowych, pora na studnie głębinowe

nicę Wichrowa Równia. - Za kilka tygodni ta inwestycja będzie gotowa - mówi wóldarz. Gdyby okazało się, że na Podgórzu uda się zbudować studnię, to woda płynęłaby siłą grawitacji, nie potrzebna byłaby przepompownia, a jedynie stacja uzdatniania. Prace poszukiwawcze planowane są również w dzielnicy Wojków.

Linia kolejowa nieczynna od prawie 40 lat wraca do życia

Jerzy Wójcik
Wrocław

Ostatni pociąg osobowy pojechał tędy we wrześniu 1989 roku. W 2005 roku tę linię usunięto z ewidencji PKP. Ale walka o reaktywację połączenia Strzelin - Łągiewniki przyniosła efekt...

Przywracana do życia jest kolejna linia kolejowa pod Wrocławiem. Tym razem termin realizacji prac był wyjątkowo ambitny i wynosił tylko 8 miesięcy. A tory trzeba było tu zbudować praktycznie od nowa. Mowa o połączeniu kolejowym oznaczonym jako linia nr 319 (dawnej także nr 304) ze Strzelina do Łągiewnik przez gminę Kondratowice (17 kilometrów).

Prace prowadzone przez firmę Dolkom (za około 60 mln złotych przy 100 procentach finansowania z Krajowego Programu Odbudowy) mają się zakończyć w lipcu 2026 roku. Krótko po tym znów zobaczymy tam pociągi na torach, po 37 latach od ustania kursów



FOT. MARCIN ZACHARIASZ

Zamiast tirami kruszywo będą wozić koleją. Być może powróci ruch pasażerski - to zależy od zapotrzebowania

pasażerskich. W pierwszej kolejności na trasę ze Strzelina do Łągiewnik wrócą składy towarowe.

- Dziennie będą przewozić setki ton kruszywa z kopalni - mówił podczas podpisywania umowy na wykonanie tego zadania wicemarszałek województwa Wojciech Bochnak. - Ciężki transport wróci na tory, a tiry nie będą już niszczyć w ta-

kiej skali lokalnych dróg i zmniejszać komfortu oraz poczucia bezpieczeństwa kierowców - dodaje wicemarszałek Bochnak i zapewnia, że na tym się nie skończy. - W perspektywie najbliższych lat, jeśli będzie zapotrzebowanie, wróci tutaj także pasażerski ruch kolejowy.

Warto wspomnieć, że zakładane tempo prac jest imponujące, zwłaszcza w zestawieniu



FOT. MARCIN ZACHARIASZ

Odbudowa torów ma się zakończyć w lipcu

z tym, jak długo toczyły się formalności, by mogło w ogóle dojść do podpisania umowy. 10 lat temu dwie gminy - Strzelin i Kondratowice - przejęły zdewastowane tory od PKP. Lata kolejnych wniosków i starań doprowadziły do przejęcia linii przez samorząd województwa dolnośląskiego, który zadeklarował remont i słowa dotrzymał.

0011524563

Z głębokim smutkiem
przyjęliśmy informację o śmierci



Grażyny Mazur

Mamy

Macieja i Marka Mazurów

Prezesów firmy Medicus Sp. z o.o.

Składamy z serca płynące
wyrazy głębokiego współczucia.

Zespół Medicus Sp. z o.o.

0011524594

Z głębokim żalem i smutkiem informujemy,
że 11 maja 2026 r. zmarł
nasz Przyjaciół i Kolega, Górnik

mgr inż. Jan Kłębek

wieloletni członek Zarządu Oddziału
Stowarzyszenia Inżynierów i Techników Górnictwa
we Wrocławiu.

Odszedł od nas Kolega, zasłużony działacz SITG,
zaangażowany w pracę na rzecz naszego Stowarzyszenia,
ciepły i serdeczny człowiek.

Cześć Jego pamięci.

Koleżanki i Koledzy
z Oddziału SITG we Wrocławiu

REKLAMA

0011486419

ZAKŁADY POGRZEBOWE

● **„ABEL”** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowa organizacja pogrzebów i kremacji. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe, kom. 502-922-708, 71/355 92 23 ul. Św. Wincentego 10 A.

● **„ADORIA”** Usługi Pogrzebowe. Tania, profesjonalnie i bezgotówkowo. Całodobowy odbiór ciała z dowolnego miejsca. Pożegnania i kremacje. Obsługa ekskluzywnym karawanem. Biuro na terenie cm. Osobowice 59a - wszystkie sprawy w jednym miejscu. Tel. całodobowy 71 352 52 05 lub 503 33 83 84.

● **„ANUBIS”** – kompleksowe usługi pogrzebowe - profesjonalnie - bezgotówkowo. Dom Pogrzebowy, biuro i własna kaplica i chłodnia, organizowanie pożegnań przed kremacją oraz czuwanie przy zmarłym przed pogrzebem tradycyjnym

w godzinach dogodnych dla klienta. Wrocław, ul. Szpacza 32/34, tel. 71 350 01 01 całodobowy. Biuro: Wrocław, ul. Dubois 20, Wróblowice, ul. Stawowa 5. Całodobowe przewozy zmarłych kraj i zagranicą. Załatwianie formalności również w domu klienta. Telefony całodobowe 71 328 83 85, 723 030 303.

● **„ARCHON”** – Zakład Pogrzebowy tel. 71 332 60 60 – całodobowe przewozy zmarłych. Własna chłodnia i kaplica, rozliczenia bezgotówkowe, wyrabianie aktów zgonu i wszystkich formalności ZUS i USC. Obsługa ceremonii pogrzebowych ekskluzywnym karawanem Mercedes Pilato gratis. Nasze oddziały: Włodkowica 37, Hallera 112, Bogusławskiego 33, Traugutta 67, Skłodowskiej-Curie 49, Kiełczowska 90 (cm. komunalny), Krzywoustego 287, Trzebnicka 67,

ul. Grabiszyńska 101, ul. Zaporoska 83, www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **„WITWICCY”** Zakład Usług Pogrzebowych, Producent Trumien. Całodobowy przewóz zmarłych. Rozliczamy ZUS, KRUS, WBE, MSWiA w zakładzie. Własna chłodnia. Kompleksowo. Solidnie! Wrocław Borowska 254 - naprzeciw Akademii Medycznej, Wrocław Kościuszki 67/1a – róg Gwarnej, Krzyżowice ul. Główna 14 gm. Kobierzyce, Sobótka ul. Św. Anny 19/1, 71/889-00-60, www.zakladpogrzebowy24.pl

● **CAŁODOBOWE PRZEWozy ZMARŁYCH** dla miasta Wrocławia i Dolnego Śląska. Najniższe ceny. Tel. 502-922-708, 71 322-60-16.

● **KREMATORIUM – ARCHON**, ul. Kiełczowska 90, tel. 71 345 73 43

- całodobowo. Kompleksowe usługi kremacyjne i pogrzebowe, ustalanie terminów. Całodobowy odbiór osób zmarłych z domu, szpitali, hospicjów. www.krematorium.wroclaw.pl

● **MIĘDZYNARODOWE PRZEWozy ZMARŁYCH**, tel. 71/332-60-60 – całodobowo. Przewóz zmarłych i prochów z państw całego świata. Załatwiamy wszelkie pozwolenia i formalności. Posiadamy licencję na transport zmarłych z Francji. www.zaklad-pogrzebowy.com.pl

● **ROCH** – Zakład Pogrzebowy, bezgotówkowo, kompleksowo. Całodobowe przewozy zmarłych z domu, szpitali, hospicjum. Tel. całodobowe 71/322 60 16, kom. 502-922-708, Wrocław, ul. Św. Wincentego 10 a (dawna Obrońców Pokoju).

Dziś pożegnamy

Pogrzeby 15 maja
● **GRABISZYN**
Irena Romanowska g.8.00
Józef Fabisiak g. 9.00
Mirosława Bienkiewicz g. 10.00
Elżbieta Paterek g. 11.00
Barbara Kuligowska g. 12.00

Joanna Smolińska g. 13.00
Karolina Pacuła g. 14.00
Danuta Gosiewska g. 15.00
● **OSOBOWICE**
Helena Barbara Pawlus g. 8.00
Czesław Blumensztajn g. 8.40
Polina Masalova g. 9.20

Krystyna Danuta Mitura g. 10.00
Sylvia Wilk g. 10.40
Andrzej Wawrzyniak g. 11.20
Edyta Hamm g. 12.00
Tomasz Czuby g. 12.40
Nadezhda Rutkovskaya g. 13.20
Zbigniew Kapel g. 14.00
Janina Guzek g. 14.40

Lucjan Antoni Wróblewski g. 15.20
● **PSIE POLE**
Jerzy Japa g. 12.00
Wanda Machel g. 13.00
Jadwiga Czarnik g. 15.00

Zarząd Cmentarzy Komunalnych,
pl. Strzelecki 19/21, 50-224 Wrocław

W Prawie i Sprawiedliwości idzie na totalne zwarcie

Dorota Kowalska
Warszawa

Na ostatnim posiedzeniu klubu PiS posłowie walczą-cych frakcji rzucili się sobie do gardeł.

Wyrwanie mikrofonu, buczenie, klaskanie, wzajemne docinki - tak emocjonalnego spotkania klubu parlamentarnego PiS nie było ponoć od lat.

„Ludzie byłego premiera twierdzą, że Przemysław Czarnek był agresywny i podnosił głos. Wrogowie Morawieckiego, że ten był błąd i wygłosił płaczącą mowę. Z ostrym apelem wystąpiła Elżbieta Witek. Obecni na sali mówią: Rzeźnia!” - opisuje środowowe wydarzenia Newsweek. Wtórzy mu Wirtualna Polska.

Z ustaleń serwisu wynika, że Przemysław Czarnek mocno uderzył w Mateusza Morawieckiego. Były minister edukacji miał stwierdzić, że owszem, partia zbyt wcześnie zdecydowała się wskazać swojego kandydata na premiera, ale skoro już tak się stało, wszyscy powinni jechać

na jednym wózku. A tak nie jest i winę ponosi za to właśnie Morawiecki, który sabotuje jego kampanię programową.

„Morawiecki nie pozostał dłużny i wskazał na zgubną dla PiS radykalizację przekazu, która ma „ułatwiać działania” Donaldowi Tuskowi. Były premier stwierdził, iż partię ogamęła „suwopolizacja” (od nazwy dawnej Suwerennej Polski Zbigniewa Ziobry), choć samego Ziobry obojętnie nie chciał atakować” - czytamy w tekście WP.

Podczas posiedzenia mówiło się także o ostatnich „podróżach” Zbigniewa Ziobry. Prezes nakazał bronić Ziobry za wszelką cenę. Wiadomo, że nie wszyscy mają na to ochotę, bo ucieczka byłego ministra sprawiedliwości na Węgry, a potem do USA wizerunkowo szkodzi partii.

Ale to nie koniec środowowej polajanki w Prawie i Sprawiedliwości. Według WP, podczas obrad powrócił temat stowarzyszeń wewnątrz Prawa i Sprawiedliwości. Przypomnijmy, że ostatnio powstały dwa: Mateusza Morawieckiego i ludzi skupionych

wokół Sasina, Bocheńskiego i Patryka Jakiego.

„Najpierw Kaczyński nie chciał, by Morawiecki stowarzyszenie rozwijał, ale niedługo później zaakceptował fakt, iż powstaje. Na klubie PiS jednak - pod wpływem krytyki stronników Czarnka - oznajmił, że zwoła Komitet Polityczny PiS, który ma potwierdzić, iż żadne stowarzyszenia w ramach PiS działać nie mogą” - czytamy w portalu.

Tymczasem stronnicy byłego premiera nie zamierzają rezygnować ze stowarzyszenia. 14 maja, czyli w czwartek, dzień po posiedzeniu klubu PiS, Mateusz Morawiecki poinformował, że właśnie zostało zarejestrowane.

Ale to nie koniec sporów w PiS-ie. I w tym wypadku przyczynił się do tego sam prezes Kaczyński.

14 maja, czyli w czwartek Mateusz Morawiecki poinformował, że jego stowarzyszenie zostało zarejestrowane

czyński. Otóż grupa kilkunastu posłów PiS na czele z Mariuszem Błaszczakiem i Jackiem Sasinem złożyła w Sejmie projekt ustawy zakładający likwidację rynku kryptowalut w Polsce.

„Zgodnie z proponowanymi zapisami prowadzenie działalności w zakresie kryptoaktywów stanowi nieuczciwą praktykę rynkową niezależnie od spełnienia przesłanek ogólnych określonych w ustawie” - napisano w uzasadnieniu projektu.

Ponoć projekt powstał na wyraźne polecenie prezesa, który przestraszył się, że afera Zondacrypto, mocno zaszkodzi partii. Tyle tylko, że ta wolta może jej zaszkodzić jeszcze bardziej, bo PiS proponuje rozwiązanie sprzeczne z tym, co postulowało jeszcze kilka tygodni temu.

Co ciekawe, nie wiedział o nim Pałac Prezydencki, gdzie też nie kryją zaskoczenia. Swoją projekt uporządkowania rynku kryptowalut zaproponował przecież Karol Nawrocki i pewnie liczył na poparcie opozycji, a już na pewno Prawa i Sprawiedliwości.

Sprawa aktów małżeństw jednopłciowych nabiera tempa. Minister Gawkowski podpisał rozporządzenie

Karolina Wrońska
Warszawa

Wicepremier i minister cyfryzacji Krzysztof Gawkowski podpisał projekt rozporządzenia zmieniającego wzory aktu małżeństwa w sprawie par jednopłciowych.

„Nie tracimy ani chwili. Podpisałem dziś nowy projekt rozporządzenia zmieniającego wzory aktu małżeństwa. To rozwiązanie systemowe, zapewniające godność i równość dla każdej pary” - poinformował we wpisie na X Gawkowski.

Podkreślił, że w akcie małżeństwa będzie jasny opis, czy chodzi o małżeństwo kobiety i mężczyzny, kobiety i kobiety, czy mężczyzny i mężczyzny. Zaznaczył, że transkrypcja małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą będzie możliwa w każdym urzędzie stanu cywilnego w Polsce.

„Po podpisaniu rozporządzenia przez ministra cyfryzacji teraz czas na ministra spraw wewnętrznych i administracji” - przekazał wicepremier.

Zapytany o tę kwestię w czwartek w Polsat News szef MSWiA Marcin Kierwiński zapewnił, że jego podpis pod tym rozporządzeniem „to perspektywa kilku najbliższych dni”. Dodał, że zawsze takie rozporządzenia są poddawane krótkim konsultacjom, a potem trafiają do kontrasygnaty. - I ja oczywiście to rozporządzenie podpiszę.

Na wtorkowej konferencji przed posiedzeniem rządu premier Donald Tusk zaapelował do ministra cyfryzacji Krzysztofa Gawkowskiego i ministra spraw wewnętrznych i administracji Marcina Kierwińskiego o „jak najszybsze ustalenie treści rozporządzenia”, które umożliwi urzędom stanu cywilnego w Polsce dokonywanie transkrypcji aktów małżeństw jednopłciowych zawartych za granicą. PAP

Po podpisaniu rozporządzenia przez ministra cyfryzacji teraz czas na ministra spraw wewnętrznych i administracji

REKLAMA

0011521052



Forum Dostawców
Przemysłu Energetycznego
i Obronnego

Rzeszów 2026

15 czerwca 2026 Rzeszów

ZAPISZ SIĘ JUŻ DZIŚ

energiazpolski.pl

Udział bezpłatny.

Liczba miejsc ograniczona.

- **Panele dyskusyjne** o sytuacji i inwestycjach w sektorach energetycznym i obronnym
- **Warsztaty** poświęcone mechanizmom finansowania dla dostawców, procesom certyfikacyjnym oraz prawu zamówień publicznych

Przyjedź. Pokaż swoją firmę.

Nawiąż kontakty z ludźmi, którzy decydują o kluczowych zamówieniach i nowych inwestycjach.

USA odwołały przerzut żołnierzy do Polski. Szef MON: Te zmiany nas nie dotyczą

Kazimierz Sikorski
Waszyngton, Warszawa

- Nie zmniejsza się liczba żołnierzy amerykańskich w Polsce. Pracujemy nad zwiększeniem ich liczebności - podkreślił szef MON, wicepremier Władysław Kosiniak-Kamysz.

Siły lądowe USA odwołały planowane rotacyjne przemieszczenie ponad czterech tysięcy żołnierzy brygady pancерnej do Polski.

Mowa o odwołaniu rozmieszczenia 2. Pancерnej Brygadowej Grupy Bojowej 1. Dywizji Kawalerii. Chodzi o ponad 4000 żołnierzy i towarzyszącego im sprzętu - w Polsce.

Taką informację podał portal Army Time. Patricia Kime, autorka informacji, dodaje, że przedstawiciel armii USA potwierdził tę decyzję, ale nie podał szczegółów i skierował pytania do Departamentu Obrony, który nie odpowiedział jednak na prośbę o informację.

Informacja jest zaskakująca, bo podczas wtorkowego przesłuchania w Kongresie dotyczącego budżetu armii ani sekretarz armii Dan Driscoll, ani generał Christopher LaNeve, zastępca szefa sztabu armii, nie wspomnieli o odwołaniu.

Do doniesień odniósł się wicepremier i szef resortu

obrony Władysław Kosiniak-Kamysz.

- Nie zmniejsza się liczba żołnierzy amerykańskich w Polsce. Pracujemy zarówno nad zwiększeniem liczebności, jak i zdolności operacyjnych wojska amerykańskiego stacjonującego w Polsce - podkreślił minister obrony narodowej w czwartek na konferencji prasowej w Sejmie.

Dodał, że zmiany i reorganizacje prowadzone przez amerykańską administrację „mogą wpływać na rodzaj wojsk czy miejsce dyslokacji w Europie”. Podkreślił jednak, że zmiany te nie dotyczą zmniejszenia kontyngentu amerykańskiego w Polsce.

Na czwartkowym briefingu prasowym Władysław Kosiniak-Kamysz pytany był, czy kontaktował się z prezydentem Karolem Nawrockim w tej sprawie. Szef MON przekazał, że „od samego początku” był w kontakcie z premierem. - W nocy rozmawiałem też z prezydentem Nawrockim - dodał.

- Jesteśmy tutaj wszyscy ze sobą w kontakcie. Myślę, że to jest przykład dobrego współdziałania i jednego strategicznego kierunku. Tu nie ma między nami sporu o strategię, o filozofię, o zadanie, które jest do wykonania, czyli obecność żołnierzy amerykańskich w Polsce - zapewnił szef resortu obrony. PAP

Spotkanie liderów USA i Chin nie przyniesie przełomu

Kazimierz Sikorski
Pekin

Ambicje Donalda Trumpa dotyczące szczytu z chińskim przywódcą Xi Jinpingem skurczyły się z „wielkiej umowy” do prośby o pomoc w otwarciu Cieśniny Ormuz i nacisku na małe umowy handlowe - twierdzi Politico.

Trump przybył do Pekinu w roli petenta proszącego o przysługi. Białe Dom podał, że spotkanie Trumpa z Xi skupi się na handlu, fentanylu i wojnie w Iranie.

Oznacza to, że Trump będzie miał trudności z osiągnięciem wielkiego sukcesu, który obiecywał. W marcu określił spotkanie jako „monumentalne wydarzenie”, a w kwietniu ogłosił, że spodziewa się niczego innego jak „wielkiego uścisku” od Xi. Pekin nie podał szczegółów programu szczytu. - Trump i Xi omówią ważne kwestie dotyczące relacji chińsko-amerykańskich oraz pokoju i rozwoju na świecie - mówił rzecznik chińskiego MSZ Guo Jiakun.

Trump mówił o wielu tematach tego, co znajdzie się w programie spotkania. W poniedziałek mówił, że Iran i energetyka znajdują się na liście, a we wtorek wycofał się z tych komentarzy.

Chiński lider ma dominującą pozycję - To szczyt o kurczeniu się - mówił Zack Cooper, były asystent zastępcy doradcy ds. bez-



Donald Trump przybył w środę do Pekinu z pierwszą wizytą w Chinach od 2017 roku. Przywódcy mieli rozmawiać m.in. o kwestiach gospodarczych i wojnie z Iranem

pieczeństwa narodowego w administracji George'a W. Busha. Konflikt z Iranem i decyzja Sądu Najwyższego, blokująca Trumpowi drogę do nakładania ceł, zachwiały dynamiką władzy między dwoma liderami. Trump ma mniejsze możliwości, by skłonić Xi do zgody na wymierne korzyści ze spotkania, które Trump mógłby przedstawić jako zwycięstwo.

- Pewność siebie, jaką Pekin teraz przejawia, że negocjuje z USA jak równy z równym, a może nawet jako silniejszy gracz, jest uderzająca - mówiła Henrietta Levin, była zastępca dyrektora ds. Chin w Departamencie Stanu za rządów Joe Bidena.

- Xi udaje się na spotkanie z Trumpem wzmocniony percepcją rozproszenia uwagi USA w Iranie i perspektywą ugrzęźnięcia USA na Bliskim Wschodzie - dodała Levin. To może sprawić, że drażliwe kwestie, które dręczą relacje USA - Chiny, czyli państwowe

Konflikt z Iranem i decyzja sądu blokująca Trumpowi drogę do nakładania ceł zachwiały dynamiką władzy między dwoma liderami

subsidia Pekinu dla sektora przemysłowego, agresywna obecność militarna w regionie Indo-Pacyfiku i ekspansja strategicznego arsenału nuklearnego - zostaną odsunięte na dalszy plan.

Zamiast tego oczekuje się, że przywódcy skupią się na przedłużeniu rozejmu handlowego zawartego w październiku w Korei Południowej, który zawiesił odwetowe podwyżki ceł, ograniczenia eksportowe na materiały takie jak minerały krytyczne oraz wznowienie przez Chiny zakupów amerykańskich produktów rolnych, takich jak soja. PAP

REKLAMA

0011517149

WIELKA PROMOCJA ♦ DOJAZD DO KLIENTA DO 100 KM

ANTYKWARIAT

ZŁOTA I FUTER

KUPUJEMY ZA GOTÓWKĘ:
Złoto/ złom złota
Srebro i Monety

WAŁBRZYCH
ul. Wysockiego 2/1
Pon. - pt. 10-16
Sobota 12-15

Sztułyce i tace srebrne
Świeczniki srebrne
Zegarki na rękę
Prawdziwe futra każdej jakości
Skup uszkodzonej biżuterii
Wyceń swoje futro!
Zmień futro na gotówkę

TEL. 663 936 236

DOŁĄCZ DO TYSIĘCY ZADOWOLONYCH KLIENTÓW ZŁAP OKAZJĘ!

ZAMIEŃ FUTRO NA GOTÓWKĘ OD RĘKI!

Gigantyczna kaucja albo areszt dla Andrija Jermaka

Anna Nagel
Kijów

Wyższy Sąd Antykorupcyjny Ukrainy ogłosił w czwartek środek zapobiegawczy dla podejrzanego o korupcję byłego szefa kancelarii prezydenta Wołodymyra Zełenskieskiego Andrija Jermaka.

Jermak trafi za kratki, o ile nie wpłaci kaucji w wysokości 140 milionów hrywien (ponad 13 mln złotych). Wcześniej Specjalna Prokuratura Antykorupcyjna (SAP) żądała dla Jermaka aresztu albo kaucji w wysokości 180 mln hrywien.

Jermak, uważany do niedawna za najbliższego współpracownika Zełenskieskiego, oświadczył w sądzie, że zaskarży tę decyzję.

- Pozostaję przy swoim stanowisku i zaprzeczam wszel-

kim oskarżeniom pod moim adresem. Będę nadal walczył. Moi obrońcy złożą odwołanie. (...) Nie mam takich pieniędzy, ale mam wielu znajomych, przyjaciół i mam nadzieję, że mi pomogą - powiedział w sądzie.

W poniedziałek Jermak, który przez lata uznawany był za najbardziej wpływowego urzędnika w Ukrainie, usłyszał zarzuty ze strony SAP. Śledczy podejrzewają go o udział w zorganizowanej grupie przestępczej i legalizację 460 mln hrywien (ok. 37,6 mln zł) przy budowie luksusowego osiedla pod Kijowem.

We wtorek sprawa nabrała nowego wymiaru po tym, jak SAP oceniła, że Jermak może próbować uciec z kraju, gdyż posiada cztery paszporty dyplomatyczne oraz wystarczające środki finansowe. PAP

PULS #216

Czytając ze zrozumieniem



Arlena Sokalska

ŚWIAT SZALEŃSTWA
I NIENAWIŚCI

W

mediach społecznościowych od wielu dni wrze. Ludzie wymieniają posty o tym, że czeka nas nowa pandemia, znowu zamkną lasy. A dlaczego? Bo (tu

cytat z tych bredni) według niemieckich służb najbardziej narażeni hantawirusem są leśnicy, myśliwi i pracownicy budowlani. Ekspertki podkreślają, że ryzyko zakażenia występuje również podczas spędzania wolnego czasu w lesie. Takich wpisów są tysiące, a ludzie je przekazują dalej. Czy ma to coś wspólnego z prawdą? Nic. Pretekstem do szerzenia podobnych głupot jest oczywiście historia statku MV Hondius, gdzie doszło do zakażenia tym rodzajem wirusa. Tyle tylko że żadnej groźby epidemii nie ma, hantawirusy obecne w Europie (tamten pochodził z Ameryki Płd.) nie przenoszą się między ludźmi.

W Polsce w 2024 odnotowano około 17 przypadków zakażeń hantawirusami od gryzoni, wszyscy chorzy wyzdrowieli. Ale to nie przeszkadza licznym kontom (botom) w mediach społecznościowych epatować strachem, spiskowymi teoriami dziejów. Kto to robi? Odpowiedzi należy szukać za naszą wschodnią granicą, bo tam wiodą ślady kont antyszczepionkowych (to w pandemii), które później, w 2022 r. szybko przekształciły się w konta z antyukraińską propagandą.

Właśnie, kilka dni temu w Warszawie grupa nastolatków prawie zakatowała na śmierć 16-letniego Artema z Ukrainy. Chłopak ma pękniętą czaszkę i zmasakrowaną twarz. To nie była przypadkowa napaść - napastnicy, a było ich około 10, wykrzykiwali, że ma wracać do Ukrainy i walczyć na froncie. Kolegę Artema chcieli zrzucić z mostu, na szczęście nadjechał patrol Policji i atakujący się rozpiechli. Abstrahując od absurdu, związanego z tym, że nieletnich nikt do armii nie przyjmie, owi atakujący używali argumentów znanych sobie głównie z TikToka, gdzie filmów przepełnionych nienawiścią do Ukrainy i Ukraińców jest na pęczki. Napastnikami kierowała czysta nienawiść, wyhodowana przez antyukraińską propagandę - z jednej strony rodem z Kremla, z drugiej rozpowszechniana przez obie Konfederacje.

Te dwa przykłady hantawirusową panikę i nienawiść do Ukraińców łączy jedno: ich źródłem są media społecznościowe, głównie TikTok.

NASK opublikował niedawno ciekawy raport na temat wiary w spiski i dezinformacje: „Paradoks spiskowy. O lęku przed innymi, potrzebie silnego państwa i podatności na narracje dezinformacyjne”. Otóż okazuje się, że wbrew temu, co myślimy, to wcale nie osoby starsze bardziej wierzą w spiski i poddają się dezinformacji. „Badania pokazują, że jest wręcz przeciwnie - to osoby starsze wykazują największą odporność na narracje spiskowe. Mniej odporni są młodzi dorośli w przedziałach wiekowych 30-39 lat i 18-29 lat” - piszą autorzy raportu. A ci młodzi, jeszcze niedorośli, tym bardziej wierzą we wszystko, co czytają, a może raczej czego słuchają, skrolując filmiki na TikToku.

Nie wiem, co z tym zrobić. Wisły nie da się zawrócić kijem, a młodych dorosłych czy też nastolatki przekonać do czytania i weryfikowania źródeł informacji.

Ale nie podoba mi się świat pełen wariatów wierzących w spiskowe teorie (na temat wirusów, szczepionek i wszystkiego, co się tylko da) oraz szaleńców przepełnionych nienawiścią do ludzi pochodzących z innych krajów.

Adam Bula

NA KURSIE I ŚCIEŻCE
DO KATASTROFY

T

o zwykle tak się kończy, gdy porzuca się mądrości klasyków. Kłamać - jak powiadał

Antoni Macierewicz - trzeba absurdalnie i wytrwale. A w ostatnich miesiącach prawicowa opozycja kłamała, owszem, mocno, ale chybotliwie, nieustannie zmieniając stanowisko. No i stało się, co musiało się stać: w kluczowych ostatnich tematach całkowicie utraciła wiarygodność nawet dla samej siebie.

To refleksja, która przyszła mi do głowy jeszcze w kwietniu, gdy podczas kolejnej rocznicy smoleńskiej Jarosław Kaczyński odgrzał temat zamachu. „Zamach był”, choćby nadal nie było na to żadnego dowodu, a kto mówi i myśli inaczej, jest „tchórzem”. No niby OK, gdyby nie długi okres zwątpienia, gdy nawet czołowi politycy PiS starali się odżegnywać od coraz bardziej skompromitowanej sekty. Gdyby oni wszyscy, przez wszystkie te lata, na jednym oddechu i bez mrugnięcia okiem mówili: „Komisja Macierewicza, odpalając parówki i blaszany barak udowodniła zamach i kropka” - byłoby to tak samo bez sensu, ale - przynajmniej dla tej części elektoratu, która z jakichś powodów traktowała to, co mówią, poważnie - byłby to spójny przekaz.

Refleksję moją kwietniową z tygodnia na tydzień znajduję bardziej aktualną i uniwersalną. Jest bowiem coś takiego (logika epistemologiczna i teoria gier o tym nauczają) jak wiedza wspólna (common knowledge). To sytuacja, w której wszyscy uczestnicy danej grupy wiedzą o określonym fakcie, wiedzą, że wszyscy inni o nim wiedzą, i wiedzą, że wszyscy wiedzą, iż wszyscy o nim wiedzą - i tak dalej, w nieskończoność.

No i na takim właśnie terenie wiedzy wspólnej większości Polaków (a więc i swoich wyborców też) ląduje właśnie prawicowa opozycja ze swoimi sztandarowymi ostatnio narracjami. MY po prostu wiemy, że ONI wiedzą, że MY wiemy, że o Smoleńskim zamachu pierniczą już tylko rytualnie, sami w niego kompletnie nie wierząc. MY właśnie odkrywamy, jak coraz trudniej prawicy tłumaczyć się z ostatnich, chaotycznych decyzji.

Na ich korzyść można jednak przywołać dwie okoliczności. Po pierwsze, w warunkach faktycz-

nego - choć jeszcze nieformalnego - rozpadu PiS na dwie główne frakcje, trudniej jest partii utrzymać jedność przekazu. Po drugie, PiS i Nawrocki ze swoim otoczeniem muszą za każdym razem zadbać, by do tego przekazu dokleić „troskę o Polskę”, a nie tak banalną okoliczność, że priorytetem jest przeszkadzanie rządowi Tuska w każdy dostępny sposób. Zwłaszcza jeśli prostym - choć trudnym do wytłumaczenia - wetem można Tusko-wym wetknąć mocno kij w szprychy.

Że brzmi to dość złowieszczo, gdy cała awantura o SAFE nie ma nic wspólnego z troską o polską armię tylko z obawą, by Tusk nie miał sukcesu w jej skokowym dozbrajaniu w krajowej zbrojeniówce? Sorry, to nie ja jestem cynkiem, tak po prostu działa brzytwa Ockhama.

Wracając do efektu „wiedzy wspólnej”. Nie wiem (i nie chcę wiedzieć), dla jakiej części Polaków fakty, że słońce wschodzi na wschodzie, a Warszawa jest stolicą Polski, są elementem niekwestionowanej „wiedzy wspólnej”. Mam optymistyczną intuicję, że jednak dla miarzącej większości.

Podnoszonym zaś tutaj problemem prawicy jest fakt, że po kolejnych miesiącach coraz trudniejszy do wytłumaczenia wolt, coraz więcej fikołków opozycji staje się też elementem tej wiedzy.

Bo na poważnie: przecież MY wszyscy już wiemy, że ONI wiedzą, że MY wiemy, że ICH opowieści o prześladowanym Ziobrze to brednie nie do utrzymania.

MY wiemy, że Oni wiedzą, że do NAS wszystkich już dotarło, że w sprawie kryptowalut prawica i Nawrocki zakiwali się na śmierć i im bardziej z kolejnych chaotycznych ruchów się tłumaczy, tym bardziej widać, że król jest nagi, odkąd mu się kasa płynąca od kryptooszustwa Kraka skończyła.

MY wiemy, że oni wiedzą, że NIKT już nie „kupuje” miliardów ze złota Glapińskiego na polski SAFE 0%. Przynajmniej od czasu, gdy nastąpiło to słynne pęknięcie w przekazie, gdy Nawrocki zapewnił, że mają świetną i obgadana alternatywę dla zatrutej kasy z Brukseli, a Glapiński zaraz potem sprostował, że nie było mowy o żadnych szczegółach.

Zła informacja dla opozycji jest taka, że z terenu „wiedzy wspólnej” nie ma ucieczki. Nie da się wymyślić „nowej narracji” na stare tematy, nie da się rzucić na stół kolejnego, z... sztygo projektu ustawy, nie da się z tchórze i złodzieja robić bohatera, gdy „wszyscy” go już za tchórze uznali.

Może to i sprawiedliwe, gdy prawi odkrywają, że karma is a bitch.

Historia jest bardzo ważna, ale można z niej czerpać różne lekcje. Jeżeli mówimy cały czas o tym co nas gniewa albo dzieli, to niekoniecznie mówimy całą prawdę o historii. (...) Wy Polacy teraz tworzący (...) historię stosunków polsko-ukraińskich, ponosicie odpowiedzialność nie za przeszłość, ale za przyszłość tych relacji

TIMOTHY SNYDER, PROFESOR HISTORII Z UNIWERSYTETU W TORONTO, KTÓRY JEST GOŚCIEM KONGRESU IMPACT W POZNANIU

NA TURNUSIE LECZĄ KRĘGOSŁUP, KOLANA, STAWY I... SAMOTNOŚĆ

W sanatorium żony pilnują mężów bardziej niż własnej diety. Czasami panowie wędrują jednak samotnie, gdy w telewizji leci turecka „Panna młoda”. Rano borowina, basen i inhalacje, a wieczorem dansing i podryw. Oto moja relacja z turnusu w Kołobrzegu

Agnieszka Domka-Rybka

Każdy turnus zaczyna się podobnie, czyli trzeba swoje odstać w długiej kolejce do recepcji, gdzie rejestrują kuracjuszy i przydzielają im pokoje. Oczywiście mój również miał taki rozruch. I w tej kolejce nawiązałam pierwsze znajomości, choć początki raczej nie zapowiadały fajerwerków. „A pani taka młoda, ciekawe, na co choruje” – zaczął mnie pan Franciszek, lat 70 plus. Od razu odpaliłam kontrę: „A co, człowiek musi od razu chodzić o kulach lub jeździć na wózku inwalidzkim, żeby go lekarz skierował do sanatorium?”. I tą ripostą zainaugurowałam 21-dniowy turnus w obiekcie sanatoryjnym przy promenadzie w Kołobrzegu.

Sanatorium jest ogromne: to 12-piętrowy wieżowiec, na turnusie jest około 450 kuracjuszy. Bardzo blisko morza.

1. Pokoje.

Dostać jednoosobowy pokój graniczy z cudem, a dwuosobowe są przeważnie tylko dla małżeństw. Pozostali pensjonariusze są meldowani w trójkach. Nam (byłam z mamą) trafia się jednak pokój na ósmym piętrze z dwoma łózkami i widokiem na morze – słysząc tutaj jego szum. Balsam dla uszu.

To basen do ćwiczeń, a nie z drinkami!

Ale mają panie szczęście! Od majówki przez cały sezon to piętro będzie wyłączane dla kuracjuszy na NFZ, a te pokoje będą dostępne tylko dla gości komercyjnych – mówi kobieta, która co drugi dzień przychodziła nam posprzątać.

Pielęgniarka dzwoni do pokoju codziennie około godz. 21. Sanatoryjna akcja specjalna, czyli kontrola kuracjuszy.

2. Lekarz.

U mnie była tylko jedna wizyta, na początku.

– Jakie dolegliwości pani doskwierają? – pyta lekarz.

Przymierzam się do dłuższej gawędy, otwieram już buzię, ale lekarz mi przerywa.

– Proszę podać tylko najważniejsze.

No tak, gdyby każdy pacjent opowiadał medykowi szczegółową historię swoich chorób, to



Kołobrzeg to raj dla kuracjuszy. Nazywany jest „perłą Bałtyku”. To najbardziej popularne uzdrowisko w kraju. Znajduje się tutaj kilkanaście sanatoriów i szpitali uzdrowiskowych

by biedak musiał chyba spać w tym gabinecie. A za mną w kolejce czekało jeszcze co najmniej 20 osób.

3. Zabiegi.

54 różne przez 21 dni. Borowina, łóżko do masażu membranowego, wirówki, laser, ultradźwięki, ćwiczenia w basenie solankowym. Wszystkie na konkretnie wyznaczone godziny. Jednak niektórzy, weterani sanatoryjni, próbują po cichu wcisnąć się do kolejek, żeby jak najszybciej skończyć codzienny limit zabiegów i mieć czas tylko dla siebie. Nic z tego.

– Co turnus ten sam obrazek! Proszę państwa, przecież wszędzie wiszą informacje, że przychodzimy pięć minut przed zabiegiem. W waszych kartach są podane dokładne godziny. Nie wpuszczę nikogo przed sobą, które mają na wcześniejsze – stwierdza stanowczo rehabilitant od borowiny.

Taki zabieg trwa 20 minut. Po kilku dniach część osób zaczyna się nudzić, leżąc „pod” gorącą borowiną. Między łózkami słysząc donośne dyskusje, historie życia...

– Proszę się tutaj relaksować, a na rozmowy zapraszamy do kawiarni na 12. piętrze – fizykoterapeuci muszą mieć stalone nerwy.

4. Basen solankowy.

Gimnastyka trwa 20 minut i jeśli ktoś myśli, że będzie tylko

udawał, że ćwiczy w wodzie, ten numer na pewno nie przejdzie.

– Do roboty! Przyszedł pan posiedzieć w solance, może jeszcze drinka podać!? – krzyczy ratownik.

Swoją drogą, nie potrafię zrozumieć, że po ćwiczeniach, gdy zostaje jeszcze 10-15 minut na samodzielne pływanie, prawie wszyscy wychodzą zaraz po gimnastyce. Przynajmniej mam cały basen dla siebie. Okazja kąpieli w basenie solankowym nie zdarza się zbyt często!

5. Stołówka.

Też wchodzimy na konkretne godziny i – znów! – niektórzy przychodzą wcześniej. Tylko po co? Chyba żeby sobie postać w kolejce, bo i tak otworzą drzwi o konkretnym czasie. Stoliki, choć mają nogi, przecież nie uciekną.

Jedzenie jak to w sanatorium, szalu nie ma. Dla mnie za mało warzyw. Po tygodniu człowiek ma dość pomidora krojonego codziennie na cztery ćwiartki, tyle ile osób przy stole. Przez bite 21 dni nawet bez cebulki! Skandal...

Oczywiście, komercja je lepiej. Stołówka podzielona jest na lepszy (goście prywatni) i gorszy sort – my z NFZ.

Jednak nie będę się czepiać, wszak podają wszystko pod nos. Siadasz, jesz, wstajesz, idziesz w długą. Nic cię więcej nie ob-

chodzi, żadna armia brudnych talerzy.

6. Windy.

To osobny rozdział. Są trzy na cały obiekt, w tym jedna towarowa, dla obsługi.

Kłótnie przy windach to codzienność. Nikt nie ma cierpliwości, aż winda pojedzie na 12. piętro i wróci. Tyle czekania! Ludzie się więc pchają, choć wyświetla się lampka pokazująca, że winda jest już przeciążona i ktoś musi wysiąść.

– Jest napisane, że 14 osób może jechać, a nas jest 12 – „rzuca się” kobiecina, która wsiadła ostatnia przed zapaleniem lampki i powinna, kulturalnie, opuścić wagon. Ale nie...

Faktycznie, jest napisane, jak mówi kuracjuszka. Jednak producent podał też wagę, ile jednorazowo kilogramów winda udźwignie. Przeliczyłam i gdyby każdy ważył 70 kg – może jechać 14 osób. Widzę jednak, że o tych 70 kg to większość osób może tylko pomarzyć...

I to wciskanie na siłę wszystkich przycisków sterujących windą, do góry czy w dół, jakby to miało wpływ, że szybciej pojedzie. A ona i tak będzie „złośliwie” zatrzymywać się na każdym z 12 pięter.

– Niby stare ludzie, a bawią się tymi guzikami jak małe dzieci – komentuje pan z obsługi, tzw. złota rączka. – Raz na tydzień musimy wymieniać przyciski, którymi



Tańce na dansingu lepsze niż rehabilitacja? Stawy i kręgosłup odpuszczają, a ciśnienie wariuje

zamyka się windę wewnątrz. Przecież ona się zamknie sama bez wciskania. Oszaleć można z tymi ludźmi. Nic do nich nie dociera!

„Polowanie na chłopą” to sanatoryjny standard? 7. Małżeństwa w sanatorium.

To temat na osobny artykuł. Żal żon, które tak pilnują swoich mężów, często bardziej niż diety. Najlepiej przywiązałyby ich do torebki. Z czasem jednak zaczynam je rozumieć. Na turnusie jest zdecydowanie więcej pań, dużo samotnych, wdów (mężczyźni szybciej umierają). Panów przyjechało mniej. I niektóre babki naprawdę „polują na chłopą”, tak że lepiej nie spuszczać mężów z oczu.

Czasami i ci mężowie spacerują samotnie nad morzem – tyle ich spokoju od czujnych małżonek. Było to zwykle po 17.00. Odkryłam, dlaczego – w tym czasie w drugim programie TVP leciała turecka telenowela „Panna młoda”. Normalny facet by tego nie wytrzymał...

Samotni panowie w sanatorium mają wzięcie, że hej. Jeden przysiadła się do mnie w holu. – Pięć lat temu zmarła mi żona, na raka. Jedyny nasz syn zginął w wypadku. Zostałem sam jak palec. Od śmierci Ani jestem już trzeci raz w sanatorium i nie mogę znaleźć nowej żony. Nic na siłę, żadna mi się nie podoba.

Moja Ania była piękną kobietą, a tu za mną latają same szkarady. Wygląda na to, że znów wyjadę z sanatorium jako samotny wdowiec.

8. Dansing.

W kawiarni na 12. piętrze można książkę napisać. Tutaj kręgosłup, stawy i kolana nagle przestają boleć, a ciśnienie skacze jak szalone. Dansing jest lepszy niż rehabilitacja. Szybko tworzą się pary, i nie tylko na parkiecie. Grajek śpiewa znane przeboje, m.in. miłosne, i można się poprzytulać. Nie każda polująca ma szczęście, więc mówi: „Tydzień mija, ja niczyja”. Gołym okiem widać, że niektórzy są bardzo doświadczeni w sanatoryjnych podrywach. Widać, że „z wielu pieców jadło się chleb”.

Na pewno trzeba bardzo uważać, by nie wrócić z sanatorium ze złamanym sercem. Po moim turnusie niejedno pękło...

W zeszłym roku z lecznictwa uzdrowiskowego na terenie całego kraju skorzystało 27 322 mieszkańców Kujawsko-Pomorskiego. – Natomiast w naszych uzdrowiskach, Ciecho-cinku, Inowrocławiu i Wienicuzdroju, przebywało 90 113 kuracjuszy z całej Polski – informuje Barbara Nawrocka, rzeczniczka prasowa Kujawsko-Pomorskiego Oddziału Wojewódzkiego NFZ.

©

Czwartkowe popołudnie. Nagle dzwoni telefon.
- Dorota, słyszałaś? Nie żyje poseł Litewka!
- Ewa, przyjaciółka, mówi na bezdechu.

- Tak, słyszałam.
- No i co o tym myślisz?
- pyta przekonana, że dziennikarze zawsze wiedzą więcej.
- Co tu myśleć? Potworne nieszczęście.

- Bo wiesz, to podobno nie był wypadek. Nie uważasz, że to trochę dziwne? Młody, zdrowy, przecież zjechałby do rowu, jakoś uciekłby przed tym samochodem. Był politykiem, niejednemu zaszedł za skórę - Ewa nie daje za wygraną. I opowiada, że w internecie mnóstwo teorii na temat tego, co tak naprawdę wydarzyło się na drodze między Sosnowcem a Dąbrową Górniczą i nawet Doda napisała, że w żadne wypadki nie wierzy.

- A niby komu poseł Litewka zaszedł za skórę? Był powszechnie lubiany - dopytuję Ewę.

- Choćby właścicielom schronisk, bo walczył o zwierzęta, albo jakimś politykom. Zresztą, to ty powinnaś wiedzieć! - szybko odpowiada.

Chyba zdołałam ją przekonać, że żadnego zamachu na posła nie było. Takie tragedie się przecież zdarzają; kierowca, który wjechał w Łukasza Litewkę, pewnie zasnął, zasnął, a może rozmawiał przez telefon. Nie wiadomo, trzeba czekać, co ustali policja.

- Może masz rację - przytaknęła. - Ale jak czegoś się dowiesz, dasz znać? - zapytała na koniec.

- Dam, dam! - zapewniłam. Godzinę później zadzwoniła znajoma z pytaniem, co ma mówić tym wszystkim koleżankom, które jej piszą, że posła Litewkę zamordowano.

Pod wieczór odezwała się mama.

- Straszne nieszczęście! Przecież wszyscy tego posła lubili. Bardzo miły człowiek i tyle dobrego robił - zaczęła. A potem było o tym, że była w urzędzie miasta, bo coś tam musiała załatwić, że ludzie w kolejce do okienka różne rzeczy o posle Litewce opowiadali. Ona w to wszystko oczywiście nie wierzy, ale mówili, że pewnie komuś w Warszawie musiał się narazić. I tak dla pewności zapyta, co ja o tym myślę.

- Mamo..... - wyszeptałam błagalnie.

Po skończeniu rozmowy, tak z ciekawości, usiadłam do komputera. I zamarłam. Dawno takich bzdur nie czytałam.

Następnego dnia policja wydała komunikat.

„W związku z wypadkiem drogowym, do którego doszło 23 kwietnia br. w Dąbrowie Górniczej, w którym śmierć poniósł poseł, w przestrzeni publicznej - w szczególności w mediach społecznościowych - pojawiają się liczne komentarze oraz spekulacje dotyczące okoliczności

Zwolenników teorii spiskowych można znaleźć wśród osób w każdym wieku, o różnej płci, narodowości, zamożności, przekonaniach politycznych, stopniu wykształcenia i statusie zawodowym. Krótko mówiąc: wiek, płeć, wykształcenie, stan posiadania nie mają znaczenia: liczy się umiejętność sprawdzania informacji i oceny źródeł

Dorota Kowalska



Ani wiek, ani płeć, ani poziom wykształcenia, ani nawet czytanie „wszystkiego” nie są ochroną przed dezinformacją

„PARADOKS SPISKOWY”, CZYLI KTO WIERZY W TAJNE GRUPY STERUJĄCE ŚWIATEM

tego zdarzenia. Apelujemy o zachowanie spokoju i rozwagi. Na chwilę obecną nie ma żadnych potwierdzonych ustaleń wskazujących, aby zdarzenie miało charakter celowy. Trwają intensywne czynności mające na celu dokładne wyjaśnienie wszystkich okoliczności wypadku” - napisali ślącicy policjanci. I zwrócili się ze specjalnym apelem. „Prosimy o powstrzymanie się od publikowania i rozpowszechniania niezweryfikowanych informacji, które mogą wprowadzać w błąd

oraz niepotrzebnie potęgować emocje. Jednocześnie zwracamy się z apelem do wszystkich osób, które były świadkami zdarzenia lub posiadają jakieś informacje mogące pomóc w jego wyjaśnieniu, o kontakt z policją lub prokuraturą. Apel kierujemy również do kierowców, którzy przejeżdżali w tym czasie przez miejsce zdarzenia i mogą posiadać nagrania z kamer samochodowych”.

Przeczytałam i przypomniałam sobie słowa niezjącego już prof. Zbigniewa Mikołejki, który

pewnego dnia powiedział mi tak: „Wie pani, jeśli ludzie nie umieją czegoś zrozumieć, jeśli jakieś zdarzenie jest tak straszne, tak bolesne, tak okrutne, że przerasta ich wyobrażenie, że nie potrafią go ogarnąć umysłem, to próbują je sobie na swój sposób wytłumaczyć, jakoś to wszystko zracjonalizować. Dopiero potem mogą iść dalej”.

Wbrew stereotypom
NASK (Naukowa i Akademicka Sieć Komputerowa) opu-

bliłował właśnie raport „Paradoks spiskowy. O lęku przed innymi, potrzebie silnego państwa i podatności na narracje dezinformacyjne”, który rzuca nowe światło na stare przekonania i przeczy stereotypom, bo do tej pory wydawało nam się, że człowiek wykształcony, młody, z dużego miasta jest odporny na spiskowe teorie dziejów. Nic bardziej mylnego. Dokument pokazuje, co tak naprawdę ma wpływ na wiarę w spiski, a co w zasadniczo nie ma znaczenia.

Przebadano prawie 4 tysiące dorosłych Polaków - pytano o ich poglądy, wykształcenie, o to, jak korzystają z mediów.

- Raport obala wiele mitów na temat podatności na teorie spiskowe. Ani wiek, ani płeć, ani poziom wykształcenia, ani nawet czytanie „wszystkiego” nie są wystarczającą ochroną przed dezinformacją. Najważniejsze jest to, jak podchodzimy do informacji i czy umiemy je weryfikować - mówi Agnieszka Ładna, kierownik Zespołu Badań nad Cyberprzestrzenią i Cyberbezpieczeństwem w NASK, jedna z autorek raportu.

Tak więc, wniosek pierwszy: płeć i miejsce zamieszkania nie decydują o podatności na teorie spiskowe. Mniej więcej tyle samo kobiet co mężczyzn w nie wierzy i nieważne, czy mieszkają w wielkich miastach, czy mniejszych miejscowościach.

Nie jest też tak, że najłatwiej w dezinformację wierzą seniorzy. Badania pokazują, że jest wręcz przeciwnie - to osoby starsze wykazują największą odporność na narracje spiskowe. Mniej odporni są młodzi dorośli w przedziałach wiekowych 30-39 lat i 18-29 lat.

Kluczową rolę odgrywa też światopogląd. Raport wskazuje na tzw. paradoks spiskowy - oznacza to, że największą podatność na wiarę w spiski wykazują osoby łączące konserwatywne podejście kulturowe z oczekiwaniem silnej i opiekuńczej roli państwa w gospodarce.

I wykształcenie nie ma tu kompletnie znaczenia. Liczy się nie dyplom uczelni wyższej, ale umiejętność sprawdzania informacji i oceny źródeł. I tu Polacy czują się pewnie. Co trzeci badany wysoko ocenia swoje umiejętności rozpoznawania fałszywych treści.

Kolejna sprawa: teorie spiskowe funkcjonują na zasadzie naczyń połączonych. Rzadko zdarza się, by ktoś wierzył tylko w jedną narrację. Wierzy w kilka teorii spiskowych i tak buduje sobie spójny obraz świata, w którym przypadek nie istnieje, a za wydarzeniami stoją „tajne grupy sterujące światem”.

Skrajne poglądy wpływają na podatność na narracje dezinformacyjne. Najbardziej odporne są na nie osoby o umiarkowanych poglądach, które patrzą na życie z różnych perspektyw i unikają patrzenia na świat wyłącznie w czarno-białych barwach. Z kolei ksenofobia to najsilniejszy czynnik wpływający na wiarę w teorie spiskowe.

- Algorytmy mediów wizualnych promują emocjonalne i uproszczone treści. Chaos informacyjny utrudnia oddzielanie faktów od opinii, a utknięcie w „bańce informacyjnej” sprzyja wybiórczemu sięganiu po treści bez kontekstu. Z badań wynika, że w tej sytuacji to właśnie śledzenie mediów głów-

nego nurtu, opartych na weryfikacji informacji i standardach redakcyjnych, zmniejsza podatność na wiarę w spiski - wyjaśnia Filip Konopczyński, dyrektor Biura Analiz i Badań.

Z badań wynika też, że czytanie wielu źródeł - od rzetelnych mediów po treści skrajne czy plotkarskie - wcale nie buduje odporności. Osoby narażone na wiele, często sprzecznych, informacji są bardziej zdezorientowane, a to sprzyja przyjmowaniu spiskowych teorii wyjaśniających rzeczywistość.

To, co czytamy, gdzie szukamy wiedzy o świecie, ma kluczowe znaczenie. Wyższa podatność na teorie spiskowe częściej występuje u użytkowników serwisów opartych na krótkich filmikach, które podają algorytmy, zaś niższa wśród osób korzystających z platform tekstowych i relacyjnych.

- Badania nad zjawiskiem dezinformacji są dla nas kluczowe, choć niezwykle trudne - podkreśla Magdalena Wilczyńska, szefowa Pionu Ochrony Informacyjnej Cyberprzestrzeni NASK. - Pozwalają nam zrozumieć głębsze społeczne i poznawcze mechanizmy, które czynią je skutecznymi. Bez rzetelnej diagnozy ryzykujemy, że nasze reagowanie będzie intuicyjne i doraźne. Ten raport powstał z przekonania, że odporność informacyjna zaczyna się od zrozumienia ludzi: ich lęków, oczekiwań, sposobów korzystania z informacji i relacji z instytucjami - podsumowuje.

Jakie teorie spiskowe królują dzisiaj w Polsce? Te o celowych wysiedleniach ludności, szczepieniach jako narzędziu depopulacji, klimatycznych spiskach zmierzających do zniewolenia obywateli czy manipulacji pogodą. Na tej liście wciąż wysoko plasują się narracje o nadużyciach rządów i globalnych konspiracyjnych układach.

Wątki te, jak podkreślają autorzy raportu, rzadko funkcjonują osobno - zazębiają się, wzmacniają nawzajem i ostatecznie tworzą alternatywny obraz rzeczywistości.

Dowody? W 2020 roku aż 47 procent badanych Polaków wierzyło w narrację, według której losami świata steruje jedna, tajna grupa. Z kolei z raportu „Dezinformacja oczami Polaków” z 2024 roku wynika, że nawet 30 procent z nas wierzyło, że zaplanowano już kolejne pandemie.

Pandemiczny zapalnik

Właśnie, bo pandemia COVID-19 to był ten czas, kiedy teorie spiskowe mnożyły się na potęgę. Ludzie wierzą w nie od czasów kamienia łupanego, ale w historii bywają okresy, kiedy takie narracje świetnie się „sprzedają”.

W 2020 roku ludzie nie potrafili sobie wy tłumaczyć, co się właściwie dzieje, jak to moż-

liwe, że w XXI wieku „zaraza” opanowała ich w miarę przewidywalny świat?

I tak, właściwie od dnia, w którym dowiedzieliśmy się o tajemniczym wirusie szalejącym w Chinach, w sieci pojawiły się informacje o laboratorium w okolicy miasta Wuhan, a więc w epicentrum zarazy. „The Washington Times” opublikował nawet artykuł, którego autorzy twierdzili, że wybuch epidemii jest związany z badaniami prowadzonymi przez Instytut Wirusologii w tym mieście. Powoływał się przy tym na opinię byłego członka izraelskich służb specjalnych. „The Washington Post” skonfrontował słowa Izraelczyka z licznymi ekspertami, którzy stwierdzili, że genom wirusa nie wskazuje, że jest on tworem sztucznym. Profesor MIT Vipin Narang stwierdził nawet w tweecie, że jeśli koronawirus miałby być bronią biologiczną, to bardzo źle skonstruowaną - wirus ma stosunkowo niską śmiertelność i zbyt łatwo się rozprzestrzenia, aby mógł być skuteczny.

Ale jak to z teoriami spiskowymi bywa, niektórzy, mimo zapewnień ekspertów, że nie są prawdziwe, wierzyli i wierzą w nie bezgranicznie. Informacja o „wypuszczeniu” wirusa z chińskiego laboratorium żyła swoim własnym życiem. Miała też kilka wersji. Jedna zakładała, że wirus został z niego wypuszczony celowo, aby sprawdzić jego siłę rażenia, inna, że zwierzęta z laboratorium trafiły na targowisko w Wuhan, a stamtąd wprost na talerz „pacjenta zero”.

Druga strona nie pozostała dłużna. Chiński internauci i eksperci apelowali o więcej szczegółów na temat tego, czy laboratorium w Fort Detrick koło Waszyngtonu zamknięto z powodu koronawirusa. Zamknięcie amerykańskiej placówki miało, według ich wiedzy, zbiec się w czasie z wybuchem epidemii. Oficjalna agencja informacyjna Xinhua zasugerowała delikatnie, że epidemia wprawdzie rozpoczęła się w Chinach, ale to nie oznacza, że COVID-19 pochodzi właśnie stąd, a rzecznik chińskiego MSZ Zhao Lijian napisał nawet na Twitterze, że „może to armia USA” spowodowała koronawirusa do Wuhan.

Już mniej oficjalnie, w sieci, krążyła teoria, że to Amerykanie mieli użyć broni biologicznej, aby osłabić chińską gospo-

darke. Chiny są przecież mocarstwem, największym konkurentem Stanów Zjednoczonych, a Donald Trump od miesiąca walczył z chińskimi markami, które zdobywały światowe rynki. Pasuje? Pasuje!

Z gatunku teorii, w których za pandemią stoją politycy, była jeszcze jedna, według której rząd wykorzystał epidemię koronawirusa do tego, aby zwiększyć możliwość inwigilacji ludności.

Amerykańscy miłośnicy teorii spiskowych uważali, że epidemia koronawirusa nieprzypadkowo zbiegła się z procesem impeachmentowym Donalda Trumpa. Jordan Sather, znany w kręgach „informacji alternatywnej”, twierdził, że rozprzestrzenienie choroby było zaplanowane i celowe. Co więcej, związek z epidemią miała mieć Fundacja Billa i Melindy Gatesów, która rzekomo dofinansowuje badania nad koronawirusem. Instytut Pirbrigh, który faktycznie otrzymuje dotacje z tej fundacji, wystosował sprostowanie, że naukowcy, owszem, zajmują się badaniami, ale nad wirusowym zapaleniem oskrzeli. Tłumaczenia tłumaczeniami, ale pewnie spora część mieszkańców Ziemi w tę teorię wierzy.

Potem cała masa teorii spiskowych była związana ze szczepionkami na COVID-19. W ich myśl pandemię wymyślono, żeby firmy farmaceutyczne mogły zarabiać na nas pieniądze. Na profilach antyszczepionkowców pojawiły się informacje, że koronawirus można wyleczyć olejkami eterycznymi, witaminą C, słońcą wodą, a nawet rozcieńczonym wybielaczem.

I na nic zdały się tłumaczenia lekarzy, że witamina C wirusa nie pokona - niektórzy brali ją garściami.

Oczywiście, naukowcy od lat próbują zrozumieć, kto jest skłonny wierzyć w teorie spiskowe. Zresztą, polscy badacze z NASK potwierdzili to, o czym już w 2014 roku pisali Joseph E. Uscinski i Joseph M. Parent. W swojej książce „American Conspiracy Theories” wskazywali, że zwolenników teorii spiskowych można znaleźć wśród osób w każdym w wieku, o różnej płci, narodowości, zamieszłości, przekonaniach politycznych, stopniu wykształcenia i statusie zawodowym. Skłonne do przyjmowania teorii spiskowych są, zdaniem autorów książki, zarówno osoby o poglą-

MUSIMY MIEĆ TEŻ ŚWIADOMOŚĆ, ŻE DEZINFORMACJA CZĘSTO JEST CELOWA. KTOŚ BARDZO CHCE, ABYŚMY UWIERZYLI W MIĘDZYNARODOWY SPISEK

dach lewicowych, jak i prawicowych. Osoby o poglądach lewicowych wierzą bardziej w to, że media i partie polityczne są sterowane przez bogatych kapitalistów i korporacje, zaś konserwatyści, że wspomniane podmioty są kontrolowane przez naukowców i lewicę.

Badania z 2022 roku, o których można przeczytać na portalu ScienceDirect, wskazują, że ryzyko przyjmowania narracji spiskowych wynika z wiary w pseudonaukę i z nieco bardziej złożonych przyczyn psychologicznych, w tym z myśli paranoidalnych, z narcyzmu, ze schizotypii czy z niskich zdolności poznawczych.

Z kolei z badań opublikowanych w 2019 roku na łamach „Frontiers” dowiadujemy się, że na konspiracyjny styl myślenia są narażone osoby, które czują się wyobcowane spośród reszty społeczeństwa, są niezadowolone lub niezadowolone ze swojej sytuacji życiowej oraz nie czują kontroli nad swoim życiem.

Badacze myślenia spiskowego zgodni są co do jednego: teorie spiskowe pozwalają na łatwe wyjaśnienie nieprzyjemnych zdarzeń, takich jak kryzysy, wojny, epidemie właśnie i na swój sposób zapewniają nam poczucie bezpieczeństwa.

Celowa dezinformacja

Skoro przy kryzysach zbrojnych jesteśmy, wybuch wojny w Ukrainie też był swojego rodzaju przełomem, bo część osób, która wierzyła w pandemię koronawirusa, teraz zaczęła mieć wątpliwości. Przecież nagle o COVID-19 ucichło. To jak to tak? Była pandemia i nagle jej nie ma?

Atak Rosji na Ukrainę, a tak naprawdę już wcześniej pandemia, uświadomiły nam jednak bardzo istotny szczegół: szerzenie teorii spiskowych, dezinformacja mogą być celowe. To bardzo skuteczna broń, w której lubują się choćby Rosjanie.

Już w czasie pandemii rosyjskie, prokremlowskie media prowadziły kampanię dezinformacyjną, która miała na celu zastrzeżenie kryzysu w krajach UE. Propaganda skierowana była głównie do krajów europejskich, takich jak Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania przez oddziały mediów rosyjskich nadające w tych językach. Chodziło o zasianie strachu przed epidemią, niewiary w możliwość skutecznego jej zwalczania przez służbę zdro-

wia, a w dłuższej perspektywie o wywołanie i utrzymywanie niepokojów społecznych, a nawet paniki w krajach Unii. Zdaniem dyplomatycznej służby UE była to próba destabilizacji krajów unijnych od wewnątrz.

Jak pisał „Financial Times”, UE odnotowała prawie 80 przypadków dotyczących dezinformacji związanej z COVID-19. I wszystko wskazywało, że jej rozsiewaniem w mediach społecznościowych zajmowali się zawodowcy. Rosyjskie fałszywe konta indywidualnych osób oraz konta podmiotów rosyjskich, które wcześniej publikowały fałszywe informacje na temat protestów w Syrii czy protestów „żółtych kamizelek” we Francji, zmieniły się w „narzędzia do rozsyłania dezinformacji na temat koronawirusa w języku angielskim, hiszpańskim, włoskim, niemieckim i francuskim”.

Jakie główne narracje pojawiają się w rosyjskiej propagandzie? Według raportu, cytowanego przez „Financial Times”, były to pogłoski, jakoby wirus COVID-19 został wytworzony w laboratoriach przez człowieka jako rodzaj broni biologicznej. Inna narracja - skierowana do Włochów - mówiła o tym, że ani włoskie, ani międzynarodowe władze nie będą sobie w stanie poradzić z pandemią. Pojawiła się również narracja, jakoby kapitalistyczny Zachód miał próbować zarabiać na wirusie.

Także sama wojna w Ukrainie stała się paliwem dla teorii spiskowych, które są często elementem zorganizowanej dezinformacji. Jedną z najbardziej absurdalnych teorii głosi, że konflikt u naszych wschodnich sąsiadów jest mistyfikacją stworzoną przez globalne elity. Według tej narracji ofiary i rannych udają opłaceni „aktorzy kryzysowi”, nagrania zniszczeń to w rzeczywistości sceny z filmów, gier komputerowych lub stare materiały z innych konfliktów, a celem „wymaginowanej wojny” ma być zastraszenie społeczeństwa i wprowadzenie nad nim totalitarnej kontroli.

Kolejna, promowana przez oficjalne rosyjskie źródła, teoria spiskowa zakłada, że USA finansują w Ukrainie tajne laboratoria pracujące nad bronią biologiczną wymierzoną w Słowian. Wirusy mają być roznoszone przez migrujące ptaki lub nietoperze.

Część „spiskowców” łączy wojnę z planami globalnych elit. Według nich wojna ma być narzędziem do wywołania kryzysu żywnościowego i energetycznego, co pozwoli na wprowadzenie wielkiego resetu gospodarki. Konflikt służy odwróceniu uwagi od rzekomych skutków szczepień przeciw COVID-19.

W Polsce i innych krajach europejskich popularne są teorie mówiące o rzekomych „przywilejach”, które czynią Ukraińców uciekających przed wojną obywatelami pierwszej kategorii kosztem lokalnych mieszkańców. W mediach społecznościowych popularna jest też teoria „ukrainizacji” Polski, sugerująca planowe przesiedlenie mające na celu zmianę struktury narodowościowej kraju.

Ale umówmy się - teorie spiskowe są świetnym narzędziem w rękach obcych wywiadów.

- W czasach kryzysu wywiad działa na zwiększonych obrotach. A w czasach tak wielkiego kryzysu i takich wydarzeń, jakich jesteśmy właśnie świadkami, działa na najwyższych obrotach. To jest czas, kiedy służby wywiadowcze, ośrodki analityczne współpracujące z wywiadami są rozgrzane do czerwoności. Można pokusić się o taką opinię, że nawet jeśli czasami nie pracują na wysokich obrotach, to po to właśnie są utrzymywane przez państwo, bo kiedyś może nadejść taka właśnie sytuacja, z jaką teraz mamy do czynienia - mówi nam Vincent V. Severi, były oficer wywiadu, pisarz.

Czytać ze zrozumieniem

Żyjemy w bardzo trudnych czasach i trochę nieprzewidywalnej rzeczywistości: pandemia, potem wojna, która wciąż trwa, zmiany geopolityczne, które dzieją się na naszych oczach. Do tego rozwój sztucznej inteligencji, bo on też ma znacznie. Każdego dnia jesteśmy bombardowani setkami informacji płynącymi do nas z internetu, telewizji, z ulicy. Ciężko się w tym wszystkim odnaleźć, poczuć bezpiecznie. A musimy mieć też świadomość, że dezinformacja często jest celowa. Ktoś bardzo chce, abyśmy uwierzyli w międzynarodowy spisek elit, w to, że pandemii nie było tak jak teraz nie ma wojny w Ukrainie.

Jak się w tym wszystkim odnaleźć? Jak nie poddawać się manipulacji? Nie być pionkiem w czyjejś wyrachowanej grze? Czytać ze zrozumieniem, korzystać ze sprawdzonych źródeł informacji, potwierdzać je, myśleć racjonalnie, analizować i łączyć fakty, nie dawać się ponieść emocjom, nawet wtedy, kiedy tragiczna śmierć młodego polityka, a przy tym dobrego człowieka, wydaje nam się okrutna i pozbawiona sensu. Taka jest.

AMERYKAŃSCY MIŁOŚNICY TEORII SPISKOWYCH UWAŻALI, ŻE EPIDEMIA KORONAWIRUSA NIEPRZYPADKOWO ZBIEGŁA SIĘ Z PROCESEM IMPEACHMENTOWYM TRUMPA

KOŃ SAM WYMIERZYŁ SPRAWIEDLIWOŚĆ. LUDZIE TYLKO PATRZYLI

Cała Polska mówi o weekendowym „incydencie”, do którego doszło na targach końskich w Pajęcznie w województwie łódzkim. Pijany mężczyzna krzywdził najpierw jednego, potem kolejnego konia i w końcu dostał od zwierzęcia potężnego kopniaka w głowę. Padł nieprzytomny. Burmistrz Pajęczna odciął się od zdarzenia i po dwóch dniach zawiadomił policję. Zaangażował się nawet wiceminister rolnictwa. Tak zwany incydent przykrył całą resztę. A na tej imprezie zwierzęta są krzywdzone od lat.

Marcin Stadnicki

Pierwszy artykuł o losie koni z targów w Pajęcznie pisałem już dekadę temu i dotąd nic się nie zmieniło. Targi i to, co się tam dzieje, nikogo jednak zbyt nie interesowały.

Pajęczno to niewielkie powiatowe miasto na południowych rubieżach województwa łódzkiego, liczące niespełna 7 tysięcy mieszkańców.

Co innego targi końskie w Pajęcznie. To wielka impreza, która ma promować miasto i na którą zjeżdżają tysiące ludzi. I trudno się dziwić – jest dobrze reklamowana, a któż by nie chciał pokazać dzieciom pięknych koników?

Pajęczańskie targi są obok tych organizowanych w Skaryszewie pod Radomiem jednymi z największych w Polsce. To miejsce, gdzie przyjeżdżają hodowcy z całej Polski, a także z zagranicy. Tu można handlować końmi zarówno roboczymi, jak i hodowlanymi. Część zwierząt, jak alarmują od lat organizacje prozwierzęce, trafia także do rzeźni.

Burmistrz stawia na konie

Pajęczno to miasteczko, które z targów słynie. To część pajęczańskiej tradycji, a w ostatnich latach spiritus movens targów był burmistrz Pajęczna Dariusz Tokarski, który sam także jest hodowcą. Jeszcze do niedawna imprezę organizował Urząd Miejski w Pajęcznie. Sytuacja zmieniła się w 2019 roku, po tym, jak wybory burmistrza wygrał Piotr Mielczarek. Ówczesny wóldarz przyznawał, że „konie to nie jego bajka”, ale jednocześnie podkreślał, że nie jest przeciwnikiem samej imprezy. Od tego czasu organizacją targów zajmowała się prywatna firma, a Dariusz Tokarski wspierał organizację wydatkami.



FOT. FUNDACJA TARA



FOT. KADR Z NAGRAŃ I NERETOWEGO/PIOTR BORS



FOT. FUNDACJA TARA

Końskie targi w Pajęcznie. Na zdjęciu z prawej strony u góry na ziemi leży kuc przywiązany do ciężarówki. W tej sprawie interwencję podjął Piotr Bors, wiceprzewodniczący Sejmiku Województwa Łódzkiego

Handel końmi i dodatkowe towarzyszące targom atrakcje to jednak tylko jedna strona medalu. Organizacje prozwierzęce od lat interweniują w Pajęcznie, ujawniając przykłady krzywdzenia zwierząt, a nawet domagając się zakazu handlu końmi na targowiskach. Na takich imprezach, niestety, często zwierząt dzieje się krzywda.

Są bite, nawet okładane batem, czasem ktoś zapomni dać im pić. Są przywiązane do metalowych konstrukcji tak, że mają ograniczone ruchy. A czasem zdarzy się i ktoś, kto takiego konia kopnie, uderzy czy szarpnie za ogon.

Przykład mieliśmy w miniony weekend i dzięki temu, że wybryki pijanego dorożkarza zostały zarejestrowane na filmie, o Pajęcznie zrobiło się głośno w całej Polsce.

O ciemnej stronie targów pierwszy raz pisałem już 10 lat temu i dotąd nic albo niewiele się zmieniło. Trzeba było nagrania, na którym pijanemu mężczyźnie koń sam wymierza sprawiedliwość, żeby znów głośno wybrzmiał temat traktowania zwierząt na takich imprezach.

Najniższy wymiar kary od napastowanego zwierzęcia

Co się właściwie stało w sobotę 9 maja, podczas targów końskich w Pajęcznie? Uczestnik imprezy zarejestrował sytuację, do jakiej nigdy nie powinno tam dojść. Pijany mężczyzna szarpał konia za ogon, bił zwierzę i owijał się jego ogonem. Koń okazał się mądrzejszy i bardziej opanowany od człowieka. Cierpliwie znosił ataki pijanego, więc ten znalazł sobie kolejną ofiarę – kolejnego konia. Podszedł do zwierzęcia, kopnął je, a potem szarpał za ogon. Drugi koń zareagował już inaczej i zakończył udział pijanego agresora w imprezie kopnięciem go w głowę, a ten bez przytomności padł na ziemię.

Poczytajcie komentarze w internecie - nikt mu nie współczuje, choć był krok od śmierci. Przeżył, opuścił szpital, do którego trafił po zdarzeniu. Sprawę nagłośnił radny Rady Gminy w pobliskich Siemkowicach Piotr Dura, publikując nagranie w mediach społecznościowych.

Wszyscy mądrzy po fakcie

Itak oto o targach zrobiło się głośno. Głos zabrał burmistrz Dariusz Tokarski.

- Zarówno my, jako samorząd, jak i organizator, jak i wszyscy normalni hodowcy odcinamy się od bestialskiego, nieodpowiedzialnego, głupiego zachowania, które miało wczoraj miejsce. Ale ten incydent nie może świadczyć o wszystkich - mówił dzień po zdarzeniu Tokarski i zapowiedział, że podejmie stosowne kroki.

Od kąd pamiętam, burmistrz Tokarski wszelkie kontrowersje wokół targów próbuje obró-

cić w „incydenty”. Przecież nad wszystkimi nie da się zapanować, zawsze trafia się czarne owce. I w zasadzie niby to logiczne, tyle że tych „incydentów” jest wiele.

Targi końskie to nie jest do końca radosna impreza, gdzie ludzie oglądają koniki. Tam są zwierzęta, które trafiają do rzeźni. Tam ludzie batożą konie, a te starsze czy schorowane wprost nazywają „trupami”. To nie są miłośnicy koni (i mam tu na myśli tych, którzy zwierzęta krzywdzą, nie ogół). Skąd to wiem? Sam uważam się za miłośnika zwierząt, ale głównie psów. I gdybym miał starego, schorowanego psa, to bym go leczył, zapewniał mu jak najlepsze warunki, a nie brał na targi, pakował do kontenerów i wysyłał do przerobienia na kielbaski, bo - jak usłyszałem przed laty - „a co innego zrobić z takim trupem?”.

Sam byłem świadkiem niewłaściwego traktowania zwierząt na koniskich targach i dlatego omijam tę imprezę szeroko-

kim łukiem. Nie chcę tego oglądać, wystarczy, że robią to fundacje.

Po tym, jak nagranie z pijanym mężczyzną, który jak się okazało miał w organizmie 3 promile alkoholu, obiegło cały kraj, Dariusz Tokarski pochwalił się, że zgłosił sprawę na policję. Tak też się stało i funkcjonariusze prowadzą w czynności.

Sprawy w swoje ręce wziął też wiceminister rolnictwa Adam Nowak. Poinformował, że powiatowy lekarz weterynarii w Wieluniu Grzegorz Łuczak zgłosił zawiadomienie do prokuratury. Inna sprawa, że Nowak w lokalnych mediach chwali organizację koniskich imprez w Pajęcznie. Zupełnie inaczej widzą to jednak fundacje, które monitorują to, co dzieje się na tej imprezie.

W tym roku była to fundacja TARA, której przedstawicielki były na miejscu od samego rana. Incydent z pijanym mężczyzną szarpającym i bijącym konie nie był jedynym, jaki zarejestrowały. Prezeska fundacji

Scarlett Szyłogalis opowiada między innymi o zaniedbanej oślicy, braku odpowiedniego nadzoru ze strony służb czy biciu koni. Problemem jest też, jak podkreśla, nadużywanie alkoholu w trakcie imprezy.

Nagrał, ale nie zgłosił. Burmistrz krytykuje autora filmu

Swoje zawiadomienia zgłoszyli równo burmistrz, jak i powiatowy lekarz weterynarii. Dyskusja w internecie jednak nie ucichła. Burmistrz Tokarski zamieścił w mediach społecznościowych treść zawiadomienia, jakie zgłosił w związku z zachowaniem pijanego mężczyzny widocznego na nagraniu. W komentarzach jednak krytykował autora nagrania, od którego wszystko się zaczęło. Tokarski kilkakrotnie podkreślał, że autor jedynie nagrywał. A zapomniał zgłosić sprawy odpowiednim służbom. Tyle że właśnie to nagranie spowodowało, że o sprawie naprawdę zrobiło się głośno.

Zawiadomienia, jakie zgłosił burmistrz i lekarz weterynarii nie są jedynymi. Kolejne zgłosił wiceprzewodniczący Sejmiku Województwa Łódzkiego Piotr Bors.

- Niestety, to nie wszystkie akty zwyczajności wobec zwierząt, do jakich doszło podczas targów w Pajęcznie - mówi Piotr Bors. - Dostałem jeszcze jeden film, na którym widać przywiązanego do samochodu krótką linką kuca, którzy leży na ziemi skrajnie wycieńczony. Widać numer rejestracyjny, o sprawie została poinformowana policja, niestety właściciel samochodu powiedział policjantom, że to nie jego kuc i na tym mundurowi zakończyli śledztwo. Tymczasem, jak ustaliłem, kuc był wcześniej bity, skatowany upadł na ziemię i tam leżał dogorywając - relacjonuje.

Wiceprzewodniczący sejmiku i znany obrońca zwierząt podkreśla, że ma zastrzeżenia zarówno do organizatorów targów, jak i do powiatowego le-

karza weterynarii, który powinien zarówno nadzorować imprezę, jak i dbać o dobrostan zwierząt.

- Tymczasem konie nie miały dostępu do wody, były maltretowane, nikt nie reagował. Gdyby nie filmy nagrane przez uczestników targów i umieszczone w internecie, sprawa prawdopodobnie nie ujrzałaby światła dziennego. Dlatego skierowałem zawiadomienie do Prokuratury Regionalnej w Łodzi w sprawie osób, które znęcały się nad zwierzętami, organizatorów targów oraz właśnie powiatowego lekarza weterynarii w Pajęcznie - poinformował Piotr Bors.

Teraz wszystko w rękach organów ścigania. Pozostaje mieć nadzieję, że winni znęcania się nad zwierzętami zostaną ukarani, a na przyszłość organizatorzy targów, jeśli już muszą się one odbywać, dołożą wszelkich starań, by takich przypadków było jak najmniej.

Współpraca Jacek Zemła

CZAS ZAKOŃCZYĆ TĄ HANIEBNĄ TRADYCJĘ KOŃSKICH TARGÓW

Rozmowa ze Scarlett Szyłogalis, prezeską Fundacji Tara

Marcin Stadnicki

O targach koniskich w Pajęcznie zrobiło się głośno ze względu na incydent z pijanym dorożkarzem bijącym i ciągnącym konie za ogon. Jako incydent właśnie przedstawiają tę sytuację organizatorzy targów. Pani, jako osoba, która na takich targach bywa od lat, uważa, że to rzeczywiście incydent, czy norma na takich imprezach?

To jest norma. Na każdym targu już od początku, w nocy handlarze, hodowcy, nawet odwiedzający ten targ, wszyscy piją alkohol. Niejednokrotnie na tego typu targach rejestrowałam, że wszędzie walają się puste butelki po wódce i po innych alkoholach. To jest nagminne i jest to wina organizatorów targów. Przede wszystkim policja powinna tam być i wystawiać mandaty. Przy płochliwych, dużych zwierzętach płaczą się ludzie, których po prostu aż zawiewa na lewo i prawo, ledwo chodzą, albo prowadzeni są przez dwóch kumpli, co często pokazywałam. Pokazywałam też, jak leżą już pod koniec targu na trapię, po którym wprowadza się do jakiegoś wozu konia.

Wiceminister rolnictwa Adam Nowak w mediach lokalnych wypowiadał się na temat organizacji targów, którą ocenił pozytywnie. Jak twierdzi służby weterynaryjne i inne spisuja

się coraz lepiej. Czy pani ma podobne odczucia?

Jeśli chodzi o Pajęczno, to zapraszamy pana ministra incognito i niech zobaczy. Wiem, że we wrześniu, kiedy będzie kolejny targ w Pajęcznie, organizatorzy postarają się stanąć na baczność. Co z tego, że na ostatnich targach byli lekarze z powiatowej inspekcji weterynarii, jak siedzieli sobie w kantorku, który bezpośrednio był połączony z toaletami. Siedzieli tam, aż jasno się zrobiło. Na zewnątrz wyszli o godzinie 6.30. Policjanci ponoć też byli. Ja ich nie widziałam. Mundurowi mają być widoczni, nie chować się po krzakach. Na taką imprezę przyjeżdżają nie tylko handlujący i hodowcy. Przyjeżdżają też złodzieje, którzy wiedzą, że tam są osoby z dużymi pieniędzmi potrzebnymi na przykład na zakup koni.

Odniosłem wrażenie, że afera z krakowskim dorożkarzem, który na szczęście już został pozbawiony tej funkcji, troszeczkę przykrywa to, co dzieje się rzeczywiście na targach. Czy zarejestrowała Pani na ostatniej edycji targów inne nieprawidłowości, czy przypadki znęcania się nad zwierzętami?

Znęcanie się jest cały czas. Wyjdźmy od tego, że wiele osób chodzi pijanych lub podpiitych. Teraz też chodziło wielu mężczyzn z batami, czy kijami. I to jest norma. Często ci podpici ludzie chcą pokazać



Scarlett Szyłogalis od lat monitoruje targi koniskie w różnych regionach Polski

jacy są tu ważni i wielcy. Konie są często związane, przywiązane jeden obok drugiego, boją się, gryzą się nawet wzajemnie, czy kopią. Dochodzi do sytuacji, że stoi ogier obok kobyły ze źrebakiem, a ona będzie młodego bronić. Są też ogierki jeden przy drugim. One nie wiedzą, co się dzieje, a tu idzie sobie facet z batem czy kijem i tak od niechcenia tego walnie w zad, a tamtego w głowę. Właściciele tych koni często nie reagują. A powinni chociaż podejść i powiedzieć: „Co robisz, durniu, to jest zwierzę czujące, moje zwierzę”. Nie ma czegoś takiego.

Kolejna rzecz, to wymogi unijne, które nakazują dotrzymać odpowiednich warunków targowiska. Targowisko musi być oświetlone, w tym przypadku było w połowie. Kolejna sprawa - przeciągnęli jakieś ta-

śmy budowlane, cieniutkie, które nie są żadnym ogrodzeniem dla koni, żeby tylko jak najwięcej wjechało tych wozów z końmi. Tam już teren był nieoświetlony. Po ciemku trwały wyładunki zwierząt, w nocy, na terenie ogrodzonym tasemką, więc to mamy nieprawidłowości. Teren tam nie wszędzie był utwardzony, cały teren nie ma ani jednej wiaty. Dla koni wiaty są wymagane, chronią przed warunkami atmosferycznymi. Lekarze weterynarii muszą być już przy pierwszym wyładunku koni, bo przy pierwszym wyładunku może zdarzyć się tragedia.

Niejednokrotnie te konie wyskakują, łamią coś, wyrrywają się, mogą pobiec w tłum, może się coś zdarzyć. Kolejna rzecz - zaświadczenie od lekarza weterynarii jest wymagane, że te konie będą przemieszczane i że są

wolne od chorób zakaźnych. Tego nie było.

Czy Pajęczno jest jakimś wyjątkiem w skali kraju, czy po prostu tak jest na tego typu targach?

Jest XXI wiek, a my, Polacy, trzymamy się kurczowo pewnych tradycji. Tradycją na targach jest na przykład przybijanie. Jak sprzedadzą jakiegoś konia, przypluwają na rękę i przyklepują te ręce. W tym momencie wódeczka leci. I znowu przypluwanie i przybijanie. Wszyscy to widzą, to jest tradycja.

Sam burmistrz Tokarski podkreślał, że to jest tradycja. Jest hodowcą koni. Pytanie natomiast czy to, że jakieś wydarzenia były organizowane przed laty znaczy, że mają być organizowane również obecnie?

We Wrocławiu na rynku dalej stoi pręgierz. Używajmy go. Tradycja to tradycja, prawda?

Czy pani zdaniem da się w ogóle zapanować nad taką imprezą?

Da się i powiem to na przykładzie Skaryszewa, gdzie latami walczyłam, bo tam było jeszcze gorzej niż w Pajęcznie. Wysłałam właśnie od strony nakazów unijnych. Wysyłałam pisma również do ministra rolnictwa, do wszystkich. W końcu gmina musiała wyasygnować potężne pieniądze, żeby postawić wiaty, ogrodzić i oświetlić teren.

To jest impreza masowa i powinna tam być straż pożarna. W każdej chwili może coś się wydarzyć. Po to są tam służby. Nie po to, żeby się plątać. W Pajęcznie chodzili panowie na czarno odziani, którzy zakazywali nagrywania i rejestrowania tego, co się dzieje. Oni powinni mieć zgromadzonych trochę pojemników na wodę, powiedzieć „proszę napić konie”. Zadbajmy o dobrostan tych zwierząt na targowiskach. Powinien być zakaz picia alkoholu. Tam przecież są całe rodziny, z małymi dziećmi, te dzieci po ciemku chodziły same. A koń jest zwierzęciem płochliwym. Konie zaufały dumemu człowiekowi już tysiące lat temu. Szkoda, że nie mają w sobie trochę wilczej natury.

Państwa obecność na targach to nie tylko rejestrowanie tego, co się tam dzieje, to także ratowanie zwierząt. Poruszające były między innymi wpisy i zdjęcia o oślicy, którą przywieźliście z targów w Pajęcznie.

Ponoć jest to czteroletnia oślica, ale jest w takim stanie jak trzydziestoletni osioł. Zrobiłam zdjęcia i wysłałam szybko do Ewy Zgrabczyńskiej, że jest takie biedne zwierzę. Ona powiedziała: „Oczywiście, kupię”. Wcale nie za małe pieniądze, bo za 2800 zł. Małeństwo, chude, ledwo żywe, do leczenia. Takich przykładów jest więcej. Czas zakończyć tę haniebną tradycję koniskich targów.

EDYTA KRZEŚNIAK: SPRAWA ANDRZEJA SAMSONA NICZEGO NAS NIE NAUCZYŁA

– Nie może być tak, że staje się po stronie kata, a zostawia się ofiary. Że wszyscy udają, że nic się nie stało. Że się o tym nie rozmawia – mówi dziennikarka Edyta Krześniak, autorka książki „Psycholog”, która po ponad 20 latach wróciła do sprawy Andrzeja Samsona

Anita Czupełny

Napisałaś książkę „Psycholog”, o głośnej sprawie Andrzeja Samsona. Dlaczego? Z reporterskiej potrzeby, osobistej niezgody, poczucia, że ta historia tak naprawdę nigdy nie została domknięta?

To była sprawa, która jak echo wracała do mnie przez wszystkie te lata. W różnych momentach, przy okazji innych tematów, innych rozmów. Zdarzało się, że ktoś wspominał sprawę Andrzeja Samsona i mówił: „No tak, ale przecież on leczył dzieci chore na autyzm”, „On był niewinny”, „Proces się toczył, ale nie było wyroku, bo umarł”. Takie zdania słyszałam wielokrotnie. Wracała też tamta konferencja prasowa, na której wiele osób ze środowiska psychologicznego stanęło w obronie Samsona. Dla części ludzi sam fakt, że autorytety się za nim ujęły, był dowodem, że musiał on być niewinny.

Znane osoby ze środowiska psychologicznego protestowały, że media piętnują Samsona i przesadzają o winie przed wyrokiem sądu. Dziś część uczestników tamtego apelu podkreśla, że nie bronili pedofilii, tylko zasad państwa prawa.

Tak. Tylko że przez lata funkcjonowało to także inaczej: skoro takie autorytety się za Samsonem ujęły, to znaczy, że na pewno był niewinny. Przecież nie został skazany. I to we mnie cały czas bukowało. Nie atakowałam ludzi, którzy tak mówili. Starałam się tłumaczyć, że to nie jest takie proste, że proces był, że sprawa wyglądała inaczej, niż zapamiętano. Ale tych rozmów przez lata było naprawdę dużo. Była też druga rzecz, która nie dawała mi spokoju. Przez dwadzieścia lat w zasadzie nie powstała skuteczna ustawa regulująca zawód psychologa. A przecież po tej sprawie wszyscy mówili, że taka ustawa będzie lada dzień. Że bezpieczeństwo dzieci jest

kluczowe. Że pojawią się zabezpieczenia, lustra weneckie, procedury, że dziecko nie będzie zostawiane samo z psychologiem, a rodzic będzie mógł zobaczyć, co dzieje się podczas terapii.

Ponieważ do gabinetu Andrzeja Samsona rodzice prowadzali swoje dzieci i zostawiali je sam na sam z terapeutą.

Tak. I to był jego wymóg. Ale zobacz: dzisiaj, po ponad dwudziestu latach, jeżeli pójdziesz do psychologa czy psychoterapeuty, zamykają się drzwi i nadal dziecko zostaje w gabinecie samo, a o paragonie możesz pomarzyć. W tym sensie niewiele się zmieniło. Zaczęłam więc coraz częściej myśleć o tym, że minęło dwadzieścia lat i nic się nie zmieniło. A jednocześnie przez cały ten czas miałam kontakt z ludźmi, którzy uczestniczyli w procesie, z rodzinami ofiar. Któregoś dnia zapytałam jedną z matek, jak sobie dziś radzą. Było mi niezręcznie, ale uznałam, że muszę zapytać. I wtedy usłyszałam, że jest dużo gorzej niż przed 20 laty. Że zostało ogromne poczucie niesprawiedliwości. Że oni w zasadzie sobie z tą historią nie poradzili. Że rodzina jest w rozsypce, że są leki psychotropowe, stany depresyjne.

Mówisz o skrzywdzonych dzieciach, które dziś są już dorosłymi ludźmi?

Mówię o rodzicach. Oni sobie z tym nie poradzili, żyją w poczuciu winy „że to oni własne dziecko tam sami prowadzili”. A kiedy pytałam o dzieci, to też słyszałam, że jest bardzo źle. Że dziecko, już dorosłe, jest zamknięte, wycofane, nie chce rozmawiać. Zapytałam wtedy, czy oni rozmawiają o tym w rodzinie. I okazało się, że najpierw z tajemnicą żyły dzieci, a teraz ich rodzice. Że przez te lata np. jestem jedyną osobą, z którą w ogóle rozmawiali na ten temat. Proces się

skończył, a tajemnica została. Ukrywają, milczą i wszyscy cierpią w samotności. Próbowali sobie jakoś życie poukładać, ale rana każdego z nich jest bardzo głęboka. Nie do wyobrażenia. I wtedy uświadomiłam sobie coś bardzo ważnego. Skoro ja, osoba z zewnątrz, przez dwadzieścia lat przeżywałam tę historię, skoro ona wraca do mnie za każdym razem, kiedy słyszę o pedofilii, o krzywdzie dzieci, o niewłaściwym zachowaniu dorosłych wobec dziecka, to co muszą czuć ludzie, których ta sprawa dotyczy bezpośrednio?

Czyli impulsem do napisania książki było poczucie, że ofiary zostały same?

Z propozycją napisania książki przyszło do mnie wydawnictwo, ale miała to być książka na zupełnie inny temat. Odpowiedziałam, że jedyny temat, który mogę teraz podjąć, to właśnie ten. Temat, który miałam na półce. Który odłożyłam, bo przecież w Polsce „o zmarłych nie mówi się źle”. Ale oczy otworzyły mi te wszystkie rozmowy i sytuacje po drodze. Zrozumiałam, że nie można milczeć ze względu na kata, że nie można ofiar zostawiać samych i udawać, że nic się nie stało. Że się o tym nie rozmawia. Weszłam nawet z ciekawości na Wikipedię. Przeczytałam biogram Andrzeja Samsona i miałam wrażenie, że właściwie nic się nie wydarzyło. Że był jakiś epizod, ale on umarł niewinny, bo nie było prawomocnego wyroku. A kiedy podczas pracy nad książką rozmawiałam z mecenasem oskarżyciela posiłkowego i usłyszałam, że formalnie prawomocnego wyroku nie było, bo Samson zmarł, więc nie można powiedzieć, że był winny, to naprawdę mną wstrząsnęło. Pomyślałam: dość. Czas skończyć z obłudą i z powtarzaniem kłamstw, które przez cały proces były wrzucane

do obiegu. Po latach zobaczyłam tę sprawę jeszcze ostrzej. Byłam przy niej na bieżąco, ale wtedy nie widziałam wszystkiego tak wyraźnie jak dziś.

Jesteś chyba jedyną z dziennikarzy, która po prostu wróciła do źródła, czyli wystąpiła o zgodę na przeczytanie akt sądowych.

Tak, chociaż byłam przy tej sprawie właściwie od początku. Rozmawiałam z Samsonem w areszcie. Rozmawiałam z rodzicami skrzywdzonych dzieci. A jednak nie potrafię dziś odpowiedzieć na pytanie, dlaczego tak długo zwlekałam z napisaniem do sądu wniosku o wgląd do akt.

Może wcześniej sąd i tak by tych akt nie udostępnił. Proces toczył się za zamkniętymi drzwiami.

Może. Nie wiem. Ten tydzień, w którym czytałam akta sądowe, był czasem wyjętym z mojego życia. Po jednej z wizyt w sądzie, nie wiem kiedy pokonałam ponad 20 km pieszo i znalazłam się w domu. Byłam w strasznym stanie emocjonalnym. Uderzyło mnie coś jeszcze - wspomnienie. Zaczęłam sobie przypominać zadawane przeze mnie pytanie sprzed lat: „Co było na zdjęciach?”. Pomyślałam: Boże, jakie to było infantylne. Jak mogłam o to dopytywać?

Wtedy nie wiedzieliśmy, co było na tych zdjęciach. Ja też, czytając twoją książkę, miałam poczucie ciężaru. Opisy zdjęć są trudne do udźwignięcia. W ogóle ta szczegółowość materiału dowodowego, jaką zawarłaś w książce, jest wstrząsająca.

Wiesz, dlaczego ja to zrobiłam? Żeby nie zostawić żadnej przestrzeni na niedopowiedzenie. To i tak jest zminimalizowane. W książce znalazł się tylko wy-cinek tego, co zobaczyłam w aktach. Dużo wycięłam, bo nie chciałam tym epatować.

Ale miałam świadomość, że czytelnik musi poczuć wagę dowodów, które były w tej sprawie. Nie mogę się pogodzić z jednym: że ten proces trwał tak długo w sytuacji, kiedy materiał dowodowy był tak mocny. Dla mnie to było czarno na białym.

Na zdjęciach krzywdzonych dzieci nie było twarzy Samsona, ale, jak pisziesz o tym w książce, były elementy pozwalające zidentyfikować, że to on wykonywał te zdjęcia, uczestniczył w tych sytuacjach: jego ręka, obrączka, znamię. Tak. Ręka, znamię. Biegli to wszystko stwierdzali. Ale wyobraź sobie, czytam akta i widzę, że mam do czynienia z hardcorową pornografią dziecięcą, a jednocześnie sąd zleca biegłym ocenę, czy można to kwalifikować jako pornografię, czy może jako coś innego. Jako co, na Boga? Jako sztukę?!

W książce pokazujesz to, jak wiele czasu zajmowały kwestie pozornie techniczne: definicje, opinie, kolejne wnioski. I to, że obrońca Samsona przesunął ciężar rozmowy z krzywdy dzieci na spory o to, czym jest pornografia, czym jest materiał dowodowy, jak go zakwalifikować. Wygląda na to, że to była skuteczna strategia?

Tak, tylko że najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że on wcale nie wykazał się jakąś wyjątkową wirtuozerią. To nie była genialna linia obrony. On składał wnioski, podważał, pytał, domagał się kolejnych opinii. A sąd te wszystkie rzeczy sprawdzał.

Po lekturze książki miałam wrażenie, że ta sprawa ma dwie części. Pierwsza jest porażająca jasna: jest materiał dowodowy, są skrzywdzone dzieci, Samson się przyznał. A potem zaczyna się druga część: kłuczenie, rozmywanie sensu,

szukanie alternatywnych wyjaśnień. Pojawia się opowieść, że psycholog prowadził badania nad dziećmi autystycznymi, że gromadził materiały do książki. Kiedy zna się materiał z pierwszej części książki, to ta druga brzmi tak niewiarygodnie, a jednocześnie jest przerażająca.

No właśnie. Najbardziej uderzające jest to, że sąd w to wchodzi.

Dlaczego? Jak dziś na to patrzysz?

W moim odczuciu po to, żeby ta sprawa się ciągnęła. Samson wyszedł na wolność po odbyciu połowy kary. Materiał był jednoznaczny i jedyne, co można było zrobić, to przeciągać proces i tu to zostało zrobione.

Ostatecznie opuścił więzienie ze względów zdrowotnych.

Tak. Natomiast są jeszcze wątki internetowe, które właściwie w drodze procesu zniknęły. Ja myślę, że ta sprawa trwała tak długo również dlatego, że pewne rzeczy trzeba było poucinać. Są tam sytuacje, które mnie bardzo zastanawiają. Na przykład prokurator prowadzący sprawę, który został od niej odsunięty. Potem gdzieś ginie wątek maili, przesyłania zdjęć. Pojawia się tylko śladowo.

Z książki wynika, że Samson nie tylko krzywdził swoich małych pacjentów, i robił im zdjęcia, ale je też wysyłał. Pojawia się wątek obrotu tymi materiałami. Czy wiadomo, dokąd te zdjęcia trafiały? Czy wiadomo, czy i za ile były sprzedawane?

Tego wątku w aktach sądowych właściwie nie ma. Ja o nim wiedziałam już dwadzieścia lat temu, bo docierały do mnie informacje z za zamkniętych drzwi procesu. Wiedziałam na przykład, ile maili miało zostać wysłanych. Nie mogłam wtedy jednak do-trzeć do biegłego informatyka.



FOT. MATPRAS

Edyta Krześniak: W książce znalazł się tylko wycinek tego, co zobaczyłam w aktach. Dużo wycięłam, bo nie chciałam tym epatować

A chcę powiedzieć jedną rzecz: w tej sprawie przesłuchiowano najróżniejszych biegłych: seksuologów, psychologów, kolejnych specjalistów. Każdego, oprócz biegłego informatyka. A to on miał największą wiedzę o tym, co znajdowało się na zabezpieczonych nośnikach. To on przez miesiące przeglądał dyski, łamał hasła, odyskiwał materiały. To on znalazł tam najcięższe treści, twardą pornografię dziecięcą, sceny gwałtu na dzieciach, o których podczas procesu właściwie się nie mówiło. Spotkanie z tym biegłym po latach było dla mnie wstrząsem. Kiedy mnie zobaczył, kiedy powiedziałam, w jakiej sprawie przyszłam, jakby piorun w niego strzelił. Mówił bardzo ostro. O tym, kim był Samson. O tym, co, jego zdaniem, zrobiono z tą sprawą. Używał najmocniejszych słów. Mówił o mafii, że sprawę ukrywano łeb. Dla mnie był bardzo wiarygodny. Po dwudziestu latach opowiadał ze szczegółami o zdjęciach, które widział.

To paradoks: o linczu, o naruszenie dobrego imienia Samsona oskarżano media. A prawdziwa przemoc wydarzyła się w jego gabinecie. Dorosły, autorytet, krzywdził bezbronnych dzieci. Twoja książka oddaje głos tym, o których wtedy właściwie nie mówiono?

Nie mówiono o nich także dlatego, że rodziny miały poza-

mykane usta. Ludzie uczestniczący w procesie opowiadają, że nie wolno im było mówić. Każda rozprawa zaczynała się od przypomnienia: sprawa dotyczy się za zamkniętymi drzwiami, obowiązuje państwa tajemnica, milczenie, grożą kary i konsekwencje. Tylko że to milczenie obowiązywało przede wszystkim rodziny ofiar. Knebel był dla nich. Nie dla oskarżonego. Bo głos oskarżonego jednak wybrzmiał rok po zatrzymaniu w wywiadzie w „Gazecie Wyborczej”. Dla mnie to był zaskakujący wywiad. Nie było tam refleksji. Była raczej jego linia obrony. To mnie wtedy bardzo zastanowiło.

Rodzice zaufali autorytetowi, zostali oszukani, zmanipulowani, złamani. Ale jednocześnie, jak pokazujesz w książce, po latach część z nich mówi: „Nie rozdrapujmy ran”. Jak to rozumiesz?

Najpierw tajemnicę miały dzieci. Zanim sprawa ujrzała światło dzienne, zanim dzieci zaczęły być przesłuchiwane, zanim w ogóle mogły opowiedzieć o tym, co się wydarzyło, to one nosiły tę tajemnicę same. A potem przejęli ją dorośli. Rodzice. Oni bardzo często strzegli tego, co spotkało ich dziecko, także przed własną rodziną. Były matki, które nigdy nie zgodziły się na przesłuchanie dziecka. Bały się konfrontacji. Uważały, że tak będzie lepiej. Są matki, z którymi mam

kontakt, które do dziś mówią: „Mojemu dziecku w zasadzie nic nie zrobił”. A ja widziałam zdjęcia i wiem, że było inaczej. Mam też świadomość, że rodzice nie widzieli wszystkiego. Czasem po to, żeby ich oszczędzić. Łatwiej jest żyć, kiedy człowiek może sobie powiedzieć: „Właściwie nic się nie stało”. Pamiętam rozmowę z jedną z matek. Na początku była na mnie wściekła. Pytała, jakim prawem wracam do tej sprawy, jak śmien. A potem zeszło z niej powietrze. Obie płakałyśmy przez telefon. Rozmawiałyśmy jeszcze kilka razy. W końcu mi podziękowała. Ale prosiła też, żeby nie rozdrapywać ran. W tym sensie, żeby nie ruszać dzieci. Bo one jakoś się już z tą historią ułożyły. Nie powiem, że są zdrowe. Nie powiem, że się z tym pogodziły. Bo znam historie, które pokazują coś innego. Znam przypadki, gdzie osoba, przy której rodzina przez te wszystkie lata musiała czuć, że boi się spać z nożem pod poduszką. Bliscy wyciągali te noże, wyobrażasz sobie ten ich nieustanny lęk, bo trauma wracała. Są sytuacje, kiedy co jakiś czas trzeba było kogoś umieszczać w szpitalu psychiatrycznym, bo przychodziły ataki, załamania, napady. To są rzeczy, których ta książka nie zmieni i to są efekty terapii znanego psychologa Andrzeja Samsona.

Co dla ciebie po tych wszystkich latach jest w sprawie

Samsona najbardziej wstrząsające?

Najbardziej wstrząsająca jest dla mnie cała otoczka tej sprawy. To, że do tego doszło, jest osobną historią, okrutną, straszną. Ale równie przerażające jest to, co wydarzyło się później. Że rodziny przez kolejne lata, zamiast móc domknąć ten koszmar, byli utrzymywani w stanie ciągłego napięcia, podejrzeń, upokorzenia. Matkom potrafiło zarzucać, że są pazerne, że chodzi im o pieniądze, o majątek Samsona, a nie o krzywdę dziecka. Dla mnie jedną z najgorszych rzeczy jest właśnie to, że tej sprawy przez tak długi czas nie zamknięto. Samson zmarł. Ale to był moment, w którym, moim zdaniem, należało powiedzieć publicznie, jasno, nie za zamkniętymi drzwiami, że ta sprawa się kończy w taki sposób, że ten człowiek miał na koncie takie i takie czyny. Uważam też, że w imię elementarnej sprawiedliwości społecznej powinien on zostać wpisany do rejestru sprawców przestępstw seksualnych wobec dzieci.

Dla mnie ta sprawa pokazuje też, jak niebezpieczna może być legenda autorytetu. Ktoś występuje w telewizji, jest rozpoznawalny, mówi jako ekspert, więc zaczynamy wierzyć, że naprawdę nim jest. Tymczasem piszesz, że Samson potrafił pojawiać się

w mediach pod wpływem alkoholu, często bredził.

Przebrnęłam przez archiwa, oglądałam jego wystąpienia. I kiedy zobaczyłam, co on opowiadał o autyzmie, byłam zdumiona. Pamiętam materiał w TVP, w którym mówił o autyzmie w sposób prześmiewczy, z takim tonem: „Ojej, dzieci są krzywdzone, o matko święta”. Dziennikarz próbował go ripostować, a on próbował się wyłgać, brnąć coraz dalej, to był ten autorytet, człowiek będący pod wpływem alkoholu, mówiący w telewizji o autyzmie. A potem jego koledzy czynili z niego guru od autyzmu, specjalistę, który miał rzekomo sukcesy terapeutyczne. To mi się nie klei. Jeśli ktoś rzeczywiście jest wybitnym specjalistą od autyzmu, to publikuje, występuje na konferencjach, prowadzi badania, zostawia po sobie jakiś dorobek. A tutaj mamy człowieka, który w telewizji opowiadał o wszystkim. Był takim specjalistą od wszystkiego. I nagle środowisko robi z niego wielkiego eksperta. Stawiam też taką tezę: Samson być może nie broniłby się w ten sposób, gdyby nie atmosfera, która powstała wokół niego. Było mu potem głupio stanąć w opozycji do kolegów, którzy go bronili. Skoro oni tworzyli narrację o wybitnym specjalście, to on w nią wszedł.

Czy po ponad dwudziestu latach można w ogóle mówić o jakimkolwiek zadośćuczynieniu ofiarom? Czy twoja książka zamyka sprawę Samsona?

Nie. Moja książka nie zamyka sprawy Samsona. Tej sprawy nie da się zamknąć. Największą cenę zapłaciły rodziny. I właściwie tylko one. To one przypłaciły tę historię rozpadami związków, lekami psychotropowymi, szpitalami psychiatrycznymi, latami milczenia. O tym się nie mówi.

Jaka jest najważniejsza lekcja z tej sprawy? Czego nauczyli się dziennikarze, rodzice, psycholodzy, państwo? Czy w ogóle wyciągnęliśmy wnioski?

Chciałabym powiedzieć coś optymistycznego, ale nie mogę. Nie nauczyliśmy się niczego. Owszem, świadomość przemocy seksualnej wobec dzieci jest dziś większa. Ale zobacz, proszę, co się dzieje dzisiaj. W sieci słowo „pedofilia” stało się słowem zakazanym. Je się wypikowuje, omija. Zastępuje skrótami. Czy jeśli wypikamy słowo „pedofilia”, to znaczy, że pedofilii nie ma? Nie mogę się z tym pogodzić. Niedawno zostałam zaproszona do podcastu i poproszono mnie, żebym nie używała słów „pedofil”, „pedofilia”, bo będą cięte zasięgi. To naprawdę burzy we mnie krew. Tuż po sprawie Samsona była akcja „Zły

dotyk”, była edukacja, były wypowiedzi ustawy. Minęło ponad dwadzieścia lat. Na szczęście sprawa ustawy wreszcie drgnęła, ale nie ma dziś takiej kampanii, jaka powinna być. Za to w internecie pikamy słowo „pedofil”. Dlaczego? Chciałabym, żeby ktoś mi odpowiedział na to pytanie, dlaczego to słowo jest pikane? Dlaczego cięte są zasięgi? Nasze pokolenie wie, kim był Andrzej Samson. Ale spytaj o niego młodych ludzi. Nie będą wiedzieli. Jeśli wejdą do internetu, to nawet tam nie znajdą słowa „pedofil”, bo zastępuje się je jakimiś skrótami, na przykład „PDF”. Zastanawiam się, co właściwie robimy? O co chodzi w tym świecie?

Kto w tej sprawie najbardziej zawiódł twoim zdaniem: człowiek, który krzywdził dzieci, czy system zbudowany na ślepych zaufaniu do pseudoautorytetów?

I człowiek, i system. Bo jeśli wszyscy dookoła wiedzieli, że Samson pije, i nikt nic z tym nie robił, to znaczy, że problem był systemowy. Jeśli istnieje Polskie Towarzystwo Psychologiczne, które może zainteresować tylko wobec osoby, która należy do towarzystwa, a wobec kogoś spoza niego nie ma żadnych skutecznych narzędzi, to co to pokazuje? Że to jest atrapa kontroli, atrapa odpowiedzialności. Chwilami mam poczucie, że to jest atrapa państwa i atrapa relacji społecznych. Nie możemy udawać, że nie ma pedofilii, bo przestaniemy używać słowa „pedofilia”. To tak nie działa. Niedawno mieliśmy sprawę polskiego psychiatry. Wybuchła, po czym bardzo szybko przysłała. Usunięto go ze stanowiska i zaczęto udawać, że nic się nie wydarzyło. Poczekamy, aż przyschnie, pan wróci na swoje miejsce i będzie po sprawie. Tak nie powinno być.

Były momenty, kiedy chciałaś przerwać pisanie tej książki, bo czułaś, że nie dajesz rady? Takich momentów było kilka. Ale mam w sobie coś, nie wiem nawet, jak to nazwać, że kiedy chodzi o krzywdę dzieci, nikt nie jest w stanie mnie zatrzymać.

KSIAŻKA



Edyta Krześniak,
„Psycholog”,
Wydawnictwo Otwarte,
2026

PROF. KNIEĆ: NIE CHCIAŁBYM BYĆ NA MIEJSCU ROLNIKÓW

– Nie róbcie z nas wariatów! – mówili rolnicy, gdy naukowcy dostrzegli, że i ta grupa zawodowa zmaga się z problemami psychicznymi, emocjonalnymi. O tym rozmawiamy z dr. hab. Wojciechem Knieciem, prof. UMK w Toruniu

Lucyna Talaska-Klich

Chciałby Pan być rolnikiem? Bo wielu osobom wydaje się, że to taka spokojna, bezstresowa robota. Na łonie natury, gospodarz sam sobie szefem...

Nie wiem, czy chciałbym być rolnikiem, ale na pewno nie chciałbym być na miejscu gospodarzy. Bo rolnictwo to gigantyczne źródło stresu. Teraz gospodarze doświadczają problemów związanych z przymrozami czy suszą. Niektórzy zastanawiają się, czy np. zaorać rzepak, bo i tak z niego nie będzie godziwego plonu. A za chwilę mogą pojawić się ulewne deszcze, gradobicia. Jednak zmiany klimatu to niejedyny ich problemy – są jeszcze te związane m.in. z polityką rolną czy unijną.

Rolnicy twierdzą, że najbardziej brakuje im stabilizacji.

Brakuje im stabilizacji politycznej, ekonomicznej, klimatycznej i społecznej. Najbardziej się mówi o stabilizacji społecznej, a moim zdaniem to rzecz najważniejsza. Wiąże się ona z rodziną, z przyszłością, z tym, jak mnie postrzega świat (w tym moje otoczenie), czy moja praca ma sens.

Gospodarze wielokrotnie przeżywali trudne czasy. Żeby przetrwać kryzys, potrafili zacisnąć zęby, ale dziś mówią, że nie mają pewności, czy te lepsze czasy w ogóle nadejdą.

Tym razem rzeczywiście tych dobrych perspektyw raczej nie ma. Przypomnę tzw. przełom Balcerowiczowski w Polsce. Wtedy naprawdę było bardzo źle. Bo nie było wiadomo, co będzie z Polską, z systemem wsparcia dla rolnictwa, czy wejdziemy do Unii Europejskiej. W tych trudnych czasach spryt i zaradność ratowały rolnikom skórę. Potrafili zacisnąć zęby, by przetrwać. Natomiast dzisiaj obserwujemy kolejny przełom, który jest związany m.in. z sytuacją wokół Mercosuru (chodzi o umowę między Wspólnym Rynkiem Południa a Unią Europejską – przyp. red.), z sytuacją polityczną wokół rolnictwa. Zmienia się Wspólna Polityka Rolna i nie wiemy, co bę-



FOT. GRZEGORZ OLKOWSKI

Prof. Wojciech Knieć jest socjologiem wsi, kierownikiem Katedry Ekologii Społecznej w Instytucie Socjologii Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu

dzie dalej. Rolnicy sami sobie to pytanie zadają. No i klimat zwariował.

I z tych powodów gospodarze mówią, że brakuje im poczucia sprawczości. Mogą się natyrać, mogą się starać, a i tak nie wiadomo, czy na sprzedaży produktów rolnych zarobią. A może stracą? No i czy w ogóle ktoś ich towar kupi? Słowa „globalizacja” wręcz nienawidzą.

W wielu dziedzinach gospodarki nie jesteśmy pewni koniunktury. Ona jest zmienna, rynek jest kapryśny, konsument jest kapryśny, ale tutaj mamy do czynienia jeszcze z czymś innym. Przecież warsztat pracy rolnika też jest kapryśny, bo uzależniony od pogody. I na to wszystko rzeczywiście nakłada się niepewność związana ze sprzedażą. Pojawiają się pytania: Czy zwrócą mi się chłopaż koszty produkcji? Czy będę miał na spłatę kredytu? A wielu gospodarzy „jedzie” na kredytach, pożyczkach, żeby produkować w sposób nowoczesny, zgodny z wymogami ochrony środowiska.

Kiedyś gospodarstwo przejmował najczęściej ten syn, który nie chciał się dalej kształcić. Dziś ktoś taki raczej by sobie nie poradził.

Kiedyś dochodziło do negatywnej selekcji, gospodarstwami często kierowali ci najmniej wykształceni w rodzinie. A dziś zawód rolnika jest jednym z najbardziej wymagających. Gospodarz musi być człowiekiem wszechstronnym – także m.in. mechanikiem, elektrykiem, magazynierem, marketingowcem czy meteorologiem. To też jest dodatkowym źródłem stresu, bo rolnik musi się przez całe życie kształcić i podążać za wiedzą.

Ten gigantyczny stres zapewne odbija się na stanie zdrowia rolników, na ich psychice. Czy ktoś to sprawdził? Jeśli chodzi o rozpoznanie dobrostanu psychicznego rolników, to Polska ma wiele do nadrobienia.

„Dobrostan” to ostatnio modne słowo. Rolnicy znają je od dawna, bo spełniając unijne wymogi, dbają o dobrostan zwierząt w gospodarstwach. I wielokrotnie narzekali, że ich dobrostanem nikt się nie przejmuje.

To się zmienia. Bardzo się cieszę, że Kasa Rolniczego Ubezpieczenia Społecznego zajęła się dobrostanem rolników. Chce to zrobić profesjonalnie, pytając nas, socjologów, o zda-

nie. Chcemy, jako naukowcy, dowiedzieć się przede wszystkim, jaka jest skala zjawiska, co się dzieje z rolnikami (w sensie społecznym) i co nam grozi. Jednak gdy mówimy o zdrowiu psychicznym, to niektórzy rolnicy protestują: „Nie róbcie z nas wariatów!”. Nie mamy takiego zamiaru. Chcemy rolnikom pomóc. Niebawem będziemy prowadzić badania pilotażowe w dwóch województwach (prawdopodobnie w Małopolsce i w Kujawsko-Pomorskiem), a potem tzw. duże badania w pięciu kolejnych województwach.

Jaka może być skala problemu?

Obawiam się, że bardzo duża. W Polsce z powodu samobójstw odchodzi więcej osób niż ginie w wypadkach komunikacyjnych. Połowa z samobójstw dotyczy mieszkańców wsi.

Ilu wśród nich jest rolników?

Tego dokładnie nie wiemy, ponieważ statystyki policyjne są niedoskonałe. Oficjalnie 250-300 rolników rocznie. Jednak w statystykach policyjnych jest luka, bo w połowie przypadków zgonów samobójczych na wsi w rubryce „zawód” nie ma żadnego wpisu.

Zatem wśród rolników może to być nawet 500 zgonów samobójczych rocznie. W 90% to są mężczyźni, 10% stanowią kobiety. Co istotne, liczba samobójstw rolników jest mniej więcej stała, ale liczba gospodarzy w Polsce spada, więc relatywnie poziom obciążenia populacji rolników zgonami samobójczymi rośnie.

Dlaczego tak się dzieje?

Wzrost liczby samobójstw wiąże się z poczuciem bezradności i niepewności. Tego, co będzie dalej. W Polsce rekordową liczbę samobójstw odnotowano w latach 1991-1997. W czasie przełomu ustrojowego w Polsce to było rocznie nawet 900 samobójstw w grupie rolników. Dziś mamy do czynienia z takim postępującym, cichym przełomem, który jest związany z Mercosurem, ze Wspólną Polityką Rolną, zmianami klimatycznymi i z katastrofą demograficzną na polskiej wsi. Poza tym bardzo niepokoi fakt, że rośnie liczba prób samobójczych Polaków, w tym także rolników.

Próby samobójcze to takie wołanie o pomoc.

To prawda. I, co ciekawe, wśród starszych rolników nieudanych prób samobójczych praktycznie nie ma. W grupie gospodarzy powyżej 60. roku życia każda próba samobójcza kończy się, niestety, zgonem. Natomiast najwięcej prób samobójczych dotyczy osób w wieku do 25. roku życia. I to rzeczywiście jest wołanie o pomoc.

Oby ta pomoc nadeszła w porę. Co można zrobić?

Przekonać rolników, by korzystali z pomocy specjalistów. W naszym społeczeństwie coraz więcej mówi się o zdrowiu psychicznym, o problemach. Natomiast na wsi, a szczególnie wśród rolników, wciąż jest to temat wstydlivy. Ciągłe dominuje taki stereotyp, że chłop powinien być twardy i nie może się rozklejać.

Chłopaki nie płaczą?

Można powiedzieć: chłopcy nie płaczą! Presja jest taka, że nie mogą się załamać, muszą zacisnąć zęby i dalej prowadzić gospodarstwa. Kulturowo przyjęta norma nie pozwala im porozmawiać o problemach psychicznych w swoim otoczeniu, nawet z własnymi dziećmi czy miejscowym lekarzem. To musi się zmienić!

Pewien rolnik przyznał, że kiedyś gospodarze częściej się spotykali, rozmawiali. Dziś pozamykali się w domach, a po pracy – szczególnie młodzi – siedzą przed komputerami, smartfonami.

Po pierwsze, na wsi ludzi jest coraz mniej. Po drugie, coraz rzadziej się odwiedzają ze względu na stan zdrowia i ob-

ciążenie pracą. Jest też pewien paradoks: mamy coraz więcej samochodów, coraz piękniejsze świetlice na wsi, a ludzie są coraz bardziej samotni. Zanikają normy współpracy, życia sąsiedzkiego. Kiedyś okazją do rozmów były np. żniwa czy wykopki. Rolnicy nawzajem sobie pomagali, ale mogli się też nagadać. Takie rozmowy były swego rodzaju terapią. Kiedyś fundamentem życia wioskowego były duże rodziny, w których życie społeczne kwitło. One rozpadły się na takie, które nazywamy rodzinami nuklearnymi – jest tylko tata, mama i dzieci. Dziadkowie często żyją osobno.

Wspomnieli Pan o samotności. Dotyka ona także rolników, którzy nie mogą znaleźć „drugiej połówki”. Czy to duży problem?

Coraz większy. Statystyki pokazują, że, po pierwsze, kobiet na wsi jest mniej w stosunku do mężczyzn (na dziesięciu mężczyzn jest sześć kobiet w wieku rozrodczym). Poza tym ze wsi migrują głównie młode kobiety. Ten trend trochę się zatrzymał po wejściu Polski do Unii Europejskiej. Jednak dziś młode kobiety znów szukają godnego życia przede wszystkim w miastach. Z kolei kobiety z miast rzadko decydują się na związek z rolnikami. Jednak w czasie kryzysu gospodarczego sytuacja może się zmienić: nagle wieś może znowu okazać się atrakcyjnym miejscem do życia. Tak było w Grecji, w Hiszpanii czy we Włoszech w latach 2008-2010.

Jednak dziś młodzi ludzie próbują żyć inaczej, nie chcą być „uwiązani” obowiązkami. I dlatego w wielu gospodarstwach brakuje następców.

A jeśli nie będzie następcy, to trzeba będzie pozbyć się gospodarstwa, dorobku często wielu rolniczych pokoleń. To kolejny powód do stresu. No ile rolnik może wytrzymać? „Zbroja”, którą gospodarz na siebie nakłada, dziś coraz częściej już nie wystarcza. Dlatego rolnik powinien szukać pomocy gdzie indziej, u specjalistów. Nie ma się czego wstydzić!

©

TU SZUKAJ POMOCY

Nr tel.: 800 70 22 22
– Centrum Wsparcia dla Osób w Stanie Kryzysu Psychicznego (całodobowo);
nr tel.: 22 484 88 01
– antydepresyjny telefon zaufania (od poniedziałku do piątku w godz. 15-20.)
Dyżury psychologów – poniedziałek, wtorek, dyżury psychiatrów – czwartek, piątek; e-mail: porady@stopdepresji.pl

ZA MIEDZIĄ BĘDĄ WIERCIĆ DO 1900 METRÓW

– To pierwszy z serii odwiertów w 2026 roku – mówi Jordan Pandoff, prezes Lumina Metals. Kanadyjczycy pracują nad projektem kopalni miedzi i srebra „Nowa Sól”. Chcą zdobyć koncesję wydobywczą

Mateusz Pojnar

Lumina Metals zorganizowała 6 maja spotkanie z okazji rozpoczęcia następnego etapu wiercen w ramach projektu kopalni „Nowa Sól”. Odbyło się ono na terenie Nadleśnictwa Sława Śląska (leśnictwo Dąbrowno). To element szczegółowych działań poszukiwawczo-rozpoznawczych, które Kanadyjczycy realizują z polską firmą Exalo Drilling.

Cel? Pozyskanie niezbędnych danych do projektu zagospodarowania złoża miedzi i srebra. To kolejny krok w kierunku otrzymania koncesji wydobywczej.

Produkcja w 2035 roku?

– To pierwszy z serii odwiertów w 2026 roku, które będziemy teraz realizowali na tym obszarze. Przed nami cztery w tym roku, a w następnym najprawdopodobniej kolejne cztery. Będziemy je robić także w 2028 roku. To wszystko ma przybliżyć nas do budowy kopalni – mówi „Gazecie Lubuskiej” Jordan Pandoff, prezes Lumina Metals.

Oprócz odwiertów firma równolegle prowadzi badania środowiskowe. – Mocno zwracamy uwagę na ochronę środowiska – zapewnia Pandoff. – Modelujemy też to, jak w przyszłości będzie wyglądała kopalnia: gdzie będą poszczególne elementy i szyby. Zaplanujemy je właśnie na podstawie odwiertów.

Prezes Luminy zaznacza, że badania pokazują, iż w regionie jest 10 milionów ton miedzi i miliard uncji srebra. Opowiada „Lubuskiej” o harmonogramie dalszych prac.

– Zaczęlibyśmy budowę kopalni zaraz po otrzymaniu koncesji wydobywczej, czyli w 2030 roku – tłumaczy. – Sama budowa potrwa cztery, pięć lat. Przed nami mnóstwo pracy, ale pierwsza produkcja byłaby już w 2035 roku.

Z raportu EY wynika, że już w fazie inwestycyjnej (2026-2033) projekt będzie średniorocznie generował około 19 tysięcy miejsc pracy (bezpośrednich, pośrednich i w branżach wspierających) i ok. 1,97 mld zł dodatkowej wartości do regionalnego PKB w obszarze zielonogórskim. Raport mówi też, że po uruchomieniu wydobywania liczbą mają wzrosnąć do:

- średniorocznie 38,6 tys. miejsc pracy (w tym około 3650 osób zatrudnionych bezpośrednio przy kopalni);

- około 10,85 miliarda złotych rocznej wartości dodanej dla gospodarki regionu.

Kanadyjska firma planuje współpracę z KGHM. Już teraz pracuje z firmami z tej grupy w kontekście projektowania kopalni i kwestii środowiskowych.

Projekt nie zakłada budowy własnej huty, a koncentrat miedziowy z Nowej Soli mógłby być kierowany bezpośrednio do huty KGHM w Głogowie.

200-tonowe urządzenie

Prof. Stanisław Speczik, dyrektor działu eksploracji Luminy, opowiada o technologii odwiertu. Za każdym razem jest dopasowana do głębokości.

– Trzeba dobrać urządzenie o odpowiednich możliwościach wiertni. Ważne są wysokość i parametry siłowe dotyczące np. pomp płuczkowych. Tu mamy 200-tonowe urządzenie. Na haku wiertniczym przy tych głębokościach wisi niekiedy 70 ton – tłumaczy. – W trakcie wiercenia robimy szereg badań: pobieramy rdzenie, wykonujemy próbne pompowania, żeby zobaczyć, jaką pojemność mają horyzonty wodonośne, jaka jest ta woda, jakie jest jej zasolenie i skład, czy mamy objawy gazonośności. Wpływa na to mnóstwo rzeczy.

Prof. Speczik zaznacza, że w przypadku tego otworu firma chce zrobić próby specjal-



Prof. Stanisław Speczik



Maszyna wiertnicza stanęła w środku lasu na terenie Nadleśnictwa Sława Śląska (leśnictwo Dąbrowno)

styczne, np. izotopowe. – To bardzo skomplikowana procedura – dodaje. – Tej głębokości otwór w polskim prawie górniczym traktowany jest już jako kopalnia. Będzie sięgał na głębokość mniej więcej 1900 metrów.

– Gdybyśmy robili tylko czyste wiercenie, bez badań, to odwiert trwałby około 40-45 dni. Ale tutaj badań jest dużo, więc oceniam, że potrwa 65-70 dni – mówi prof. Speczik.

Pierwsza zielona kopalnia

– Nie będzie żadnych stawów osadnikowych – tłumaczy. – Pod ziemię trafi praktycznie 80 proc. urobku i w formie pasty będzie wtłoczony w wyrobiska górnicze. To powoduje, że nie ma żadnych zmian na powierzchni.

Firma chciałaby, żeby te odpady, które nie zostaną pod ziemią, były przerabiane np. na pia-



Prezes Jordan Pandoff

sek czy węglan wapnia dla rolnictwa i cementowni.

– Chcemy, by to była pierwsza zielona kopalnia w Europie – deklaruje prof. Speczik.

„Bardzo ważna chwila”

Dyrektor regionalny Luminy Janusz Jasiński mówi, że kopalnia w Lubuskiem jest coraz bliżej. – Czujemy już jej zapach – uśmiecha się. – To się dzieje na naszych oczach. Przed nami oczywiście długa droga, ale tak jest w trakcie każdego procesu. Dziś jest dla nas kolejna bardzo ważna chwila, bo zaczynamy program wiercen pod projekt zagospodarowania złoża. Czyli to już nie jest projekt badawczo-rozwojowy, tylko czysto przemysłowy, który przygotowuje do kopalni.

„Szansa dla regionu”

Marszałek woj. lubuskiego Sebastian Ciemnoczołowski mówił podczas uroczystości, że to historyczna szansa dla regionu.

– Dla samorządów, mieszkańców i samej firmy – dodał. – Pod naszymi stopami, od powiatu nowosolskiego po zielonogórski i dalej na północ, są największe złoża miedzi w Europie i piąte na świecie. Byłoby grzechem zaniechania, gdybyśmy w tym procesie nie uczestniczyli i nie byli zaangażowani na 120 procent. I tak nad tym pracujemy.

Wicewojewoda lubuski Tomasz Nesterowicz zaznaczał, że ta inwestycja to element „budowy bezpieczeństwa surowco-

wego województwa, Polski, ale i Unii Europejskiej.

– Lubuskie może być dotknięte zmianami demograficznymi, odpływem ludzi – zwracał uwagę. – Możemy stać się mniej atrakcyjnym miejscem do życia. I ta inwestycja daje szansę na to, by region odbudował się demograficznie.

Projekt kopalni „Nowa Sól” trwa już tak naprawdę od 12 lat. Zostało zainwestowanych dotychczas około 500 milionów złotych.

Lumina otworzyła niedawno swoje biuro w Nowej Soli, gdzie działa zespół do spraw projektu.

Kanadyjska Lumina Metals

podpisała list intencyjny z KGHM Polska Miedź dotyczący „możliwych kierunków strategicznej współpracy oraz potencjalnych dostaw koncentratu miedzi z projektu Nowa Sól do hut KGHM”. Informację przekazano w komunikacie opublikowanym na giełdzie w Toronto (TSE - Toronto Stock Exchange). To pierwszy formalny krok, który może otworzyć drogę do długoterminowej współpracy między kanadyjskim inwestorem a polskim miedziowym gigantem. WNP.pl

Mamy nowy album Voo Voo – „Dźwięczność”. Która to płyta w dorobku pana zespołu?

Nie mam zielonego pojęcia. Ale któryś z naszych fanów skrupulatnie obliczył, że nazwa Voo Voo pojawiła się na 51 płytach. Poza albumami z premierowym materiałem wchodzi w ten skład również koncertówki i kompilacje typu „Greatest Hits”. Jest więc tych wydawnictw naprawdę dużo. Nie wiadomo, od której strony zaczynać.

Najczęściej z biegiem lat zespoły coraz rzadziej wydają płyty. Voo Voo jest wyjątkiem.

Chyba każdy zespół rockowy utrzymuje napięcie u publiczności przez jakieś pierwsze dwadzieścia lat swej działalności. A potem wszyscy chcą, żeby grał to, co przyniosło mu największą popularność. Niektórzy nie robią więc potem już nic nowego. Są jednak tacy, którzy ciągle tworzą po to, by sobie urozmaicić repertuar.

A skąd ta wasza kreatywność?

Dwa lata temu miałem zamiar nie nagrywać już nowych płyt z Voo Voo. Mając taki dorobek, jaki mamy, moglibyśmy dawać koncerty przez kolejne dwadzieścia lat, nie wydając niczego premierowego. Ale w czerwcu ubiegłego roku zmarła nagle moja żona. Napisałem na jej pożegnanie piosenkę „Dźwięczność”, którą jeszcze zdążyła usłyszeć przed śmiercią. Nazbierało się wtedy we mnie tyle emocji i przemyśleń, że pomyślałem, iż warto utrwalić jeszcze to, co żywe w tych moich wspomnieniach, a dotyczące jej osoby. Weszliśmy więc do studia na jesieni zeszłego roku i w kilka dni nagraliśmy całą nową płytę. Powstał bardzo przemyślany materiał, daleki od typowego dla nas rozimprowizowania. Zagraliśmy już sześć koncertów wyłączonej z tymi piosenkami i okazuje się, że są fantastycznie przyjmowane.

Sądząc po okolicznościach, można by się spodziewać, że „Dźwięczność” będzie smutna i mroczna. Tymczasem płyta jest spokojna, ciepła i czuła.

Początkowo te piosenki były bardzo mroczne, ale w miarę jak nad nimi pracowałem, powoli stawały się jaśniejsze. To był proces: od pierwszej załamki, przez próbę odnalezienia się w tym wszystkim i skoncentrowanie się na dobrych wspomnieniach. Bardzo mi zależało, aby było w tych nagraniach choć trochę ciepła i spokoju.

Kiedyś powiedział pan o żonie: „Jest dla mnie wielkim

wsparciem”. Ciężko żyć bez tego wsparcia? Bardzo.

W tym pogodzeniu się z losem pana teksty są z jednej strony bliskie poezji ks. Twardowskiego, a z drugiej – buddyzmowi. Do jakiej duchowości jest panu dzisiaj bliżej?

Kiedyś zrobiliśmy z Voo Voo płytę i spektakl „Muzyka ze słowami”, gdzie tekstami były wiersze ludzi chorych na porażenie mózgowe. I ich wyobraźnia kompletnie mnie zaskoczyła. Trochę kojarzyła mi się ta twórczość z dziełami Borisa Viana, ale była zdecydowanie ciekawsza. Potem pracowałem nad płytą z wierszami ks. Twardowskiego dla dzieci. I wszystkie te trzy byty połączyły mi się w głowie. Wiersze ludzi z porażeniem mózgowym, Boris Vian i ks. Twardowski. Pisanie tekstów jest bowiem w moim przypadku podobne do tworzenia muzyki: wybiera się z tego wszystkiego, co się w życiu poznało i polubiło, to, co stanowi tego sedno. Tekst piosenki to jednak nie jest wiersz, musi być bardziej lapidarny i zawierać pewne powtórzenia. Z biegiem lat kształtuje się to w nieco głębszą i bardziej filozoficzną formę.

Sporo tu odniesień do przyrody. Z czego to wynika?

Do niedawna mieliśmy z żoną dom na wsi. Teraz już należy on do naszych dzieci. Zawsze lubiłem tam podglądać przyrodę. Stąd dużo w tych piosenkach ptaków – języków czy szpaków.

W „Na moment” śpiewa pan: „Bądźmy dzisiaj życzliwi dla siebie/ Unikajmy omamów, zwidów”. To pana credo na czasy podziałów i nienawiści?

Tak. Bardzo to wszyscy przeżywamy. Ta nienawiść nabrała już bowiem rozmiarów wręcz kuriozalnych. Mam za to głównie pretensje do mediów. Bo politycy jacy są, tacy są, wszyscy wiemy – oni wykorzystują te podziały w sposób absolutnie cyniczny. Robią to, bo wiedzą, że im to wszystko podległe, to wzbudza większe zainteresowanie mediów. Dużo jeżdżę po Polsce i jeszcze nigdy nie spotkałem się z żadną agresją. A w internecie jest jej mnóstwo. To już nie jest zwykły hejt, tylko wylewająca się ze wsząd nienawiść. Bo ktoś jest inny, bo mu się powiodło, bo jest innej nacji. Niby internet jest pożyteczny, ale z drugiej strony jest szambem, w którym ta cała złość wybija. Są tacy, którzy walczą z hejtem i kiedy czasem odkrywają kto stoi za tymi nienawistnymi wpisami, to okazuje się, że to pogubieni i zakompleksieni

ludzie, którym internet daje poczucie anonimowości i bezkarności. I to jest słabe.

Jak pan się przed tym chroni?

Odłączyłem się. Przynajmniej na jakiś czas. Moja żona była bardzo mocno wkręcona w te rozgrywki polityczne. Załamał ją wybór prezydenta i bardzo bała się o przyszłość wnuków. Trochę więc siłą rzeczy też w tym siedziałem. Ale po jej śmierci kompletnie odciąłem się od obserwowania polskiego życia politycznego. Nie potrzebuję takich podniet, do niczego nie jest mi to potrzebne. I wszystkim to polecam.

Po nagraniu „Dźwięczności” poczuł pan pocięć i pomogło to panu przejść przez ten trudny czas żałoby?

Ta żałoba jeszcze trwa, bo to nawet jeszcze rok nie upłynął. Przede wszystkim bardzo pomaga mi praca. Bo nagranie płyty sprowokowało od razu dawanie koncertów. Ale też fantastyczna postawa moich przyjaciół, szczególnie tych z zespołu. Bo wszyscy oni mieli ochotę nagrać taką płytę. Może nie wszyscy byli przekonani, że dam radę, ale z przekory, wiedząc, że różnie może się to skończyć, wszyscy się na niej bardzo koncentrowaliśmy. I to bardzo mi pomogło. Kiedy żona zmarła, syn zaprowadził mnie od razu do jakiegoś terapeuty. On wiedział czym się zajmuję i poradził mi, że bym... w ogóle przestał pracować. Natychmiast porzuciłem jego sugestię, bo wiedziałem od dawna, że na rozpacz najlepiej pomaga ciężka praca.

Nagranie „Dźwięczności” zmieniło pana zdanie i możemy się spodziewać po Voo Voo kolejnych płyt?

Potencjał jest. Jesteśmy bowiem zadowoleni z nagrania tej płyty i z koncertów. Wykonujemy ją w całości w zwykłym lub poszerzonym składzie. To duża radość, kiedy po tylu latach działalności kapeli, pojawia się taki bodziec. Jest więc w nas chęć do dalszego nagrywania. Oczywiście musi się znaleźć ktoś, kto będzie chciał to wydać. W przypadku „Dźwięczności” trafiliśmy na wspaniałego wydawcę w postaci e-Muzyki, który bardzo fajnie się nami zajął. I ta płyta jest dobrze przyjmowana, zewsząd dostają wyrazy szacunku i entuzjazmu. Nie mówię więc nigdy.

To dobre nastawienie.

My jesteśmy zespołem dosyć mocno podzielonym wiekowo. Od bardzo młodego Michała, przez Karima i Mateo, po mnie na końcu tej piramidy. Dlatego nasze doświadczenia dnia codzienne

Znamy go przede wszystkim jako lidera rockowego zespołu Voo Voo, który w tym roku obchodzi czterdziestolecie działalności. Zamiast tradycyjnej składanki z największymi przebojami, dostaliśmy właśnie jego nową płytę – „Dźwięczność”. Nam Wojciech Waglewski opowiada, jak dzięki muzyce radzi sobie z żałobą po nagłej śmierci żony

Patryk Gzyl

WOJCIECH WAGLEWSKI: NA ROZPACZ NAJLEPIEJ POMAGA CIĘŻKĄ PRACĄ

nego są zupełnie inne. Każdy z nas robi swoje solowe projekty, co bardzo nas wspomaga, bo potem spotykamy się i dzielimy tymi wrażeniami. Wszystko tak naprawdę zależy od tego, czy ludzie będą przychodzili na nasze koncerty. Jeśli tak – to pewnie nas to zdopinguje, by jeszcze pójść dalej. Będziemy więc działać, oczywiście o ile zdrowie – przede wszystkim moje – pozwoli. Na razie, odpukać, wszystko jest OK.

Voo Voo obchodzi w tym roku 40-lecie działalności. Nie celebrujecie tego w jakiś wyjątkowy sposób. Nie lubi pan oglądać się wstecz?

Nie lubię celebrowania takich rocznic. Bo co z tego, że gramy czterdzieści lat? To nie ma większego znaczenia. Ja nie słucham swoich płyt. Traktuję je jak wpisy w pamiętniku. Nawet „Dźwięczności” nie posłuchałem w całości, sięgałem tylko po poszczególne utwory, aby się przygotować do koncertów. Bo dla mnie muzyka jest zapisem chwili i najlepiej wypada na żywo. Kiedy nagraliśmy płytę „Najlepsi śpiewają Voo Voo”, początkowo nie mogłem tego słuchać, tak mnie wszystko denerwowało. Po latach sięgnąłem jednak po nią ponownie – i wtedy mi się spodobała. Wszystko było jak trzeba.

Trudno więc tak jednoznacznie raz na zawsze ocenić to, co zadziało się w przeszłości.

Nie będzie więc żadnej okolicznościowej płyty?

Polskie Radio ma przepastne archiwalia i czasem wydaje nagrania, które kiedyś zostały dokonane, a nigdy się nie ukazały. Tak też prawdopodobnie będzie i z Voo Voo. Jest szansa na wydanie naszych nagrań z 1986 roku, jeszcze w składzie z Andrzejem Ryszką i Jankiem Pospieszalskim. Nawet nie pamiętam okoliczności, w których zostały one dokonane. Prawdopodobnie zarejestrowaliśmy je dla Tomasza Szachowskiego z Dwójki i były to głównie utwory instrumentalne. Posłuchałem tego materiału z wielką radością, bo to super granie. Szykujemy się teraz z koncertową premierą tej płyty – być może ściągniemy nawet z Kanady Andrzeja Ryszkę. Czasami więc oglądam się w przeszłość i nawet fajnie się to sprawdza.

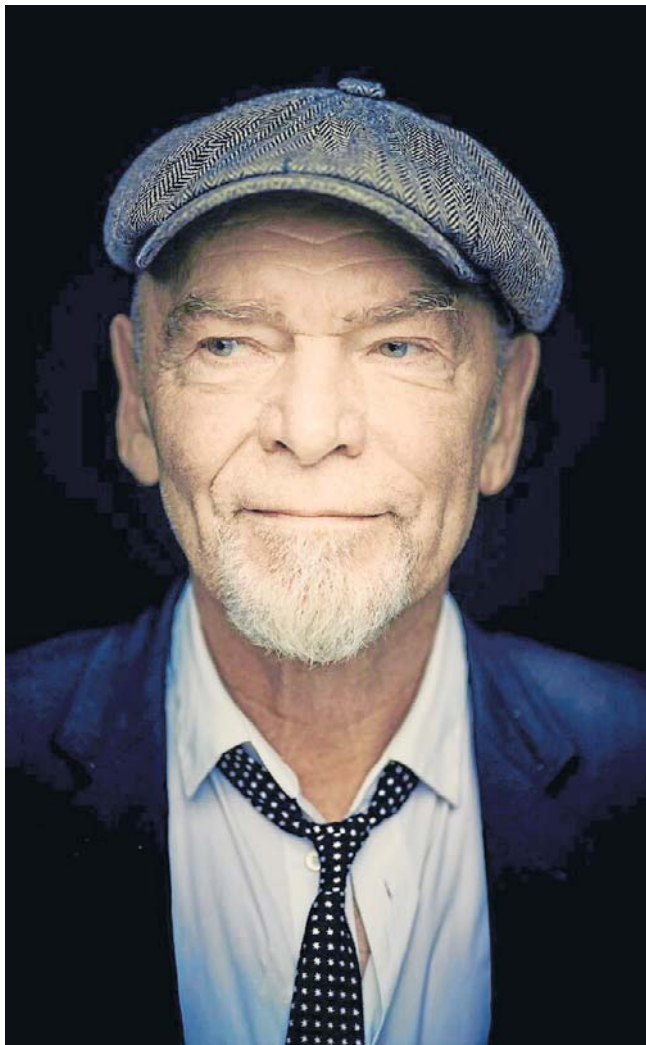
Zaczął pan grać na gitarze w 1969 roku, a Voo Voo skrzyknął dopiero w 1986 roku. Dlaczego tak długo zwlekał pan z założeniem własnego zespołu?

Miałem wcześniej dwa zespoły – Nirwana i Zen, ale nie dokonaliśmy żadnych nagrań. Początkowo pracowa-

łem jako muzyk studyjny. Ktoś wyliczył, że wziąłem udział w nagraniu prawie 500 płyt w kraju i za granicą. I z tego jakieś 400 powstało zanim założyłem Voo Voo. A stało się to tak późno z kilku przyczyn. Najpierw studiowałem, nie miałem więc czasu na własny zespół. Potem poszedłem na rok do wojska, bo tak wtedy było. Kiedy zdjąłem mundur, dołączyłem do Osjana, z którym grałem intensywnie kilka lat. Dopiero w połowie lat 80. spotkałem Zbyszka Hołdysa i Wojtkę Morawskiego, którzy powiedzieli, że musimy coś razem nagrać. Najpierw stworzyliśmy wspólnie podstawy płyty „I Ching”, a potem zdecydowaliśmy się założyć zespół Morawski Waglewski Nowicki Hołdys.

To był ewenement na ówczesnej scenie rockowej.

Nagraliśmy tylko jedną płytę – „Świnie”. A kiedy nagrywa się tak zatytułowaną płytę w 1985 roku w czasach mrocznego komunizmu, to wiadomo, że nie może się to dobrze skończyć. Dwa utwory zabrała nam cenzura, innych nawet Trójka nie chciała grać, w związku z czym Hołdys zabronił dziennikarzom wstępu na nasz koncert w Stodole. Wydanie płyty, której nikt nie chciał grać i pójście na wojnę



FOT. MAT PRAS.

Wojciech Waglewski: Nie lubię celebrowania rocznic. Bo co z tego, że gramy czterdzieści lat? To nie ma większego znaczenia

z mediami sprawiło, że daliśmy tylko siedem koncertów. Były też tarcia między nami. Wtedy Wojtek Morawski powiedział mi, że ja się nie nadaję do grania w zespole, tylko muszę założyć i prowadzić własny, bo mam w sobie za dużo z lidera. Namówiony przez Hołdysa, wymyśliłem więc Voo Voo z nazwą od moich inicjałów.

Podejrzewam, że największym wyzwaniem było dla pana otwarcie się na śpiewanie.

To prawda. Po raz pierwszy w życiu zaśpiewałem na wspomnianej płycie „I Ching”. Przyniosłem piosenkę „Ja płonę”, którą miał wykonać Marek Piekarczyk. Ale kiedy ją usłyszał, powiedział, że sam to muszę zaśpiewać. Przełamałem się więc, ale do dziś uważam, że, delikatnie mówiąc, nie jestem wybitnym wokalistą. Świat oczywiście zna wiele takich przypadków, od Boba Dylana począwszy. Umieć śpiewać, ale nie mam głosu. Jako muzyk nie potrafię jednak pracować z wokalistami. Naakompaniowałem się w życiu wielu wybitnym śpiewaczkom i śpiewakom i ta rola średnio mi się podobała. Pomyślałem więc, że spróbuję sam wydobyć z siebie jakiś głos i dodać do tej warstwy instrumentalnej jakiś komunikat. I tak jest

do dzisiaj. Osobiście wolę, kiedy ktoś nie umie śpiewać o czymś niż gdy ktoś umie śpiewać o niczym. I tego się trzymam. Generalnie jestem jednak przede wszystkim gitarzystą, a Voo Voo to zespół, w którym wszyscy jego muzycy tworzą na równi wspólną jakość i nie ma tu funkcji akompaniatora. Dzielimy się tą rolą i to jest nasza zaleta.

W skład Voo Voo wchodzi silne indywidualności muzyczne. Nigdy nie było między wami konfliktów?

Nie było. Pierwszy skład był eksperymentalny i szybko się posypał. Andrzej Nowicki kompletnie nie chciał grać takiej muzyki, a Wojtek Morawski zrezygnował, aby zarabiać na życie na statku. Dlatego wiedziałem, że muszę szybko znaleźć nowych ludzi. I miałem szczęście do muzyków. Rozstałem się z kilkoma osobami, ale stało się to z powodów losowych. Piotr „Stopa” Żyżelewicz zmarł, Andrzej Ryszka wyjechał do Kanady, a Janek Pospieszalski, jak wiadomo, zajął się czymś zupełnie innym. Te zmiany powodowały oczywiście pewną modyfikację brzmienia, gdyż każdy nowy muzyk wносił coś swojego. Kiedy zmarł „Stopa”, myśleliśmy, żeby zakończyć działalność, bo nie wyobrażaliśmy sobie, że uda nam się nadal tworzyć bez

niego. Stanowiliśmy bowiem z nim muzyczny monolit. Mogło nas uratować tylko zaangażowanie kogoś, kto będzie grał zupełnie inaczej niż on i otworzy nas na nieco inne funkcjonowanie sekcji rytmicznej. Zaprośiliśmy wtedy Michała Bryndala, który nie wiedział za dużo o tym, jak i co gramy. I polubił się od pierwszej próby. Początkowo Michał walczył z jazgotem gitary na scenie, bo trafił akurat na taki nasz czas, że graliśmy głośno, ale teraz sam bywa na koncertach najgłośniejszy. (śmiej) Najważniejsza jest atmosfera w naszym zespole: pracuję z kolegami z pełną pokorą, przyjmuję ich propozycje, a oni akceptują to, co ja proponuję.

Mimo bogatej dyskografii, centrum działalności Voo Voo są od zawsze koncerty. To ze względu na możliwość improwizowania?

Koncert to wyjątkowa sytuacja: w trakcie jego trwania powstaje muzyka, która może zaistnieć tylko tu i teraz. To nie tylko zasługa interakcji między muzykami, ale też konkretnego miejsca i konkretnej publiczności, tego jak reaguje, co krzyczy i jak pachnie. Żadna płyta koncertowa nie odda tego ducha. Każdy z nas ma podobne nastawienie. Zwłaszcza koncerty w klubach do 500 osób to jest bajka. Teraz mamy mędnę Piotra Bronkę, fajnego kolegę, który to wszystko kuma i dzięki niemu gramy najczęściej w takich miejscach i dla takiej publiczności, jaką lubimy.

Uwielbia pan improwizację, ale z drugiej strony pozostaje wierny formule piosenki. Nie ma w tym sprzeczności?

Wychowałem się na muzyce z lat 60. i 70., kiedy rock też był muzyką improwizowaną. Jimi Hendrix czy Cream grali piosenki, które zamieniały się na koncertach w dwudziestominutowe formy. U nas mieszają się różne sposoby myślenia o muzyce. Wynika to z naszych przeróżnych doświadczeń. Ja jestem bardziej zorientowany na przekaz i rockowy hałas, a koledzy na swingowanie. Ale już pracując przez lata jako muzyk sesyjny, grywałem z jazzmanami, ponieważ byli oni najbardziej kompetentni i stanowili trzon orkiestr Trzaskowskiego czy Trzcinińskiego. Dlatego w tamtych czasach środowiska rockowe i jazzowe – choć nie przepadały za sobą – były skazane na siebie. A efektem tego były wspólnie płyty Czesława Niemena, Dżambli czy Breakoutów...

Voo Voo ma kilka dużych przebojów: „Łobi jabi”,

„Flota zjednoczonych sił”, „Nim stanie się tak”, „Nabroiło się” czy „Gdybym”. Lubie je pan?

Lubię. Wyjątkowo cenię „Gdybym”. W wersji oryginalnej piosenka ta trwa chyba osiem minut, które na potrzeby radia skróciliśmy do czterech minut, dzięki czemu pojawiła się na pierwszym miejscu listy przebojów Trojki. Najbardziej rozposzechnił się chyba utwór „Nim stanie się tak”, chętnie wykorzystywany na potrzeby różnych projektów – choćby „Męskiego grania” czy reklam. Dlatego z nim mam różnie – czasem nie chce mi się go grać. Stąd, jeśli już po niego sięgam, to za każdym razem wykonujemy go trochę inaczej. To jakiś sposób. Do „Łobi Jabi” mam sentyment, bo połączył nas z Mateuszem Pospieszalskim, który go skomponował. Pamiętam jak z okazji wstąpienia Polski do Unii Europejskiej zagraliśmy na koncercie pod Bramą Brandeburską w Berlinie. I kilka tysięcy Niemców śpiewało z nami ten refren – to było coś niezapomnianego. Takie śpiewy pozornie prostych piosenek w wymyślonym języku usłyszeliśmy wcześniej na koncertach naszego idola Dona Cherrego i wydały nam się wspaniałą inicjatywą jednoczącą muzyków z odbiorcami. Są też utwory, które bardzo lubię, a które nigdy nie były przebojami. Na przykład „Bezruch”, który nagraliśmy z Hanią Rani. To jedna z lepszych rzeczy, które napisałem. Albo utwór „Beztrosko”, który zrobiliśmy w czasie pandemii, a który nie zaistniał w ogóle w radiu, tylko w sieci.

Jak układa pan program koncertu Voo Voo, mając tyle piosenek do dyspozycji?

Jako lider staram się zawsze stworzyć odpowiednią dramaturgię koncertu. Często jest bowiem tak, że muzykom gra się wspaniale, a publiczność się nudzi. Wybieram więc nie tylko przeboje, ale utwory, które układają się w spójną opowieść.

Dla wielu fanów i krytyków najważniejszą płytą Voo Voo jest „Sno-powiązka”. Dla pana też?

To była nasza druga płyta z 1988 roku. Stanowiła ona antytezę debiutu Voo Voo – zimnego, mechanicznego, post-punkowego. W związku z tym „Sno-powiązka” była nagrana bez elektronicznych efektów i opierała się na żywym graniu. To koncepcyjny album, który trzeba grać w całości. Wykonaliśmy go raz w tej postaci na OFF Festiwalu w Katowicach, ale Artur Rojek ustawił nas na godzinę 17 i wyszło zupełnie bez sensu. Dla mnie wielkie zna-

czenie miała nasza debiutancka płyta, ale też „Oov Oov”, bo była pierwszą płytą nagraną bez spinki oraz „Dobry wieczór”, choćby z powodu udziału azerskiego muzyka Alima Qasimova. Bardzo cenię też „Dźwięczność”, ponieważ jest naładowana spokojem i zrobiliśmy na niej dużo takich rzeczy, których do tej pory nie robiliśmy.

Funkcjonowała też kiedyś dziecięca wersja zespołu – Małe Wu Wu. Pierwsza płyta to fenomen na polskim rynku – to rok 1988, a jest tam rap i afro-beat. Jak pan wspomina pracę z dziećmi?

To było ryzykowne przedsięwzięcie, żeby niszowy zespół z muzykami w ramoneskach i z włosami postawionymi na cukier miał nagrać płytę dla dzieci. Wymyślił to Tom Logan – ówczesny mąż Majki Jeżowskiej, a jednocześnie świetny amerykański gitarzysta studyjny. Kiedyś zrobiliśmy na potrzeby programu telewizyjnego kilka piosenek dla dzieci i tak mu się spodobały, że poszedł do Polskich Nagrań i wymógł na nich, żeby wydali taką płytę. Kiedy byłem młodym człowiekiem, nie byłem miłośnikiem twórczości dla dzieci. Podczas studiów miałem koleżankę, która po zajęciach zakładała krótką spódniczkę i biegła na próby Gawędy. Wydawało mi się, że to coś nie do końca spełnia wymogi szczeroci przekazu. (śmiej) Ja jako dziecko słuchałem Stonesów i Hendrixa – postanowiłem więc zrobić coś rockowego. Kolegowałem się wtedy z malarzem Gruppy – Markiem Sobczykiem. Kiedy zwierzyłem mu się, że bardzo się pogubiłem szukając sposobu muzycznego dojścia do dzieci, powiedział mi: „Gdy zaczniesz zastanawiać się nad tym, co zrobić, aby się to komuś spodobało, to musisz to od razu odrzucić”. Weszliśmy więc do studia i nagraliśmy te piosenki tak, żeby nam się podobały. I była to najcięższa praca w moim życiu, bo dzieciaki potrafiły w kilkanaście minut zdemonstrować całe studio. (śmiej)

Pana synowie Bartek i Piotrek wzięli niewielki udział w nagraniach Małego Wu Wu. Może to dzięki temu stali się muzykami, których znamy dziś jako Fiszę i Emade?

Bartek namalował okładkę do pierwszej płyty, ale ostatecznie postanowiono, że zrobi to ktoś dorosły. Pani, która się tym zajęła, oparła się jednak na jego rysunku i odwołała się do jego kolorystyki. Jego projekt jest w górnym rogu okładki, w takim małym kółeczku. Piotrk z kolei namówiłem, aby zaśpiewał na drugiej płycie Małego Wu

Wu, ale generalnie zrobił to bez entuzjazmu. Od tamtej pory nie przeszkadzamy sobie w uprawianiu muzyki.

Dlaczego?

Muzyka, którą ja się zajmuję i zajmują się moi synowie, musi powstawać w opozycji do siebie, ponieważ jest pewną formą manifestu pokoleniowego. Posługujemy się odmiennym językiem, momentami inaczej postrzegamy świat. Kiedy synowie stworzyli własny język muzyczny, zaprosili mnie raz do zagrania krótkiego sampla na gitarze i było to bardzo miłe. Po latach założyliśmy w końcu wspólny zespół, w którym bardzo wyraźnie uwidaczniają się nasze różnice i podobieństwa w postrzeganiu świata. Ale nastąpiło to po wielu latach, kiedy to ja byłem postrzegany jako ojciec Fiszę, a nie on jako syn Wojciecha Waglewskiego z Voo Voo. (śmiej)

Twórczość zespołu pana synów Kim Nowak miała chyba jednak spory wpływ na niedawne dokonania Voo Voo, kiedy to zwróciliście się w stronę garażowego rocka.

Wtedy taki był trend na świecie. „Wszyscy muzycy to wojownicy” jest chyba naszą najbardziej garażową płytą. Wówczas Fiszę i Emade zaczęli słuchać muzyków, których ja słuchałem będąc w ich wieku, a ja – tego, co ich fascynowało. Teraz, kiedy prowadzę z Fiszem audycję, to czasem ja prezentuję nowości, a on starocie, czym się często zaskakujemy. To było jednak nieuniknione: oni nasiąknęli w domu rodzinnym moją muzyką, kładli się przy niej spać i wstawali. Dzisiaj mamy więc wspólne inspiracje, ale bardzo pilnujemy swojej wolności artystycznej. Aczkolwiek to ja częściej korzystam z rad synów niż oni z moich. Ja nigdy im nic nie doradzałem, czasami tylko dostawałem ich nową płytę i wyrażałem swoje zdanie. Rock i hip-hop to muzyka buntu, więc lepiej, żeby staruchy się do tego nie wtrącały. (śmiej)

Jest pan już dziadkiem i ma aż pięćoro wnuczków. Wyrasta kolejne pokolenie Wagli-muzyków?

Najstarsza wnuczka ma ogromny talent malarski – pewnie po ojcu, bo Fiszę też świetnie maluje. Na razie studiuje i co będzie dalej, to się dopiero okaże. Z kolei wnuczek Mikołaj ma jakieś muzyczne inklinacje i Fiszę mówił, że nawet już coś sobie po cichutku nagrywa. Na razie tyle. O reszcie nie wiem. Im mniej jednak starsi wiedzą i się wtrącają, to tym lepiej. Prawdziwa twórczość musi się bowiem rodzić w kontrze do zastanego świata.

OSTATNI BASTION III RZESZY

2 maja 1945 roku poddał się Berlin, 6 manastąpiła kapitulacja Breslau. Na frontach świętowano zakończenie II wojny światowej, ale w okolicach Żarowa, grupa fanatycznych hitlerowców wciąż broniła góry, a właściwie - górki, na której front zatrzymał się na kilka miesięcy. Dlaczego?

Jerzy Wójcik

Wzgórza Trzebnickie, Ślęza, a może Radunia. To wzniesienia, które wydawałoby się, mogą być strategiczne z punktu widzenia militarnego. Jednak podczas działań II wojny światowej, gdy Armia Czerwona zajmowała Dolny Śląsk, obrona tych miejsc przez hitlerowców nie trwała długo. Natomiast prawdziwym bastionem Wehrmachtu stała się mało komu znana góra, czy wręcz górka - 242 m n.p.m. w okolicach Żarowa, około 40 kilometrów w linii prostej od Wrocławia. To Krukowska Góra, na którą dziś prowadzą jedynie podrzędne polne drogi, a turyści praktycznie się tutaj nie zapuszczają. A szkoda, bo przy ładnej pogodzie, z niezalesionych zboczy widać wiele dolnośląskich pasm. Jednak wątek historyczny jest tu jeszcze ciekawszy niż ten turystyczny.

Gdy wejdziemy w zagajnik tuż pod szczytem, po 81 latach od wydarzeń 1945 roku, wciąż widać tam całkiem wyraźnie zagłębienia po gniazdach karabinów maszynowych i pozostałości ziemnych transzei.

- Dzięki wglądowi do radzieckich archiwów, jesteśmy w stanie odtworzyć przebieg zażartych walk, które toczyły się w tym miejscu od lutego do maja 1945 roku - opowiada Bogdan Mucha, historyk i archeolog oraz założyciel Żarowskiej Izby Historycznej i wskazuje reporterowi Gazety Wrocławskiej konkretne miejsca w terenie - Niestety, same działania wojskowe nie mówią nam wszystkiego, wciąż wiele pytań pozostaje bez odpowiedzi, a temat jest arcyciekawym - dodaje znawca i miłośnik regionu żarowskiego.

Przed drugą wojną światową Góra Krukowska słynęła w okolicy z wieży widokowej, która stała się tutaj w I połowie XIX wieku, a następnie w 1850 roku została przebudowana. Do wybuchu II wojny przetrwała w kiepskim stanie, a jej kres położyły niezwykle intensywne działania wojenne. Wielotygodniowy ostrzał wzgórz oraz próba radzieckiego szturmu



Pprawdziwym bastionem Wehrmachtu stała się mało komu znana góra, czy wręcz górka - 242 m n.p.m. - w okolicach Żarowa, około 40 kilometrów w linii prostej od Wrocławia. To właśnie Krukowska Góra



Krukowska Góra była ostatnim bastionem III Rzeszy na Dolnym Śląsku

na pozycje hitlerowców. Dziś, w zaroślach na szczycie, trudno tu odnaleźć - dosłownie - kamień na kamieniu po tej efektownej kiedyś budowli.

Życie w Żarowie i okolicach opisywanego wzniesienia, które góruje nad miastem, toczyło się spokojnie do początków 1945 roku. W lutym tego roku, Armia Czerwona, zdobywając kolejne tereny i miejscowości na południe i zachód od Wrocławia, z dnia na dzień zamykała pierścień okrążenia wokół Festung Breslau.

Historycy przyjmują, że mniej więcej w połowie lutego (podawane są różne daty, pomiędzy 13 a 16 lutego) okrążenie zamknęło. 15 lutego 1945 „czerwonoarmijcy” zajmowali też miejscowości w okolicach Żarowa, szykowali się też do zdobycia dwóch kluczowych gór w tej okolicy, obsadzonych wciąż przez Niemców

i zaciekle bronionych. Wyższa to Pyszczyńska Góra, niższa Góra Krukowska.

- Pyszczyńską Górę zdobyto 15 lutego, po ciężkich walkach - wyjaśnia Bogdan Mucha z Żarowskiej Izby Historycznej i dodaje, że dokumenty, do których udało mu się dotrzeć w radzieckich archiwach, przynoszą sensacyjne informacje. - Według radzieckich raportów, hitlerowcy, którzy zaciekle bronili Pyszczyńskiej Góry, w ostatniej chwili przed jej zdobyciem przez Armię Czerwoną, mieli uciec na sąsiednią Górę Krukowską. W tym nie ma jeszcze nic dziwnego, ale w dokumentach opisano, że ucieczka odbywała się podziemnym tunelem (odległość między tymi wzniesieniami to około 2 km - przyp. red.) a podczas pościgu, w podziemiach zginęło aż 32 radzieckich żołnierzy - dodaje Bogdan Mucha.

Żarowski historyk wyjaśnia, że istnienia tego tunelu do dziś nie potwierdzono. Natomiast góra, na którą przenieśli się hitlerowcy, była broniona do ostatniego żołnierza. Według radzieckich dokumentów aż do 10 maja 1945 roku. Dopiero tego dnia udało się czerwonoarmistom zająć ostatnie niemieckie pozycje, których broniło zaciekle... 6 niemieckich żołnierzy. Skąd taka fanatyczna postawa, dlaczego broniono, wydawałoby się, mało istotnej góry na Dolnym Śląsku?

Najbardziej prawdopodobna odpowiedź związana jest z leżącym u stóp góry Żarowem i jego kluczowym znaczeniem. Niemiecki Saarau był ważnym ośrodkiem przemysłu zbrojeniowego w skali całej III Rzeszy. Zakłady chemiczne „Silesia” rozpoczęły swoją działalność w Żarowie już w 1858 roku i był to wówczas największy zakład tej branży na całym Śląsku. Został przestawiony na produkcję dla wojska już podczas I wojny światowej, a po rozpoczęciu przez Niemcy II wojny światowej, była to jedna z kluczowych fabryk dla przemysłu zbrojeniowego III Rzeszy. Powstawały tu substancje chemiczne niezbędne dla zbrojeniówki, elektrody spawalnicze czy silniki. Potrzeba utrzymania produkcji tłumaczy obronę „za wszelką cenę”.

Cała okolica wokół Góry Krukowskiej, stanowiącej skuteczną osłonę dla Żarowa, była zaminowana przez Niemców. Potwierdzają to relacje od świadków tamtych wydarzeń. Historyk Bogdan Mucha opowiada Gazecie Wrocławskiej, że po publikacji jego pierwszego artykułu na temat Góry Krukowskiej, odezwał się do niego czytelnik z Poznania. Gdy przeczytał właśnie o tych polach minowych, przypomniał sobie opowiadania swojego ojca, sapera z batalionu



Transformator w Olszanach, w którym dokonano niespodziewanego odkrycia

w Nysie. Po II wojnie światowej brał on udział w wielkiej akcji rozminowywania okolic Góry Krukowskiej i Żarowa, o czym wielokrotnie opowiadał swojemu synowi.

- Ojciec mówił że tam były wszystkie rodzaje min i w ilości takiej, że siedzieli tam przez kilka miesięcy. Z jego opowieści to budynek i wejścia do środka Krukowej Góry były zaminowane podobno w taki sposób, że musieli to wszystko zdetonować, bo nie potrafili rozbroić. Ojciec mówił, że były tam jakieś fabryki amunicji czy magazyny, ale potem przez kilka lat siedzieli tam ruscy - napisał w korespondencji do Bogdana Muchy.

I tu pojawia się najbardziej tajemniczy z wątków całej opo-

wieści o ostatnim bastionie III Rzeszy na Dolnym Śląsku. O jakie wejście do Krukowej (poprawnie - Krukowskiej) Góry chodziło? Dlaczego na wszystkim łapę położyli Rosjanie?

Na przełomie lat 60. i 70. XX wieku w jednym z transformatorów w pobliskich Olszanach (gmina Strzegom) dokonano bardzo ciekawego odkrycia. Trafiono na szereg ukrytych

dokumentów, a wśród nich na niemiecką mapę topograficzną z 1938 roku. Znajduje się na niej plan obecnego Zbiornika Mietkowskiego wraz z elektrownią na tamie. W 1938 roku rozpoczęto już prace przy jego budowie, ale przerwano na dosyć wczesnym etapie. Co ciekawe, z planu wynika, że zbiornik miała zasilać nie tylko rzeka Bystrzyca (tak

LCZY NIEMCY PLANOWALI TUTAJ BUDOWĘ PODZIEMNEJ FABRYKI, A MOŻE W JAKIMŚ ZAKRESIE TA FABRYKA JUŻ DZIAŁAŁA?



Żarowski historyk, Bogdan Mucha

jak to jest obecnie), ale również Strzegomka, poprzez specjalny kanał.

- Jednak moją uwagę na tej mapie zwróciło coś jeszcze innego - mówi Gazecie Wrocławskiej Bogdan Mucha. - Podziemna linia elektroenergetyczna, która zaczyna się w okolicach zapory w Mietkowie i prowadzi obok Borzygniewu i Imbramowic, aż na... Krukowską Górę, gdzie kończy się na jej zboczu - zwraca uwagę Bogdan Mucha i dodaje, że linia (zgodnie z mapą) miała służyć do przesyłu prądu o napięciu aż 40 kV. Linia o tak wysokim napięciu bez problemu może, nawet dziś, służyć do zasilania dużych zakładów produkcyjnych, które posiadają własne stacje transformatorowe.

Dlaczego projektowana linia o tak wysokim napięciu, kończyła się nagle na zboczu opisywanej przez nas góry? Dziś w tym miejscu znajduje się zarośnięta lasem skarpa.

Czy Niemcy planowali tutaj budowę podziemnej fabryki, a może w jakimś zakresie ta fabryka już działała, a po zbudowaniu dodatkowego zasilania, planowano jej rozbudowę?

Na te pytania najpewniej nie poznamy już wiarygodnych odpowiedzi. Jednak z jakiegoś powodu hitlerowcy zaciekle bronili „górkę” 40 kilometrów od Wrocławia, znajdując się w praktycznie beznadziejnej sytuacji, czyniąc z niej ostatni bastion III Rzeszy w naszym regionie.



Stare okopy nadal wyraźnie zarysowują się wśród drzew



Łuski pocisków znalezionych na Krukowskiej Górze

OD OCHRONY GRANIC DO PIERWSZEJ LINII BEZPIECZEŃSTWA PAŃSTWA

35 lat Straży Granicznej, czyli trzy i pół dekady służby ludzi, dla których granica nie jest linią, lecz realnym wyzwaniem i obowiązkiem - w służbie pokoju, państwa i Unii Europejskiej

Robert Szulc

Laczyna się tam, gdzie kończą się drogi, a cywilizacja ustępuje miejsca nieprzeniknionej gęstwinie. Umundurowane sylwetki, niemal zlane z pniami sosen, wylaniają się z podlaskich mgieł, gdy przez szkła termowizji śledzą każdy ruch w pasie drogi granicznej. Chwilę później, setki kilometrów dalej, warkot quada wbija się w ciszę bieszczadzskich połonin, wzbijając tumany kurzu na szlakach, gdzie rosa nie zdążyła jeszcze odparować z liści. Ale służba w Straży Granicznej to jednak nie tylko zielony mundur w głębi lasu. To także sterylne blaski terminali lotniczych, gdzie wprawne oko w ułamku sekundy wyłapuje fałsz w paszporcie oraz słona bryza Bałtyku smagająca pokłady patrolowych jednostek. Od 35 lat piszą historię formacji, która jest pierwszą linią bezpieczeństwa Rzeczypospolitej. Dla nich granica nie jest linią na mapie, lecz codziennym wyzwaniem. Straż Graniczna obchodzi 35-lecie.

W centrum zagrożeń bezpieczeństwa

Powołana ustawą z 12 października 1990 r. formacja rozpoczęła wykonywanie zadań na granicy państwowej 16 maja 1991 r. Tego dnia co roku obchodzone jest Święto Straży Granicznej. 35. rocznica ma wymiar szerszy niż historyczny. Przypada w czasie, gdy granice państwa i całej wschodniej flanki NATO ponownie znalazły się w centrum zagrożeń bezpieczeństwa. Presja migracyjna sterowana przez Rosję i Białoruś, wojna za wschodnią granicą, zagrożenia hybrydowe, prowokacje wrogich służb, a także ochrona infrastruktury krytycznej sprawiły, że Straż Graniczna stała się jednym z kluczowych elementów systemu bezpieczeństwa Polski.

Przez trzy i pół dekady służba przeszła głęboką ewolucję. Z formacji kojarzonej przede wszystkim z odprawami paszportowymi, rutynową kontrolą i pomocą w zwalczaniu przemytu stała się nowoczesną służbą o szerokim katalogu zadań: od zabezpieczania granicy lądowej,



FOT. FACEBOOK STRAŻY GRANICZNEJ

Presja migracyjna, wojna, wrogie prowokacje, sprawiły, że ochrona granicy jest elementem obrony państwa przed działaniami na progu wojny

wej, morskiej i lotniczej, przez przeciwdziałanie nielegalnej migracji, aż po udział w reagowaniu na kryzysy o charakterze hybrydowym. Dziś jest też służbą kluczową dla ochrony zewnętrznej granicy Unii Europejskiej i jednym z filarów bezpieczeństwa wschodniego skrzydła NATO.

W jej szeregach służbę pełni dziś blisko 17 tys. funkcjonariuszy, wspieranych przez około 3,5 tys. pracowników. Strażnicy ochraniają ponad 3,5 tys. km granicy - z czego prawie połowa - ok. 1,6 tys. km to zewnętrzna granica Unii Europejskiej.

Bezpieczna granica to służba bez przerwy

Granice Polski są chronione przez całą dobę, siedem dni w tygodniu, niezależnie od pogody, pory roku i warunków terenowych. W wielu miejscach oznacza to służbę w trudno dostępnych kompleksach leśnych, na terenach podmokłych, bagnach, w górach i na morzu. Tu trzeba nie tylko wartowników, ale i fachowców - funkcjonariusze korzystają w pracy z coraz bardziej zaawansowanych środków obserwacji, systemów elektronicznych, dronów, lotnictwa oraz specjalistycznego wyposażenia.

Obecny charakter służby pokazuje, jak daleko od realiów

sprzed 35 lat znalazła się formacja. Wschodnia granica Polski nie jest dziś wyłącznie linią administracyjną oddzielającą dwa państwa. Granica Unii Europejskiej i NATO od 2021 roku stała się areną długotrwałej presji migracyjnej i sceną operacji specjalnej sterowanej przez wroga ze Wschodu, wykorzystywanej jako narzędzie destabilizacji. Straż Graniczna, we współdziałaniu z Wojskiem Polskim, Policją i innymi służbami, stała się pierwszą linią odpowiedzi państwa na ten typ zagrożenia. A tu - na pierwszej linii - każdy zamiar, gest, czyn i niewłaściwe zachowanie mają szczególne znaczenie. Ich konsekwencje mogą zaognić napiętą sytuację w niekontrolowany sposób.

Szczególne zagrożenia nabrały w ostatnich latach zdolności do identyfikowania i neutralizowania zagrożeń, jeszcze zanim przerodzą się one w kryzys. Presja migracyjna na granicy polsko-białoruskiej, wojna Rosji przeciwko Ukrainie, wrogie prowokacje służb białoruskich i rosyjskich czy incydenty dotyczące bezpieczeństwa na Morzu Bałtyckim sprawiły, że ochrona granicy jest elementem obrony państwa przed działaniami na progu wojny.

Najbardziej wymagającym sprawdzianem pozostaje sytuacja na granicy polsko-białoru-

skiej. Od sierpnia 2021 roku Polska mierzy się tam z działaniami o charakterze instrumentalizacji migracji - cudzoziemcy są kierowani w rejon granicy przez białoruskie służby, a następnie wykorzystywani jako narzędzie presji politycznej i operacyjnej. W praktyce oznacza to codzienną służbę w warunkach dużego napięcia, konieczność reagowania na próby forsowania zapory, agresję wobec patroli, a także odpieranie prób przekraczania granicy w miejscach trudnych do zabezpieczenia.

W rozmowie z portalem InfoSecurity24.pl komendant główny Straży Granicznej gen. dyw. SG Robert Bagan wskazywał, że skala zaangażowania formacji w ochronę granicy z Białorusią jest większa, niż można wnioskować z samej liczby funkcjonariuszy widocznych w bezpośrednich patrolach. Jak mówił, każdego dnia w zabezpieczenie tego systemu zaangażowanych jest niemal 3 tys. funkcjonariuszy, bo ochrona granicy obejmuje nie tylko fizyczną obecność w terenie, lecz także obserwację, monitoring, rozpoznanie, lotnictwo, drony i zaplecze logistyczne. Dziś w warunkach, w których incydent graniczny może być elementem szerszej operacji psychologicznej, propagandowej albo rozpoznaw-

czej. Wrocie działania obejmują zarówno presję migracyjną, jak i prowokacje ze strony służb państw sąsiednich, naruszanie infrastruktury granicznej, wykorzystywanie dronów oraz celowe testowanie czasu reakcji polskich patroli.

W tym kontekście szczególnego znaczenia nabierają bariery fizyczne i elektroniczne. Straż Graniczna konsekwentnie rozwija zabezpieczenia na granicy z Białorusią i Rosją, a w najbliższych latach planuje także budowę zapory elektronicznej na granicy z Ukrainą, pokrywającą się nieco z Tarczą Wschód. Gen. Bagan mówił w marcu 2026 roku, że pierwszy, 69-kilometrowy odcinek takiej bariery miałby zostać oddany do użytku najprawdopodobniej w 2027 roku, a cała granica z Ukrainą - tam, gdzie będzie to możliwe - mogłaby zostać objęta takim systemem do lat 2029-2030.

Wojna pełnoskalowa w Ukrainie i kryzys na granicy polsko-białoruskiej sprawiły, że coraz częściej wraca pytanie o charakter Straży Granicznej w nowych realiach. Nadal to formacja podlega Ministerstwu Spraw Wewnętrznych i Administracji, ale zakres jej działań i ryzyk, z jakimi się styka, coraz bardziej przypomina wyzwania znane z pogranicza obronności. Zresztą ochrona granicy realizowana jest z wykorzystaniem jednostek wojskowych, zarówno zawodowych, jak i Wojsk Obrony Terytorialnej - które tworzą już Komponent Obrony Pogranicza.

W wywiadzie dla InfoSecurity24.pl gen. Robert Bagan mówił o potrzebie skierowania Straży Granicznej „w kierunku służby jeszcze bardziej zmilitaryzowanej”. To jedno z najważniejszych zdań w dyskusji o przyszłości formacji. Nie oznacza to przekształcenia SG w formację wojskową, lecz wzmocnienie jej odporności, liczebności, zdolności manewrowych, ochrony balistycznej i możliwości reagowania na zagrożenia kinetyczne oraz technologiczne. Konsekwencją tej zmiany mogą być m.in. plany zakupu lekkich wołów opancerzonych. Jak wskazywał komendant główny SG, w ciągu dwóch lat ponad 100 pojazdów terenowych i patrolowych wymagało napraw po atakach z użyciem kamieni i metalowych kul miotanych z procą przez migrantów. Lekkie pojazdy opancerzone mają poprawić bezpieczeństwo funkcjonariuszy pełniących służbę na szczególnie narażonych odcinkach granicy.

Obszarem rozwoju mają być także zdolności antydronowe. Straż Graniczna otrzymała już narzędzia prawne do neutralizacji bezałogowych statków powietrznych, a w przyszłości chce rozwijać kolejne rozwiązania pozwalające wykrywać i zwalczать tego typu obiekty. W rozmowie z InfoSecurity24.pl gen. Bagan mówił o budowie „sys-

temu, który potrafi namierzyć cel i go zneutralizować”.

Lotnictwo, Bałtyk, infrastruktura

Formacja odpowiada nie tylko za ochronę lądowego pasa granicznego, lecz także strzeże wód terytorialnych i działa w morskiej strefie przygranicznej. To szczególnie ważne w warunkach groźby ataków hybrydowych na obiekty infrastruktury krytycznej na Bałtyku: portów, gazociągów, kabli energetycznych i telekomunikacyjnych oraz instalacji offshore.

Komendant główny SG wskazywał, że dodatkowe środki na modernizację mogłyby wzmocnić właśnie zdolności w zakresie obserwacji sytuacji na Bałtyku - który też stał się sceną ataków hybrydowych ze strony Rosji - oraz ochrony morskiej infrastruktury krytycznej. Wśród potrzeb wymieniał nowoczesne jednostki pływające, ale także środki zwiększające szybkość reagowania. Elementem tej modernizacji ma być również rozbudowa lotnictwa Straży Granicznej. Program modernizacji SG zakłada zakup co najmniej trzech nowych śmigłowców, a w przypadku pozyskania dodatkowych środków planowana liczba nowych maszyn mogłaby wzrosnąć do ośmiu. Miałyby to być wielozadaniowe statki powietrzne przeznaczone m.in. do patrolowania granicy, szybkiego przemieszczania sił, wsparcia działań kryzysowych oraz współpracy z innymi służbami.

Straż Graniczna musi być gotowa do działania w sytuacjach kryzysowych, pod presją operacyjną i medialną, w ścisłej współpracy z wojskiem, Policją, służbami specjalnymi, administracją publiczną i partnerami międzynarodowymi. Jej skuteczność zależy zarówno od wyszkolenia ludzi, jak i od jakości sprzętu, liczebności, odporności logistycznej oraz sprawności procesu decyzyjnego. Dlatego 35-lecie Straży Granicznej można odczytywać również jako symboliczny moment przejścia do nowego etapu. Formacja wchodzi w kolejne lata nie tylko z większym doświadczeniem, lecz także z wyraźną potrzebą dalszego rozwoju.

JUBILEUSZ

Piknik, koncert i centralne obchody

Kulminacją obchodów 35-lecia Straży Granicznej będą uroczystości w Lublinie. Centralne Obchody Święta Straży Granicznej odbędą się 16 maja o godz. 12.00 na Placu Zamkowym. Podczas uroczystości wręczone zostaną odznaczenia państwowe i resortowe, a także odbędzie się promocja na pierwszy stopień oficerski SG.

JAJA GRUBEGO

Hasło utworzą litery z pól ponumerowanych u dołu od 1 do 8.

POZIOMO: 1) zielony, ściskany w ręku (Rodowicz), 4) zła moneta, już nie w użyciu, 7) język „wojskowy”, podobny do hindi, 8) urodziny, częste na drzewie, 9) ludowy na powitanie wiosny, 11) ...et orbi dla miasta i świata, 12) wielki jak niedźwiedzica, 13) ptak ze szkołą (płynie), 15) mierzą pracę i energię, 16) wichura z konara, 19) winogrona w cieście, 20) sceniczna lady, 21) przydatny w głowie i w kuchni, 23) małej Aleksandry w dokumentach, 25) z niej gnój, 27) cicho gdy zasiany, 28) też da herbaty, 31) słynne Pindara, 32) wzdłuż Sahary, z półwyspem, 34) kumpel Gerdy z kosmitą, 35) mydełko na jednym, 36) stara w opłu.

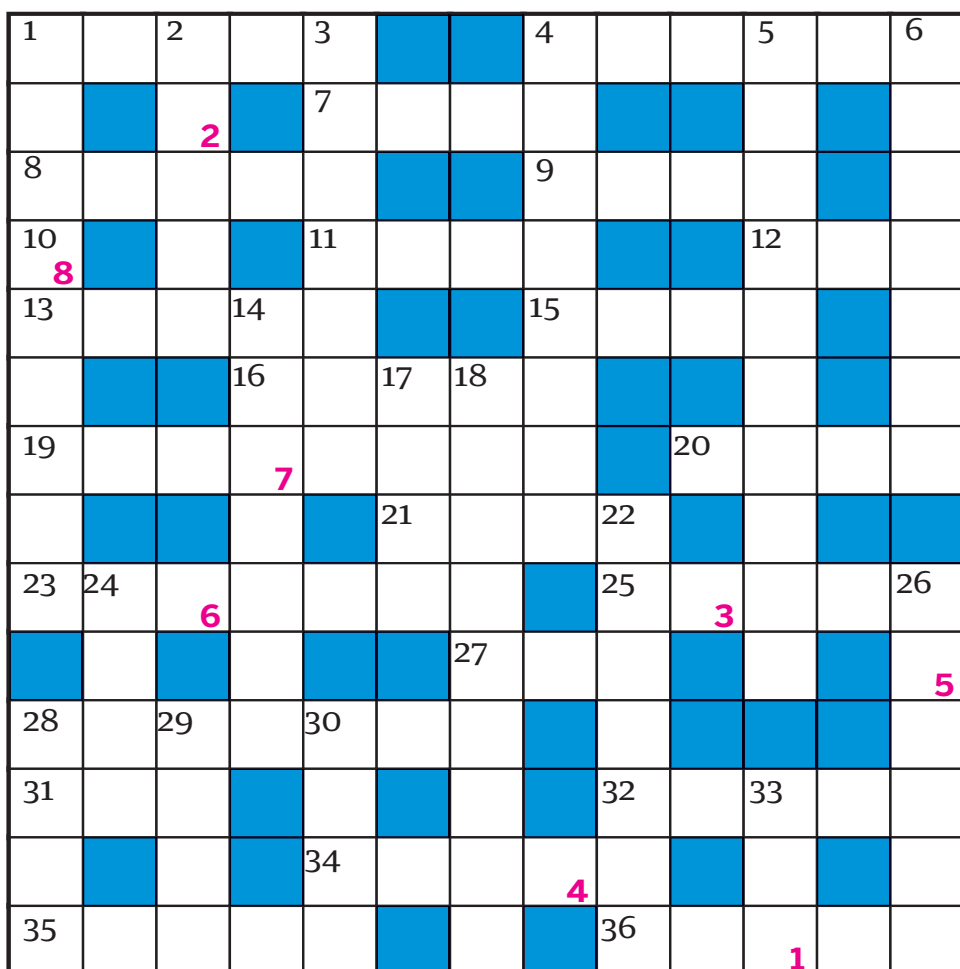
PIONOWO: 1) Waleria K., 2) fałda terenowa z damul, 3) najdłuższe pumy,

4) bezzębne, a gryzie, 5) może skończyć istnienie firmy, 6) pitna, choć się paliła, 10) niejeden w posiadaniu ranczera, 14) różana pani (z ros.), 17) bywa, że kopci, 18) duchowny buddyjski w akcji, 22) podwójnie związana z Edypem, 24) spotykany w Turcji, Iraku lub Iranie, 26) dzięglawa, ozdobna, 28) wdzianko na 4 kołach, 29) zdrobniały gość z gazów, 30) pożywi owce i zające, 33) dawno i daleko.

● Rozwiązanie z 30.04.2026 r.

Hasło: GLADIOLUS

POZIOMO: podziw, kolaż, Yalu, Zbaraż, egida, Łajka, samogon, rani, wgląd, Arai, nord, Burt, Nemrod, bila, rektoraty, rausz, Chile, Zagórze. **PIONOWO:** przedsiębiorca, diadem, wyżyłowanie, kurek, loki, żupa, Gardno, denar, angielska, opat, oddanie, dobytek, ratusz, mat, Brzeg, owce.



1	2	3	4	5	6	7	8
---	---	---	---	---	---	---	---

Gazeta
WROCŁAWSKA
www.gazetawroclawska.pl

Redaktor naczelna **Maja Majewska**,
Z-ca redaktora naczelnej **Mateusz Różański**,
Prezes Makroregionu **Robert Glinkowski**,
Dyrektor marketingu oddziału **Anna Bijak-Bednarska**

Redakcja ul. św. Antoniego 2/4 (wejście A, l.p.)
50-073 Wrocław, tel. 71 37 48 151, 71 37 48 100
redakcja@gazeta.wroc.pl
Druk Polska Press Oddział Poligrafia 41-203
Sosnowiec Miłowice, ul. Baczyńskiego 25a

POLSKA PRESS GRUPA
Wydawca Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa,
tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10

Prezes Zarządu Polska Press Grupy **Zenon Nowak**
Redaktor naczelny Polska Press Grupy **Marek Twaróg**
Dyrektor artystyczny **Tomasz Bocheński**
Dyrektor kolportażu **Tomasz Osoliński**
Biuro Konsumenta PPG, e-mail: biurokonsumenta@polskappress.pl, tel. 12 688 85 10



WIEŚCI NIE Z TEJ ZIEMI

ALICJA SZEMPLIŃSKA

Rzuciła się
w ramiona

Polska wokalistka zachwyciła jury i widzów podczas pierwszego półfinału Eurowizji w Wiedniu i zakwalifikowała się do sobotniego finału konkursu. Po wykonaniu piosenki „Pray” Szemplińska zeszła ze sceny i wbiegła za kulisy. W mediach społecznościowych pojawiło się nagranie dokumentujące tę chwilę, na którym widać, jak rzuca się w ramiona ukochanego i daje mu buziaka. Piosenkarka jest związana z Łukaszem Hodakowskim, znanym w branży muzycznej jako Hodak. 30-latek jest cenionym raperem i autorem tekstów. – On jest dla mnie taką osobą, która zawsze próbuje mnie uspokoić w tym wszystkim, bo jestem bardzo emocjonalna, bardzo wrażliwa. Czasami też za bardzo przeżywa pewne kwestie. On jednak ma bardziej chłodne podejście do życia – powiedziała Szemplińska w wywiadzie dla Plejady.

KATARZYNA CICHÓPEK

Bujała na ulicy

Celebrytka wybrała się z Maciejem Kurzajewskim na krótki wypad do Budapesztu. W mediach społecznościowych pary pojawiły się rolki dokumentujące zwiedzanie stolicy Węgier. Na jednym z nagrań Cichopek i Kurzajewski dali się nawet ponieść chwili, bujając biodrami na środku ulicy. Potem para podzieliła się rolką, na której można zobaczyć rozmaite kadry z ich węgierskiej podróży. Romantyczne spacery przeplatają się tutaj z zakupami w lokalnych sklepach, a jednym z najbardziej malowniczych momentów jest rejs po Dunaju z widokiem na słynny parlament. „Wciągnęła nas ta przygoda” – podsumowała celebrytka relację.

FILIP CHAJZER

Utrudnia
kontakty

W minionym tygodniu celebryta promował swoją książkę „Szczęście na kreskę” podczas spotkania autorskiego. Pojawił się na nim w towarzystwie nowej partnerki – 19-letniej Bianki. Para jest ze sobą od kilku miesięcy i ostatnio nawet zamieszkała razem. Nie wszystkim się to podoba. Jak



Alicja Szemplińska zachwyciła jury i widzów i zakwalifikowała się do sobotniego finału Eurowizji

donosi Pudelek, w momencie, gdy do głosu została dopuszczona publiczność, za mikrofon chwyciła matka Bianki. Zapytała Chajzera, dlaczego nakłonił dziewczynę po zaledwie kilku tygodniach znajomości do zamieszkania razem bez wiedzy rodziców, a także dlaczego utrudnia jej kontakty z bliskimi. Zrobiło się bardzo niezręcznie. Po spotkaniu Chajzer usiadł ze swą dziewczyną i jej matką, by spokojnie porozmawiać i po kilkunastu minutach wszyscy się rozeszli.

KINGA RUSIN

Ma alergię
na pyłki

Od połowy kwietnia celebrytka zwiedza wraz ze swym partnerem Japonię. W jednym z ostatnich wpisów presenterka poskarżyła się swym obserwatorom na kłopoty zdrowotne. „Ludzie, nie jedźcie do Japonii na wiosnę bez leków antyalergiczných, jeśli macie nawet minimalną skłonność do alergii. Uczcie się na moich błędach! Myślałam, że złapałam wirusa niereagującego na żadne medykamenty, a mam po prostu silne uczulenie na pyłki. Cztery tygodnie już objeżdżamy Japonię samochodem, jest wspaniale, ale alergia mocno utrudnia zwiedzanie” – napisała.

JAN ENGLERT

Nic nie załatwił

Weteran polskich scen był ostatnio gościem podcastu Grzegorza Krychowiaka. Pod-

czas rozmowy padło pytanie o córkę aktora Helenę i zamieszanie wokół jej występu w spektaklu „Hamlet” w Teatrze Narodowym, który reżyserował. – Pół roku namawiałem córkę, żeby zechciała zagrać, bo ona wiedziała, że będą ją oskarżać o nepotyzm. Ale ona chciała mnie chronić. Jej wszystko jedno, bo jest silna. Silna na tyle i ambitna, że nigdy nie chciała mi nic zawdzięczać. Przecież pojechała do Stanów na studia. Gdyby nie pandemia, pewnie byłaby teraz baby sitter gdzieś tam. Na szczęście pandemia ją wygoniła ze Stanów i pół roku płaciliśmy ciężkie pieniądze za naukę aktorstwa online. Helena wszystko zdobyła sama. Ja nie załatwiłem mojej córce nic – podsumował.

MACIEJ ZAKOŚCIELNY

Zatańczył
na plaży

O tym, że aktor Maciej Zakościelny i Sara Janicka mają się ku sobie, mówi się, od kiedy para miała okazję poznać się bliżej na parkiecie „Tańca z Gwiazdami”, gdzie w 2024 roku udało się jej wywalczyć trzecie miejsce. Od tamtej pory relacja dynamicznie się rozwija. Aktor i choreografka kilkakrotnie widywani byli na mieście. Skorzystali z pięknej pogody, by wspólnie odpocząć w Sopocie. Para zasiadła w jednej z nadmorskich kawiarni, gdzie przy schłodzonych napojach prowadziła długą rozmowę. Po opuszczeniu knajpki ruszyli w przejażdżkę Monciakiem: on wybrał deskę, ona – hulajnogę.

MISTRZOWIE URODY POZNAJ BLIŻEJ UCZESTNIKÓW TEGOROCZNEJ EDYCJI

Życie jest piękniejsze, gdy spotkasz dobrego fryzjera!

Ewelina Żuberek
ewelina.zuberek@polskapress.pl

Fryzjerzy to twórcy pewności siebie. Równie często dotykają serc, co włosów. Mawia się też, że dobra fryzura to korona, której nigdy nie zdejmujemy.

Fryzjer robi znacznie więcej niż tylko strzyże czy farbuje. On dodaje odwagi, poprawia humor i sprawia, że spoglądamy w lustro z zachwytem. I właśnie dlatego mawia się, że życie jest piękniejsze, gdy spotkamy dobrego fryzjera, a twarzowa fryzura bywa koroną, którą nosimy każdego dnia. To dlatego też w tym zawodzie znaczenie mają nie

tylko kompetencje zawodowe, doświadczenie i wyczucie stylu, ale także umiejętność budowania relacji. Fryzjer często staje się kimś, do kogo wracamy regularnie przez lata. Kimś, komu opowiada się o codzienności, planach, zmianach i ważnych momentach życia. Kimś, kogo poleca się koleżankom oraz... zgłasza do plebiscytu Mistrzowie Urody!

Za nami pierwszy tydzień trwania tej akcji, do której ekspertów z branży beauty nominują klienci. I to ich głosy zdecydują o tym, do kogo trafią prestiżowe tytuły Mistrzów Urody 2026. Będą wśród nich również fryzjerzy, bo przecież tak wielu klientów mówi o nich nie tylko jako o specjalistach, ale

po prostu o kimś ważnym i zaufanym. W salonie toczą się bowiem rozmowy lekkie i zupełnie zwyczajne, ale czasem także bardzo osobiste. Fryzjerzy są obecni przy ważnych wydarzeniach - ślubach, studiówkach czy nowych etapach życia - ale też przy zwykłych dniach, które dzięki nim i rozmowie z nimi stają się po prostu miłsze. - Za każdym fotelom fryzjerskim stoi człowiek, który wybrał właśnie taką drogę zawodową. Dla jednych była to pasja od najmłodszych lat, dla innych przypadek, który z czasem okazał się najlepszym możliwym wyborem. Byliśmy ciekawi tych historii, dlatego poprosiliśmy uczestników Mistrzów Urody, by opowiedzieli

nam coś więcej o sobie - mówi Katarzyna Borek, która opiekuje się akcją od strony redakcyjnej. Jak dodaje: - Dziś oddajemy głos fryzjerom, których do akcji nominowali klienci, doceniając nie tylko ich umiejętności zawodowe, ale i te związane z budowaniem relacji. Przedstawiciele tej branży opowiedzieli nam o sobie i swojej zawodowej drodze.

W akcji Mistrzowie Urody chcemy pokazywać właśnie takie osoby - ludzi, którzy swoją codzienną pracę pomagają innym poczuć się lepiej we własnej skórze. To pierwsza odsłona pięknych - dosłownie i w przenośni - historii.

Więcej na:
gazetawroclawska.pl/uroda



Valentina Sprykina,
Hair Laboratory Romanovska,
Wrocław

Kategoria: Fryzjer Roku

- Moja pasja do fryzur zaczęła się jeszcze w czasach szkolnych, cesałam wtedy wszystkie koleżanki z klasy i marzyłam, by w przyszłości robić to, co daje mi prawdziwą radość. W domu nikt nie traktował mojego hobby poważnie, dlatego na wszystkie szkolenia zarabiałam sama. Wiedziałam, co chcę robić i byłam gotowa ciężko pracować, by osiągnąć swój cel, bez względu na przeszkody - wspomina. Dziś największą nagrodą są dla pani Valentyny oczywiście uśmiechy klientek i poczucie, że odgrywa jedną z kluczowych ról w jednym z najważniejszych dni w życiu każdej kobiety - w dniu ślubu. To ogromna odpowiedzialność, którą przyjmuje z wielką radością! Jej klientki są największą inspiracją i dają siłę, by iść dalej. Chociaż nie zawsze wszystko układa się tak, jakby chciała. Podczas jednego ze ślubów nagle zerwała się ulewa, a panna młoda była bliska załamania, widząc, jak niszczą jej plany o ceremonii w plenerze. W tamtej chwili zrozumiała, że musi być dla niej nie tylko fryzjerką, ale przede wszystkim wsparciem i opoką w tym chaosie. Spokój fryzjerki udzielił się klientce i gdy kończyła stylizację, panna młoda szczerze się uśmiechała, gotowa z lekkim sercem wejść na nową drogę życia.



Marta Sapiegin,
Salon Fryzjerski u Marty,
Wałbrzych

Kategoria: Fryzjer Roku

Odkąd pamięta, zawsze chciała być fryzjerką. Już w dzieciństwie zaczęła interesować się tym zawodem. Z czułością i starannością tworzyła pierwsze stylizacje na głowach swoich bliskich. Choć brakowało Jej wówczas doświadczenia i umiejętności, miała w sobie ogromne pokłady pasji. Ta fascynacja światem fryzur nie zniknęła, wręcz przeciwnie z każdym rokiem, ma jej coraz więcej. - Myślę, że moi klienci dają mi ogromną satysfakcję z tego co robię i mi ufają. Uczymy się nawzajem siebie i słuchamy, doradzamy to, co ma być na głowie oraz w życiu prywatnym, dzielimy zaufaniem - przekazuje Marta Sapiegin. Zapytaliśmy Ją, czy ma w pamięci jakieś wyjątkowe historie związane z klientami lub jakąś szczególną metamorfozę, którą wspomina do dziś. Okazuje się, że ma ich całkiem mnóstwo. Wyjątkowe przemiany to Jej specjalność, a jeśli zaś chodzi o opowieść z fotela fryzjerskiego woli je pozostawić dla siebie, bo wie, że każda taka historia jest wyjątkowa, mogła ją poznać, bo ktoś obdarzył Ją zaufaniem i nie chce tego zaufania zawieść. Każdego dnia stara się sprostać oczekiwaniom klientów, a największą nagrodą jest to, że oni to widzą i wracają do pani Marty z uśmiechem.



Paulina Walęcka,
Od inspiracji do Stylizacji Paulina
Walęcka, Trzebnica

Kategoria: Fryzjer Roku

Paulina Walęcka wspomina, że Jej przysługą z fryzjerstwem zaczęła się już w szkole. Już wtedy interesowało Ją czesanie włosów, czuła bowiem, że dobrze dopasowana fryzura to coś więcej niż ładny wygląd. Potem naturalnie poszła w tym kierunku i z czasem okazało się, że naprawdę dobrze się w tym odnajduje. Jak podkreśla, lubi to, że w tym zawodzie cały czas można się rozwijać i uczyć nowych rzeczy, dzięki temu ta praca nie jest monotonna, a na nudę nie może narzekać. Najbardziej zapadają Jej w pamięć momenty, kiedy klient wychodzi nie tylko z nową fryzurą, ale też z lepszym samopoczuciem. - Pamiętam klientkę, która przyszła po trudnym okresie w życiu i chciała całkowitej zmiany. Sama metamorfoza była ważna, ale jeszcze ważniejsze było to, że po wszystkim zobaczyłam u niej pewność siebie i uśmiech. Wtedy naprawdę czułam, że ta praca to coś więcej niż tylko włosy - wspomina pani Paulina. Zaznacza przy tym, że chciałaby, żeby klienci cenili Ją nie tylko za umiejętności, ale też za podejście do ludzi: za cierpliwość, szczerłość i to, że naprawdę stara się dobrać fryzurę do osoby, a nie tylko do trendów.

AKTUALNI LIDERZY GŁOSOWANIA

FRYZJER ROKU

1. **Valentina Sprykina**, Hair Laboratory Romanovska, Wrocław
2. **Justyna Rejek**, Studio Fryzjerskie Justyna Rejek, Wołów
3. **Aleksandra Młodzieniewska**, Marilyn Salon Fryzjerski, Lwówek Śląski

BARBER ROKU

1. **Julia Żółkiewska**, Barber Shop Scrappy Coco, Legnica
2. **Sylwia Pawłowska (Sysia)**, The Court Barber, Wrocław
3. **Łukasz Kalka**, Salon Fryzjerski Łukasz Kalka, Trzebnica

KOSMETYCZKA ROKU

1. **Joanna Jakubek**, JOYA Beauty Joanna Jakubek, Wrocław
2. **Małgorzata Łodzińska**, Klinika Urody Gineka, Oborniki Śląskie
3. **Aneta Goch**, Salon Kosmetyczny Reflex, Legnica

MAKE-UP ARTIST ROKU

1. **Agnieszka Gryszczuk**, Divine Beauty Studio, Wrocław
2. **Nicola Siemińska**, Nicolasieminska.beauty, Żąbkowice Śląskie
3. **Karolina Kaczmarek**, Beauty Concept Studio, Sobótka

STYLISTKA PAZNOKCI ROKU

1. **Roksana Garczewska**, Studio Diamencik Roksana Garczewska, Lubin
2. **Marlena Borawska**, Marla Beauty nails Marlena Borawska Stylizacja Paznokci, Mieroszów
3. **Paulina Szumczyk**, Studio Paznokci Paulina Szumczyk, Góra

STYLISTKA RZĘSI BRWI ROKU

1. **Ewelina Szczepanik**, Ewelina Szczepanik - Stylizacja rzęs i brwi, Legnica
2. **Monika Olszewska**, Karkaja Makeup Studio, Wrocław
3. **Martyna Ewiak**, Stylizacja Rzęsi i Brwi - Martyna Ewiak, Wążów

LINERISTKA ROKU

1. **Maryna Baysha**, Studio Makijażu Permanentnego Maryna Baysha, Olawa
2. **Karolina Kuna**, Kunka Studio, Wrocław
3. **Aleksandra Gadowicz**, Makijaż Permanentny Aleksandra Gadowicz, Wrocław

PODOLOG ROKU

1. **Anna Kielar-Krawiec**, Zdrowe Stopy Gabinet Podologiczny, Trzebnica
2. **Dagmara Rzeszutek**, Beauty Angel & MedEstetica, Szklarska Poręba
3. **Karolina Bokszczanin**, Podologia Karolina Bokszczanin, Świdnica

MISTRZ TATUAŻU I LUB PIERCINGU ROKU

1. **Hubert Włodarczyk**, Tren Ink, Bolesławiec
2. **Sandra Wolska**, Mały Trzask, Kamienna Góra
3. **Mikołaj Włodarczyk**, messy.dots, Wrocław

KOSMETOLOG ROKU

1. **Natalia Andruszewska**, Cristal de Beaute, Żąbkowice Śląskie
2. **Joanna Stasińska**, Pracownia Piękna, Jelenia Góra
3. **Luiza Kościelny**, Salon Kosmetyczny Lilia, Bolesławiec

MASAŻYSTA ROKU

1. **Ewelina Szumyło**, Studio Masażu Harmonia Dotyku, Wrocław
2. **Klaudia Wichlacz**, Ahimsa Salon Masażu Balijskiego, Wrocław
3. **Agata Popiel**, Ahimsa Salon Masażu Balijskiego, Wrocław

TRENER PERSONALNY LUB FITNESS/INSTRUKTOR JOGI ROKU

1. **Konrad Wrona**, Xtreme Fitness, Strzegom
2. **Weronika Puczyńska**, Zen Time Pilates, Wrocław
3. **Kinga Antoszko**, Xtreme Fitness, Zgorzelec

DIETETYK ROKU

1. **Marcin Rozumiszewski**, Poradnia Odchudzania i Odżywiania Slim Clinic, Jelcz-Laskowice
2. **Kamila Młoczek**, Revita Centrum Medycyny Przeciwwstarzenia i Dietetyki Klinicznej, Bielany Wrocławskie
3. **Paulina Moruś**, Dietetyk na insta, Wrocław

SALON FRYZJERSKI ROKU

1. **Pasja Joanna Gach**, Bierkowice 1
2. **Hidden Beauty A&R**, Zgorzelec, Traugutta 92
3. **Fryzjer Damski & Barber Shop Fidel**, Żąbkowice Śląskie, Kościuski 11/1

STUDIO URODY ROKU

1. **Usługi Kosmetyczne Voys**, Wrocław
2. **Studio Stylizacji Paznokci Anna Gałysa**, Stary Julianów 173
3. **Claudyna Klaudia Mosiądz**, Lwówek Śląski, Sienkiewicza 13

PARTNER PLEBISCYTU

Beauty  **Razem**

DROBNE

Jak zamieścić ogłoszenie drobne?

Telefonicznie: 800-472-852, 71/37-48-249
Przez internet: ibo.polskapress.pl
e-mail: ogloszenia.wroclawska@polskapress.pl

W Biurze Reklamy:

Biuro Ogłoszeń: **Wrocław**, ul. Świętego Antoniego 2/4
tel. 71/37-48-249, 71/37-48-132
Czekamy od poniedziałku do piątku w godz.: 8.00-16.00

BIURA W REGIONIE:

Jelenia Góra, tel. 797 607 853

Legnica, tel. 514 800 870

Syców, tel. 514 800 969

Lubin, tel. 514 800 969

Wałbrzych, tel. 502 499 983

Głogów, tel. 798 751 830

Świdnica, tel. 502 499 983

BIURA WSPÓŁPRACUJĄCE:

ARPRO Sp. z o.o. Al. Kasztanowa 20, tel.71/341-23-53

DAMAK'S ul. Kniaziewiczza 23 B, tel. 71/341-07-87

EUROPARTNER Centrum Ogłoszeń Prasowych Wrocław,
ul. Stefana Czarnieckiego 13, tel. 71/789-44-00 -03

PRESTIGE ul. Kościuszki 128a, tel. 693-693-737

SEBAMAR ul. Sienkiewicza 43, tel. 71/321-29-04

SUNPRESS Biuro Ogłoszeń Prasowych Plac Pereca 3 lok. 1 B,
tel. 71/785-55-23

Nieruchomości

MIESZKANIA - KUPIĘ

KUPIĘ garaż, mieszkanie, tel.
504-358-452.

KUPIĘ każde, got. w 24 h, 500-002-486

**Kupię mieszkanie zadłużone,
z trudnym lokatorem,
komornikiem, udziały. Gotówka,
883-402-202**

KUPIĘ udział w mieszkaniu
500185254.

MIESZKANIA - WYNAJMĘ

POSZUKUJĘ do wynajęcia mieszkania,
pokoju tel. 504-358-452.

Handlowe

ANTYKI

ANTYKI, stare obrazy, meble, starocie
- kupię, 660-532-696.

MASZYNY URZĄDZENIA

KUPIMY maszyny do obróbki metalu
i drewna. Tel.: 782-592-790.

MATERIAŁY BUDOWLANE

PRODUCENT cegły budowlanej pełnej
kl. 20 i dziurawki kl. 5, 600-773-046,
www.cegielniasiedleszczany.pl

Motoryzacja

OSOBOWE SPRZEDAM

POLONEZ Caro, 1.6, 1999r., zielony,
garażowany, pierwszy właściciel, stan
dobry, 604-844-769

CZĘŚCI WYPOSAŻENIE SPRZEDAM

SPRZĘGŁA-NAPRAWA Szczęki
hamulcowe - wymiana okładzin.
Świdnica. www.metalowiec.com Tel.
728-493-565.

Praca

ZATRUDNIĘ

SPRZĄTANIE klatek schodowych oraz
posesji, Wrocław, tel. 515-144-576.

Usługi

AGD RTV FOTO

**Domowa naprawa telewizorów
LED, LCD; 71/351-60-02,
502-175-735.**

BUDOWLANO-REMONTOWE

A-Z remonty, itp. Tel. 781-734-796.

A-Z remonty. Tanio! 502-974-900.

DACHY, naprawy, itp.781-734-796.

ELEKTRYCZNE inst. Pomiary.
71/351-15-15, 603-867-128.

ELEKTRYCZNE Pogotowie
71/351-15-15, 603-867-128.

MALARSKIE, itp. Tel. 781-734-796.

MALARZ, gładzie bezpył. 730-325-737

OGRODZENIA + naprawy
781-734-796.

OKNA, drzwi, naprawy itp. 781734796.

PODŁOGI, naprawy itp. 781-734-796.

REMONT express! 576-843-659.

ROLETKI, żaluzje, moskitiery, okna,
rolety, drzwi. Montaż, produkcja,
naprawa, tel. 71/341-83-03.

INSTALACYJNE

ANTENA absolutnie profesjonalnie,
tel. 603-867-128, 71/351-15-15.

Awarie - Hydraulik - 505-087-474.

HYDRAULICY taniej 694-724-672

HYDRAULIK 24h, awarie 505-982-689.

Hydraulik natychmiast 500323373

OGRODNICZE

OGRODY, drzewa, 576-843-659.

PORZĄDKOWE

ZWALCZANIE pluskwy, 660-811-020.

PRZEPROWADZKI

TANIO 508-287-106, 71/784-55-63.

STOLARSKIE

Tapicerstwo tanio 601-892-927.

TRANSPORTOWE

WYWÓZ starych mebli, 660-811-020.

ZABEZPIECZAJĄCE

AWARIE zamków, montaż, serwis
drzwi antywłam. 501-104-158.

INNE

KUCHNIE junkersy piece 609-528-079.

Turystyka

KRAJ - GÓRY

**Beskidy turnusy 7 dni od 1050
zł z 30% dofin. dla emerytów/
rencistów, tel 501-642-492.**

PROMOCJA - pobyt - 95 zł ze
śniadaniem. TYLICZ k/Krynicy G., pok.
z łaz.+TV, bilard, parking, 730-007-166

KRAJ - MORZE

DANA - USTRONIE MORSKIE. Tanie
wczasy z wyżywieniem dla Seniorów.
601-585-510 www.danaustronie.pl

**Karwia, - wczasy i pokoje nad
morzem, 602-474-929**

USTKA - ośrodek wypoczynkowy.
Promocje! Wczasy 604-486-413 www.morski101.pl

USTRONIE MORSKIE - pokoje
z łazienkami, V-VI. PROMOCJA.
Blisko morza - 7 min. Tel.:
503-936-581.

Matrymonialne

WOLNA pozna pana ok. 70
lat z Wrocławia. Cel matrym.,
663-112-550

Różne

STARE książki skup, 881-934-948

Rolnicze

INNE
NAWOZY NPK, MG, S, N 6%, P 16%,
K 28%, S 9%, MG 7% Cena 2.150 zł/
tona, 500-669-621

Towarzyskie

WANDY, 505-353-547.

REKLAMA

0011523516



OGŁOSZENIE

Wójt Gminy Grębocice informuje

o zamieszczeniu w Biuletynie Informacji Publicznej
Urzędu Gminy Grębocice oraz na stronie internetowej:
www.grebocice.com.pl
wykazu nieruchomości:

- Zarządzenie nr 94.2026 z dnia 15.05.2026 r., przeznaczonej do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego,
- Zarządzenie nr 95.2026 z dnia 15.05.2026 r., przeznaczonej do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego.

REKLAMA

0011523602



WÓJT GMINY RUDNA 59-305 Rudna, Plac Zwycięstwa 15, woj. dolnośląskie

informuje o wywieszeniu w siedzibie Urzędu Gminy wykazów nieruchomości:

Nr 90/2026 z dnia 12 maja 2026 r.
w sprawie ogłoszenia wykazów nieruchomości
przeznaczonych do oddania w dzierżawę

Nr 91/2026 z dnia 12 maja 2026 r.
w sprawie ogłoszenia wykazów nieruchomości
przeznaczonych do oddania w użyczenie

Nr 92/2026 z dnia 12 maja 2026 r.
w sprawie ogłoszenia wykazu nieruchomości
przeznaczonej do oddania w najem

Wykazy podlegają wywieszeniu do dnia 5 czerwca 2026 r.

REKLAMA

0011522180



ZAWIADOMIENIE BURMISTRZ ŚRODY ŚLĄSKIEJ

zawiadamia, że w okresie od 15.05.2026 r. do 5.06.2026 r. w siedzibie Urzędu Miejskiego w Środzie Śląskiej, pl. Wolności 5, na tablicy ogłoszeń przy pokoju nr A-7 zostanie wywieszony wykaz nieruchomości – gruntu przeznaczonego do dzierżawy w trybie bezprzetargowym na okres do 5 lat na rzecz dotychczasowego dzierżawcy.
- część działki nr 183/40 AM-18 o pow. 16,75 m² w Środzie Śląskiej przy ul. Kilińskiego 5, z przeznaczeniem do wykorzystania jako grunt pod pomieszczeniem gospodarczym.
Wykaz umieszczony jest na stronach internetowych Gminy Środa Śląska pod adresem: www.srodaslaska.pl oraz bip.srodaslaska.pl

REKLAMA

0011504893

Stacja demontażu pojazdów
ZŁOMUJGRATA.PL®
**KASACJA
POJAZDÓW**
64-100 Lasocice k. Leszna
ul. Wschodnia 36A (przy S5)
500 545 500

REKLAMA

0011459132

**ZŁOMOWANIE
POJAZDÓW**
tel. 600 609 606
Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem
Cenimy
Twój czas!
Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

[illegible]

ROZWIĄZANIE: DAREMNA JEST WALKA Z PUSTOTĄ.

Betard Sparta żadna rewanżu za ubiegłoroczny półfinał

Dawid Foltyniewicz
dawid.foltyniewicz@polskapress.pl

ŻUZEL. W niedzielę do Wrocławia przyjedzie mistrz Polski PRES Grupa Deweloperska Toruń. Betard Sparta chce zrewanżować się „Aniołom” za porażkę w ubiegłorocznym półfinale PGE Ekstraligi.

Betard Sparta w ciągu tygodnia mierzy się z dwoma głównymi rywalami w walce o mistrzostwo Polski. Pierwszy z tych meczów nie potoczył się po myśli Wrocławian. Podopieczni Piotra Protasiewicza przegrali na wyjeździe z Orlen Oil Motorem Lublin (35:55). Warto podkreślić, że „Spartanie” nie byli w stanie wygrać drużynowo choćby jednego biegu.

- Sama jazda po tym torze nie należy do trudnych, ale czymś zupełnie innym jest bycie tutaj szybkim i wygrywanie. Motor może tu jeździć cały rok i budować swoją pozycję, my musimy się zdać na doświadczenie i próbę toru. Bardzo trudno przyjeżdża się tu w roli gości, by rywalizować na równi z ekipą lubelską. Może kiedyś tu przybędziemy i zaprezentujemy się dużo lepiej - tłumaczył Mikkel Andersen.

W niedzielę WTS czeka nie lada wyzwanie, czyli starcie z PRES Grupą Deweloperską. Piotr Baron w latach 2017-2020 świętował z Fogo Unią Leszno cztery mistrzostwa Polski z rzędu, a w ubiegłym roku poprowadził na szczyt ekipę z Torunia. Zrobił to kosztem Betard Sparty, która przegrała z „Aniołami” w półfinale. W pierwszym meczu PRES Grupa Deweloperska wygrała wysoko 52:38. Zwycięstwo „Spartan” we Wrocławiu (47:43) nie zdało się



Robert Lambert, Emil Sajfutdinow i Patryk Dudek to kluczowi zawodnicy PRES Grupy Deweloperskiej Toruń

na nic. Pozostała walka o brązowy medal.

Niedzielna potyczka na Stadionie Olimpijskim oczywiście nie zadecyduje o losach tytułu, ale może sprawić, że PRES Grupa Deweloperska osiągnie już czteropunktową przewagę w tabeli nad Betard Spartą. Zespół Piotra Protasiewicza ma zatem więcej do stracenia niż do zyskania.

Siłą drużyny z grodu Kopernika jest kolektyw. Ekipa Piotra Barona jest wiceliderem PGE Ekstraligi, choć nie ma ani jednego przedstawiciela w ścisłej czołówce najsilniejszych zawodników rozgrywek. Najwyżej

sklasyfikowany (na 8. pozycji) jest Robert Lambert. Brytyczyk zapewne najchętniej zapomniałby o swoich ubiegłorocznych występach. Z kolei w tym roku prezentuje najrowniejszą formę spośród wszystkich „Aniołów”. W zupełnie innym kierunku powędrowała natomiast dyspozycja Patryka Dudka. „Duzers” w sezonie 2025 był liderem PRES Grupy Deweloperskiej (pod względem średniej biegpunktowej w PGE Ekstralidze ustępował jedynie Bartoszowi Zmarzlikowi), ale w tym zmaganiu z problemami sprzętowymi.

W najbliższym meczu z Betard Spartą języczkiem

u wagi może okazać się postawa juniorów, a silniejszą formacją młodzieżową - przynajmniej na papierze - wydają się dysponować Torunianie. W tym roku z dobrej strony na ekstraligowych torach pokazuje się Antoni Kawczyński. Zarówno Marcel Kowolik, jak i Mikkel Andersen z zespołu „Spartan” zdobywają mniej punktów.

Mecz Betard Sparty z PRES Grupą Deweloperską rozpocznie się w niedzielę o godz. 19:30. Wszystkie bilety zostały już sprzedane, spotkanie obejrzy komplet 13 675 widzów.

Wrocławsko-toruńska potyczka zapowiada się jako hit 6. kolejki PGE Ekstraligi, choć ciekawie może być również 2,5 godziny wcześniej w Lesznie, gdzie miejscowa Fogo Unia podejmie Orlen Oil Motor. Drużyna z Lublina ma na koncie komplet czterech zwycięstw (mecz z Gezet Stalą Gorzów został przełożony na 24 maja) i na stadionie im. Alfreda Smoczyka będzie chciała zachować status niepokonanej.

PGE EKSTRALIGA

6. KOLEJKA

Dziś: Bayersystem GKM Grudziądz - Kronoplast Włókniarz Częstochowa (godz. 18:00, Canal+ Sport, Canal+ Sport 5), Gezet Stal Gorzów - Stelmet Falubaz Zielona Góra (godz. 20:30, Canal+ Sport).

Niedziela: Fogo Unia Leszno - Orlen Oil Motor Lublin (godz. 17:00, Canal+ Sport), Betard Sparta Wrocław - PRES Grupa Deweloperska Toruń (godz. 19:30, Canal+).

1. Motor Lublin	4	8	+86
2. PRES Toruń	5	8	+20
3. GKM Grudziądz	5	7	+24
4. Sparta Wrocław	5	6	+24
5. Unia Leszno	5	4	+16
6. Stal Gorzów	4	3	+16
7. Falubaz Zielona Góra	5	2	-54
8. Włókniarz Częstochowa	5	0	-132

© P

Trener Śląska Jacek Winnicki: Mistrzostwa wygrywa się defensywą

Dawid Foltyniewicz
dawid.foltyniewicz@polskapress.pl

KOSZYKÓWKA. Śląsk w pierwszym ćwierćfinale Orlen Basket Ligi nie ustrzegł się błędów, ale charakterem i wolą walki najpierw doprowadził do dogrywki, a w niej pokonał AMW Arkę Gdynia (87:84).

Na początku pierwszego spotkania z Arką niewiele wskazywało na to, że Wrocławianie dobrze wejdą w ćwierćfinały. Gracze Śląska zbyt często mylili się przy podaniach i brakowało im skuteczności, zwłaszcza w sytuacjach podkoszowych.

W czwartej kwarcie w zawodników WKS-u weszły jednak nowe siły. Podopieczni Jacka Winnickiego najpierw doprowadzili do dogrywki, a w niej - ku uciesze blisko trzech tysięcy kibiców w Hali Orbita - przechyliłi szalę zwycięstwa na swoją korzyść.

- Na początku chciałem podkreślić, że to dopiero jedna wygrana. To tak, jakby oceniać cały mecz po pierwszej połowie.

Byliśmy w trudnym położeniu, ale po to tu jesteśmy, żeby walczyć. Warto zwrócić uwagę na kilka statystyk. Świetny mecz Arki. Rzucili 13 trójek przy ponad 40-procentowej skuteczności. My mieliśmy tylko 27 proc. Jeśli chodzi o naszą drużynę, mistrzostwo i coś wielkiego wygrywa się obroną. Trzeci mecz z rzędu pokazaliśmy, że będziemy bronić na śmierć i życie - podkreślił trener Winnicki na pomeczowej konferencji.

Koszykarze Śląska i Arki nie mają zbyt wiele czasu na odpoczynek przed powrotem na parkiet. Już dziś (godz. 20:15) druga odsłona ćwierćfinałowej batalii w Hali Orbita. © P

ORLEN BASKET LIGA

PIERWSZY ĆWIERĆFINAŁ

Śląsk Wrocław - AMW Arka Gdynia 87:84 (20:24, 19:16, 17:22, 23:17, dogrywka 8:5)

Śląsk: Gray 19, Nizioł 14, Urbaniak 12, Luc 11, Williams 8, Djordjević 7, Kulikowski 7, Nunez 5, Penava 4, Wiśniewski 0.

Arka: Zyskowski 17, Barrett 15, Ljubičić 14, Garbacz 12, Okauru 10, Tubutis 6, Kowalczyk 6, Łęczyński 3, Hrycaniuk 1.



Trzy mecze i trzy zwycięstwa. Trener Śląska Jacek Winnicki na razie ma stuprocentową skuteczność

Finał sezonu dla Zagłębia: dwie wygrane dadzą przepustkę do Europy

Piotr Janas
x.com: @Piotr_K_Janas

PIŁKANOŻNA. Dziś o godz. 18 KGHM Zagłębie Lubin podejmie Pogoń Szczecin na inaugurację 33. kolejki PKO Ekstraklasy. Miedziowicy wciąż są w grze o europejskie puchary.

W środowy wieczór rozegrano dwa zaległe mecze 31. kolejki, które miały ogromne znaczenie dla układu tabeli. Arka Gdynia bezbramkowo zremisowała z Górnikiem Zabrze i wprawdzie

wciąż ma szanse na utrzymanie, ale dość mocno je ograniczyła.

Górnik z kolei po porażce z Zagłębiem (0:2) w poprzedniej serii gier i remisie w Gdyni stracił matematyczne szanse na mistrzostwo Polski. Wciąż jednak plasuje się na 3. miejscu, co ma ogromne znaczenie m.in. dla Lubinian. W drugim z zaległych meczów Jagiellonia Białystok wygrała z Rakowem w Częstochowie 2:0 i tym samym umocniła się na pozycji wicelidera. Białostoczanie są jedyną drużyną, która może jeszcze zagrozić Lechowi Poznaniu w wyścigu o tytuł mistrza Polski.

Muszą jednak liczyć na to, że „Kolejorz” nie wygra już żadnego z dwóch ostatnich spotkań, a cała zabawa może zakończyć się w sobotę, jeśli obrońcy tytułu wygrają z Radomiakiem w Radomiu.

Wszystko to ma znaczenie dla Zagłębia, które teoretycznie może jeszcze zostać jeszcze nawet wicemistrzem Polski, choć to mało realny scenariusz. Najważniejsze jest jednak to, że jeśli Górnik Zabrze utrzyma miejsce w pierwszej 4. na koniec sezonu, to nawet 5. miejsce dla przepustkę do europejskich pucharów. Kalendarz ułożył się tak, że

Zagłębie... ma wszystko w swoich rękach! Jeśli wygra w piątek z Pogonią i sprawi niespodziankę w Białymstoku za tydzień, to na pewno nie zakończy kampanii 2025/26 niżej, niż na 5. miejscu, które w tych okolicznościach da przepustkę do el. Ligi Konferencji.

Oczywiście istnieje też scenariusz, w którym nawet jedna wygrana da Miedziowym przepustkę do Europy, ale tu już zbyt wiele zależy od rywali, dlatego piłkarze Leszka Ojrzyńskiego muszą wziąć sprawy w swoje ręce. Ce na dziś: pokonać Pogoni!

33. KOLEJKA PKO EKSTRAKLASY

Dziś: KGHM Zagłębie Lubin - Pogoń Szczecin (godz. 18, Canal+ Sport 3), Korona Kielce - Widzew Łódź (g. 20:30, Canal+ Sport, Canal+ Sport 3).

Jutro: Motor Lublin - Cracovia (g. 14:45, Canal+ Sport 3), Wisła Płock - Górnik Zabrze (g. 17:30, Canal+ Sport 3), Radomiak Radom - Lech Poznań (g. 20:15, Canal+ Sport 3).

Niedziela: Piast Gliwice - Raków Częstochowa (g. 12:15, Canal+ Sport 3), GKS Katowice - Jagiellonia Białystok (g. 14:45, Canal+ Sport 3), Lechia Gdańsk - Legia Warszawa (g. 17:30, Canal+ Sport Premium, Canal+ Sport 3, TVP Sport).

Poniedziałek: Arka Gdynia - Bruk-Bet Termalica Nieciecza (g. 19, Canal+ Sport 3, Canal+ Sport 5).

1. Lech Poznań	32	56	57-42
2. Jagiellonia Białystok	32	52	53-39

3. Górnik Zabrze	32	50	43-36
4. Raków Częstochowa	32	49	45-39
5. GKS Katowice	32	48	48-42
6. KGHM Zagłębie Lubin	32	48	45-36
7. Wisła Płock	32	45	32-35
8. Radomiak Radom	32	44	49-44
9. Legia Warszawa	32	43	36-36
10. Motor Lublin	32	42	43-46
11. Pogoń Szczecin	32	41	45-48
12. Piast Gliwice	32	41	40-41
13. Cracovia	32	40	35-38
14. Widzew Łódź	32	39	39-39
15. Korona Kielce	32	39	38-39
16. Lechia Gdańsk	32	38	59-60
17. Arka Gdynia	32	36	32-55
18. Termalica Nieciecza	32	28	37-61

© P

SPORT

www.sportowy24.pl

Koniec sagi związanej z walkowerem. Śląsk czeka na zmniejszenie kary

Piotr Janas
x.com: @Piotr_K_Janas

Najwyższa Komisja Odwoławcza PZPN zajęła się odwołaniami Wisły Kraków i Śląska Wrocław po tzw. meczu widmo, na który Krakowianie nie przyjechali. NKO nie miała wątpliwości: 3 pkt dla WKS-u.

Nie było niespodzianki: Najwyższa Komisja Odwoławcza PZPN po srobowym posiedzeniu wydała komunikat, w którym poinformowała, że decyzja o walkowerze na korzyść Śląska Wrocław została podtrzymana.

To o tyle istotne, że zgodnie z przepisami PZPN Wisła Kraków nie przysuguje odwołanie od tej decyzji. Oczywiście nikt nie zabroni Wiślakom pójść z tą sprawą do CAS, UEFA, a nawet FIFA, ale te organy nie mają narzędzi, by przyznać/odebrać punkty. Mogą co najwyżej uznać rację odwołującego się klubu (co w tym przypadku jest mało prawdopodobne) i nakazać np. wypłatę odszkodowania Wiśle. W tym wypadku odszkodowanie musiałby wypłacać PZPN, ale to proces, który może trwać latami, a szanse na to, że zakończy się po myśli odwołujących, są niewielkie.

Wisła Kraków odwoływała się do NKO PZPN w sprawie walkowera, a Śląsk Wrocław zabiegał o zmniejszenie kary - 1 mln PLN - za odmowę przyjęcia zorganizowanej grupy kibiców Wisły. NKO nie wydała decyzji w tej drugiej

sprawie, ale ma zrobić to w najbliższych dniach.

„NKO merytorycznie rozpoznała sprawę odpowiedzialności dyscyplinarnej klubu Śląsk Wrocław w związku z niewpuszczeniem zorganizowanej grupy kibiców Wisły Kraków na mecz 24. kolejki Betclio 1. Ligi sezonu 2025/2026. Ogłoszenie orzeczenia nastąpi podczas najbliższego posiedzenia Najwyższej Komisji Odwoławczej PZPN” - czytamy.

Drogą nieoficjalną udało nam się dowiedzieć, że kara dla Śląska zostanie zmniejszona i to w sposób istotny. Dwa niezależne od siebie źródła podawały jednak zbyt szerokie „widełki”. Jedno mówi o zmniejszeniu o co najmniej połowę - czyli o min. 500 tys. zł - drugie o zredukowaniu tej kary do około 1/4, a więc 250 tys. zł. Jakikolwiek będzie finałne orzeczenie NKO PZPN w sprawie kary dla Śląska, WKS-owi przysuguwać będzie odwołanie do Trybunału Arbitrażowego ds. sportu przy PKOl, a później jeszcze do Trybunału Arbitrażowego w Lozannie. Szanse na to, że sprawa ta rozstrzygnie się jeszcze w 2026 roku - jeśli Śląsk wykorzysta pełną ścieżkę odwoławczą - są iluzoryczne.

Uprawnomocnienie się walkowera otworzyło Śląskowi drogę, do skutecznego ubiegania się o zwrot kosztów organizacji meczu przez Wisłę. Najpierw musi to orzec Komisja ds. Rozgrywek. Klub już zapowiedział, że będzie się o to ubiegał. ©©



Najwyższa Komisja Odwoławcza PZPN utrzymała walkower na korzyść Śląska. To ostateczna decyzja

WYNIKI LOSOWAŃ LOTTO

ŚRODA, 13.05

Multi Multi – godz. 22:00
4, 8, 10, 14, 16, 18, 25, 27, 32,
37, 44, 61, 64, [65], 68, 69,
72, 73, 74, 76
Mini Lotto
2, 3, 8, 25, 27

Kaskada – godz. 22:00

4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 12, 16, 18,
20, 24
Ekstra Pensja
4, 10, 16, 22, 33 + 4
Ekstra Premia
11, 23, 24, 25, 30 + 2

CZWARTEK, 14.05

Multi Multi – godz. 14:00
1, 6, 13, 15, 17, 20, 29, 38, 39,
49, 50, 53, 61, 63, [65], 67,
70, 73, 79, 80
Kaskada – godz. 14:00
1, 3, 8, 10, 12, 13, 14, 17, 20, 22, 23, 24

KRÓTKO



PIŁKA RĘCZNA

Walczyliśmy z Austriakami o finały mistrzostw świata

Za nami pierwszy mecz 3. rundy eliminacyjnej mistrzostw świata 2027 piłkarzy ręcznych. W hali „Raiffeisen Sportpark” w Grazu nasza drużyna narodowa uporała się z Austriakami, wygrywając nieznacznie 26:25 (15:13).

Tym samym podopieczni hiszpańskiego selekcjonera Biało-Czerwonych, Joty Gonzáleza, rozpoczęli ostatnią fazę rywalizacji o udział w przyszłorocznym czempionacie globu, w którym - po raz czwarty - wezmą udział aż 32 drużyny.

Trener Jota González ma do dyspozycji 18 graczy, w tym powracającego do kadry po ponad dwóch latach absencji rozgrywanego Industarii Kielce Szymona Sićko, który doznał bardzo poważnej kontuzji - zerwał więzadło właściwe rzepki w kolanie.

Rewanż z Austriakami zaplanowano na niedzielę o godz. 15.00, w olsztyńskiej hali „Urania”. (PW)

PIŁKA NOŻNA

Reprezentant Polski Piotr Zieliński z Pucharem Włoch

Inter Mediolan do tytułu mistrza Włoch dołożył także zwycięstwo w finale Pucharu Włoch. Zespół Piotra Zielińskiego na słynnym Stadio Olimpico pewnie pokonał 2:1 Lazio Rzym. Reprezentant Polski rozegrał całe spotkanie. Z wyniku z pewnością nie może cieszyć się natomiast... Pogoń Szczecin, której obok nosa przeszła wielka kasa. W kadrze meczowej Lazio Rzym zabrakło Adriana Przyborka, który pod koniec stycznia trafił do stolicy Włoch z Pogoni Szczecin za 4,5 mln euro. To właśnie z jego względu „Portowcy” mogli liczyć na dodatkowy zarobek z przypadku triumfu rzymskiego zespołu. Chodziło konkretnie o premie w wysokości 1 mln euro za ewentualne wygranie Pucharu Włoch, o czym przed meczem poinformował dziennikarz Piotr Kozmiński. (BG)

Awans Śląska w sobotę, niedzielę, albo... wcale?



Śląsk równie dobrze może jechać do Bytomia, mając awans, jak i wrócić z niego bez

Piotr Janas
x.com: @Piotr_K_Janas

W niedzielę o godz. 20:15 zagra z Polonią Bytom na wyjeździe w ramach 33. kolejki Betclio 1 ligi. Wrocławianie wciąż nie są pewni awansu, ale scenariuszy jest co najmniej kilka.

Czy to będzie ten weekend? To pytanie zadają sobie kibice Śląska Wrocław, wicelidera Betclio 1 ligi, któremu matematycznie - bez oglądania się na rywali - brakuje dwóch punktów w dwóch ostatnich meczach sezonu. Sprawę załatwić może więc jedno zwycięstwo lub dwa remisy, ale nikt nie chce czekać do końca w nerwach i Wrocławianie chcą załatwić tę sprawę jak najszybciej.

Scenariuszy na najbliższą kolejkę jest kilka. Żadnego z nich nie da się definitywnie wykluczyć, żaden nie jest szczególnie nierealny, a każdy z nich oznacza zupełnie coś innego, ale po kolei.

Po pierwsze: Śląsk Wrocław może pojechać do Bytomia już jako zespół mający zagwarantowaną promocję do krajowej elity. Teoretycznie wciąż wyprzedzić go może tylko Wieczysta Kraków, ale tylko pod warunkiem, że wygra oba swoje mecze, a WKS zdobędzie maksymalnie jedno oczko. Nawet

jeden remis w dwóch ostatnich kolejkach odbierze Wieczystej nadzieję, a tak się składa, że Krakowianie w sobotę o godz. 19:30 zmierzą się ze Stalą w Rzeszowie. Oczywiście są zdecydowanym faworytem, ale jeśli się potkną, to WKS na Górny Śląsk pojedzie już jako zespół ekstraklasowy.

Drugi wariant: Wieczysta wygrywa w Rzeszowie, a Śląsk wygrywa w Bytomiu. Wówczas też wszystko stanie się jasne i podopieczni trenera Ante Simundży będą mogli rozpocząć świętowanie. Wówczas ostatni mecz z Pogoń Grodzisk Mazowiecki we Wrocławiu (24 maja) będzie już o przysłowiową pietruszkę.

Trzecia opcja: Wieczysta wygrywa w Rzeszowie, a Śląsk nie wygrywa (przegrywa lub remisuje) w Bytomiu. Wówczas kwestia awansu bezpośredniego rozstrzygnie się dopiero w ostatniej kolejce. To najbardziej pesymistyczny wariant, ale czy można go nazwać bardzo nierealnym? Absolutnie nie, zwłaszcza, że w Bytomiu gra się na sztucznej murawie, z czym wiele zespołów miewa problemy.

Przed wszystkim WKS pojedzie na Górny Śląsk wzmocniony. Do kadry meczowej wraca Michał Mokrzycki, który ze względu na specyficzną umowę nie mógł zagrać przeciwko ŁKS-owi w poprzedniej kolejce, a jego

brak był aż nadto widoczny. Do kadry meczowej wrócili także Marc Llinares oraz Patryk Sokółowski i zwłaszcza ten pierwszy ma już być gotowy, by wrócić do wyjściowego składu.

Mecz Polonia Bytom - Śląsk Wrocław będzie można zobaczyć na antenie TVP Sport, w aplikacji mobilnej TVP Sport oraz na sport.tvp.pl. ©©

33. KOLEJKA PKO EKSTRAKLASY

Dziś: Pogoń Siedlce - Stal Mielec (godz. 18), Polonia Warszawa - Wisła Kraków (g. 20:30).
Jutro: Chrobry Głogów - Znicz Pruszków (g. 19:30), Górnik Łęczna - Odra Opole (g. 19:30), Stal Rzeszów - Wieczysta Kraków (g. 19:30).
Niedziela: Miedź Legnica - Ruch Chorzów (g. 14:30), Pogoń Grodzisk Mazowiecki - GKS Tychy (g. 17), Polonia Bytom - Śląsk Wrocław (g. 20:15).
Poniedziałek: Puszcza Niepołomice - ŁKS Łódź (g. 18).

1. Wisła Kraków	32	65	69-32
2. Śląsk Wrocław	32	58	66-46
3. Wieczysta Kraków	32	53	64-45
4. Chrobry Głogów	32	51	44-33
5. ŁKS Łódź	32	51	53-46
6. Polonia Warszawa	32	50	50-47
7. Ruch Chorzów	32	50	50-42
8. Miedź Legnica	32	49	49-50
9. Polonia Bytom	32	47	54-43
10. Puszcza Niepołomice	32	46	43-38
11. Pogoń Grodzisk Maz.	32	43	51-54
12. Stal Rzeszów	32	42	45-52
13. Odra Opole	32	41	31-38
14. Pogoń Siedlce	32	36	32-38
15. Stal Mielec	32	30	44-60
16. Górnik Łęczna	32	27	38-57
17. Znicz Pruszków	32	25	35-63
18. GKS Tychy	32	21	37-71

tygodnik

GŁOGOWSKI

www.glogow.naszemiasto.pl

Nr 20/111



FOTOREPORTAŻ

**PIĘKNA GALA
„PROMYKA”
PIERWSZE
NIEPUBLICZNE
PRZEDSZKOLE
W GŁOGOWIE
MA 25 LAT**

str. 8

SŁUŻBA ZDROWIA

Burzliwa sesja. Radni powiatu, szpital i apel

Finansowe problemy placówki
mają źródło w rozliczeniach z NFZ
za tzw. nadwykonania **str. 3**

Nr ISSN 2353-6152
Nr indeksu 350206



ŚWIĘTO W KGHM

Uroczystości

w Głogowie: hutnicy
odebrali odznaczenia
i pamiątkowe zegarki
str. 4

IMPREZA SĄSIEDZKA



**Urodziny ulicy 10 maja
str. 5**

FOT. WIKTORIA ŻYTA

REKLAMA

0011464646



DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECKA

**Kompleksowa
DIAGNOSTYKA SŁUCHU DZIECI:**

- ▶ Videootoskopia
- ▶ Tympanometria
- ▶ otoemisja akustyczna
- ▶ ABR, ASSR
- ▶ Zaburzenia Przetwarzania Słuchowego



**ZBADAJ SWÓJ SŁUCH
I BEZPŁATNIE**

przetestuj aparat słuchowy
u siebie w domu

FONMED
APARATY SŁUCHOWE
od 1997



GŁOGÓW, ul. Kościuszki 15 F ☎ **76 835 05 01, 888 748 707** **www.fonmed.pl**
(budynek przy wjeździe do szpitala po byłej aptece)

TO JEST PRODUKT MEDYCZNY, UŻYWAJ GO ZGODNIE Z INSTRUKCJĄ I ETYKIETĄ

Janusz Michalczyk



Ratujemy zwierzaka, ale po co właściwie?

Timmy - takie imię ktoś nadał humbakowi i dzięki temu wiele osób śledziło ze zwiększonym zainteresowaniem losy tego podobnego do wieloryba stworzenia, które zabłąkało się na płytce, niemieckie wybrzeże Bałtyku. Jeżeli masz imię, to jesteś w jakimś sensie osobą i łatwo obdarzyć cię uczuciami. Kiedy kończysz życie, zrozumiała jest żałoba. Z humbakiem będzie prawdopodobnie jak z zaginionym w dramatycznych okolicznościach człowiekiem - należy się liczyć ze śmiercią, ale nie mamy pewności, czyba że cielsko wylądzuje na plaży.

Eksperci, a także aktywiści z ekologicznej organizacji Greenpeace, uznali, że należy mocno osłabionemu i cierpiącemu humbakowi dać spokojnie umrzeć, ale znalazło się dwoje bogaczy, którzy postanowili sfinansować akcję ratunkową, polegającą na przeciągnięciu zwierzęcia na Morze Północne za pomocą specjalnego, zanurzonego w wodzie pojemnika. Przyklasnęło temu mnóstwo osób, bo poczuły głębszą więź emocjonalną z Timmy'm i źle się czuły ze świadomością, że nie można mu pomóc. Obserwowaliśmy sceny jakby z czerpniętej z kina familijnego (statek holujący nazywał się „Robin Hood”). Na koniec zmaltretowanego humbaka wypuszczono na wolność i parę dni temu ślad po nim zagał. Specjaliści zgadzają się, że jego szanse na przeżycie są nikłe. Do tej sytuacji pasuje chyba powiedzenie: operacja się udała, pacjent zmarł.

Mamy do czynienia ze zjawiskiem, jakie już dawno opisali psychologowie - wypieranie śmierci ze świadomości współczesnego, żyjącego w komfortowych warunkach człowieka, któremu nie grozi głód i chłód. Z tym że teraz nie chodzi już tylko o ludzi, ale też o zwierzęta, na które rzutowane jest współczucie. Kilka lat temu Paul Bloom wydał głośną książkę pt. „Przeciw empatii” i trudno oprzeć się wrażeniu, że miał rację, wskazując na szkodliwość mocno emocjonalnych reakcji, prowadzących do fatalnych skutków. Bloom zalecał racjonalne współczucie, a więc takie, gdy decyzje są przemyślane, a nie podejmowane spontanicznie albo gdy do głosu dochodzi instynkt stadny. Z pewnością ludzie kibicujący akcji z humbakiem poczułi się lepszymi istotami, ale czy ktoś z nich próbował wejść w skórę zwierzęcia? To by wymagało dłuższego namysłu i głębszej refleksji. No i to jednak zwierzę...

PĘCŁAW

Pieniądze na szkołę w Białoleścu

Wojewoda dolnośląska Anna Żabska wręczyła samorządowcom z regionu promesy na realizację działań związanych z odbudową po powodzi, która dotknęła województwo we wrześniu 2024 roku. Wsparcie trafiło m.in. do najbardziej poszkodowanych gmin i powiatów. Najwięcej promes - na dziewięć inwestycji drogowych - otrzymała Gmina Kłodzko. Łączna wartość przyznanych środków wynosi ponad 8,4 mln zł. Promesę w wysokości 672 158,54 zł odebrała również Dorota Jewniwicz, wójt Gminy Pęcław. Środki zostaną przeznaczone na: odbudowę wjazdu na teren Szkoły Podstawowej w Białoleścu, remont piwnicy budynku szkoły. Projekty finansowane z Fundusz Solidarności Unii Europejskiej muszą zostać zakończone do 25 maja 2027 roku. SEL

Weekend pełen kultury w Głogowie

Wiktoria Żyta
Głogów

Miejski Ośrodek Kultury, Miejska Biblioteka Publiczna oraz Muzeum Archeologiczno-Historyczne przygotowały ciekawe wydarzenia na weekend (15-17 maja).

Głogowianie w najbliższy weekend będą mogli uczestniczyć w wydarzeniach kulturalnych, które łączą sztukę, historię oraz edukację.

W MOK-u, bibliotece oraz muzeum czeka na gości urozmaicony program. Wydarzenia te mają na celu podkreślenie znaczenia kultury. Hasłem przewodnim jest „Kultura - po co to komu?”.

Piątek

W bibliotece przewidziano: godz. 16:30 - zwiedzanie; 17 - Młoda Żywa Biblioteka: „wypożycz” rozmowę z ciekawymi Głogowianami (Marta Lewandowska, Szymon Bartlewicz, Leszek Wspaniały); 18 - Fotostopem przez świat: spotkanie podróżnicze z Grażyną i Stefanem Sroczyńskimi.

Sobota

Muzeum zaprasza na średniowieczny jarmark. Będzie m.in. Zbrojownia Sprzętu Rycerskiego; Kramy rzemieślnicze: warsztat tkacki, biżuteria średniowieczna, warsztat garncarski; Turniej zabaw średniowiecznych; Pokazy walk rycerskich. Pamiątką z wydarzenia mogą stać się monety, które będą wybijane przy tylnej bramie wjazdowej do zamku. Początek o godz. 16. Wstęp wolny.

O godz. 18 Centrum Kultury MOK zaprasza na muzyczne widowisko „Gangsterski swing”. Bilet kosztuje 100 zł.

Niedziela

Teatr im. Andreea Gryphiusa zaprasza: godz. 12:30 - Prezentacja: Bogna Świątkowska. Wyobraźnia Dual Use; godz. 12:45 - Panel dyskusyjny: Kultura - fanaberia czy konieczność?; godz. 14-15 - Kulturalni ludzie: pokaz filmu Zbigniewa Lipowskiego.

MOK: godz. 17 - wernisaż malarstwa Waldemara Pawlikowskiego; godz. 18 - gala kultury i wręczenie Nagród Rafała Rokaszewicza (bilet 100 zł).



FOT. WIKTORIA ŻYTA

GŁOGÓW

Obchody pod pomnikiem Sapera

W 81. rocznicę zakończenia II wojny światowej (8 maja), pod pomnikiem Sapera w Głogowie stawili się nie tylko weterani, ale też harcerze, uczniowie i mieszkańcy. Odczytano apel poległych, sztandarowi powiatu głogowskiego nadano Złoty Krzyż Związku Żołnierzy Wojska Polskiego, była salwa honorowa, przemówienia, kwiaty i występy młodzieży. Jednym z bardziej wzruszających momentów było nadanie tytułu Honorowego Prezesa Zarządu Powiatowego Związku Kombatantów Rze-

czypospolitej Polskiej, porucznikowi w stanie spoczynku Wiktorowi Wolskiemu (na zdjęciu w środku).

- Byłem uczestnikiem II wojny światowej. Swoją wojenną marsz zakończyłem pod Berlinem. Byłem ranny, konia mi zabili, a ja z nogą zniekształconą do dziś zostałem. Dalej jest źle złożona - śmiał się Wiktor Wolski. Weteran nie ukrywał poruszenia. - Jestem bardzo wzruszony, że mogę dziś tu być. Życzę państwu dużo zdrowia, powodzenia i dziękuję - mówił. W sierpniu skończy 100 lat.

EGZAMIN ÓSMOKLASISTY ZA NAMI



FOT. WIKTORIA ŻYTA

W minionym tygodniu młodzież przystąpiła do egzaminu ósmoklasisty. Przez kolejne dni uczniowie wypełniali testy z języka polskiego, matematyki i języka obcego (nowożytnego). Odwiedziliśmy Szkołę Podstawową nr 10 im. Mikołaja Kopernika w Głogowie, gdzie do egzaminu przystąpiło 92 uczniów. Termin ogłoszenia wyników w całej Polsce ustalono na 3 lipca. Od nich zależy, do jakiej wymarzonej szkoły średniej uda się dostać młodym ludziom.

Wiktoria Żyta

tygodnik
GŁOGOWSKI

SZEF REDAKCJI LOKALNEJ: Grażyna Szyszka, grazyna.szyszka@gazeta.wroc.pl, DZIENNIKARZ: Wiktoria Żyta, wiktoria.zyta@polskaress.pl, tel. 514 800 964.
BIURO OGŁOSZEŃ: Aneta Siwiak, tel. 798 751 830, aneta.siwia@polskaress.pl; PRENUMERATA: tel. 71 727 62 37; DRUK: Polska Press Oddział Poligrafia, 41-203 Sosnowiec Miłowice, ul. Baczyńskiego 25a. WYDAWCA Polska Press Sp. z o.o.
ul. Domaniewska 45, 02-672 Warszawa, tel. 22 201 44 00, fax: 22 201 44 10. PREZES ZARZĄDU POLSKA PRESS GRUPY Zenon Nowak. PREZES MAKROREGIONU Robert Glinkowski. PROJEKT GRAFICZNY Tomasz Bocheński. WYDAWCA Janusz Michalczyk

© - umieszczenie takich dwóch znaków przy Artykule, w szczególności przy Aktualnym Artykule, oznacza możliwość jego dalszego rozpowszechniania tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem zamieszczonym na stronie www.polskatimes.pl/tresci i w zgodzie z postanowieniami niniejszego regulaminu.

PBC

HABAR CENTRALNY

**POLSKA
PRESS
GRUPA**

Burzliwa sesja w sprawie szpitala

Grażyna Szyszka
Głogów

Finansowe problemy szpitala, miliony niezapłaconych nadwykonań i polityczny spór o odpowiedzialność za kryzys. Radni PiS wyszli z sali obrad.

Tematy, które powinny połączyć radnych powiatowych: sytuacja finansowa szpitala, dostępność świadczeń medycznych i wpływ NFZ na funkcjonowanie Głogowskiego Szpitala Powiatowego podzieliły ich do tego stopnia, że opozycja opuściła salę obrad.

Poniedziałkowa sesja (11 maja) została zwołana na wniosek klubu radnych Prawa i Sprawiedliwości. Ponieważ jedynym tematem były sprawy szpitala, zaproszono na nią zarząd placówki.

Na sesję przyszedł również członkowie Stowarzyszenia „Bezpieczny Głogów”, którzy pojawili się z transparentami. Chcieli zabrać głos w dyskusji, jednak rada im na to nie pozwoliła. W odpowiedzi opuścili salę obrad, skandując: „Hańba, głosu ludu się boją”. W obra-



Sytuację szpitala przedstawiła prezes Martyna Grzelczak

dach uczestniczył także poseł PiS Wojciech Zubowski.

Efekt sesji miał być apel radnych dotyczący wprowadzonego przez NFZ ograniczenia finansowania części świadczeń diagnostycznych od kwietnia tego roku.

Zanim jednak radni przeszli do dyskusji nad apelem, sytuację szpitala przedstawiła pre-

zes spółki Martyna Grzelczak. Ze sprawozdania wynika, że spółka zakończyła ubiegły rok niewielkim zyskiem w wysokości 53,6 tys. zł. Po pierwszym kwartale tego roku wynik finansowy wynosi już jednak 6,7 mln zł straty.

Martyna Grzelczak poinformowała, że szpital nadal czeka na zapłatę za nadwykonania

z 2025 roku. Do tej pory NFZ wypłacił 5,7 mln zł, ale wciąż brakuje 7,5 mln zł.

- Decyzja o zapłacie za nadwykonania pozostaje wyłączanie w kompetencji NFZ. Szpital na bieżąco zawiera umowy z płatnikiem - powiedziała prezes. - Brak pełnej zapłaty za nadwykonania wpływa na płynność finansową spółki. Mimo to wszystkie zobowiązania regulujemy terminowo - zapewniła.

Pytana przez radnych o pozycję o prognozy dotyczące działalności placówki, zaznaczyła, że nie potrafi jednoznacznie odpowiedzieć, czy istnieje ryzyko, że szpital „się przewróci”. Podkreśliła jednak, że zarząd monitoruje sytuację i realizuje przyjęty plan działania. Dodała również, że wszystkie planowane zabiegi są wykonywane zgodnie z harmonogramem.

Głos zabrał poseł PiS Wojciech Zubowski. Podkreślił, że jego wystąpienie nie ma charakteru politycznego ataku, lecz wynika z chęci poznania rzeczywistej sytuacji finansowej szpitala i jego perspektyw.

- Zdaję sobie sprawę, że sytuacja finansowa placówki w dużej mierze wynika z działań NFZ i Ministerstwa Zdrowia. Pytam więc o działania tych, którzy stoją wyżej od panów starosty i prezydenta. Skoro sytuacja jest zła, warto zapytać, czy podjęto jakieś konkretne działania pół roku temu, gdy w mediach pojawiały się informacje o ogromnej dziurze w budżecie NFZ - mówił poseł.

Po zakończeniu dyskusji radni mieli głosować nad przyjęciem apelu przygotowanego przez radnych PiS. Wówczas doszło do sporu dotyczącego jego treści. Rządząca większość uznała, że jeden z punktów ma polityczny wydźwięk i nie powinna go popierać.

Nowa wersja

W efekcie zwołano drugą nadzwyczajną sesję, podczas której przyjęto nową wersję apelu przygotowaną przez koalicję rządzącą. W geście protestu radni PiS nie wzięli udziału w drugim posiedzeniu.

Fragment przyjętego apelu brzmi: „Rada Powiatu Głogowskiego z niepokojem przyjmuje informacje o wprowadzeniu

przez Narodowy Fundusz Zdrowia zmian w zakresie zasad finansowania ambulatoryjnych świadczeń diagnostycznych kosztownych, w tym współczynników korygujących mających zastosowanie do świadczeń realizowanych ponad określone limity.

W ocenie Rady Powiatu Głogowskiego wprowadzone rozwiązania mogą skutkować ograniczeniem dostępności świadczeń diagnostycznych, takich jak gastroskopia, kolonoskopia, tomografia komputerowa czy rezonans magnetyczny, a także wydłużeniem czasu oczekiwania na ich realizację.

Mając na uwadze powyższe, Rada Powiatu Głogowskiego zwraca się z apelem do Narodowego Funduszu Zdrowia o ponowną analizę skutków wprowadzonych rozwiązań oraz rozważenie możliwości ich modyfikacji, z uwzględnieniem potrzeby zapewnienia dostępności świadczeń zdrowotnych dla mieszkańców powiatu”.

Apel ma trafić do Rady Ministrów, Ministra Zdrowia oraz Narodowego Funduszu Zdrowia.

REKLAMA

0011520422



BIŻUTERIA SREBRNA
od ADA PLUS
Wyjątkowy prezent na
Dzień Matki




Dodatkowy
RABAT
-20%




POWSZECHNA
SPÓŁDZIELNIA SPOŻYWCÓW
w Głogowie

ul. Elektryczna 9, 67-200 Głogów

Hutnicy odebrali odznaki i zegarki

Grażyna Szyszka
Głogów

Pracownicy Huty Miedzi Głogów odebrali honorowe odznaki i jubileuszowe zegarki podczas akademii zakładowej. Dyrekcja podkreślała bardzo dobre wyniki produkcyjne huty.

W poniedziałek, 11 maja, w sali widowiskowej HM Głogów odbyła się akademie zakładowa, podczas której 64 pracowników huty odebrało przyznane im odznaki „Zasłużony dla Huty Miedzi Głogów”. Kolejne 21 osób otrzymało odznakę „Zasłużony dla KGHM”, a 27 osobom wręczono pamiątkowe zegarki.

Odnaczenia wręczał m.in. wiceprezes KGHM do spraw produkcji Mirosław Laskowski oraz dyrektor HMG dyrektor huty Jarosław Siedlecki, który dziękował hutnikom za ich pracę i chwalił ostatni rok produkcji.

„Ubiegły rok zamknęliśmy z bardzo dobrymi wynikami produkcyjnymi przekraczając założone plany. Wciąż realizujemy nowe zadania i pracujemy



FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Uroczystość w Głogowie. Pierwszy z lewej Jarosław Izbiański

nad kolejnymi inwestycjami, których nie sposób dzisiaj wymienić – mówił dyrektor Jarosław Siedlecki. – Już za półtora miesiąca rozpocznie się postój remontowy huty II, do którego przygotowujemy się od prawie trzech lat. Będzie to jedno z największych i najbardziej wymagających przedsięwzięć w historii naszego zakładu.

Dyrektor dodał, że dla głogowskiej huty ten rok jest wyjątkowy, bo świętowany jest nie tylko Dzień Hutnika, ale też jubileusz 65-lecie KGHM oraz 55-lecie GM Głogów, a także 10-lecie HMG I po zmianie technologii.

Wśród odznaczonych był Jarosław Izbiański z Wydziału Przygotowania Wsadu HMG II.

– Mija już 38 lat mojej pracy w głogowskiej hucie. Jestem pierwszy raz na takiej uroczystości i bardzo się cieszę, że zostałem doceniony. Jutro odbieram też nominację na pierwszy stopień hutniczy – powiedział odznaczony hutnik.

Głogowianin trafił do huty po Technikum Hutniczym. Pracę rozpoczął w 1988 roku,

a po krótkiej przerwie wrócił do zakładu. Jarosław Izbiański przyznał, że na przestrzeni lat huta bardzo się zmieniła.

– Jest bezpieczniej, czyściej, nie ma pyłu. Jest też cicho i spokojnie – dodał.

Na zakończenie uroczystości swoją premierę miał film o głogowskiej hucie.

Rozwój i wyzwania

Kilka dni wcześniej hutnicy z Głogowa, Legnicy i Orska świętowali w MOK-u w Głogowie. Podczas akademii wręczono odznaczenia, a władze KGHM mówiły o przyszłości spółki i planowanych zmianach w hutach.

Zasłużonym pracownikom wręczono odznaczenia państwowe i wyróżnienia jubileuszowe. W tym roku z okazji święta hutników uhonorowano w sumie 84 osoby.

Zaproszonych gości witała w Głogowie Orkiestra Zakładowa HM Głogów. Na hutnicze święto przyjechali parlamentarzyści, samorządowcy i duchowni.

W imieniu zarządu KGHM podziękowania załodze złożył wiceprezes ds. produkcji Mirosław

Laskowski. Odczytał również list od prezesa Remigiusza Paszkiewicza, który nie wziął udziału w obchodach Dnia Hutnika z powodu innych zobowiązań.

Wiceprezes podzielił się także planami dotyczącymi przyszłości Polskiej Miedzi. Mówił m.in. o planowanych inwestycjach w „Cedyni”. Wspominał również o najstarszej hucie KGHM – HM Legnica.

– Przed nami głęboka transformacja w hutę recyklingową, opartą wyłącznie na złomie, ale taką, która będzie rentowna. Ten rok poświęcimy na podjęcie właściwej i optymalnej technicznej decyzji, a kolejnym krokiem będzie analiza ekonomiczna – mówił wiceprezes Laskowski.

Mówiono także o Hucie Miedzi Głogów, która jest jednym z największych tego typu zakładów w Europie. Według zapowiedzi wiceprezesa, za około 10 lat hutę czekają duże wyzwania.

– Już teraz trzeba się do nich dobrze przygotować – dodał wiceprezes, zaznaczając, że HMG II czeka wkrótce duży i bardzo kosztowny remont.

„Łowy w Puszczy Tarnowskiej”

Grażyna Szyszka
Sława

W sobotę, 16 maja, w malowniczym zespole przyrodniczo-krajobrazowym Gaj Wandy (teren Nadleśnictwa Sława) szykuje się plenerowa impreza dla całych rodzin.

Nadleśnictwo Sława Śląska, wspólnie z Nadleśnictwem Nowa Sól organizuje festyn dla całych rodzin. W sobotę, 16 maja w zespole przyrodniczo-krajobrazowym Gaj Wandy będą czekać atrakcje dla dzieci i dorosłych.

– W leśnej osadzie będziemy edukować przyrodniczo, zaplanowane są pokazy historyczne, a także będzie można zjeść regionalne potrawy przygotowane przez Koło Gospodyń Wiejskich „Fajne Babki” z Lubogoszcy – informuje Daria Cicha, specjalistka służby leśnej do spraw edukacji, komunikacji społecznej i ochrony przyrody Nadleśnictwa Sława Śląska.

Na festynie swoją wiedzę i doświadczeniami dotyczącymi odnajdywania artefaktów za pomocą wykrywaczy metali podzieli się Stowarzyszenie Hi-

storyczno-Eksploracyjne „Ocalić od zapomnienia”. Festyn zaplanowano w godz. 12-16.

W programie: Osada Stowarzyszenie Rekonstrukcji Historycznej Dziadoszanie i pokaz konny Apolinarz Group. Oprawa muzyczna: Aždaja.

Podobne imprezy na terenie Nadleśnictwa Sława już się odbywały, ale w tym roku po raz pierwszy zaplanowano je jako „Łowy w Puszczy Tarnowskiej”. Impreza w Gaju Wandy będzie już cykliczna, a każde wydarzenie ma dotyczyć innych wydarzeń historycznych.

Gaj Wandy to urokliwe miejsce, niesamowite połączenie sosnowych lasów oraz alei kasztanowców, które w okresie maja zakwitają. Jest to fragment dawnego założenia parkowego, położonego na obszarze Puszczy Tarnowskiej, zwartego kompleksu leśnego będącego w zarządzie Nadleśnictwa Sława Śląska. Na terenie Gaju Wandy rośnie ponad 190 sztuk sędziwych kasztanowców białych, co jest w polskich lasach niespotykane. W 2017 r. zostało objęte ochroną prawną – obiekt zyskał miano Zespołu przyrodniczo-krajobrazowego „Gaj Wandy”.

Szkoła w Jerzmanowej zaprasza na jubileusz

RED
Jerzmanowa

Szkoła Podstawowa w Jerzmanowej obchodzi 70-lecie działalności. Uroczystości zaplanowano na 19 maja i będą okazją do spotkania absolwentów, nauczycieli oraz przyjaciół placówki.

Obchody jubileuszu rozpoczną się mszą św. w miejscowym kościele o godz. 9. Następnie w szkole odbędzie się uroczysty apel. Przygotowania do wydarzeń trwają od początku roku szkolnego.

– Serdecznie zapraszamy absolwentów i byłych pracowników szkoły. Oczywiście nie zabraknie również gości, w tym władz gminy i powiatu – mówi Mariola Tuz, dyrektorka szkoły.

Podczas jubileuszu w niebo wypuszczonych zostanie 70 balonów z wizytówkami. Znajdzie się na nich prośba do znających o przesłanie pinezki z danymi GPS. Informacje te zostaną naniesione na specjalną mapę.

Mariola Tuz kieruje szkołą od 2008 roku. Wcześniej sama była uczennicą jerzmanowskiej

podstawówki, do której uczęszczała od drugiej klasy.

– Kończąc Studium Nauczycielskie, odbywałam tutaj praktyki, a później tak potoczyły się moje losy, że w 1992 roku wróciłam już jako nauczycielka – opowiada.

I dodaje: – Jestem mocno związana z tym środowiskiem, a szkoła od zawsze była moim drugim domem. Kiedy byłam dzieckiem, moja mama, pracująca jako pani sprzątająca w podstawówce w Gaikach, często zabierała mnie ze sobą do pracy. Dzięki temu szkolne mury poznałam jeszcze zanim sama zostałam uczennicą – wspomina.

Jerzmanowska szkoła nie jest duża – uczy się w niej 290 dzieci. Kameralny charakter placówki jest jednak jej dużym atutem, ponieważ nauczyciele dobrze znają wszystkich uczniów i ich rodziców.

– Nie ma u nas anonimowości, a uczniowie nie boją się przychodzić do nauczycieli ze swoimi problemami – podkreśla dyrektorka. – Jesteśmy też szkołą nowoczesnie wyposażoną i przyjazną. Na bieżąco reagujemy na pojawiające się



FOT. GRAŻYNA SZYSZKA

Mariola Tuz, dyrektorka SP w Jerzmanowej, marzy o stworzeniu pracowni ceramicznej

trudności. Każdy jest tutaj ważny i każdy może wyrazić swoje zdanie.

Na atmosferę w szkole pracuje ponad 60-osobowy zespół, w tym 42 nauczycieli. Dyrektorka podkreśla, że pracownicy są przede wszystkim dla uczniów i rodziców.

– Wspierają również siebie nawzajem. Ja także mogę na nich liczyć w każdej sytuacji. To samo dotyczy rodziców – jeszcze nigdy nie odmówili

udziału ani wsparcia w naszych działaniach – dodaje Mariola Tuz.

Obecny rok szkolny obfituje w liczne sukcesy sportowe uczniów. Na dobrym poziomie są zajęcia muzyczne, w szkole działa bowiem zespół wokalny. Dyrektorce marzy się także stworzenie pracowni ceramicznej oraz sali sensorycznej przeznaczonej do pracy z dziećmi z innymi potrzebami edukacyjnymi.

INICJATYWA SĄSIEDZI INTEGROWALI SIĘ I WSPOMINALI

Imieniny ulicy 10 Maja w Głogowie

Wiktoria Żyta
Głogów

Już po raz dziewiąty sąsiedzi zorganizowali z tej okazji imprezę. Na drodze stanęły stoły, była muzyka, dobra zabawa.

To niezwykle święto. Organizują je, poniekąd na swoją cześć, a właściwie na cześć ulicy, sami mieszkańcy. Uważają, że ich ulica zasługuje na imieninową imprezę i warto pamiętać o wszystkich, którzy tam mieszkali i do dziś tworzą klimat ul. 10 Maja. Podczas „obchodów” ulica została wyłączona z ruchu, a na jej środku stanął długi stół. Był też tort.

Wzdłuż ulicy wisały zdjęcia ukazujące kadry z życia tych, którzy tu mieszkali lub nadal mieszkają. Życzenia składał m.in. ponad 90-letni dr Leopold Góral, przyjaciel ulicy i jej mieszkańców od wielu lat, przyszli też Głogowianie z sąsiednich ulic, pojawił się prezydent i poseł.

W tym roku organizacją imienin zajął się Grzegorz Lasz-



Mieszkańcy dobrze się bawili w swoim towarzystwie

czowski. Przejął pałeczkę po Bogumile Szlifierz, która jest pomysłodawczynią imienin i organizowała minione edycje, ale wywodziła się na inne głogowskie osiedle. Organizator imprezy witał obecnych, częstując sąsiadów tortem i przekąskami.

- Mieszkam tu od 2022 roku i zająłem się tym, ponieważ pani Bogusia zapytała mnie, czy bym się nie podał. Zgodziłem się, bo chciałem, żeby tak piękna idea trwała, ale ilość pracy mnie zaskoczyła. Ale udało się, a w przyszłym roku będzie mi łatwiej - mówił Grzegorz Laszczowski. - Przyjemnie się patrzy na to spotkanie pełne ciepła i integracji - dodaje.

Wśród celebrujących była również Bogumiła Slifierz: - 10 Maja jest przepiękną ulicą, powiedziałabym, że najpiękniejszą w mieście. Pozostanie wyjątkowa na zawsze, nie ważne, że już na niej nie mieszkam.

Pani Lidia i Pani Jadwiga nie mieszkają na ul. 10 Maja już od prawie 50 lat. Mimo to, co roku przychodzą na imieniny, bo wspominać, pooglądać zdjęcia i porozmawiać. Z uśmie-

Po wojnie mieszkańcy stworzyli zgraną społeczność. Tak jest do dziś, bo cenią sobie bliskość i wiedzą, co jest w życiu ważne

chem opowiadają o czasach, kiedy tu mieszkali.

- Ludzie się trzymali razem, pomagali sobie. Nie zamykaliśmy mieszkań, nie było takiej potrzeby. Ruchu nie było prawie wcale. Dwie osoby miały samochód - opowiadają byłe mieszkanki, przeglądając zdjęcia z dzieciństwa.

Historię ulicy przypomniał prezydent miasta Rafał Roka-szewicz. Podkreślił, że jest to ważna data dla miasta.

Już zaraz po wojnie na ulicy 10 Maja tamtejsi mieszkańcy stworzyli zgraną społeczność. Tak jest do dziś, bo tutaj ludzie cenią sobie bliskość i wiedzą, co jest w życiu ważne.

- Sąsiad zawsze pomoże, jest wsparcie. Wiem, że zawsze mogę liczyć na pomoc - mówi Pani Barbara, jedna z mieszanek.

REKLAMA

0011519478

ORGANIZATOR ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ZMIAN W PROGRAMIE



ŚREDNIOWIECZNY JARMARK

16 MAJA 2026

16:00-24:00

16.05.2026

NOC

muzeów

MUZEUM ARCHEOLOGICZNO-HISTORYCZNE W GŁOGOWIE, BRAMA BRZOSTOWSKA 1, 67-200 GŁOGÓW

ZAPRASZAMY WSTĘP WOLNY

Szczegóły na: www.muzeum.glogow.pl

JUBILEUSZ JEDEN BUDYNEK, WIELE POKOLEŃ I WSPOMNIENI

Szkoła Podstawowa nr 6 ma już 60 lat

Wiktoria Żyta
Głogów

W głogowskim „Jubilacie” spotkało się kilka pokoleń. Były wspomnienia, anegdoki, a nawet quiz wiedzy o szkole z udziałem absolwentów i obecnych uczniów.

Szkoła Podstawowa nr 6 w Głogowie to kolejna miejska placówka, która świętuje jubileusz. Z tej okazji zorganizowano wzruszające spotkanie, na które zaproszono absolwentów. Goście byli zachwyceni uroczystością.

Pierwszy rocznik

Pani Bożena, będąca „pierwszym rocznikiem”, z uśmiechem wspomina czas spędzony w murach SP 6.

- Bardzo duży sentyment, bardzo dobrze wspominam te czasy. Czułam się przygotowana na życie wychodząc z tej szkoły. Miało się dużą wiedzę geograficzną, historyczną - opowiada. - Wybrałam tę szkołę, bo miałam tam najbli-

żej. Moją pierwszą wychowawczynią była Pani Ochocka, kochana kobieta. Od pierwszej klasy tańczyłam w kółku tanecznym, wycisk dawały nam straszny, ale efekty były. Jak jechałyśmy na jakieś zawody to inne szkoły pytały, czy „szóstka” już przyjechała. Renoma była - dodaje.

Nauczyciel wychowania fizycznego w SP 6 również jest absolwentem tej szkoły. Z sentymentem wspomina tych, którzy go uczyli.

- Na to, że zostałam nauczycielem, miał wpływ nieżyjący już nauczyciel wychowania fizycznego, pan Skórzewski. Jestem dumny, mam nadzieję, że jakąś część swojej wiedzy, osobowości wkładam w to, aby rozwijać nowe talenty - opowiada.

Swoją szkołę chwala też obecni uczniowie. Cenią pedagogów, atmosferę i to, co przez lata edukacji zostało im przekazane. - Bardzo dobrze nam się tu uczy. Ćwiczą z nami bardzo dużo, mieliśmy bardzo dużo egzaminów próbnych. My-



Uroczyste spotkanie w głogowskim „Jubilacie”

ślimy, że szkoła pomoże nam dużo osiągnąć. Przez całe osiem lat dobrze nas uczyli i czujemy się przygotowane do egzaminu - mówią uczennice.

Zapytaliśmy panią dyrektorkę, co wyróżnia szkołę? - Nowoczesne tablice interaktywne w każdej klasie, sprzęt multimedialny, rozbudowane laboratorium wirtualne w pracowni

fizyczno-chemicznej, lekcje prowadzone w terenie dzięki stworzonym przez uczniów i nauczycieli sadowi owocowemu oraz ogrodowi dendrologicznemu - mówi dyrektorka.

Anna Kubaczka. - Posiadamy dwie pracownie informatyczne, w których zapewnione są stanowiska komputerowe dla każdego ucznia. Na zielonych terenach wokół szkoły znajduje się nowoczesny plac zabaw i obiekty sportowe. Prowadzimy działalność charytatywną. Współpracujemy z organizacjami i instytucjami kulturalnymi.

Znani Głogowianie, którzy uczyli się w SP 6:

- Zbigniew Rybka, prezydent Głogowa w latach 1998-2006, były dyrektor Miejskiego Ośrodka Kultury,

- Wojciech Borecki, były zastępca prezydenta Głogowa, były wicestarosta głogowski, radny powiatowy,

- Paweł Sznajder, wokalista, gitarzysta i multiinstrumentalista, znany m.in. z udziału w programie The Voice of Poland. Związany z Miejskim Ośrodkiem Kultury w Głogowie jako instruktor i artysta.

Archiwalne zdjęcia SP 6 w Głogowie obejrzyć na: glogow.naszemiasto.pl.

Wjechał pod pociąg

Grażyna Szyszka
Głogów

O włos od tragedii na niestrzeżonym przejeździe w Sobczycach. Młody kierowca był lekkomyślny.

W nocy z 12 na 13 maja doszło tam do zderzenia samochodu z pociągiem towarowym relacji Ostrów Wielkopolski - Nowa Sól. Strażacy otrzymali zgłoszenie przed godz. 1 w nocy.

Na miejscu zastali zatrzymanymi skład towarowy oraz sa-

mochód z uszkodzonym przodem. 18-letni kierowca, mieszkający w Głogowie, sam wyjechał z miejsca zdarzenia. Na szczęście, kierowcy nic się nie stało.

- Z informacji uzyskanych od kierującego samochodem wynika, że mężczyzna widział nadjeżdżający pociąg, ale uznał, że zdąży przejechać - informuje Kamil Szydłowski, oficer prasowy PSP Głogów.

Tę wersję sprawdza policja, która wyjaśnia okoliczności zdarzenia.

KRÓTKO

GŁOGÓW

Nowy rezonans w Głogowie

Przy ul. Plutona 1 w Głogowie POLMED otworzył nową placówkę diagnostyczną. Oferuje szeroki zakres badań rezonansu magnetycznego. Katarzyna Paszkowska, kierownik operacyjny placówki, wyjaśnia, że jest to aparat o mocy 1,5 Tesli, wspomagany przez sztuczną inteligencję, co skraca czas badania o połowę przy zachowaniu najwyższej jakości. Dziennie można obsłużyć nawet 40 pacjentów, także osoby otyłe. Badanie rezonansu magnetycznego jest bezpieczne, bez skutków ubocznych. Wystarczy spokojnie się położyć na kilka minut. Cena waha się między 400 zł i 1500 zł. Wyniki badań wykonywanych prywatnie udostępniane są zazwyczaj w ciągu 72 godzin. Obiekt jest w pełni dostosowany do potrzeb osób z ograniczoną mobilnością. Dodajmy, że pacjenci mogą skorzystać z bezpłatnego parkingu (dwie godziny). Wiktoria Żyta

„Motokrew” - charytatywna akcja miłośników motocykli

Wiktoria Żyta
Głogów

W ramach corocznej akcji charytatywnej organizowanej zjawiły się w Głogowie 9 maja setki motocyklistów.

Regionalne Centrum Krwiodawstwa i Krwiolecznictwa podstawia dwa specjalne autobusy dla dawców. - Co roku zbieramy 28-30 litrów krwi. Do tej pory zebraliśmy 450 litrów. Przygotowaliśmy wiele atrakcyjnych nagród dla dawców. Cieszy nas tegoroczna frekwencja i kolejki do oddania krwi - mówi Marcin Pelc z klubu motocyklowego Gremium MC Radicals z Głogowa, który organizował wydarzenie.

Chętnych nie brakowało. Niektórzy przychodzą tu regularnie. - Co roku oddają krew, jestem tu już szesnasty raz. Warto pomóc - mówił nam jeden z dawców. W tegorocznej akcji zarejestrowano 99 osób, a krew oddało 86. Zebrano 38,7 litra krwi.

W akcję Motokrew zaangażowali się również poseł Łukasz Horbatowski, prezydent miasta Rafał Rokaszewicz i starosta



Motocykliści jak co roku oddawali krew

Michał Wnuk. Podziękowali organizatorom za przygotowanie tego pięknego wydarzenia, a przede wszystkim dawcom za udział w akcji.

Organizatorzy przygotowali losowanie, w którym można było wygrać ciekawe nagrody. Była też parada ulicami miasta, a zaraz po niej - poświęcenie motocykli na głogowskiej starówce.

W tym roku wydarzenie dedykowano Szymonowi Borchy,

który jest pod opieką Fundacji „Zdążyć z Pomocą”. Chłopak ma 17 lat i choruje na zespół Smitha-Lemlego-Opitza. Jak opisuje fundacja, organizm Szymona nie produkuje cholesterolu, który jest niezbędny do prawidłowego rozwoju ośrodkowego układu nerwowego. Systematyczna rehabilitacja i turnusy rehabilitacyjne przez lata przyniosły efekty - Szymon potrafi samodzielnie siedzieć.

REKLAMA 0011504919

Stacja demontażu pojazdów
ZŁOMUJGRATA.PL
KASACJA POJAZDÓW
64-100 Lasocice k. Leszna
ul. Wschodnia 36A (przy S5)
500 545 500

AUTOREKLAMA

motofakty.pl
Motoryzacja
na wysokich obrotach
motofakty.pl

REKLAMA 0011459123

ZŁOMOWANIE POJAZDÓW
tel. 600 609 606
Wszystkie formalności załatwiamy na miejscu
Płatność gotówką od ręki
Wydajemy zaświadczenie o demontażu
Odbieramy własnym transportem
Cenimy Twój czas!

Stacja demontażu pojazdów | Czarkowo 16 | 64-125 Poniec

Instalacje na polanie w Obiszowie



FOT. GMINA GRĘBOCICE

Dzieci znajdują na polanie rekreacyjnej wiele ciekawych konstrukcji

Grażyna Szyszka
Grębocice

Polana rekreacyjna w Obiszowie przeszła dużą metamorfozę. Dzięki unijnemu wsparciu powstały zjeżdżalnie, tunele i karuzele.

Jeśli nie macie pomysłu na ciekawe spędzenie czasu wspólnie z rodziną lub przyjaciółmi, polecamy polanę w Obiszowie w gminie Grębocice. W malowniczym terenie, na łonie natury, wśród lasów, czeka na was wiele atrakcji. Jest tam plac zabaw, Pump Truck, a także ścieżki rowerowe Single Track, tyrolka a nawet tor przeszkód.

Od niedawna na terenie rekreacyjnym zamontowano nowe urządzenia, które rozbudzają wyobraźnię i zachęcają

do ruchu na świeżym powietrzu. Do dyspozycji mieszkańców oddano: trzy zjeżdżalnie skarpowe, trzy tunele skarpowe wykorzystujące naturalne ukształtowanie terenu, urządzenia zabawowe „Kula” i „Mrowisko”, dwie karuzele typu „chomik”, dwie nowe wiaty rekreacyjne do wypoczynku i spotkań mieszkańców.

Miłośnicy historii i poszukiwacze przygód znajdą tam średniowieczny gród oraz szlak opisujący dawne dzieje. Na obiszowskiej polanie znajduje się także zakątek z Horoskopem Botanicznym. Jest on otoczony drzewami, które reprezentują każdy z symboli horoskopu celtyckiego.

Modernizacja kosztowała ponad 472 tys. zł, z czego około 331 tys. zł pochodziło z Unii.

Seniorzy odkrywają cyfrowy świat

RED
Serby

Nauka bezpiecznych zakupów online – to jeden z tematów na niezwykłych zajęciach w szkole w Serbach.

Zespół Szkolno-Przedszkolny w Serbach bierze udział w projekcie „Szkoła międzypokoleniowa”. – Okazuje się, że nasza społeczność jest głodna dobrej zabawy i wspólnie spędzonych chwil, podczas których nie tylko uczymy się od siebie nawzajem, poznajemy się i integrujemy – podkreślają koordynatorki projektu, Magdalena Matysiak i Ewa Trznadel.

Dodają, że projekt łączący uczniów i seniorów okazał się prawdziwym strzałem w dziesiątkę.

W ramach ogólnopolskiego konkursu uczniowie stali się cyfrowymi mentorami dla seniorów. Nie prowadzili jednak nudnych wykładów.

Seniorzy musieli zmierzyć się z Cyber-Psotnikiem, który przygotował dla nich specjalne zadania. Uczestnicy uczyli się rozpoznawać fałszywe sklepy internetowe, by chronić się przed utratą pieniędzy, a także poznawali aplikacje ułatwiające codzienne funkcjonowanie, takie jak mObywatel.

– Widok seniora, który z pomocą nastolatka łamie hakerskie kody, tworzy silne hasła i bezbłędnie tropi internetowe oszustwa, to najlepszy dowód na to, że technologia zamiast dzielić, może budować niezwykłe więzi – dodaje Magdalena Matysiak.

REKLAMA



OGŁOSZENIE

o rozpoczęciu konsultacji społecznych dotyczących projektu planu ogólnego Gminy Rudna

Na podstawie art. 8h–8j oraz art. 13i ust. 3 pkt 8 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym (t.j. Dz. U. z 2026 r. poz. 538) oraz uchwały Rady Gminy Rudna Nr IV/22/2024 z dnia 27 czerwca 2024 r. w sprawie przystąpienia do sporządzenia ww. planu ogólnego

zawiadamiam o rozpoczęciu konsultacji społecznych projektu wraz z prognozą oddziaływania na środowisko.

Konsultacje społeczne będą prowadzone w okresie **od 12.05.2026 r. do 10.06.2026 r.** Projekt planu ogólnego wraz z prognozą oddziaływania na środowisko jest dostępny:

- w siedzibie Urzędu Gminy Rudna, Plac Zwycięstwa 15, 59-305 Rudna;
- na stronie internetowej Biuletynu Informacji Publicznej pod adresem internetowym <https://bip.rudna.pl/> w zakładce Zagospodarowanie przestrzenne > Procedury planistyczne dotyczące sporządzenia/zmiany planu ogólnego.

Zainteresowani mogą składać uwagi do projektu planu ogólnego oraz w ramach strategicznej oceny oddziaływania na środowisko w terminie prowadzenia konsultacji społecznych. Organem właściwym do rozpatrzenia uwag złożonych do projektu planu ogólnego oraz uwag i wniosków złożonych w ramach strategicznej oceny oddziaływania na środowisko jest Wójt Gminy Rudna. Uwagi można składać:

- na piśmie lub ustnie do protokołu w Urzędzie Gminy Rudna, Plac Zwycięstwa 15, 59-305 Rudna;
- w postaci elektronicznej bez konieczności opatrywania ich bezpiecznym podpisem elektronicznym, o którym mowa w ustawie z dnia 5 września 2016 r. o usługach zaufania oraz identyfikacji elektronicznej (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 1725) na adres: sekretariat@rudna.pl;
- w postaci elektronicznej za pomocą e-Doręczeń (adres: AE:PL-32621-17475-TRDBV-21).

Uwagę do konsultowanego projektu składa się na formularzu pisma dotyczącego aktu planowania przestrzennego, który dostępny jest w Urzędzie Gminy Rudna oraz na stronie Ministerstwa Rozwoju i Technologii pod adresem internetowym: <https://www.gov.pl/web/rozwoj-technologie/formularz-pisma-dotyczacego-aktu-planowania-przestrzennego>.

Ponadto informuję, że w Urzędzie Gminy Rudna, w dniu **22.05.2026 r.:**

- w godzinach 15:00-16:00 odbędzie się spotkanie otwarte dotyczące ww. projektu planu ogólnego, poprzedzone prezentacją projektu,
- w godzinach 16:00-17:00 odbędzie się dyżur projektanta – urbanisty sporządzającego ww. projekt planu.

Dodatkowo projektant sporządzający projekt planu ogólnego będzie pełnił:

- dyżur telefoniczny w dniu **25.05.2026 r.** w godzinach 9:00–10:00 pod numerem telefonu +48 781 873 627;
- dyżur online w dniu **26.05.2026 r.** w godzinach 9:00–10:00, prowadzony za pomocą środków porozumiewania się na odległość umożliwiających jednoczesną transmisję obrazu i dźwięku, za pośrednictwem platformy Google Meet pod adresem: <https://meet.google.com/zwn-txog-mfu>

Równocześnie informuję, zgodnie z art. 39 ust. 1 w związku z art. 54 ust. 2 ustawy z dnia 3 października 2008 r. o udostępnieniu informacji o środowisku i jego ochronie, udziale społeczeństwa w ochronie środowiska oraz ocenach oddziaływania na środowisko (t.j. Dz. U. z 2024 r. poz. 1112 z późn. zm.), o możliwości składania uwag i wniosków w ramach strategicznej oceny oddziaływania na środowisko. Uwagi i wnioski mogą być wnoszone w formie pisemnej, ustnie do protokołu oraz za pomocą środków komunikacji elektronicznej bez konieczności opatrywania ich kwalifikowanym podpisem elektronicznym na adres: sekretariat@rudna.pl w terminie od 12.05.2026 r. do 10.06.2026 r.

Zgodnie z art. 8a ust. 1 ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym w związku z przetwarzaniem przez Wójta Gminy Rudna, danych osobowych, uzyskanych w toku przeprowadzenia postępowań dotyczących sporządzania aktów planistycznych, prawo, o którym mowa w art. 15 ust. 1 lit. g rozporządzenia Parlamentu Europejskiego i Rady (UE) 2016/679 z dnia 27 kwietnia 2016 r. w sprawie swobodnego przepływu takich danych oraz uchylenia dyrektywy 95/46/WE (ogólne rozporządzenie o ochronie danych), przysługuje, jeżeli nie wpływa na ochronę praw i wolności osoby, od której dane te pozyskano.

W związku z obowiązkiem, o którym mowa w art. 13 ust. 1 i 2 Rozporządzenia nr 2016/679 informuję, że:

1. Administratorem danych osobowych jest Wójt Gminy Rudna, z siedzibą przy Pl. Zwycięstwa 15, 59-305 Rudna.
2. Kontakt z inspektorem ochrony danych możliwy jest poprzez adres e-mail: iod@rudna.pl
3. Będziemy przetwarzać Twoje dane osobowe w celu realizacji procedury sporządzenia planu ogólnego gminy Rudna, na podstawie ustawy z dnia 27 marca 2003 r. o planowaniu i zagospodarowaniu przestrzennym.
4. Pełen zakres informacji nt. przetwarzania danych osobowych Znajduje się na stronie internetowej bip.rudna.pl oraz w siedzibie Administratora.

Z up. Wójta Gminy
Renata Jurdzińska
Sekretarz Gminy



Pierwsza taka niepubliczna placówka w Głogowie świętowała 25-lecie w Teatrze Miejskim. - Chcieliśmy, aby był to swoisty promyk nadziei dla miasta - mówiła założycielka Ewa Drozd (na zdjęciu z prawej z Inez Marczyk- Bień)

Piękna, jubileuszowa gala „Promyka” w Głogowie. Przedszkole ma 25 lat



Uroczystość zakończyły występy przedszkolaków – od najmłodszych po najstarsze grupy



Dotychczas niemal 500 dzieci opuściło mury przedszkola

FOT. GRAZYNA SZYSZKA

Mistrzostwa w grillowaniu



W Neptunie zorganizowano 9 maja mistrzostwa w grillowaniu. Pierwsze takie w Głogowie



Stowarzyszenie Nowa Przestrzeń zadbało o ciekawe konkursy. Dopisała również pogoda



Uczestnicy imprezy pojawili się całymi rodzinami. Już zapowiedzieli swój udział w następnej imprezie

AUTOPROMOCJA

ibo TWOJE DOMOWE BIURO OGŁOSZEŃ

Ogłoszenia drobne
w Twojej gazecie przez
Internetowe Biuro Ogłoszeń.
Bez wychodzenia z domu.

ibo.polskapress.pl



PLOTKI

AGNIESZKA KACZOROWSKA
Różne emocje

Tancerka podróżuje teraz po Polsce ze spektaklem „Siedem”, w którym partneruje jej obecny ukochany – Marcin Rogacewicz. W efekcie jej Instagram pęka w szwach od idyllicznych obrazków zza kulis. Ostatnio Kaczorowska postanowiła pokazać, że czasem nie jest tak różowo. Wrzuciła kilka czarno-białych kadrów i napisała: „Są różne emocje. Od stresu, po ekscytację. Czasem jest siła i energia, a czasem lekkie zmęczenie. Czasem to, z czym w danym dniu, tygodniu, mierzymy się w innych sferach życia, wpływa na stan ducha w dniu grania” – wyznała. Dodała jednak: „Taki jest nasz zawód. Zmienny. Nieprzewidywalny. Zaskakujący (...). Dlatego jest taki ciekawy”.

MARIA PRAŻUCH-PROKOP
Jogowy rozwód

Po ogłoszeniu rozstania z popularnym prezenterem jego żona z miejsca stała się celebrytką. Ale to tylko ją cieszy – bo może w swych social mediach promować treści związane z jogą, którą się profesjonalnie zajmuje. Kilka dni temu była gościem podcastu „Super Mamy”, w którym opowiedziała o rozstaniu. – To po prostu naturalnie wypłynęło z tego, jacy my jesteśmy ze sobą. I wypłynęło to też z jogi. Bo było bardzo dużo z jogi. To było bardzo dużo spokoju, obserwacji, nie-reagowania, dawania czasu, żeby rzeczy się ułożyły (...). Rozwód jogowy. Po jogowemu – podsumowała.

MAŁGORZATA ROZENEK-MAJDAN
Naleśnik

Wszyscy wiemy, że celebrytka jest obecnie żoną Radosława Majdana, a wcześniej była związana z Jackiem Rozenkiem. Mało się mówi o jej pierwszym mężu – Łukaszu Bukaczevskim. Teraz prezenterka opowiedziała o tym związku w podcaście Bratnie Dusze. – Ja pierwszy ślub wzięłam na studiach z moim takim przyjacielem studenckim. To małżeństwo trwało kilka miesięcy. Trochę to było tak, że wszyscy wokół mówili, kiedy ślub, kiedy ślub, bo my byliśmy taką parą, która razem chodziła. No, ja sobie pomyślałam, że fajnie by było przeżyć ślub. Impreza była, wszyscy się fajnie bawili. Ale to było po prostu tak, jak pierwszy naleśnik, no trochę go robisz i on nie wychodzi – stwierdziła.



FOT. OSP GAWORZYCE

Dzień Strażaka w Gaworzycach. Nowi druhowie ślubowali

Szczególnym momentem uroczystości było wręczenie oficjalnych gratulacji oraz dokumentu potwierdzającego nadanie tytułu Członka Honorowego jednostki druhowi Al-

fredowi Wątrobie. Po uroczystej mszy świętej do grona OSP Gaworzycze dołączyli Rafał Jasiński i Adrian Pietrakowski (na zdjęciu).
SEL

HUMOR

Małżeństwo pojechało w góry. Żona patrzy i mówi do męża:
- Ten widok odbiera mi moję.
- I tu właśnie chciałbym zamieszkać.

Po 20 latach małżeństwa małżonkowie przyszli do psychoterapeuty. Żona bez przerwy opowiada o problemach w rodzinie. Lekarz podszedł, objął ją i pocałował. Potem mówi do męża:
- Widzi pan, tego pana żona nie właśnie brakuje. Przy najmniej trzy razy w tygodniu!
Mąż podrapał się po głowie i odpowiada:
- W poniedziałki i środy mogę ją do pana przywieźć, ale w piątki jeżdżę z kumplami na ryby.

Kobieta do ukochanego:
- Spotkajmy się o dziewiętej.
- Jak cię rozpoznam?
- Przyjdę o jedenastej.

- Dlaczego nie lubisz nowego pracownika?
- Wygląda jak głupia arogancka osoba, która ocenia innych po wyglądzie!

Żona do męża:
- Mam dość bycia twoją służącą! Chcę rozwodu!
- Zwalniam cię.
RED

REKLAMA

0011523602



WÓJT GMINY RUDNA
59-305 Rudna, Plac Zwycięstwa 15,
woj. dolnośląskie

informuje
o wywieszeniu w siedzibie Urzędu Gminy
wykazów nieruchomości:

Nr 90/2026 z dnia 12 maja 2026 r.
w sprawie ogłoszenia wykazów nieruchomości
przeznaczonych do oddania w dzierżawę

Nr 91/2026 z dnia 12 maja 2026 r.
w sprawie ogłoszenia wykazów nieruchomości
przeznaczonych do oddania w użyczenie

Nr 92/2026 z dnia 12 maja 2026 r.
w sprawie ogłoszenia wykazu nieruchomości
przeznaczonej do oddania w najem

Wykazy podlegają wywieszeniu do dnia 5 czerwca 2026 r.

REKLAMA

0011523516



OGŁOSZENIE

Wójt Gminy Grębocice
informuje

o zamieszczeniu w Biuletynie Informacji Publicznej
Urzędu Gminy Grębocice oraz na stronie internetowej:
www.grebocice.com.pl
wykazu nieruchomości:

– Zarządzenie nr 94.2026 z dnia 15.05.2026 r., przeznaczonej do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego,
– Zarządzenie nr 95.2026 z dnia 15.05.2026 r., przeznaczonej do sprzedaży w trybie przetargu ustnego nieograniczonego.

Liliana Bogusiak

Czy gdy pracownik zaczyna odczuwać fizyczne i emocjonalne wyczerpanie, przeciążenie obowiązkami zawodowymi, jest sfrustrowany i zestresowany, mówimy już o objawach wypalenia zawodowego?

JAROSŁAW DUDEK: Tak może być. Pierwsze pojawia się wyczerpanie emocjonalne i psychofizyczne; odczuwamy zmęczenie, obniża się nam nastrój, mamy coraz mniej satysfakcji z wykonywanej pracy, zaczynamy oddalać się od otoczenia. Zaczynamy się dystansować od innych, irytujemy się, mamy pretensje, żale do innych. Te nastroje przekładają się na relacje rodzinne. Jeśli w porę tego procesu nie zatrzymamy, zaczynamy uprzedmiotawiać ludzi, z którymi pracujemy, następnie przestajemy wierzyć w naszą skuteczność i realnie obniżamy jakość wykonywanej pracy, wypalenie może także prowadzić do pojawiania się poważnych chorób.

ANNA ZALEWSKA-JANOWSKA: Na poziomie fizjologii pojawiają się uporczywe niedomagania, bóle, traci się apetyt lub nagle zaczyna jeść dużo więcej niż wcześniej. U takiej osoby mogą pojawić się lęki, zaburzenia depresyjne. Wypalenie zawodowe nie zostało zakwalifikowane jako jednostka chorobowa, tylko syndrom zawodowy. Ale gdy jego objawy są już nasilone, pójście do psychiatry nie jest złym rozwiązaniem.

Czy to prawda, że wypalenie zawodowe pojawia się, gdy proporcje pomiędzy tym, co wkładamy w pracę, a tym, co dostajemy w zamian, są mocno zakłócone?

JD: Wypalenie zawodowe szybciej się pojawia i w większym stopniu dotyczy osób, które są ambitne i zaangażowane. Gdy to ich duże zaangażowanie, ambicja i plany zderzą się z rzeczywistością i nie widzą oni efektów, których by oczekiwali, ryzyko pojawienia się symptomów wypalenia zawodowego wzrasta. To nie znaczy, że osoby mniej ambitne na starcie i mniej zmotywowane do pracy nie doświadczają wypalenia zawodowego. U nich może stać się to później, ale może także wystąpić podobnie szybko.

Czy pracownik, u którego ten syndrom wystąpił, ma świadomość, że jest to wypalenie zawodowe?

JD: Większość osób nie ma tej świadomości. Czują, że coraz gorzej im się funkcjonuje w pracy. W pracy często towarzyszy im myśl „byłoby do piątku”. Dopiero w piątek zaczynają w miarę normalnie funkcjonować. W miarę jak syndrom wypalenia zawodo-

O tym, dlaczego praca przestaje sprawiać nam frajdę i pojawia się wypalenie zawodowe, rozmawiamy z prof. Anną Zalewską-Janowską i mgr. Jarosławem Dudkiem z Uniwersytetu Medycznego w Łodzi



Prof. Anna Zalewska-Janowska i mgr Jarosław Dudek

WYPALENIE ZAWODOWE NAJSZYBCIEJ POJAWIA SIĘ U AMBITNYCH I ZMOTYWOWANYCH

wego się pogłębia, nawet weekend jest dla nich męczący i nie potrafią wypocząć. Do braku zadowolenia z pracy dochodzą problemy w rodzinie, ze znajomymi, pojawiają się konflikty. Taki pracownik, który początkowo starał się nie obniżyć swoich standardów pracy, zaczyna odczuwać, że efekty jego pracy nie są już takie jak wcześniej. Z czasem te standardy są coraz niższe i efekt pracy również.

Podaję, że niewielki odsetek tych osób informuje kierownika o swoim wypaleniu zawodowym...

JD: Moim zdaniem niewielki. Nie znam danych statystycznych, które obrazowałyby ten problem, ale tak wynika z moich obserwacji. Po pierwsze dlatego, że część osób jest nieświadoma tego, co się z nimi dzieje. Natomiast ci, którzy zdają sobie sprawę ze swojej sytuacji psychicznej, często nie widzą sensu w takich działaniach. Niektórzy mogą z takim poczuciem pracować aż do emerytury, ale nie będą to jednak ani pracownicy efektywni, ani zmotywowani, ani zadowoleni.

Pan pracuje z menedżerami. Jak reagują, gdy ich pracownicy skarżą się na wypalenie zawodowe?

JD: To zależy od świadomości szefa, jego samooceny i tego, czy potrafi efektywnie zarządzać firmą. Musimy pamiętać, że wypalenie zawodowe to jest także często problem wynikający bezpośrednio z zarządzania i systemu organizacji pracy w firmie. Część przełożonych ma blokadę, aby przyjąć ten fakt do wiadomości. Dlatego pracownik zgłaszający taką kwestię jest traktowany jak ten, który stwarza problem lub ten, któremu nie chce się pracować. Na szczęście jest coraz więcej menedżerów, którzy wspierają pracowników.

Kto powinien zauważyć czy diagnozować - mam na myśli medyków - u pracownika wypalenie zawodowe?

JD: Jeśli lekarz podstawowej opieki zdrowotnej dobrze zna swojego pacjenta, to zauważy, że coś złego się z nim dzieje. Czasami kilka dni zwolnienia lekarskiego pomaga. Ale przy bardzo zaawansowanym wypale-

niu zawodowym nie wystarczy nawet długotrwały urlop. Niekiedy zaleca się zmianę pracy, a w skrajnych przypadkach nawet zmianę zawodu.

Czy może Pan podać przykład takiej skrajnej sytuacji?

JD: Pracownica, bardzo ambitna, doświadczająca wypalenia zawodowego, u której doprowadziło ono do somatyzacji objawów. Kobieta, w momencie, gdy jadąc do pracy autem skręcała w ulicę, przy której znajdowało się jej miejsce pracy, zaczynała odczuwać silny ból nóg i duszności. Przychodziła do pracy, wykonywała swoje obowiązki, choć przez cały dzień źle się czuła. Gdy po wyjściu z pracy wyjeżdżała z ulicy, przy której znajdowała się firma, jej dolegliwości ustępowały. Postanowiła poszukać pomocy i wtedy zmieniła pracę. Po zmianie pracy dolegliwości ustąpiły. W przypadku wypalenia zawodowego mówi się o dwustronnych spiralach. Spirala, która ciągnie człowieka w dół, wykręcając w ten sposób, że człowiek się wypala, zaniebija relacje,

hobby, czas wolny, a są to rzeczy, które wspierają wychodzenie z wypalenia zawodowego, więc „nakręcamy” tę spiralę. W przypadku pojawienia się wypalenia, zaleca się coś odwrotnego, czyli jeśli czujemy, że praca nas przeciąża, powinniśmy znaleźć sobie hobby, spędzać czas ze znajomymi i rodziną. To sprawi, że może wypalenie zawodowe się nie rozwinie i będzie to ta spirala ciągnąca człowieka w górę. Tymczasem wiele osób ucieka w inną stronę, najczęściej w kierunku używek. Nadużywanie alkoholu, leków prowadzi do lekceważenia obowiązków, utraty poczucia odpowiedzialności, co tylko ten syndrom pogłębia.

Przed laty, gdy mówiono o wypaleniu zawodowym, zwracano uwagę na to, że problem dotyczy głównie osób pracujących z ludźmi. Teraz to pojęcie rozszerzono. Jak bardzo?

JD: W pierwszych definicjach wypalenia zawodowego mówiono o tym, że dotyczy to osób pracujących z ludźmi i ich problemami, a więc lekarzy, psychologów, pracowników społecznych. Ale już od dawna mówi się, że dotyczy to każdego. Co więcej, dziś mówi się także nie tylko o wypaleniu zawodowym, ale też między innymi o wypaleniu rodzicielskim, akademickim, opiekuńczym i małżeńskim. Nie da się ukryć, że na początku część specjalistów patrzyła na takie rozszerzanie mocno sceptycznie. To się jednak zmieniło. Przecież w każdej aktywności można się wypalić, zwłaszcza jeśli ktoś się starał, a te wysiłki nie zostały w jego poczuciu należycie docenione.

Gdzie powinna szukać pomocy osoba zmagająca się z objawami wypalenia zawodowego?

AZJ: Na początkowym etapie zaleca się kontakt z psychologiem, na późniejszym z psychiatrą. Wiele osób ma jednak opory, aby skorzystać z takiej pomocy. W Okręgowej Izbie Lekarskiej organizowane są warsztaty przeciwdziałające wypaleniu zawodowemu, jak również szkolenia Naczelnej Izby Lekarskiej. Lekarze mogą się zapisać i skorzystać z profesjonalnych porad i wskazówek. Zawsze można przyjść na izbę psychiatryczną, bo każdy zostanie przyjęty przez specjalistę. Ale jest problem, czy pacjent jest w stanie wyciągnąć rękę po pomoc. Niewiele osób to potrafi.

JD: Wypalenie zawodowe jest efektem nieadekwatnych strategii radzenia sobie ze stresem. Jeśli nauczymy się, jak sobie radzić ze stresem, to ta umiejętność może przedłużyć nam wolność od wypalenia lub poradzić sobie z jego objawami, gdy znowu się pojawia. Oczywiście nie dotyczy to zaawan-

sowanych objawów wypalenia zawodowego.

Czy gdybyśmy potrafili radzić sobie ze stresem, uniknęlibyśmy problemu wypalenia zawodowego?

JD: Warto sobie uświadomić, że życie bez stresu nie jest możliwe. Jest nieunikniony i nie ma go co demonizować. Stres bywa zły, niszczący, ale jest też mobilizujący. Odczuwane napięcie i pobudzenie motywuje nas do działania, popycha do poszukiwania nowych rozwiązań niekonwencjonalnych podejść do problemów. Lubię mawiać, że stres jest dobry, zły jedynie bywa. Tym „złym” trzeba się zająć.

AZJ: Warto nauczyć się kilku pozytywnych strategii radzenia sobie ze stresem. Optymizm sprawia, że organizm nie jest bombardowany nieustannie katastroficznymi wizjami - lepiej funkcjonuje na poziomie fizjologii. Warto stosować tzw. pozytywne przewartościowanie, czyli w najgorszej nawet sytuacji odnaleźć coś korzystnego dla siebie, a pojawiające się kryzysy traktować jako coś, co ma nas ubogacić, wzmocnić. Ta strategia pozwala zmienić nasze negatywne uczucia w pozytywne, a co najmniej negatywne zneutralizować. Przewycięzanie trudności to zdobywanie bezcennych doświadczeń zawodowych, ale i życiowych, małżeńskich, rodzicielskich.

Kolejna kwestia to grupa wsparcia. Człowiek jako istota społeczna potrzebuje co najmniej jednej osoby, aby utworzyć z nią grupę wsparcia. Poszerza to horyzonty, zmniejsza subiektywizm i pomaga przezwyciężyć trudne chwile.

CV

Prof. dr hab. n. med. Anna Zalewska-Janowska
Specjalista dermatolog-wenerolog, alergolog, immunolog kliniczny, pracuje w Zakładzie Psychodermatologii i Neuroimmunobiologii Skóry Uniwersytetu Medycznego w Łodzi.

Mgr Jarosław Dudek
Psycholog, trener, asystent w Zakładzie Psychodermatologii i Neuroimmunobiologii Skóry Uniwersytetu Medycznego w Łodzi. Oprócz pracy na uczelni zajmuje się także współpracą z biznesem i wieloma organizacjami. Specjalizuje się głównie w tematyce radzenia sobie ze stresem, budowania asertywnych relacji zawodowych i prywatnych, zarządzania emocjami, komunikacji interpersonalnej, zarządzania sobą w czasie oraz motywacji.

DZWONI PAPUGA, CZYLI PRZYPADKI MECENASA KOZANECKIEGO

Znany łódzki adwokat Paweł Kozanecki ścigany listem gończym!
To największy skandal w dziejach łódzkiej palestry.

Wiesław Pierzchała

W sławił się szokującą frazą „trumna na kółkach”, ale teraz znów jest o nim głośno w całej Polsce. I nie jest to sława, której najbardziej by pragnął.

Ostatnio mecenas Kozanecki kroczy od katastrofy do katastrofy. Ich skala poraża i zdumiewa. Bo czy to normalne, aby szanujący się adwokat miał na koncie zarzuty prokuratorskie i sprawy karne w sądach? A tak jest w przypadku prawnika od „trumny na kółkach”, któremu śledczy zarzucili ujawnienie tajemnic śledztwa oraz pomoc dilerom w ukryciu narkotyków przed „nalotem” policji.

Nic więc dziwnego, że łódzcy adwokaci są wstrząśnięci i zmieszani, zaś stróż prawa robią wszystko, aby pochwycić prawnika. Chodzi o to, że przyszli do niego w celu osadzenia za kratami, ale go nie zastali. Adwokat zniknął jak kamfora. Dlatego Sąd Rejonowy w Olsztynie wystawił za nim list gończy i polecił policji schwytanie ściganego. Zajęli się tym stróż prawa Komendy Wojewódzkiej Policji w Łodzi, zaś Paweł K. znów stał się Pawłem Kozaneckim.

Śmierć kobiet jadących... „trumną na kółkach”

Jego fatalna passa zaczęła się w niedzielę 26 września 2021 roku na drodze między Barczewem a Jezioranami pod Olsztynem. Według prokuratury kierowany przez prawnika mercedes zjechał na drugi pas jezdni i zderzył się czołowo z audi. Skutki były straszliwe. Dwie jadące audi kobiety w wieku 53 i 67 lat zginęły na miejscu. Okazało się, że Paweł Kozanecki, który był trzeźwy, wracał z żoną i dzieckiem z wesela znanej influencerki Martyny Kaczmarek.

Prokuratura zarzuciła mu spowodowanie wypadku drogowego, w którym zginęły dwie kobiety jadące – według prawnika – „trumną na kółkach”. Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego w Olsztynie, który skazał go

na dwa lata więzienia oraz 5-letni zakaz kierowania pojazdami mechanicznymi. Wyrok nie był prawomocny i obrońcy skazanego, którzy domagali się jego uniewinnienia, złożyli apelację.

Stąd proces odwoławczy w Sądzie Okręgowym w Olsztynie, który obniżył karę główną do 1,5 roku pozbawienia wolności. A to dlatego, że uznał, iż oskarżony spowodował tragiczny wypadek nieumyślnie, a nie – jak stwierdził sąd niższej instancji – umyślnie.

Pogrzebane marzenia o dozorze elektronicznym

A właśnie półtora roku pozbawienia wolności to maksymalna kara, do której można ubiegać się o jej odbycie w trybie dozoru elektronicznego. W praktyce wyglądałoby to tak, że prawnik mógłby odbywać karę w swoim domu zaopatrzonego w bransoletę elektroniczną, czyli nadajnik informujący służby nadzorcze o miejscu jego przebywania.

Być może właśnie ta kwestia stała się przyczyną tajemniczego zniknięcia adwokata, który nagle znalazł się między młotem a kowadłem. Z jednej strony sąd nie podjął jeszcze decyzji o „bransoletach”, a z drugiej przyszła pora stawienia się w zakładzie karnym. Stąd zapewne decyzja o czmychnięciu i zaszytych się w jakimś zakątku.

W ten sposób ścigany teraz listem gończym mecenas Kozanecki popełnił błąd i to dużego kalibru. Wcześniej czy później zostanie wytropiony i zatrzymany albo sam zgłosi się na policję, a wtedy raczej nie będzie miał żadnych szans na dozór elektroniczny i trafi prosto do więzienia.

Na tym sprawa tragedii pod Olsztynem nie skończyła się, bowiem prawnik skomentował ją w sposób iście kuriozalny. Z jego wypowiedzi wynikało, że kobiety, które zginęły w wypadku, same sobie są winne, bowiem jechały „trumną na kółkach”, czyli marnym samochodem. O frazie tej, która spotkała się z powszechnym potępie-

niem, stało się głośno w całej Polsce.

Na adwokata posypały się gromy, także ze strony prawników, którzy nie mogli mu darować, że swoją – mówiąc bardzo delikatnie – niefrasobliwą wypowiedzią popsuł wizerunek łódzkiej palestry. Nic więc dziwnego, że Paweł Kozanecki decyzją prawomocną Wyższego Sądu Dyscyplinarnego w Warszawie został zawieszony na dwa lata w pełnieniu czynności zawodowych, co dla adwokata jest karą wyjątkowo dotkliwą.

Zdradził tajemnice śledztwa?

To nie jedyna taka kara. Otóż prokuratura zarzuciła mu, że

zdradził tajemnice śledztwa członkowi gangu fałszywych policjantów, za co wziął pieniądze. Sprawa trafiła do Sądu Rejonowego Łódź-Śródmieście, gdzie odbył się proces.

Podczas mów końcowych prokurator Wiesław Łatkowski z Prokuratury Okręgowej w Zielonej Górze nie miał wątpliwości, że mecenas Kozanecki jest winny. Opisał sytuację, jak Adrian M. zwrócił się do oskarżonego o pomoc. Miała ona polegać na tym, że prawnik zostanie obrońcą Wiktora K., członka gangu oszustów wyłudających pieniądze metodą „na policjanta”, który niedawno został zatrzymany i objęty śledztwem prokuratury.

Jako obrońca Wiktora K. adwokat miał się dowiedzieć, czy nie „sypie” w śledztwie i czy nie mówi o swoich przełożonych w strukturach przestępczych. I tak się stało. W ten sposób Paweł Kozanecki miał uzyskać informacje ze śledztwa, które przekazał Adrianowi M., za co otrzymał 500 zł.

Efekt mów końcowych był taki, że prokurator Łatkowski zażądał dla prawnika kary dwóch lat więzienia, 20 tys. zł grzywny oraz 7-letniego zakazu uprawiania zawodu adwokata lub rady prawnego. Dla odmiany broń oskarżonego adwokata Władysław Marczewski wnioskuje o uniewinnienie swego klienta.



Prokuratura wydała list gończy za mecenasem Pawłem Kozaneckim. Wyrok za spowodowanie śmiertelnego wypadku to nie jedyny jego problem

Wyrok nieprawomocny zapadł w październiku 2025 roku. Mecenas Kozanecki został skazany na rok i 10 miesięcy ograniczenia wolności, co oznacza, że w tym okresie będzie pracował społecznie w wymiarze 30 godzin na miesiąc. Ponadto został skazany na 3-letni zakaz wykonywania swego zawodu.

Pomógł dilerom ukryć narkotyki?

Na tym kłopoty Kozaneckiego nie kończą się, bowiem – według śledczych – jest zamieszany w kolejne przestępstwo. Chodzi o sprawę w kontekście „nalotu” policji na przestępców narkotykowych. Śledczy przypuszczają, że Paweł Kozanecki – działając wspólnie i w porozumieniu z żoną Pauliną, która też jest adwokatem – dowiedział się od informatora o spodziewanej akcji policji, w porę ostrzegł dwóch dilerów i pomógł im przenieść narkotyki – kokainę, mefedron i marihuanę – do innej kryjówki.

Dlatego oboje prawnicy w łódzkiej prokuraturze usłyszeli zarzuty pomocnictwa do udzielania substancji psychotropowych i odurzających. Ponadto stróż prawa podczas przeszukania ich mieszkania w Łodzi znaleźli 45 gramów marihuany. Stąd kolejne zarzuty. Prokurator zastosował wobec nich dozór policyjny i zakaz opuszczania Polski. Grozi im do 10 lat więzienia.

Śledztwo w tej sprawie – dla zachowania pełnej obiektywności i bezstronności – przeniesiono z Łodzi do Szczecina i niedawno – jak nas poinformowała prokurator Julia Szozda, rzecznik prasowy Prokuratury Okręgowej w Szczecinie – przedłużono je do 27 maja br.

Dzwoni „papuga” i mówi, że musi się udać

Przypomnijmy, że Paweł Kozanecki jako obrońca brał udział w wielu znanych procesach dotyczących m.in. motorniczego Piotra M., który 6 stycznia 2014 roku po pijanemu na ul. Piotrkowskiej w centrum Łodzi potrafił ze skutkiem śmiertelnym trzy kobiety. Ponadto bronił na procesie Marzeny B. i jej kochanka Mariusza S., którzy w Łowiczu w nocy z 26 na 27 listopada 2017 ogłuszyli paralizatorem i zamordowali męża oskarżonej – Mirona B.

Było o nim też głośno, ale z zupełnie innego powodu. Otóż jako rokujący wokalista na instagramie wykonał zawierający wulgaryzmy utwór znanego rapera Maty pt. „Papuga”, w którym jako refren pojawia się fraza: – „Dzwoni „papuga” i mówi, że musi się udać”. Wyjaśnijmy, że „papuga” to potoczne, niezbyt chwalebne określenie adwokata. Nie jest wykluczone, że także teraz, w ukryciu, nuci sobie ten song.

TWOJA PIERWSZA KO..., TWOJA PIERWSZA KOMÓRKA!

Ten tytuł to nie wymysł, to fragment reklamy sprzed kilkunastu już lat, która wciąż pozostaje aktualna, choć komórkę jako prezent komunijny można zastąpić nowszym gadżetem: pierwszą hulajnogą, albo pierwszym dronem. Daleko zaszliśmy także w przyjęciach komunijnych, które w niczym nie przypominają skromnych domowych obiadów sprzed lat. Choć i wtedy bywały wyjątki.

Anna Gronczewska

Dziesięcioletnia Nadia już nie może doczekać się ostatniej niedzieli maja. Tego dnia pójdzie do Pierwszej Komunii Świętej. Już zamówiła u chrzestnej tablet. Chrzestny ma jej kupić rower. Liczy, że babcie, dziadkowie i cicie dadzą trochę pieniędzy. Może wtedy starczy jej na laptopa lub na konsolę? Sama nie ma wielkich wymagań. Ale niektórzy koledzy z jej klasy chwalią się, że dostaną w prezencie quady czy elektryczne hulajnogi.

Nadia i jej koleżanki nie pójdą do komunii w albach. Każda będzie miała piękną sukienkę.

- Ja mam już sukienkę, mama mi kupiła! - mówi dziewczynka. - Taką z falbankami. Mama ma mi też kupić buty na obcasiku i torebkę.

Kamilę Łuczak, mamę 9-letniej Weroniki, pierwsza komunია córki czeka za rok. Była na komunii kuzynów i przerażała ją rewia mody, którą zobaczyła w kościele.

- Dziewczynki wyglądały jak małe księżniczki lub panny młode, zamiast wianka powinny mieć welony, a niektóre były ubrane w suknie z fiszbinami - wspomina nie bez oburzenia.

W różowej sukience

Stroje, w jakich dzieci przystępują do pierwszej komunii od lat budzą emocje. W Polsce jeszcze przed wojną dziewczynki chodziły do komunii w białych sukienkach, a chłopcy w ciemnych garniturach. Z czasem pierwszokomunijne ubiory stały się coraz bardziej strojne. Dziewczynki pojawiały się w kościele w wymyślnych kreacjach. Granatowe garnitury chłopców zastąpiły popielate, białe, a nawet zielone. W jednej z podłódzkich parafii rodzice tak chcieli wyróżnić swoją córkę, że ubrali ją do komunii w różową sukienkę.

Monika Gawrońska z Łodzi, mama Oliwii, która była w tam-

tym roku u komunii, nie chciała się zgodzić, by jej córka założyła albę. Thumaczy, że zawsze marzyła, by jej córka w tym wyjątkowym dniu wystąpiła w białej sukience z falbanami. I jej marzenie się spełniło...

- Gdy nie ma alb, od razu wiadać, które dziecko jest biedniejsze, a które bogate - przekonuje z kolei Kamila Łuczak. - Dlatego najlepiej gdy wszystkie dzieci idą do komunii w albach.

Pani Basia, właścicielka jednego ze sklepów oferującego w internecie między innymi sukienki komunijne, mówi, że cieszą się dużym powodzeniem, choć w wielu kościołach idzie się do komunii w albach. Dlaczego?

- Rodzice chcą, by ich córki miały sukienkę na przebranie - wyjaśnia.

Pamięta, że kiedyś przyszła do jej salonu mama z 10-letnią dziewczynką. Miały ze sobą zdjęcie sukni ślubnej wartej 3.600 złotych.

- Pani poprosiła, byśmy uszyły taką sukienkę dla jej córki do komunii - wspomina pani Basia. - Sukienka była bardzo strojna, trzeba było jednak dokończyć korekt, na przykład zakryć ramiona. Nie wypadła przecież, by dziewczynka szła do komunii w odkrytych ramionach. No i cena była trochę niższa...

Pani Basia zapytała matkę dziewczynki, dlaczego wybrała taką właśnie sukienkę.

- Moja córka bardzo dobrze się uczy, zna kilka języków - tłumaczyła mamusia dziewczynki. - Zobaczyła na zdjęciu tę suknię ślubną i stwierdziła, że w takiej chce iść do komunii. Nie mogłam jej odmówić. Przecież

mam takie dobre i zdolne dziecko!

Parada mody czy przeżycie religijne?

Dziś w wielu kościołach dzieci idą do komunii w albach. Alby, czyli długie, białe tuniki, odpowiednio ozdobione, pojawiały się w kościołach w połowie lat dziewięćdziesiątych. Początkowo wielu rodziców odnosiło do nich nieufnie, ale z czasem się do nich przekonali. Nadal jednak nie wszystkie dzieci przyjmują komunię świętą w albach. Łatwiej przekonać do nich mieszkańców wsi, niż dużych miast.

- Był czas, że rodzice podchodzili bardzo opornie do alb - mówi ksiądz z jednej z łódzkich parafii. - Na szczęście to się zmienia. U nas już niemal wszystkie dzieci idą do komunii w albach. Niestety, nadal są tacy, którzy traktują komunię jako paradę mody, pewien folklor, a nie przeżycie religijne. Jest to dla nich rodzinna impreza, na której można się popisać kto ma ładniejszą sukienkę. Zwłaszcza mamy dziewczynek były oporne. Teraz jednak tylko pojedyncze dzieci podczas komunii nie mają u nas alb.

Katarzyna Marczak, łódzka nauczycielka, posłała córkę do komunii 10 lat temu. Wtedy jeszcze szły do niej dzieci uczące się w drugiej klasie (obecnie w trzeciej). Ola poszła do komunii w albie, choć mama kupiła jej też za 150 złotych sukienkę na przebranie. Inne dziewczynki miały je mieć, więc dlaczego miała bronić swojej jedynaczce?

- U nas ta komunია przebiegła normalnie - wspomina Katarzyna. - To znaczy było przyjęcie w restauracji na 20 osób, czyli najbliższej rodziny. Kosztowało nas około 2 tysięcy złotych. Nie było żadnych karet, limuzyn. A teraz słyszę, że znajomi zastanawiają się czy ich córka ma pojechać do komunii białą kareta czy limuzyną.

Kilka lat temu łódzką prasę obiegło zdjęcie dziewczynki, która pod kościół, w którym odbywała się uroczystość Pierwszej Komunii Świętej, zjechała piękną, białą kareta. Okazało się, że był to komunijny prezent od babci. Wynajem kosztował ją 600 złotych. Kareta pod kościołem w czasie pierwszych komunii wywołała małą sensację, ale nie jest rzadkością. Kilka lat temu taką samą piękną kareta zjechała dziewczynka pierwszokomunijna pod kościół w łódzkiej Rudzie Pabianickiej. W maju sporo pracy mają też firmy wynajmujące takie pojazdy. Jedna z nich znajduje się pod Sieradzem. Jej właściciel tylko śmieje się, gdy słyszy, że w Łodzi ktoś wynajmował kareta za 600 złotych.

- Moja kareta jest elegancka, biała, pięknie wystrojona - dodaje. - Za wynajęcie jej na komunię w Łodzi biorę co najmniej 2 tysiące! Chętnych nie brakuje!

A jak kiedyś wyglądały komunie święte?

Komunia w stylu wileńskim

Jan Tomaszewski, były bramkarz ŁKS-u i reprezentacji Polski, do Pierwszej Komunii Świętej przystępował we Wrocławiu. Była to druga połowa lat pięćdziesiątych.

- Nie szedłem do komunii w garniturze, tylko w białej koszuli i granatowych spodniach - opowiada popularny „Tomek”. - Tak też wyglądali moi koledzy. Dziewczynki były ubrane w długie sukienki, które wyglądały jak suknie ślubne. Taka była wtedy moda we Wrocławiu. Ja jestem

bowiem z tych „Karguli”, którzy wysiedli we Wrocławiu, a nie w Jeleniej Górze. To znaczy nie ja, a moi rodzice.

Bramkarz opowiada, że najgorsze było czekanie. Trzeba było wcześniej przyjść do kościoła i czekać na rozpoczęcie mszy świętej.

- Oczywiście wcześniej były próby, przygotowania, ale najgorsze było to wyczekiwanie przed kościołem już w dniu komunii - twierdzi Jan Tomaszewski. - Sama Pierwsza Komunia Święta była niesamowitym przeżyciem, tak jak spowiedź, która miała miejsce w sobotę. Na to się czekało. Dlatego, gdy tak w słońcu staliśmy przed kościołem, to czas bardzo się dłużył. Dobrze to zapamiętałem.

Po komunii wszyscy poszli do domu.

- Moja rodzina pochodziła z Wileńszczyzny, więc przyjęcie komunijne było bardzo huczne, już wtedy - opowiada „Tomek”. - Przy jednym stole siedziały dzieci, przy innym dorośli. A dzieci było dużo. Wiadomo, że dzieci szybko zjadły i pobiegły do zabawy. Ja bawiłem się z nimi. Potem przebrałem się w galowy strój i poszedłem z chrzestnymi na nabożeństwo do kościoła. Dopiero wtedy zaczęła się biesiada dorosłych. Nie powiem, że nie było alkoholu. A zabawa trwała do nocy. Było to prawdziwe wileńskie przyjęcie!

Jan Tomaszewski pamięta, że w prezencie komunijnym dostał piłkę, rower i zegarek.

- Ale na te prezenty składała się cała rodzina! - dodaje.

Smutek podartych rajtuz

Elżbieta Nowaczyk do Pierwszej Komunii Świętej przystępowała w 1974 roku. Pamięta, że koleżanka mamy wróciła właśnie z Włoch i przywiozła jej piękne, białe rajtuzy.

- Były to tzw. kabaretki - wspomina Elżbieta. - Nie mogłam się doczekać kiedy je założę. Były takie piękne... Założy-

łem je w dniu komunii, byłam taka szczęśliwa. Wszystkie koleżanki z podziwem patrzyły na moje kabaretki.

Jednak to szczęście nie trwało długo. Podczas komunijnej mszy Elżbieta ukłękła. To samo zrobiła stojąca przed nią koleżanka...

- Uderzyła mnie butem w nogę i w moich kabaretkach zrobiła się ogromna dziura... Gdy szłam, by pierwszy raz przyjąć komunię świętą, nie myślałam o niczym innym jak o tej dziurze w rajtuzach. Miałam wrażenie, że wszyscy ją widzą. Potem mama ją jakoś zaczerowała, bym mogła w tych kabaretkach pozować do komunijnego zdjęcia.

Dobrze też pamięta komunijne prezenty. Dostała zegarek „Czajka” i rower „Wigry”.

- Najbardziej cieszył mnie rower - mówi Łodzianka. - Dostałam też z dziesięć bombonierek. Schowałam je do szafy, gdzie pięknie je ułożyłam. Były tak piękne, że żal mi było je otworzyć i jeść. Ale w końcu chciałam spróbować jedną czekoladkę. Niestety, pudełko było puste, tak jak kolejne. Okazało się, że wszystkie czekoladki wyjadł mój młodszy brat...

Zagubiony łańcuszek

Jolanta Śniegocka, łódzka lekarka, do komunii poszła na początku lat sześćdziesiątych. Przypomina, że najbardziej stresowała ją pierwsza spowiedź.

- Wszystkie grzechy spisałam sobie na kartce, bałam się, że któregoś zapomnę! - śmieje się dziś. - Przed samą komunią nie spałam chyba całą noc... Sukienkę uszyła mi ciocia, która była krawcową. A na głowie miałam wianek upleciony z żywych kwiatów. Zrobiły mi go starsze siostry.

Po uroczystości w domu był uroczysty obiad, ale zebrała się na nim tylko najbliższa rodzina. Jolanta nie zapomni, że w prezencie komunijnym od chrzestnej dostała... parasolkę.

*MOJA RODZINA POCHODZIŁA
Z WILEŃSZCZYZNY, WIĘC PRZYJĘ-
CIE KOMUNIJNE, A BYŁY TO LATA
50., BYŁO BARDZO HUCZNE –
OPOWIADA JAN TOMASZEWSKI*



FOT. ARCHIWUM DE



FOT. ARCHIWUM DE



FOT. ARCHIWUM DE



FOT. ARCHIWUM DE

Komunijne stroje przez długie lata były dość skromne. Pogoń za wyszukаныmi kreacjami w największym stopniu dotknęła dziewczynki. Prezenty zwykle były na miarę czasów - kiedyś standardem były rower, zegarek i radio tranzystorowe

- Chrzestny dał mi złoty łańcuszek - wspomina. - Nie cieszyłam się jednak nim długo. Po obiedzie pobiegłam z kuzynkami pobawić się na łące. I zgubiłam łańcuszek...

Anna Koczevska, łódzka prawniczka, do pierwszej komunii poszła w 1973 roku. Uroczystość miała miejsce w kościele pw. św. Kazimierza na łódzkim Widzewie. Nie zapomni, że nie spała niemal całą noc, by nie zepsuła się jej przygotowana wieczorem przez mamę fryzura. Mama zadbała też, by miała piękną sukienkę. W „Peweksie” kupiła białą kremplinę za wcześniejszą mozelnie odkładane dolary. Suknię szyla jej potem znajoma krawcowa, która pracowała w „Telimenie”. Jeździły na przystanku na Stoki, a Ania nie mogła się doczekać, kiedy założy to białe чудо...

- Przyjęcie komunijne odbywało się w domu - wspomina Anna. - Było na nim z 40 osób. Stoły były rozstawione

w dwóch pokojach. Mama nie chciała, by na przyjęciu komunijnym był alkohol. Wiadomo jednak, że w Polsce na takich uroczystościach bez alkoholu nie ma zabawy, ani apetytu. Tak też było u mnie. Kiedy po południu poszłam do kościoła z mamą i chrzestnymi po odbiór komunijnych obrazków, tata był gotowy. Schował wcześniej kilka butelek wódki i wyciągnął w czasie nieobecności mamy. Gdy wróciliśmy z kościoła, goście byli już wyraźnie rozluźnieni.

Anna pamięta, że na komunię dostała kolorowe mazaki, książkę o Ani z Zielonego Wzgórza, złoty pierścionek, łańcuszek i pieniądze.

Nie pamiętam, żebym dostał prezent

Nieżyjący już znany łódzki aktor Michał Szewczyk do Pierwszej Komunii Świętej poszedł zaraz po wojnie, w 1946 lub 1947 roku.

- Do pierwszej komunii przystąpiłem zaraz po tym jak otworzyli kościół pw. św. Franciszka w Łodzi - opowiadał nam Michał Szewczyk. - W czasie wojny w kościele znajdował się magazyn czapek wojskowych.

Rodzice przygotowali dla aktora garniturek, z krótkimi spodenkami. Zachował się jego komunijne zdjęcie. Stoi na nim z rodzicami, siostrą, chrzestną.

- Bardzo cieszyłem się, że do komunii poszedłem w podkolanówkach, a nie pończochach, w których nieraz musieli chodzić chłopcy, bardzo ich nie lubiłem - wspominał Michał Szewczyk.

Aktor nie pamiętał przyjęcia komunijnego, ale znając swoich rodziców, uważał że na pewno było zorganizowane.

- W tej samej kamienicy przy ulicy Staszica mieszkała też moja chrzestna, więc przyjęcie musiało być - mówił nam pan Michał. - Nie pamiętam żebym dostał jakiś prezent.

Wtedy nie było takiej mody. Rower dostałem kilka lat po niej. Miał jeszcze drewniane obręcze. Ten rower sam złożył mi tata Władysław. Uchodził za „złotą rączkę”. Potrafił wszystko. Złożył nawet radio. Potem cała kamienica schodziła się do nas, by posłuchać radiowych audycji.

Po komunii Michał Szewczyk został ministrantem. Służył do mszy przez kolejne dziesięć lat. Bardzo to lubił.

- Mama zamawiała dla mnie wspaniałe komże - wspominał łódzki aktor. - Wyszywane, potem krochmalone. Uwielbiałem je!

Nie zapominajmy o istocie pierwszej komunii

Ks. dr Andrzej Blewiński, emerytowany proboszcz parafii Matki Bożej Dobrej Rady w Zgierzu, krytycznie patrzy na współczesne Pierwsze Komunie Święte.

- Rok albo dwa lata wcześniej rodzice załatwiają salę, w której ma się odbyć przyjęcie komunijne. Wybierają menu, zastanawiają się nad prezentami, a gubią istotę całej uroczystości - mówi.

- A istotą jest sam sakrament Eucharystii. Pierwsza komunie wprowadza niejako do dorosłego życia religijnego. Po to dziecko chodzi cztery lata na katechezę. Lekcje religii odbywają się w przedszkolu, potem pierwszej, drugiej i trzeciej klasie szkoły podstawowej. Trwa więc przygotowanie do Pierwszej Komunii Świętej, katecheeci się trudzą, a wielu rodziców spłaszcza całe zagadnienie, myśląc tylko co zewnątrz, a nie o tym co niesie z sobą przyjęcie tego sakramentu.

A przecież Pierwsza Komunia Święta, pierwsza spowiedź są dużym przeżyciem dla dziecka. Tylko na tę sprawę zwracają niemal wyłącznie księża, katecheeci. Dla większo-

ści rodziców ważne jest zupełnie co innego. Nie ma tu tej zgodności i jest to bolesne. Doprowadza to do tego, że uroczystość pierwszokomunijna staje się wydarzeniem o charakterze rekreacyjno-ludycznym. Zdarzało się, że dziecko podjeżdżało do kościoła na swoją pierwszą komunię białą karetą zaprzęzoną w sześć koni.

Ks. Andrzej Blewiński przyznaje, że uroczystość Pierwszej Komunii Świętej skomercjalizowała się.

- Pamiętam, że w jednej z parafii rozmawiałem z dziećmi na temat prezentów komunijnych - wspomina. - Prześcigały się w opowieściach, co kto dostał. Były rowery, komputery, konsole. I odezwała się w końcu jedna dziewczynka, która powiedziała: Dla mnie największym prezentem był Pan Jezus w Komunii Świętej! Zaległa niesamowita cisza. Zaskoczyła kolegów i koleżanki. Ale ta dziewczynka dała bardzo dojrzałą odpowiedź. To nie oznacza, że nie powinno się dawać prezentów na Pierwszą Komunię Świętą. To sympatyczny element tej uroczystości, bo zawsze miło jest coś dostać, ale nie należy nastawiać dziecka na to, że ta uroczystość wiąże się tylko z upominkami. Nie można mówić dziecku, że przyjedzie wujek i da komputer, a ciocia - rower. Dziecko wtedy nastawia się tylko na te prezenty. Marzy o nich, rozmyśla. Gubi się wtedy to, co jest w Pierwszej Komunii Świętej najważniejsze. Dochodzi nawet do takich sytuacji, że tuż przed komunią świętą rodzicom przypomina się, że dziecko nie jest ochrzczone. W naszej parafii na przełomie kwietnia i maja będzie kilka takich chrztów. Jeszcze raz powtórzę, że podczas Pierwszej Komunii Świętej najważniejszy jest wymiar religijny, nie komercyjny. Niestety, ten głos jest zagłuszony. Często posyła się dziecko do pierwszej komunii dlatego, że tak wypada, bo idą jego koledzy, koleżanki. Ekspozowane jest profanum, a sacrum jest pomijane.

Sam dobrze pamięta swoją Pierwszą Komunię Świętą. Przystępowała do niej setka dzieci.

- Cała uroczystość była skromnie przygotowana - opowiada. - Wiadomo, czasy były inne. Nie było takich wystawnych prezentów, obiadów, tylu gości. Do dziś pamiętam, że w czasie mszy świętej byłem rozproszony, rozglądałem się, by zobaczyć czy do komunii przystępują moi rodzice. Kiedy zobaczyłem ich u komunii, to uspokoiłem się...

Po uroczystości był w domu obiad. Byli na nim tylko rodzice, brat i siostra oraz chrzestni z rodzinami. Ks. Andrzej zapamiętał, że mama ugotowała rosół, a od chrzestnego dostał w prezencie radziecki zegarek i małe radio tranzystorowe.

Aby zmienić postrzeganie czytania przez społeczeństwo i decydentów, Fundacja Powszechnego Czytania zorganizowała w Warszawie konferencję Literacy for Democracy. Co takiego się stało, że czytanie przestaje być tylko miłym, dobrym nawykiem, a staje się sprawą strategiczną?

To bardzo dobre pytanie. Jak mówi Maryanne Wolf, profesorka neuronauki i znana amerykańska badaczka mózgu czytającego, jeśli nie będziemy dbali o to, co ona nazywa głębokim czytaniem, czyli o linearne, długie czytanie książek, zatracimy umiejętności, które sprawiły, że jako cywilizacja stworzyliśmy demokrację. To jedno. Druga odpowiedź pojawia się w słynnym Ljubljana Manifesto on Higher-Level Reading, czyli manifestie czytelnictwa z Lublany. Jego autorzy, badacze czytania i neuronaukowcy, mówią o tym w kontekście rozwoju sztucznej inteligencji. Zwracają uwagę, że musimy ćwiczyć mózgi, żeby radzić sobie w świecie, w którym coraz ważniejsza staje się umiejętność oceny treści. Łączą to z zalewem dezinformacji, z potrzebą budowania krytycznego myślenia, innowacyjności, kompetencji komunikacyjnych, rozmowy i współpracy z innymi. I pokazują, że czytanie właśnie to nam daje. Myślę, że ważnym elementem tej rozmowy jest świadomość, że czytanie, podobnie jak ruch fizyczny, jest strategicznym elementem dobrostanu społecznego. Dziś już wszyscy wiemy, że nie da się dobrze funkcjonować bez ruchu. Wiedzą to rodzice, szkoła, samorządy inwestujące w parki i siłownie plenerowe, wie to także biznes, który wspiera aktywność pracowników przez karty sportowe. A przecież sport pozostaje czynnością prywatną. Nikt nie może nas zmusić do biegania, pływania czy chodzenia po górach. Firma może dać kartę, burmistrz może zbudować siłownię w parku, ale decyzja nadal należy do nas. Z czytaniem jest podobnie. Ono powinno pozostać prywatną przyjemnością, prywatnym wyborem, naszym nawykiem. A jednocześnie powinniśmy rozumieć, jak bardzo jest strategicznie ważne. Nie uważam, żeby jedno przeczyło drugiemu.

Można rzec, że demokracja zaczyna się wcześniej niż przy urnie wyborczej, bo w domu, w pierwszym kontakcie dziecka z językiem? Można tak to ująć i bardzo mi się to ujęcie podoba. Kiedy mówimy o pierwszych latach życia dziecka, dotykamy sfery pediatrycznej i psychologicznej. Oczywiście neuronau-

– Prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Groźniejsze jest to, że czytanie zostanie przywilejem wąskiej warstwy, która będzie budować koncentrację i kompetencje, a duża część społeczeństwa nie zobaczy przyjemności ani w lekturze, ani w poruszaniu własnego mózgu – mówi Maria Deskur, prezeska Fundacji Powszechnego Czytania

Anita Czapryn



Maria Deskur: Dziś w Polsce mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana

MARIA DESKUR: BEZ CZYTANIA MOŻEMY SIĘ CYWILIZACYJNIE COFNAĆ

kowcy także się tym zajmują, ale bardzo mocno mówią o tym również pediatrzy. Na naszej konferencji pojawi się Dana Suskind z Chicago, profesorka pediatrii i chirurgii, która dużo mówi o bogactwie językowym. Nie zajmuje się czytaniem w wąskim sensie, mówi raczej o tym, że dziecko musi być otoczone słowami, bogactwem słownictwa, językiem. A to oczy-

wiście łączy się z książką, bo książka jest jednym z najlepszych narzędzi tworzenia zdrowego środowiska rozwojowego dla dziecka. Daje różnorodność słów, bogactwo języka i pojęć. Suskind mówi też o podmiotowości małego człowieka, o budowaniu jego mózgu, o namnażaniu się synaps. To jest opowieść o tym, że powinniśmy od samego początku upodmiotawiać

dzieci. Sprawiać, żeby panowały nad językiem, którym się posługują. Żeby miały narzędzia do wyrażania siebie, opisywania swoich emocji, potrzeb, myśli. Żeby mogły dochodzić do własnych wniosków. I to rzeczywiście jest budowanie, od urodzenia, świadomych uczestników demokracji. Najpierw małych ludzi, potem coraz większych, a w końcu nas wszyst-

kich jako wspólnoty. Pomagamy nam to na wielu poziomach. Wspominałam o nowych technologiach i dezinformacji, ale lekarze zwracają też uwagę na stabilizację emocji. Czytanie i język pomagają również w rozwoju poznawczym mózgu, w namnażaniu się synaps, w rozwoju struktur, które później pozwalają dziecku wybrać swoją drogę, zawód, kierunek życia. Mó-

wiąc najprościej: jeśli mózg jest dobrze rozwinięty, człowiek może pójść w bardzo różne strony i dokonać bardziej autonomicznego wyboru. Ale to także rozmowa o odporności. Dziś odmieniamy to słowo przez wszystkie przypadki: odporność psychiczna, emocjonalna, społeczna, asertywność. A odporność społeczności bierze się między innymi z tego, że potrafimy się komunikować, umiemy coś razem wypracować, razem działać. W tym sensie wszystkie wielkie wyzwania współczesności skupiają się jak w soczewce w pytaniu o czytanie. Powiedziałabym, że chodzi o to, jak użyć czytania jako narzędzia do mierzenia się z wyzwaniami współczesności.

Jakie dzieci wychowujemy, jeśli od pierwszych lat oddajemy ich uwagę ekranom, a nie językowi i rozmowie? Dziś telefony komórkowe montowane są nawet w wózkach, żeby dziecko podczas spaceru mogło oglądać bajkę. Daleka jestem od oskarżania rodziców, bo wielu robi to zupełnie nieświadomie. Ale fakt jest faktem: mamy dziś dużo badań pokazujących, że małe dziecko do rozwoju mózgu, koncentracji, stabilności i pewności siebie potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem, a nie z ekranem. Ekran oczywiście dziecko cieszy. I to jest pułapka. Coś się rusza, coś miga, można kliknąć. Ekran kradnie uwagę, bo wymaga od mózgu mniejszego wysiłku niż rozmowa, zabawa, obserwowanie świata. A do rozwoju potrzebujemy wysiłku. Wróć do porównania ze sportem. Żeby się ruszać, trzeba wstać z kanapy. Ale jeśli dziecko dużo biega, nie postrzega tego jako obowiązku. Dla niego to zabawa. Ktoś mu pokazał, że bieganie, kopanie piłki, spacer, chodzenie po górach czy ruch w parku są fajne. Przy dużym wysiłku, jak udział w maratonie, wydziela się dopamina. To ogromny wysiłek dla ciała, a jednak dziesiątki, setki tysięcy ludzi biorą udział w maratonach, bo sprawia im to przyjemność. Z czytaniem jest podobnie. Scrollowanie to pasywna aktywność, to symboliczne siedzenie na kanapie. Wiele osób to lubi, ale to nie znaczy, że jest to dla nich dobre. Jeśli komuś nie pokazano, że ruch może być przyjemnością, łatwo wejdzie w tryb życia, który z medycznego punktu widzenia nie jest najlepszy. Podobnie jest z ekranami. Z punktu widzenia rozwoju małych dzieci bardzo wczesne dawanie im ekranów nie pomaga. Dziecko powinno czasem trochę się ponudzić, obserwować przyrodę, a przede wszystkim być w re-

lacji z drugim człowiekiem. Oczywiście to oznacza wysiłek rodzica. Zdaje sobie sprawę, że płaczące dziecko najłatwiej uciszyć telefonem. Ale powinniśmy chcieć zrozumieć, o co mu chodzi, nawet jeśli jeszcze nie mówi. Wziąć je na ręce, sprawdzić, czy coś mu się nie stało, czy nie jest głodne, czy czegoś nie potrzebuje. A kiedy jest starsze – to wchodzić z nim w interakcję. Dom jest pierwszą przestrzenią ćwiczenia relacji społecznych. Dziecko potrzebuje rozmowy, bliskości, obecności. Potrzebuje czasem pokłócić się z rodzicem, postawić mu się, zobaczyć, że rodzic na coś się zgadza, a na coś nie. Że jest reakcja. Że coś jest dobre, a coś niedobre. Że nóż jest niebezpieczny, a łyżka bezpieczniejsza. To milion codziennych sytuacji, z których jako dorośli często nie zdajemy sobie sprawy. Dla rodzica to mogą być rozmowy pozornie trywialne: o tym, co wydarzyło się w parku, w przedszkolu, w książce; że wilk zrobił coś złego, a inny bohater coś dobrego. Ale właśnie to jest przygotowanie do życia. Dziecko potrzebuje tych rozmów, bliskości, obecności i czasu. Rozumiem, że jesteśmy zmęczonymi, zabieganymi rodzicami. Ale nadmiar ekranów jest dla dziecka po prostu bardzo niedobry.

Dzisiaj dzieci bardzo szybko uczą się obsługi nowoczesnych urządzeń. Znacznie wolniej uczą się cierpliwości, skupienia uwagi. Co dobrego daje czytanie? Dlaczego Fundacja Powszechnego Czytania tak mocno apeluje właśnie o czytanie?

Mam poczucie, że jako cywilizacja wykonaliśmy ogromną pracę w bardzo dobrym kierunku: udostępniania wiedzy wszystkim. Obowiązkowa edukacja była miłowym krokiem. Cała populacja została włączona w edukację, możliwości rozwojowe, w obietnicę równych szans. Telefon komórkowy również może być genialnie demokratycznym narzędziem. Każdy z nas ma, przy najmniej teoretycznie, dostęp do wszelkiej wiedzy. Ale jeśli jako społeczeństwo nie nauczymy się używać tego narzędzia tak, żeby nam sprzyjało, a nie obniżało nasz potencjał, na drodze ku równym szansom możemy się zatrzymać albo nawet cofnąć. Marzeniem cywilizacyjnym jest przecież to, żeby każde dziecko dostawało publiczną edukację i miało szansę zostać tym, kim zechce. To niezwyczajne, że żyjemy w takim miejscu świata, w którym możemy w ogóle o tym rozmawiać. Jeśli pozwolimy, żeby telefon zamiast stać się kolejnym narzędziem demo-

kratyzacji, stał się narzędziem pogłębiania różnic w wykształceniu, to będzie bardzo źle. Widać już pewien paradoks. Ludzie z Doliny Krzemowej, twórcy największych firm technologicznych i mediów społecznościowych, wysyłają własne dzieci do szkół, w których technologii prawie nie ma albo nie ma jej wcale. Bo wiedzą, jak bardzo media społecznościowe uzależniają. Sami je stworzyli. Myślę więc, że prawdziwym niebezpieczeństwem nie jest to, że ludzie całkowicie przestaną czytać. Niebezpieczeństwo polega raczej na tym, że pozostanie wąska warstwa, która nadal będzie czytać, budować koncentrację i kompetencje rozwijane przez czytanie, a duża część społeczeństwa nie będzie poświęcała czasu ani na ruch fizyczny, ani na poruszanie własnego mózgu. I, co równie ważne, nie zobaczy przyjemności ani w jednym, ani w drugim. Prawdziwe wyzwanie cywilizacyjne brzmi więc: jak sprawić, żeby przyjemność ruchu fizycznego i przyjemność czytania stały się powszechne? Wracając do pani pytania, dlaczego czytanie jest tak istotne: dzięki niemu możemy stawać się tym, kim chcemy. Czytanie buduje nasze mózgi. I to w każdym aspekcie, bo mózg to nie tylko wiedza. To także umiejętność łączenia faktów, rozumienia związków przyczynowo-skutkowych, analizy, syntezy, matematyki, fizyki, nauk ścisłych. Jest wiele badań pokazujących, że osoby czytające są lepiej przygotowane do rozumienia pojęć z nauk ścisłych. Ale jest też cała sfera społeczna. Mózg ma wymiar relacyjny. Budujemy neurony lustrzane, ćwiczymy się w rozumieniu drugiego człowieka, we współpracy, we współtworzeniu. Światowe Forum Ekonomiczne wśród najważniejszych kompetencji przyszłości wymienia wiele takich, które dotyczą współpracy, kreatywnego myślenia, pracy z ludźmi i przywództwa. To wszystko. Mniej lub bardziej wprost, bierze się z tego, że pozwalamy sobie w szybkim świecie na powolne, głębokie skupienie na treściach. Czytanie ćwiczy mózg w czymś, do czego on wcale nie został pierwotnie stworzony. Nie ma w nim jednego miejsca odpowiedzialnego za czytanie. Żeby nauczyć się czytać i żeby czytać, uruchamiamy bardzo wiele obszarów mózgu. I właśnie dlatego czytanie jest tak dobroczynne. Powoduje, że nasz mózg zaczyna pracować na bardzo wysokich poziomach.

W programie konferencji, obok naukowców, edukato-

rów i przedstawicieli Komisji Europejskiej, znaleźli się także przedstawiciele biznesu. Czytanie może być dziś postrzegane również jako warunek konkurencyjności? To już nie jest tylko sprawa humanistów?

Zdecydowanie. To jedna z podstawowych prawd. Przyzwyczailiśmy się myśleć w pewnych torach. Tak są też zorganizowane nasze państwa: jest silos kultury, silos edukacji. Promocja czytelnictwa przypisana jest zwykle do silosu kultury. Zajmuje się nią Ministerstwo Kultury, na poziomie gminy wydział kultury, na poziomie europejskim komisarz do spraw kultury. To naturalne, bo społeczeństwa muszą być zorganizowane i trzeba dzielić obowiązki. Ale wyzwaniem jest uświadomienie sobie, że czytanie nie jest wyłącznie domeną humanistów. Oczywiście. Oczywiście, że czytanie buduje kody kulturowe, naszą identyfikację, na poziomie regionu, państwa, kontynentu. Ale z punktu widzenia nauki Maryanne Wolf bardzo dobrze to ujmuję: zanim w ogóle rozpoczniesz rozmowę o wartości literackiej tekstu i kodach kulturowych, które on niesie, kiedy czytasz książkę, twój mózg już dostał całą pulę ćwiczeń analitycznych, syntetycznych, ćwiczeń krytycznego myślenia, zauważania perspektyw innych niż własna. Czyli uczenia się, że ktoś inny myśli inaczej. To wszystko dzieje się, zanim to zauważysz. Czytasz książkę, a twój mózg wykonuje ogromną pracę. Dlatego zanim zaczniemy rozmowę o jakości literackiej, kodach kulturowych czy kulturze wynikającej z tego, że czytamy te same książki, trzeba zobaczyć podstawowy poziom: czytanie jest treningiem mięśni mózgu. Ćwiczeniem operacji myślowych, które później decydują o tym, co jesteśmy w stanie zrozumieć, stworzyć i zrobić.

Celem Fundacji Powszechnego Czytania jest osiągnięcie 70 procent czytelnictwa w Polsce. Co praktycznie zmieniłoby się w państwie, gospodarce, relacjach społecznych, gdybyśmy taki poziom osiągnęli?

W wielu krajach prowadzi się badania pokazujące, że wyższy poziom czytelnictwa przekłada się na PKB. W Polsce nie znam takich wyliczeń, więc trudno mi byłoby mocno się na nie powoływać. Natomiast wiemy, że większa liczba osób czytających w danej społeczności oznacza lepszy poziom komunikacji i mniejsze rozwarstwienie społeczne. To są rzeczy, do których dążymy. Sprowadźmy to do konkretnego przykładu. Dziś w Polsce

mniej więcej połowa rodziców czyta swoim dzieciom. To znaczy, że mniej więcej połowa dzieci przychodzi do szkoły zasadniczo do niej nieprzygotowana: psychicznie, emocjonalnie, ale też kompetencyjnie. One już na starcie są w bardzo trudnej sytuacji. Gdybyśmy doprowadzili do tego, że czytałoby 70 procent dorosłych i 70 procent rodziców czytałoby dzieciom, mielibyśmy o 20 punktów procentowych więcej dzieci, które przychodzą do szkoły lepiej przygotowane. Dla których szkoła nie zaczynałaby się od traumy. To bardzo konkretna i ogromna korzyść społeczna. Oczywiście można mówić też szerzej: o procesach, dzięki którym rośnie umiejętność współpracy, rosną kompetencje innowacyjne. Polska ma bardzo duże ambicje w tym obszarze. Myślę, że tutaj wiele mogłoby się zmieni. Ale ta rozmowa jest trudna, bo, jak powiedziałam, nie mamy dziś w Polsce takich prognostycznych wyliczeń. Inne kraje to robią. Jako fundacja marzymy o tym, żeby mieć środki na takie prognozy i policzyć to także w Polsce.

Co z pomysłem Fundacji dotyczącym książki na receptę? Czy pediatra może dziś być sojusznikiem czytania?

Pediatrzy już są naszymi sprzymierzeńcami. W tym roku w nowym wydaniu podręcznika do pediatrii, wydawanym przez Medycynę Praktyczną, a to podręcznik, z którego szeroko korzystają pediatrzy w Polsce, zostaje dodany rozdział poświęcony badaniom pokazującym, jak bardzo dzieci od urodzenia potrzebują czytania i rozmowy. W tym samym rozdziale opisano, jak rekomendacje dotyczące czytania można wprowadzić do każdej wizyty w gabinecie, czyli do standardów pediatrycznych. To oznacza, że pediatrzy stają się naszymi sprzymierzeńcami systemowo. Nie chodzi już o to, że jeden, dwóch czy pięciu lekarzy będzie to robić z własnego przekonania. Chodzi o zmianę, która z czasem wejdzie w krwioobieg. Następne pokolenie pediatrów będzie miało tę wiedzę w swoim wykształceniu. Będzie postrzegało rozmowę, czytanie i dzielenie się książką z dzieckiem jako część medycyny. Ogromnie się z tego cieszymy. Do tej pory współpracują z nami już setki pediatrów w Polsce, ale to są ludzie, którzy nie uczyli się tego na studiach. Uczono ich o tym, że ważny jest ruch fizyczny, warzywa, witaminy, obok całej gigantycznej wiedzy pediatrycznej. Natomiast rozmowa o książkach, wspólnym czytaniu, dzieleniu się

książkami od najwcześniejszych miesięcy życia, to w Polsce novum. I nie tylko w Polsce. W wielu krajach pediatrzy stają się dziś bardzo ważnymi sprzymierzeńcami czytania.

Konferencja stawia pytanie o wsparcie rodziców i opiekunów, jako tych, którzy kształtują młode umysły. Jakiego wsparcia potrzebują tu rodzice?

Przede wszystkim informacji. Kiedy rodzi się dziecko, wielu rodziców uczestniczy w szkołach rodzenia. Potem pojawiają się neonatolodzy, pediatrzy. I właśnie tam mogłoby pojawić się bardzo ważne wsparcie: jasna informacja, dlaczego rozmowa, obecność i książka są tak ważne od samego początku. Bo jeśli nam w dzieciństwie czytano, jeśli mieliśmy książki w domu i było to naturalne, jest duża szansa, że będziemy czytać własnemu dziecku. Albo wystarczy, że ktoś nam o tym przypomni, i to wróci. Ale w Polsce, podobnie jak w wielu społecznościach w Europie, jest część ludzi, która takiego doświadczenia nie ma. Są rodzice oczekujący dziecka, którym nikt w dzieciństwie nie czytał. Oni mogą po prostu nie mieć takiego pomysłu. Dlatego rodzice potrzebują informacji: kiedy dziecko się rodzi, jego mózg jest neuroplastyczny. Żeby mógł się rozwijać, żeby wydobyc z niego cały potencjał, potrzebna jest obecność, rozmowa pełna bogactwa językowego i czas. Na początku trzeba się z dzieckiem książkami bawić: pokazywać obrazy, dawać książkę do ręki, pozwalać, żeby dziecko samo doświadczało kontaktu z książką. Warto szybko wciągać je w interakcję. A potem przychodzi czas na opowieści. To jest informacja, której część rodziców po prostu nie ma. Drugi element to sprawdzone na świecie programy, które zachęcają rodziców, by zaczęli bawić się książką w domu. Anglicy mówią: sharing books, czyli dzielenie się książką. Na wczesnym etapie rozwoju dziecka często unikają nawet słowa reading – czytanie, bo nie chodzi o to, żeby posadzić niemowlaka i czytać mu długi tekst. Chodzi o interakcję, wspólne skupienie. Jeden z profesorów pediatrii używa określenia: niespieszny czas. To dobrze oddaje sens tej praktyki. Chodzi o bycie bez pośpiechu, koncentrację, budowanie w dziecku poczucia: rodzic poświęcił mi czas, jestem ważny. Drugim bardzo ważnym elementem są programy, w których rodzic przychodzący do pediatry usłyszy o korzyściach płynących z rozmowy i czytania

z dzieckiem, i po prostu dostanie książkę w przychodni. Tym właśnie jest książka na receptę. Wysyłamy bezpłatnie książki do przychodni. Tam, gdzie lekarze potwierdzą, że są gotowi je rozdawać, mogą połączyć przekazanie książki z krótkim komentarzem. Chcemy zaprosić do czytania przede wszystkim tych ludzi, którzy sami takiego doświadczenia nie mieli. Tych, którym z takiego czy innego powodu rodzice nie czytali. Prawdopodobnie część z nich należy dziś do grupy około 30 procent polskiej populacji, która nie ma w domu żadnej książki. Jeśli więc ma się wydarzyć sytuacja, o którą zabiegamy, książka musi znaleźć się w ręku rodzica. Międzynarodowe organizacje, takie jak brytyjski BookTrust, szkocki Scottish Book Trust czy włoskie Nati per Leggere, od dawna pokazują w swoich ewaluacjach, że samo mówienie: „Czytajcie dzieciom”, bez doprowadzenia do tego, żeby książka była w zasięgu ręki rodzica, daje dużo słabsze efekty. Bo inaczej pojawia się kolejna bariera. Powie-dzieliśmy rodzicom, że to ważne, ale mama czy tata wraca do domu zabiegany, trochę zapomina, trochę nie ma czasu iść do księgarni, trochę nie wie, co właściwie miałby kupić takiemu małemu dziecku. I po prostu nic się nie wydarza. Jeśli damy rodzicowi książkę, sytuacja się zmienia. On nadal wraca do domu zmęczony, zabiegany. Ale książka wyjęta z torby staje się przypomnieniem tego, co powiedział lekarz. I wtedy dajemy sobie nieporównanie większą szansę na to, że rodzic naprawdę zacznie się tą książką z dzieckiem bawić.

CV



FOT. MATPRAS.

Maria Deskur

Wydawczyni, ekspertka w dziedzinie upowszechniania czytelnictwa oraz prezeska Fundacji Powszechnego Czytania. Współzałożycielka wydawnictwa Muchomor, inicjatorka serii „Czytam sobie” oraz cyklu o Basi. Absolwentka Uniwersytetu Jagiellońskiego, Sorbony oraz Université Lumière w Lyonie.

PROF. CHWEDORUK: PRAWICY OPŁACA SIĘ DYSKUSJA O ZMIANIE KONSTYTUCJI

– Nie ma większości, która byłaby zdolna zmienić konstytucję. Natomiast idea referendum, która już pojawiła się w części wypowiedzi, byłaby idealnym motywem kampanii wyborczej PiS, stawiając Konfederację i Brauna w trudnej sytuacji. Myślę, że przede wszystkim o to na tym etapie chodzi – mówi prof. Rafał Chwedoruk, politolog, komentator sceny politycznej

Dorota Kowalska

Panie profesorze, nie ma Pan wrażenia, że prezydentowi Nawrockiemu bardzo zależy na zmianie konstytucji?

W istocie, gdyby popatrzeć na treść wypowiedzi i na styl uprawiania polityki, to pewnie spośród wszystkich kolejnych prezydentów Karol Nawrocki byłby najmniej odległy od Lecha Wałęsy, który też otwarcie mówił o potrzebie wzmocnienia władzy prezydenckiej. Obecnie obowiązująca konstytucja w olbrzymim stopniu wynikała właśnie z dążenia do ograniczenia negatywnych skutków nadmiernej władzy głowy państwa. Natomiast czy obecnemu prezydentowi zależy, czy nie zależy na zmianie konstytucji – nie wiemy. Nie ma żadnych dowodów na potwierdzenie bądź odrzucenie tej tezy. Byłbym szczerze zdumiony, gdyby Prawo i Sprawiedliwość zależało na czymś takim.

Dlaczego?

Ponieważ pod jurysdykcją obecnej konstytucji Prawo i Sprawiedliwość dwukrotnie doszło do władzy, i to pełnej władzy. Zdołało także już trzykrotnie, przez swoich kandydatów, zwyciężyć w wyborach prezydenckich i przetrwało wiele kryzysów. Odejdzie od obecnej ustawy zasadniczej oznaczałoby zapewne także odejście od konstytucyjnej gwarancji pięcioprzymiotnikowego prawa wyborczego. Nie mam cienia wątpliwości, że przeciwnicy Prawa i Sprawiedliwości bardzo chętnie powróciliby do idei ordynacji mieszanej, która choćby ze

względów na strukturę demograficzną elektoratów i geograficznie wyborczą mogłaby PiS-owi bardzo utrudnić życie. Po drugie wreszcie, jeśli popatrzeć na tożsamość PiS-u, to każda nowa ustawa zasadnicza w Polsce nie będzie mogła dawać tak dużych gwarancji pozycji Kościoła katolickiego, jak obecna, ponieważ bardzo zmieniliśmy się jako społeczeństwo.

Mam jednak wrażenie, że Karol Nawrocki bardzo chętnie ustanowiłby w Polsce konstytucję, która gwarantuje w naszym kraju system prezydencki. Otoczony jest doradcami, którzy wywodzą się z PiS-u. Czyli co? Gra na własną rękę?

Nie, bez przesady. Po pierwsze, pamiętajmy, że generalnie polska prawica od lat 90., bez względu na wszystkie swoje wewnętrzne podziały, fluktuacje poparcia, zawsze przypisywała sobie monopol na napisanie konstytucji. Projekt prawicowej konstytucji z 1994 roku był sygnowany przez Solidarność. Potem powstał projekt PiS-u, który na swoje szczęście Prawo i Sprawiedliwość zdążyło schować przed opinią publiczną, bo, delikatnie rzecz ujmując, zbyt nowoczesny i sensowny on nie był. Po drugie, pamiętajmy, że PiS w tej chwili znajduje się w sytuacji patowej, to znaczy ma wciąż wysokie poparcie, ale stracił istotną jego część na rzecz Konfederacji i nade wszystko Korony Grzegorza Brauna i niezbyt widać perspektyw

powrotu do statusu partii o poparcu około 40% wyborców. W tej chwili dyskusja o konstytucji czy nawet dyskusja o dyskusji na temat konstytucji polaryzuje opinię publiczną wedle starych osi. Nowy temat, stare osie podziałów. To automatycznie stawia w trudnej sytuacji Konfederację i Brauna, którzy muszą stawiać w tym samym szeregu, w którym stoi Prawo i Sprawiedliwość. Konfederacji utrudnia to przedstawianie siebie jako siły niezależnej, siły spoza duopolu. Po trzecie wreszcie, Karol Nawrocki, poparty przez PiS, ma misję tego, który miałby budować mosty między PiS-em a Konfederacją. I być może to też jest próba stworzenia jednego z możliwych pomostów.

Czyli myśli Pan, że nie chodzi o żadną zmianę konstytucji, tylko o polaryzację społeczeństwa i wywołanie sztucznej dyskusji, która jeszcze bardziej zarysuje wyraźny podział między opozycją a stroną rządzącą?

O wiele można posądzać działaczy PiS-u, ale nie o to, że nie znają wyników badań opinii publicznej i przełożenia tego na wyniki sondaży. Nie ma takiej większości, która byłaby zdolna zmienić konstytucję. Natomiast idea referendum, która już pojawiła się w części wypowiedzi, byłaby idealnym motywem kampanii wyborczej PiS-u, stawiając Konfederację i Brauna w trudnej sytuacji. Myślę, że przede wszystkim o to na tym etapie chodzi. Wzmocnienie władzy prezy-

denckiej w dzisiejszym świecie, biorąc pod uwagę to, co się dzieje w różnych krajach, zarówno demokratycznych, jak i takich, w których demokracja jest dyskusyjna, to nie jest pomysł odpowiadający realnym wyzwaniom.

Nie wiedziałam, że Prawo i Sprawiedliwość nie zależy na zmianie konstytucji. Jeżeli chodzi o Konfederację, to ona dość jasno opowiada się za systemem prezydenckim, prawda?

Generalnie nurt prawicy, nazwijmy to na prawo od Europejskiej Partii Ludowej, epatuje różnymi formami sceptycyzmu wobec parlamentaryzmu. Postulaty silnej władzy prezydenckiej, referendum pojawiają się w różnych krajach Europy, więc Konfederacja nie jest w tym temacie czymś zupełnie odmiennym. Natomiast warto pamiętać o tym, że Konfederacja mogła dostać się do Sejmu jeszcze w czasach Korwina i utrzymać się w nim tak długo dzięki pięcioprzymiotnikowemu prawu wyborczemu. W sytuacji istnienia JOW-ów przy geograficznej dystrybucji poparcia dla Konfederacji zdobycie znaczącej ilości mandatów byłoby po prostu niemożliwe. Więc nie sądzę, żeby Konfederacja była tak naprawdę w ostatecznej instancji pierwszą chętną do takiej zmiany, bo byłaby automatycznie jej ofiarą razem z Lewicą i PSL-em. Głównym beneficjentem zmiany konstytucji byłaby per saldo Koalicja Obywatelska.

Więc myśli Pan, że tak naprawdę w tym momencie nikomu nie zależy na zmianie konstytucji?

Oczywiście każdy prezydent chciałby mieć więcej władzy. Czymś innym jest chęć, ideowe podłoże takiej zmiany, a czymś innym sfera politycznych interesów. Paradoksalnie, to Platforma prawdopodobnie byłaby tą siłą, która chciałaby najwięcej w tej konstytucji zmienić. Natomiast polityczny interes w zasadzie nikomu z poważnych graczy nie daje pewności tego, że w jakikolwiek sposób by mu się to opłacało. Prawicy opłaca się po prostu dyskusja na ten temat.

Ale system, jaki mamy: ni to prezydencki, ni to parlamentarno-gabinetowy, jak widać w ostatnich latach, niespecjalnie się sprawdza. Nie ma kohabitacji między rządem i prezydentem, jeżeli pochodzą z różnych środowisk politycznych.

Oczywiście, że władza prezydencka, mimo tego, że została ograniczona w 1997 roku, jest wciąż zbyt duża. Natomiast nie sądzę, żeby wypracowano konsensus dotyczący jej ograniczenia, bo tak naprawdę powinno się po prostu zlikwidować powszechne wybory prezydenckie. To rozwiązywałoby wszelkie problemy, wręcz wymuszało różne formy dialogu między odległymi od siebie ugrupowaniami politycznymi, tak jak to przez lata było w Republice Federalnej Niemiec. Natomiast nasze różnego rodzaju problemy wynikają nie z treści konstytucji, tylko z kultury politycznej, z tego, że się zamerykanizowaliśmy. Każdy polityk rozliczany jest krótkoterminowo ze swoich wyników przez własne zaplecze. Nie bierze się pod uwagę wymiaru strategicznego. Bardziej opłaca się nieustanne mobilizowanie tego samego elektoratu aniżeli próba wypracowania z politycznym oponentem wyjścia z jakiejś konfliktowej sytuacji. Jeśli już takie negocjacje się odbywają, to w głębokiej tajemnicy. Nie ma takiej konstytucji, której postanowień by nie łamano, jeśli istnieją takie polityczne możliwości, taka polityczna wola. I na tym polega polski problem, a nie na takiej czy innej ustawie zasadniczej.

Ciekawe, czy członkowie Rady Nowej Konstytucji, którą powołał prezydent Nawrocki, zdają sobie sprawę, że tak naprawdę żadnej zmiany konstytucji nie będzie i zostali w jakiś sposób wykorzystani.

Myślę, że są to bardzo doświadczeni w różnych dziedzinach życia społecznego ludzie. Można zauważyć, że antykomunizm pana prezydenta nie jest na szczęście dla polskiej demokracji nieograniczony,

sądząc po składzie tej rady. Myślę, że jej powołanie miało zupełnie inne cele: chodziło o pokazanie pewnej otwartości ośrodka prezydenckiego, zdolności do dialogu z różnymi siłami politycznymi. Bo to, co zagraża Karolowi Nawrockiemu jako politykowi, to łatka politycznego radykała niezdolnego do dialogu, za to chętnego do blokowania efektów prac rządu. Powołanie tej rady miało też zapewne na celu znalezienie jakichś płaszczyzn porozumienia, choćby z ludowcami, przez zaproszenie marszałka Zycha. Do efektywnych zmian w konstytucji droga bardzo daleka. Zresztą ilość rad w tej kadencji zdaje się być imponująca, jeśli chodzi o ośrodek prezydencki.

No tak, mamy jeszcze radę do spraw mediów, prawda?

Nie tylko, ale to właśnie wynika ze statusu prezydenta. Prezydent w Polsce w zasadzie za nic do końca nie odpowiada, a może się wypowiadać na każdy temat. Więc myślę, że tu wiele innych częstokroć celów jest realizowanych przez politykę tworzenia rad i zapraszania do nich osób niekoniecznie najbliższych środowisku pana prezydenta.

Panie profesorze, wydaje się, że efektu Przemysława Czarnka nie widać. Wręcz przeciwnie: sondaże Prawa i Sprawiedliwości są kiepskie. Jak Pan myśli, z czego to wynika?

Myślę, że za szybko, żeby to oceniać. To tak w życiu społecznym nie działa – jeśli jest robiony jakiś sondaż, to tak naprawdę odzwierciedla on coś, co miało miejsce dwa czy trzy tygodnie temu, a nie to, co dzieje się w tym momencie.

Ale sondaże Prawa i Sprawiedliwości od dłuższego czasu są po prostu kiepskie!

W Prawie i Sprawiedliwości świadomość tego, że istnieją strukturalne problemy, paradoksalnie pojawiła się jeszcze w momencie zwycięstwa w 2019 roku, największego triumfu w dziejach PiS-u. Już wtedy widać było po strukturze demograficznej elektoratu, że to ostatni raz, kiedy PiS wygrał samodzielnie wybory. Prawo i Sprawiedliwość jest partią, która mogła sobie przez lata pozwolić na elementy myślenia strategicznego, to znaczy mogła sobie czasami pozwolić na to, aby przygotować coś, co przyniesie efekty za dwa czy trzy lata, nie natychmiast. W tej chwili na poziomie taktycznym dla PiS-u wyzwaniem była utrata wyborców na rzecz Grzegorza Brauna. Minister Czarnek przez swoją wyrazistość, przez zaangażowanie w konflikty kulturowe miał po prostu zatrzymać odpływ tradycyjnych wyborców PiS-u do Konfede-



FOT. ADAM JANKOWSKI

Prof. Chwedoruk: Władza prezydencka jest wciąż zbyt duża. Natomiast nie sądzę, żeby wypracowano konsens dotyczący jej ograniczenia, bo tak naprawdę powinno się po prostu zlikwidować powszechne wybory prezydenckie

racji i Korony Brauna przede wszystkim. Z tego będzie tak naprawdę rozliczany. Oczywiście w wymiarze strategicznym trudno sobie wyobrazić, żeby ten polityk był kandydatem na premiera. To będzie musiał być ktoś, kto będzie związany z walką o szerszą grupę wyborców. Ktoś, kto będzie w większym stopniu kojarzył się ze stabilizacją życia w wymiarze materialnym. Trudno mi uwierzyć w to, żeby Przemysław Czarnek pozostał kandydatem na premiera do końca. Natomiast jego rozliczenia ze stabilizacji notowań PiS-u to rozliczenia, które moim zdaniem sens będą miały dopiero po okresie letnim.

Ale widzimy w PiS-ie ostrą walkę frakcji, zwłaszcza ludzi Morawieckiego z tymi bardziej radykalnymi politykami PiS-u skupionymi wokół Jacka Sasina, Tobiasza Bocheńskiego czy Patryka Jakiego. Myśli Pan, że to już walka o schedę po Jarosławie Kaczyńskim?

W Prawie i Sprawiedliwości toczy się walka od 15 października 2023 roku. Nie bezpośrednio o schedę, tylko o sam mechanizm przekazywania władzy przez Jarosława Kaczyńskiego. Czy będzie to tak jak do tej pory, że sam Jarosław Kaczyński zadecyduje, czy będzie dalej prezesem, czy nie, i czy to on wskaże swojego następcę, czy też będzie to po-

chodną nowego konsensu wewnątrz tej partii z udziałem różnych frakcji. Ujawniły się różne nurty wewnątrz PiS-u, które chciałyby być obecne przy stole rozmów. A Mateusz Morawiecki był tym politykiem, który przestał być komukolwiek do czegośkolwiek potrzebny.

Dlaczego?

W PiS-ie nie był potrzebny, ponieważ miał być niegdyś liberalnym reformatorem tej partii, ale musiał bronić radykalnej agendy jako premier. Jednocześnie nie mógłby być uznany za strażnika świętego ognia, bo był przez olbrzymią część polityków PiS-u traktowany jako ciało obce wewnątrz tego ugrupowania. Co więcej, jego osoba stanowi przeszkodę w porozumieniu z Konfederacją i Grzegorzem Braunem. Młodzi wyborcy Konfederacji w olbrzymim stopniu byli socjalizowani politycznie w kontrze nie do Platformy, ale w kontrze do rządu Mateusza Morawieckiego. I Morawiecki musiał dać znać, że jeszcze żyje, wyrzucić stół na chwilę, by go przypadkiem nie pominęto w momencie, kiedy nowy konsens wewnątrz PiS-u będzie kształtowany.

Myśli Pan, że wcześniej czy później Morawiecki wyjdzie z PiS-u?

Nie, nie sądzę. Żyjemy w bardzo stabilnym systemie partyj-

nym - przy trwałych podziałach wewnątrz społeczeństwa nie ma żadnej przestrzeni między PiS-em a koalicją rządzącą.

Trudno wyobrazić sobie sytuację, kiedy po przejściu Jarosława Kaczyńskiego na polityczną emeryturę szefem PiS-u zostaje ktoś ze skrzydła radykalnego i zaakceptują go ludzie Morawieckiego, albo na odwrót - liderem zostanie Morawiecki i zaakceptują go radykałowie. Z tego, co wiem, między tymi frakcjami panuje naprawdę spora niechęć.

Nie ma nic, co by łączyło ludzi bardziej niż władza.

I pieniądze.

Jedno wiąże się z drugim. Perspektywa jakiejś koalicji z Konfederacją jest czymś, co z powrotem skleiłoby PiS albo zmieniło wewnętrznie osie podziałów. Warto pamiętać, że dzisiaj ktoś jest czymś wrogiem wewnątrz partii, a za chwilę może być sojusznikiem przeciwko komuś jeszcze innemu. Więc nie sądzę, żeby to było jakakolwiek przeszkodą.

Myśli Pan, że afera związana z rynkiem kryptowalut zaszkodzi PiS-owi, Konfederacji i prezydentowi?

Na pewno nie pomoże. Natomiast pamiętajmy, że większość obywateli nie orientuje się, o co chodzi w tej aferze. Jest to jeden z epizodów polityki, tak jak afera Amber Gold

nikogo per saldo nie wysadziła w powietrze, choć wydawało się, że miała na to pewnego rodzaju potencjał. Nie sądzę, żeby udało się wyzwolić jakąś większą falę solidarności z tymi, którzy spekulowali, korzystając z kryptowalut. Meandry tego rynku są bardzo skomplikowane. Więc w większym stopniu może to uderzać w pojedynczych polityków prawicy i utrudniać im dalszą karierę polityczną, aniżeli wpływać na wyniki całych formacji politycznych.

Koalicja rządząca też ma kłopot i moim zdaniem tym kłopotem są politycy Polski 2050, jak widzimy bardzo podzieleni między sobą. To chyba obciążenie dla rządu, nie uważa Pan?

Nie jest obciążeniem to, że ktoś się z kimś nie potrafi dogadać. Obciążeniem jest raczej groteskowy wymiar całej tej sprawy. Każda polityka, każdy rząd potrzebują pewnej dozy powagi i odpowiedzialności. Sytuacja, w której kilkanaście osób z ugrupowania politycznego, które faktycznie nie istnieje samodzielnie w skali kraju, składa się w dużym stopniu z postaci anonimowych dla opinii publicznej szachuje rząd, próbuje się przedstawiać jako równi Koalicji Obywatelskiej i Lewicy - jest groteskowa. I to jest w tym wszystkim najtrudniejsze dla Donalda Tuska, jego partii i jego sojuszników. Natomiast

politycy Polski 2050 walczą dramatycznie o przeżycie, stosując różne indywidualne strategie przetrwania, choć tak naprawdę długoterminowo nic z tego nie będzie wynikać. Oni nie mają możliwości prostego manewru, to znaczy pójścia na listy prawicy, bo tam nikt na nich nie czeka.

Mogą jeszcze pójść na listy Koalicji Obywatelskiej.

To już szybciej. Co prawda trudno im będzie dostać biorące miejsca, ale przynajmniej będzie się miało jakąś szansę politycznego przetrwania, jak nie przez wejście do Sejmu, to do samorządu. Więc szybciej coś czegoś takiego można się spodziewać. Natomiast nie sądzę, żeby ktokolwiek serio traktował perspektywę na przykład szybszych wyborów parlamentarnych, bo te niedobitki Polski 2050 będą pierwszymi ofiarami takich wyborów. To taka burza w szklance wody, niepoważny dodatek do poważnego zjawiska, jakim jest polityka.

Niektórzy mówią, że przed wyborami może powstać mimo wszystko jakaś partia, coś, co by zastąpiło dawną Polskę 2050, coś bardziej w centrum. Może stworzą samorządowcy. Pan sobie taki scenariusz wyobraża?

Tak, wyobrażam sobie taki scenariusz. Tak zwani samorządowcy to po prostu w większości prezydenci miast czy radni bliscy Koalicji Obywatelskiej.

Ale, rzeczywiście, brakuje takiej partii, Pana zdaniem?

Oczywiście, że nie brakuje. Taka partia może istnieć, mieć sens, może wejść do Sejmu tylko w realiach strukturalnego kryzysu Koalicji Obywatelskiej. Tak jak to było z Nowoczesną, tak jak to jest na poziomie niektórych miast, gdzie rządzący z Platformy przeżywali kryzys zaufania społecznego. Natomiast w żadnych innych realiach. Jeśli spojrzymy na sondaże, to notowania Koalicji Obywatelskiej nie są imponujące, ale są stabilne i o żadnym kryzysie nie może być mowy. Pamiętajmy, że Trzecia Droga to był fenomen połączenia potężnych struktur PSL-u, profesjonalnego zaplecza tej partii z popkulturowym Szymonem Hołownią. W tej chwili na coś takiego się nie zanosi i na dzień dzisiejszy nie sądzę, żeby taka partia mogła zbliżyć się nawet do progu pięciu procent. Warto zwrócić uwagę na wyniki bezpartyjnych samorządowców w ostatniej elekcji, gdzie byli jedną z dwóch formacji, która do Sejmu nie weszła, a pięć pozostałych do Sejmu weszło. I tak naprawdę czy taka formacja pojawi się, czy nie, będzie zależało wyłącznie od Platformy Obywatelskiej, to zna-

czy, po pierwsze - od jej notowań sondażowych i po drugie - od tego, czy Platforma byłaby chętna, żeby mieć taką Trzecią Drogę bis obok siebie. Coraz więcej wskazuje na to, że raczej nie będzie chętna.

Co Pana zdaniem może zdecydować o wyniku tych wyborów? Bo mamy sytuację taką, że Koalicja ma dobre sondaże, Lewica też wchodzi do Sejmu. Gorzej z ludowcami. Może się powtórzyć sytuacja z 2023 roku, kiedy PiS wygrało wybory i nie było w stanie utworzyć rządu koalicyjnego. Pana zdaniem taki scenariusz jest możliwy?

Tak, oczywiście. W tak stabilnym systemie partyjnym bardzo drobne rzeczy mogą decydować o podziale mandatów i nawet niewielkie korekty w tej materii mogą wnosić jakościowe zmiany. Polskie Stronnictwo Ludowe, o ile rzeczywiście nie dojdzie do próby tworzenia jakiejś kolejnej Koalicji Obywatelskiej bis w stylu Trzeciej Drogi, znajdzie się na listach KO. Nieco ją wzmacniając na miarę swoich słabnących możliwości, ale jednak w wymiarze organizacyjnym to wciąż jest znacząca siła. Poza tym nie sądzę, żeby doszło do jakichś jakościowych zmian. Natomiast najciekawsze będzie to, co się będzie działo z duetem Korona - Lewica. Pytanie, czy Nowa Lewica pójdzie do wyborów razem z partią Razem. W przypadku Grzegorza Brauna w pewnym stopniu dotyczy to też Konfederacji Mentzena - punktem kluczowym będzie kwestia zakończenia wojny w Ukrainie. Jeśli ta wojna się zakończy, a są różne przesłanki wskazujące na to, że nie jest to już nierealny scenariusz, to jeden z głównych czynników mobilizujących opinię publiczną wokół tych dwóch formacji zniknie. I nie wiadomo, jak zachowają się ci wyborcy, którzy obawę przed wojną czy niechęć do polityki Kijowa wobec Warszawy, niepokój związany z migracją do Polski traktowali jako czynnik mobilizujący do takich, a nie innych preferencji politycznych. To moim zdaniem może rozstrzygnąć o wyniku wyborów. Generalnie tematem numer jeden będzie raczej ciepła woda w kranie. Viktor Orbán zapewne nie straciłby władzy, gdyby nie problemy z ceną owej ciepłej wody w domach. I tu chyba rządzący mają tak naprawdę najwięcej do odrobienia, choćby to wszystko, co jest przedmiotem dyskusji wokół resortu zdrowia. To bardzo istotne kwestie dla wielu wyborców, którzy niekoniecznie należą do tych, którzy na długo wcześniej przed wyborami wiedzą, na kogo zagłosują.

GEN. KRASZEWSKI: DRONY NIE ZASTĄPIĄ HAUBIC I WYRZUTNI. MUSIMY BUDOWAĆ CAŁY SYSTEM WALKI

– Drony są uzupełnieniem środków walki. W określonych sytuacjach tworzą dogodne warunki do prowadzenia innych działań, ale na pewno nie zastępują klasycznych systemów rażenia. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się strącić pocisk artyleryjski na torze lotu, a drona jednak można strącić. Wiem, że haubice, wyrzutnie i tego typu systemy są droższe, ale przez wiele lat pozostaną niezbędnym elementem współczesnego pola walki – mówi gen. Jarosław Kraszewski

Anita Czapryn

Premier ogłosił w Rzeszowie projekt polskiej armady dronowej, budowanej z wykorzystaniem ukraińskich doświadczeń. Co powinno być w takim projekcie najważniejsze? Liczba dronów, czy to, że to będzie krajowa produkcja, czy coś innego?

Chodzi o to, żeby ta armada była rozwiązaniem systemowym i wieloaspektowym. To nie mogą być wyłącznie drony powietrzne. Musimy myśleć także o dronach lądowych i morskich, o systemach antydronowych, ale również o systemach zarządzania przestrzenią powietrzną. Bo jeżeli taka armada ruszy bez właściwego systemu koordynacji, to przeciwnik nie będzie nam już potrzebny.

Polska powinna kupować gotowe systemy czy budować własny ekosystem?

Mamy naprawdę bardzo dobre rozwiązania. W dużej części są one dziś w rękach prywatnych firm. Dlatego trzeba jak najszybciej doprowadzić do ich konsolidacji z Polską Grupą Zbrojeniową. Te rozwiązania były testowane w ubiegłym roku podczas ćwiczenia „Żelazny Wojownik”, a teraz są w kolejnej fazie, związanej z programem Tarcza Wschód. Naprawdę nie mamy się czego wstydzić. Nie możemy jednak patrzeć z huraoptymizmem wyłącznie na rozwiązania ukraińskie. Część z nich to rozwiązania wojenne, czasem wręcz garażowe. Na Ukrainie sprzęt, który jest potrzebny na froncie, trafia do walki bardzo szybko, często już na niższym poziomie gotowości technologicznej. W Polsce sprzęt, który ma być używany przez wojsko, musi spełniać znacznie bardziej rygorystyczne wymagania, często oczekuje się po-

ziomu TRL 9, czyli technologii gotowej do wdrożenia. Na Ukrainie w warunkach wojny dopuszcza się rozwiązania na wcześniejszym etapie, bo są potrzebne natychmiast. Kluczem do sukcesu jest to, żebyśmy nie patrzyli na prywatne firmy jak na zbędny dodatek. Tam naprawdę są bardzo dobre rozwiązania. Od Ukraińców natomiast musimy, podkreślam to z całą stanowczością, czerpać przede wszystkim doświadczenie dotyczące tego, jak te systemy wykorzystuje się w walce. Dziś wszyscy koncentrujemy się na małych dronach, zwłaszcza typu FPV. One są oczywiście potrzebne, ale są też większe bezzałogowce i od nich również trzeba zaczynać budowanie całego systemu. Nie wolno nam skupić się tylko na jednym typie sprzętu. Powtórzę: to musi być ekosystem wielowarstwowy i wielokonstrukcyjny. Jeżeli skoncentrujemy się wyłącznie na jednym rozwiązaniu, popełnimy poważny, kardynalny błąd.

No właśnie, w Ukrainie wojskowe innowacje często rodzą się na styku żołnierzy - inżynierów - mała firma. Ukraińcy potrafią sprzęt dronowy zmieniać co kilka tygodni. Polski system zakupów wojskowych potrafi działać w takim tempie?

Pani redaktor, absolutnie tak – ten sprzęt zmienia się bardzo szybko. Technika dronowa może nie rozwija się jeszcze w takim tempie jak technika komputerowa, ale proszę mi wierzyć: zmiany następują błyskawicznie. Współpracuję z Ukraińcami, bo kieruję firmą dronową i tworzymy własne systemy. W rozmowach Ukraińcy sami podkreślają, że ciągle pojawia się coś nowego.

Rosjanie przecież nie śpią. Oni też bardzo szybko się uczą, przechwytyją ukraiński sprzęt, rozbierają go i na zasadzie inżynierii odwrotnej sprawdzają, jak działa dany system. Dobrym przykładem są rosyjskie drony typu Shahed, zwłaszcza te lecące na przedzie ugrupowania. Według informacji z pola walki część z nich jest wyposażona w miniaturowe systemy zakłócające oraz urządzenia detekcyjne. Jeżeli taki system wykryje obiekt w bezpośredniej bliskości, może na kilka sekund aktywować zakłócanie, żeby nie doszło do kolizji, zniszczenia albo uszkodzenia drona. To pokazuje, że wojna wymusza stały postęp technologiczny. Nie możemy czekać, aż ten postęp zwolni, bo nie wiemy, kiedy i czy w ogóle zwolni. Zrobiliśmy już pewne kroki. Powstał Inspektorat Wojsk Bezzałogowych Systemów Uzbrojenia, ale to za mało. Potrzebna jest rada albo komisja, która stale łczyłaby świat nauki, wojsko i przemysł. Nie może spotykać się od czasu do czasu, tylko regularnie. Wtedy unikniemy sytuacji, w której coś przeoczymy albo coś nas ominie. Rekomendacje powinny być przygotowywane szybko, a na ich podstawie wojsko powinno szybko kupować. Tym bardziej że w przypadku prostszych dronów nie mówimy o wydatkach porównywalnych z zakupem HIMARS-ów, armatohaubic Krab, czołgów K2, K9, Leopardów czy Abramsów. To są rozwiązania zdecydowanie tańsze. Pytanie, kto miałby je kupować: Agencja Uzbrojenia czy inny podmiot wskazany przez ministra obrony narodowej. Można też rozważyć model, w którym dowódcy kupowaliby część systemów samo-

dzielnie. To nie jest głupi pomysł, pod warunkiem że odbywałoby się to na podstawie jasnych rekomendacji. Bo jeżeli każdy kupi coś innego, to później nawet wewnątrz jednej jednostki bardzo trudno będzie to zintegrować.

Czy nie grozi nam to, że armada dronowa bardziej będzie się budować na konferencjach niż w jednostkach wojskowych? Po czym poznamy, że ten projekt naprawdę działa?

Po czym poznamy? Na poligonach. Konferencje konferencjami. Mam do nich ambiwalentne podejście z prostego powodu: decydenci, jeżeli już pojawiają się na takich wydarzeniach, to najczęściej na początku. Są witani, proszeni o wygłoszenie przemówienia, a potem znikają. Konferencja toczy się dalej, ale często bez sensu z punktu widzenia decyzji, bo oni nie słyszą tego, co później zostaje tam powiedziane. Dlatego potrzebne jest ciało, rada albo komisja, która analizowałaby pojawiające się rozwiązania i składała rekomendacje. Bo nie wszystko, co nowe, czy na Ukrainie, czy gdziekolwiek indziej, jest od razu rozwiązaniem, które musimy natychmiast mieć. W Polsce jest dziś bardzo dużo ciekawych projektów. Problem polega na tym, że sektor prywatny nie ma właściwego umocowania. Od pewnego czasu powtarzam, że mamy Ministerstwo Aktywów Państwowych, czyli w praktyce ministerstwo spółek Skarbu Państwa, a powinniśmy mieć Ministerstwo Aktywów Państwa. Bo aktywem państwa są także prywatne firmy, ich technologie, kompetencje i ludzie. Dziś sektor prywatny jest w dużej mierze pozostawiony sam sobie. Nie ma nad nim

żadnej realnej kurateli państwa, żadnego sensownego systemu wsparcia. Więc do kogo taka firma ma pójść po finansowanie? A jeśli już człowiek gdzieś się doczłoga, zapuka do właściwych drzwi, to procedura walidacji trwa miesiącami. Żaden startup tego nie wytrzyma.

Unia Europejska uruchamia SAFE, czyli preferencyjne finansowanie inwestycji obronnych. Polska ma dostać duże środki na obronność, ale co powinno być priorytetem: obrona powietrzna, amunicja, drony, cyberbezpieczeństwo?

Cyberbezpieczeństwo na pewno tak. Amunicja, zwłaszcza ta dużego kalibru, również. Od artylerii, haubic i wyrzutni raketowych jeszcze długo nie odejdziemy, bo one są potrzebne. Nie wyobrażamy sobie, że drony zastąpią armaty, haubice i wyrzutnie raketowe. One są uzupełnieniem środków walki. W określonych sytuacjach tworzą dogodne warunki do prowadzenia innych działań, ale na pewno nie zastępują klasycznych systemów rażenia. Nie słyszałem jeszcze, żeby komuś udało się strącić pocisk artyleryjski na torze lotu, a drona jednak można strącić. Wiem, że haubice, wyrzutnie i tego typu systemy są droższe, ale przez wiele lat pozostaną niezbędnym elementem współczesnego pola walki. Wracając do meritum: musimy zachować równowagę. Potrzebne jest ciało, które będzie rekomendowało Ministerstwu Obrony Narodowej konkretne kierunki działania. Nie wiem, czy powinna to być istniejąca Rada Modernizacji Technicznej, czy nowe ciało powołane przy ministerstwie. Ważne, żeby było to

ciało eksperckie, złożone z przedstawicieli nauki, wojska i przemysłu. SAFE ma swoje priorytety, ale problem polega na tym, że firmy często nie wiedzą, jakie one są i kto ma szansę z nich skorzystać. Być może wie to wąska grupa ludzi, ale z perspektywy wielu przedsiębiorców ta wiedza nie jest dostępna. Firma nie wie, czy się kwalifikuje, czy nie. Ja takiej wiedzy nie mam.

Jaki rodzaj myślenia dominuje dziś w polskich zakupach obronnych? Kupujemy najnowocześniejsze platformy, czy budujemy system, który ma przetrwać pierwszy miesiąc wojny?

Sprzęt wojskowy kupuje się na lata. Złazszcza ten drogi sprzęt nie jest kupowany tak jak samochód. Kiedyś samochód też kupowało się na lata, ale dziś uwarunkowania są inne. Użytkownik często wymienia auto po trzech, pięciu latach. W przypadku sił zbrojnych mówimy o perspektywie około trzydziestu lat. Na tyle kupuje się sprzęt wojskowy. Dlatego musimy bardzo dobrze analizować rynek. Biura konstrukcyjne w polskich zakładach przemysłu obronnego powinny tak ukierunkowywać prace badawczo-rozwojowe, żeby powstawał sprzęt odpowiadający konkretnym potrzebom wojska. Ale trzeba też mieć świadomość, że takiego sprzętu nie buduje się w ciągu roku. To się po prostu nie da. Są testy zakładowe, są testy kwalifikacyjne, a potem sprzęt musi trafić do użytkownika. Żołnierz musi go dostać do ręki, sprawdzić, przeciw- czyć, w cudzysłowie - musi się nim pobawić. Dopiero wtedy może powiedzieć producentowi: to trzeba poprawić, to zmienić, to usunąć, a to zaprojektować inaczej. Nawet naj-

bardziej zdolny konstruktor czy inżynier nie stworzy od razu sprzętu idealnego dla żołnierza. Nie będzie tak, że do pojazdu czy systemu wsiaądzie doświadczony, dobrze wyszkolony żołnierz i natychmiast powie: „Tak, to jest dokładnie to, na co czekałem”. Może słowo „nigdy” byłoby przesadą, ale żeby to było możliwe, zakłady musiałyby mieć specjalne komórki złożone z byłych żołnierzy, z ludzi, którzy odeszli już ze służby na emeryturę, ale mają ogromne doświadczenie praktyczne. Kilku, może kilkunastu takich specjalistów powinno stale współpracować z konstruktorami, testować rozwiązania, sprawdzać je w praktyce i wskazywać, co trzeba natychmiast zmienić. Niestety w naszym państwowym przemyśle zbrojeniowym takiego modelu wciąż brakuje.

Jak uniknąć sytuacji, w której kupujemy drogi, efektywny sprzęt, ale potem brakuje amunicji, części zamiennych, operatorów albo osłony przed dronami? Da się to zrobić?

Da się. Trzeba tylko myśleć o całym systemie, a nie wyłącznie o zakupie platformy. Jeżeli kupujemy czołg, haubicę czy wyrzutnię rakietową, to jeszcze przed podpisaniem kontraktu powinniśmy bardzo dokładnie oszacować, ile czasu potrzebujemy w Polsce, żeby dostosować produkcję amunicji do nowych wymagań. Bo samo kupienie sprzętu nie rozwiązuje problemu. Przykład? Wprowadzając Kraba, przeszliśmy na NATO-wski kaliber 155 mm. Bardzo dobrze, że to zrobiliśmy. Tyle że przemysł za tym nie nadążył. I teraz można oczywiście pytać, czy to była wina przemysłu. Ja rozumiem, że przemysł nie nadążył, bo nie dostał odpowiednio wcześniej jasnych wytycznych i decyzji. To powinno iść równolegle. Ktoś powinien o to zadbać, ktoś powinien za to zapłacić. Nie czarujemy się: nikt nie odda nam technologii za darmo. Za technologię płaci się ciężkie pieniądze. Licencje kosztują bardzo dużo, czasem jedną trzecią, a czasem nawet połowę wartości kontraktu. Jeżeli chcemy mieć własne zdolności, musimy się z tym liczyć. Polskie ośrodki badawczo-naukowe, także wojskowe, powinny natychmiast przystępować do opracowywania nowych typów amunicji. Równolegle powinna być zamawiana albo tworzona linia produkcyjna. Jeżeli tak się nie dzieje, mamy potem sytuację, że trwa piąty rok wojny w Ukrainie, a my nadal nie mamy w pełni rozwiniętej fabryki nowoczesnej amunicji artyleryjskiej. Na szczęście MESKO robi wszystko, żeby



Gen. Kraszewski: Nie wszystko, co nowe, czy na Ukrainie, czy gdziekolwiek indziej, jest od razu rozwiązaniem, które musimy natychmiast mieć

jak najszybciej uruchomić taką narodową produkcję. Powinna ona być zdecentralizowana, rozłożona w kilku miejscach. Nie ma znaczenia, gdzie dokładnie i takich informacji nie powinno się podawać do wiadomości publicznej. Jeżeli osiągniemy duże zdolności produkcji nowoczesnej amunicji artyleryjskiej, trzeba będzie zrobić to samo dla systemów HIMARS oraz Homar-K, czyli polskiej wersji koreańskiego K239 Chunmoo. Tu coś się już dzieje. Grupa WBrazem z Hanwha Aerospace podpisała stosowne umowy i ten proces zaczyna się materializować, ale to jest perspektywa najbliższych lat. Moim zdaniem minimum dwa lata, zanim cokolwiek z tego wyjdzie. Nie wiem natomiast, co dzieje się z produkcją rakiet do HIMARS-ów, na przykład ATACMS albo nowszych pocisków, których Amerykanie nam dotąd nie przekazali. A to są rzeczy kluczowe. Musimy je mieć.

Co będzie prawdziwym testem dla pieniędzy z SAFE?

Czy to, ile z nich zostanie w polskim przemyśle?

To, ile zostanie w polskim przemyśle, zależy od wydolności polskiego przemysłu zbrojeniowego. Jeżeli ktoś jest niewydolny, nie powinien podpisywać umów wykonawczych, bo później zapłaci potężne kary i postawi całe państwo w kłopotliwej sytuacji. Ci, którzy o tym decydują, powinni bardzo skrupulatnie analizować realne możliwości wykonawców. Mam nadzieję, że to już zostało sprawdzone. Nie można zakładać, że firma zatrudniająca trzy osoby będzie produkowała 15 tysięcy dronów miesięcznie. To jest po prostu niemożliwe.

Czyli dziś od pytania, co kupić, ważniejsze jest pytanie, czy będziemy umieli to produkować, naprawiać i zastępować straty?

Tak, bo nie będziemy w stanie wszystkiego wyprodukować od razu w takiej ilości, jakiej potrzebujemy. SAFE jest skonstruowany w określony sposób, a my straciliśmy dużo czasu. Z tego, co rozumiem, kluczowe będą podpisane umowy wykonawcze. Na tyle, ile Ministerstwo Obrony Narodowej zakontraktuje, tyle środków będziemy mogli realnie wykorzystać. To absolutnie nie oznacza, że cała kwota prawie 44 miliardów euro automatycznie popłynie do Polski. Im mniej zamówień podpiszemy z polskim przemysłem, tym więcej będziemy musieli kupować na zewnątrz. Uważam, że byłby to, delikatnie mówiąc, błąd. Bo idea SAFE polega nie tylko na przyspieszeniu uzupełniania uzbrojenia w państwach członkowskich, ale także na zdynamizowaniu, a właściwie reaktywacji europejskiego przemysłu obronnego. Jeżeli nie zreaktywujemy polskiego przemysłu zbrojeniowego, będziemy musieli kupować za granicą. Wtedy proporcja, o której dziś się mówi, że mniej więcej 70-80 procent w kraju i 20-30 procent na zewnątrz – może się zmienić. Nie wiem, czy Unia Europejska na to pozwoli. Jeżeli nie, pieniądze mogą wrócić do wspólnej puli i skorzysta z nich ktoś inny. Tak mi się wydaje. Nie powinniśmy też podpisywać umów, które już w momencie podpisania wyglądają na nierealne. Bo wykonawca, który dostanie takie finansowanie, może później wydać te pieniądze nie na produkcję, ale na kary umowne.

Będzie musiał się dodatkowo zadłużyć albo po prostu zbankrutuje. To byłoby bez sensu. Do tego nie możemy doprowadzić. Straciliśmy za dużo czasu, zupełnie niepotrzebnie. A dziś czas jest naszym największym przeciwnikiem, większym nawet niż Rosja. Kiedy czasu jest coraz mniej, rośnie ryzyko błędów. Wiadomo: jak się człowiek spieszy, to się diabeł cieszy.

Ukraińskie drony uderzają dziś w cele oddalone nawet o 1700 kilometrów. Jak pan na to patrzy?

Sprecyzowałbym: drony będące w posiadaniu Ukrainy uderzają w takie cele. Bo nikt nie wie dokładnie, czy dany dron został wyprodukowany przez Ukrainę, czy tylko znajduje się w jej arsenale. Oczywiście Ukraińcy byli i nadal są bardzo dobrzy w technologiach rakietowych. Mają ogromną wiedzę na temat silników rakietowych i systemów dalekiego zasięgu. Nie twierdzą, że nie mogli tego zrobić sami. Przeciwnie, mają do tego kompetencje. Ale wracam do tematu, o którym już mówiłem: w prywatnym sektorze polskiego przemysłu obronnego również istnieją takie rozwiązania. Sam deklarowałem, że mamy system przetestowany na dystansie 1260 kilometrów. Tylko ktoś musi się tym zainteresować. Teraz opracowaliśmy i kończymy testy kolejnego rozwiązania. Nazywamy je Hedy. To dron przechwytyjący, który lata z prędkością około 800 kilometrów na godzinę. Za chwilę będziemy próbowali pobić rekord Guinnessa; chcemy przekroczyć barierę 840 kilometrów na godzinę. To są małe drony, ale 150 gramów heksozenu w głowicy w zupełności

wystarczy. Zresztą z naszych testów wynika, że przy takich prędkościach nawet samo uderzenie kinetyczne w Shaheda może wyrządzić mu takie uszkodzenia, że Shahed nie wykona misji. Te drony naprowadzają się autonomicznie. Mają bibliotekę celów i urządzenia optoelektroniczne, które w milisekundach porównują obraz z wgranym modelem 3D Shaheda albo innego bezzałogowca. Potem lecą na cel samodzielnie. Ich czas lotu, wynikający ze stanu baterii, to około siedem-dziewięć minut. I to w zupełności wystarczy. System jest spięty z radarem, także naszej produkcji, który pokazuje, skąd nadlatują Shahedy, w jakim kierunku lecą, na jakim pułapie i z jaką prędkością. Całość jest bardzo prosta w obsłudze i nie wymaga długiego, specjalistycznego szkolenia. Zakończymy testy i zaraz proponujemy ten system wojsku.

Rosja ogranicza paradę 9 maja i rezygnuje z pokazu ciężkiego sprzętu. To dowód na to, że Putin boi się ukraińskich dronów? Gdyby Ukraina chciała zakłócić paradę w Moskwie, miałaby dziś takie zdolności?

Tak, Ukraina ma dziś zdolności do prowadzenia uderzeń dalekiego zasięgu. Ale ja uważam, że Rosja ogranicza paradę także z innego powodu: nie ma czego pokazać. To jest klęska wizerunkowa armii, która przez lata uchodziła za potężną. To, co najnowsze, w dużej części zostało już zniszczone albo jest potrzebne na froncie. Przypomnijmy choćby słynny czołg T-14 Armata, który swego czasu nie był w stanie o własnych siłach zjechać z Placu

Czerwonego podczas próby defilady. Pokazywanie przestarzałego sprzętu mogłoby doprowadzić do kompromitacji wizerunkowej i administracji prezydenta Putina, i rosyjskich sił zbrojnych.

Ale trochę jednak wygląda to tak, jakby Putin musiał chować czołgi przed ukraińskimi dronami. Nie myśli pan?

Nie wiem, czy to jest główny powód. Spójrzmy na dotychczasowe próby ukraińskich ataków na Moskwę. Nie wszystkie były skuteczne, a jeśli już przynosiły efekt, to raczej na obrzeżach. Nie przypominam sobie, żeby dron zbliżył się na bardzo małą odległość do Placu Czerwonego czy do miejsc, w których zasiada większość rosyjskich decydentów. Rosjanie dobrze zabezpieczają stolicę. Są też do brzy w walce elektronicznej. Oczywiście nie da się zabezpieczyć wszystkiego, bo, jak już mówiłem, postęp technologiczny stale wymusza nowe sposoby naprowadzania, nowe metody i nowe urządzenia. Dlatego drony potrafią dziś dolecieć do celu oddalonego o 1200 czy 1700 kilometrów. To ogromna odległość. Ale trzeba też pamiętać, że taki dystans oznacza długi czas lotu. A to daje stronie atakowanej czas na reakcję i próbę niedopuszczenia do uderzenia. Dlatego bardziej skłaniam się ku tezie, że Rosjanie naprawdę nie mają dziś czego pokazać. Parada wojskowa jest przecież po to, żeby zaprezentować nowoczesność armii. U nas również służy temu, żeby społeczeństwo zobaczyło, na co idą pieniądze, że to nie jest rozdawnictwo, ale inwestycja w określony cel. Rosjanie także doskonale to rozumieli. Byliśmy w szoku, bo mówiono o kwotach dziesięć razy większych niż nasze. Tyle że w ich przypadku ogromne środki deklarowane przez Putina na modernizację armii w dużej mierze rozeszły się po oligarchach.

CV



Jarosław Kraszewski
Generał brygady Wojska Polskiego, doktor nauk wojskowych, były dyrektor Departamentu Zwierzchnictwa nad Siłami Zbrojnymi w Biurze Bezpieczeństwa Narodowego.

KACPER, KTÓRY ZASKOCZYŁ PATRYKA

Gdy miał 18 lat, wyprowadził się z domu. W wieku 19 lat założył fundację. Teraz ma 23 lata i cała Polska usłyszała o nim, gdy na poznańskim uniwersytecie stał się na słowa z europosem Patrykiem Jakim. Kim jest Kacper Nowicki? Cała rozmowa na www.gloswielpolski.pl

Leszek Waligóra

To na ty czy per pan?
Możemy na ty.

To jest taki pierwszy test. A drugi to pytanie, to co się teraz wokół Ciebie dzieje, to zaplanowane?
Właśnie kompletnie nie. I oczywiście nikt w to nie uwierzy.

No oczywiście.
Domysły zostawię wątpięcym, ale było tak: poszliśmy ze znajomymi na wykład pana Jakiego. Nawet się śmieję, że napisałem do dziekana Ossowskiego godzinę przed tym wydarzeniem, czy mogę wpaść i obiecałem mu, że nie będę robił dymu. Przyszedłem i wyszło, że trochę dymu zrobiłem. Nawet nie wiedziałem w danej chwili, że jestem nagrywany, tylko mój znajomy, który siedział w drugim rzędzie, to wszystko nagrał i wysłał mi zaraz potem. A ja mam taką przypadłość, że jak mi się wydaje, że coś zrobiłem dobrze, to to wrzucam na Instagrama. No i poszło.

Jesteś tam, gdzie chciałeś być?
Chyba tak. Sześć lat temu wyniosłem się z domu rodzinnego na Ratajach. Wychowałem się na Łazarzu, urodziłem się na Jeźcach i całe życie tu mieszkam. Zawsze chciałem być w Poznaniu i zawsze chciałem robić coś innego niż moi koledzy z klasy. Kiedy byłem w liceum, siedemnastym na Czecha, nauczyciele trochę się denerwowali, że mnie ciągle w szkole nie było. Bo byłem czy to w Młodzieżowej Radzie Miasta, czy gdzieś na protestach klimatycznych, czy na innych strajkach, a teraz dostaję dziesiątki wiadomości od moich nauczycieli z liceum, że oglądają i kibicują. Więc chyba zatoczyło się jakieś koło.

A o wyprowadzkę z domu można pytać?
Tak, można. Wychowywałem się w niejakim strasznie biednym domu czy w jakimś kosmicznie nieszczęśliwym, ale działa się tam i homofobia, i przemoc psychiczna, i fizyczna. I już we wczesnym wieku nastoletnim wiedziałem,

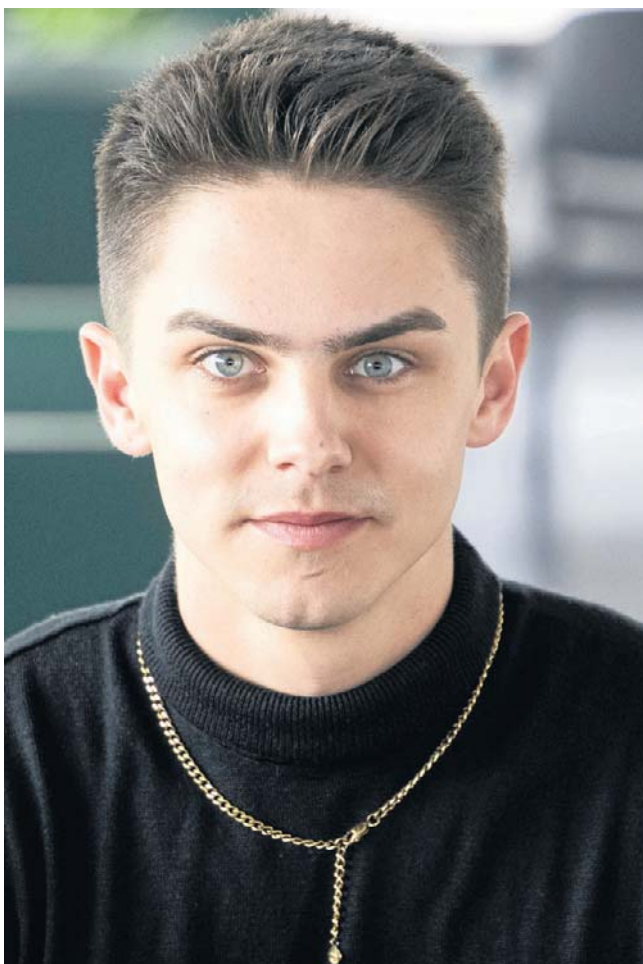
że to się musi wydarzyć. To znaczy miałem na tyle dużo starszych znajomych, których szczęśliwe życia widziałem, że miałem świadomość nieuchronności zmian. Wiedziałem, że nie pociągnę tego dalej, a jeśli pociągnę, to się stanę taki jak oni, jakkolwiek to nie brzmi. Więc gdy miałem lat osiemnaście, zamknąłem za sobą drzwi otwierając nowy rozdział.

Myślisz, że w Polsce będziesz miał rodzinę? Oficjalnie?
Tak, myślę, że tak.

Czy to jest marzenie o innym kraju?
To nie jest marzenie. To jest żądanie. Ja płacę podatki. Pomimo że jestem całkiem młody i nie żyję w ogóle dzisiejszą nawalanką w tej sprawie, uważam, że minister Kierwiński i w ogóle część Platformy Obywatelskiej złamała kontrakt społeczny, który malowała przez osiem lat z ludźmi, którzy wynieśli ich do władzy.

A myślisz, że dojdą do władzy w ciągu dziesięciu lat tacy ludzie, którzy ten kontrakt nie tylko zawrą, ale i dopełnią?
Myślę, że dojdziemy w pewnym momencie do takiej sytuacji, w którym ten kocioł zabierania ludziom podstawowych praw i to nie tylko osobom LGBT, ale też kobietom, ale też przede wszystkim młodym ludziom, dojdzie do takiego momentu, w którym ten system się rozleci. Myślę, że będziemy mieli taki czas, gdzie przez indolencję ludzi kierujących Platformą, dojdzie do władzy skrajna prawica i z tego się wyłoni coś nowego. Takie mam przekonanie, bo wszystkie ruchy, próby wyrwania Platformie tych wyborców, którzy mają jakieś wyższe aspiracje niż ciepła woda w kranie, się nie udawały, bo ten strach w ogóle nie był na horyzoncie.

Na razie sondaże pokazują, że realnym następcą Platformy jest prawica. Która będzie raczej jeszcze bardziej ciągnęła w drugą stronę.



FOT. ROBERT WOZNIAK

Na lewicy każdy lubi sobie wręczać order z ziemniaka prawdziwego lewaka. A jak się rozmawia z prawicą, to przynajmniej wiesz, gdzie stoisz – twierdzi Kacper Nowicki

Lubię oglądać stare klipy telewizyjne i czytać stare artykuły. Donald Tusk powiedział, że związki partnerskie to jest temat do zajęcia się po wyborach. Ten cytat pochodzi bodajże z 2010 roku. Z drugiej strony znam historię walki o prawa człowieka w Polsce i to zazwyczaj bywało tak, że te prawa się wywalczało. Uważam, że cały ten system jest trochę za miękki. Na przykład, dlaczego pod biurami PSL-u nie ma protestów. A mamy europosła PSL-u w Poznaniu, mamy posła PSL w Poznaniu, tego samego, który parady równości nazywał spe-dem zoofilii i pedofilii. Dlaczego tam nie ma zamieszek?

A może dlatego, że to nie jest najważniejszy temat dla Polski?

Może dla wielu osób tak, ale dla osób, które przez lata PiS-u o to walczyły, a teraz mam wrażenie, że gdzieś się zamotały. Środowisko równościowe trochę za bardzo poszło w wieczny festiwal, a za mało w robienie państwa. Nie bronię rządu w tym zakresie, bo to jest absolutna indolencja i skandal, że dalej nie mamy związków partnerskich i mamy problem z transkrypcją ślubów zawieranych za granicą. Natomiast jak robię sektor pozarządowy, to staram się wprowadzić jakkolwiek zmianę w prawie, bo prawo to jest to, co napędza każdy kolejny sektor. I tak przykładowo w prawach uczniowskich od półtora roku próbuję przeformować ustawę w tej sprawie. Jest ona obecnie w trakcie

pierwszego czytania w Sejmie. A nie mam poczucia, że środowiska równościowe wstają rano z przekonaniem, że pierwsze co należy robić, to politykę. Tylko że celem jest trochę bardziej widoczność, afirmacja i jakieś takie rzeczy bardziej... bardziej festiwalowe. To mi trochę nie pasuje, ale też nie jestem w pozycji do robienia im uwag, bo kim ja jestem? (...)

W społeczeństwie nie ma jakiegos większego oporu przeciwko związkom jednopłciowym, ale mam wrażenie, że dzieci z rodzin jednopłciowych po prostu w tym kraju, w tym społeczeństwie będą miały ciężkie życie.

Ale one mają ciężkie życie. Ich jest w Polsce pięćdziesiąt tysięcy. Jest pięćdziesiąt tysięcy tęczyowych rodzin w Polsce. Osobiście znam pary, które wychowują dzieci. Powiem więcej, znam ludzi, którzy są osobami publicznymi, którzy nie mówią o tym, że są szczęśliwi tego.

Ale nie mogą ich adoptować?

Tak, ale bardzo często mają dzieci biologiczne z poprzednich związków lub surogacji. I to nie jest problem, który się pojawił, tylko on już jest. I to znówu nie jest historia o wielkiej lewicowej ideologii, tylko o tym, że trzeba dzieciaka zawiązać do dentysty, albo że trzeba iść na wywiadówkę do szkoły. I to też jest bardzo źle opowiadane przez polityków po każdej ze stron.

Zawsze skrajnie.

Jak mówisz ludziom, którzy mają semikonserwatywne poglądy, ale tak naprawdę...

Że dwóch gejów będzie miało chłopca i na pewno go będą molestować i zamienią w geja?

Pomimo że absolutna większość przypadków przemocy domowej w Polsce jest w parach dwupłciowych, a półtora miliona dzieci wychowuje się w „parach” jednopłciowych, czyli mama i babcia. Natomiast za mało jest w tej historii opowieści o bardzo podstawowych

potrzebach ludzi i o bezpieczeństwie. O tym, że trzeba po prostu funkcjonować jako rodzina. Są adopcje przeprowadzane za granicą, których potem Polska nagle nie chce uznawać, co jest jakimś absurdem. No i potem mamy takie absurd, że ludzie, którzy krzyczeli na manifestacjach konstytucja i praworządność, tak jak pan Kierwiński, nie uznają tego, że WSA w Lublinie czy NSA w Warszawie wydało takie konkretne wyroki i należałoby je respektować.

A myślisz, że jak prawo się zmieni, to też mentalność ludzi się zmieni?

Oczywiście, że tak. W Zachodniej Europie tak było, kiedy związki partnerskie wprowadzono w Irlandii, w Holandii, Hiszpanii, w Niemczech, ale też na Węgrzech. Na Węgrzech mamy związki partnerskie! Kiedy tam wprowadzano te przepisy, masa ludzi protestowała, po czym po dwóch tygodniach nikt o tym nie pamiętał. (...)

Wrócmy do Kacpra Nowickiego. Po filmie, na którym zaczepiasz posła Patryka Jakiego, który zawojował Polskę, niektóre media udowadniają, kim jest albo kim nie jest Kacper Nowicki, który w Poznaniu postacią anonimową nie jest, ale w Polsce taką był. Pytanie musi paść więc... kto stoi za Kacprem Nowickim?

Za Kacprem Nowickim stoi pięćdziesiąt osób w zespole jego fundacji. Za Kacprem Nowickim stoi stowarzyszenie, w którym jest, czyli Stowarzyszenie Wspólne Jutro. Stoi masa osób o lewicowych i nie tylko lewicowych poglądach. (...)

To kto stoi finansowo za Kacprem Nowickim? Człowiekiem, który w wieku osiemnastu lat idzie na swoje. Jakim cudem? Wielu ludzi nie opuszcza domu rodzinnego, mając czterdzieści lat na karku, bo ich na to nie stać. Zakłada fundację w wieku dziewiętnastu lat. Fakt, że jak przejrzałem Wasze sprawozdanie, jedyne sprawozdanie fi-

nansowe wiszące na stronie, to tam milionów nie ma, ale jednak jakieś pieniądze są, więc natychmiast pojawiają się skojarzenia typu: Soros...

Publicznie mówię o tym, gdzie w życiu pracowałem. Gdy wyniosłem się z domu, pracowałem na infolinii InPostu, Lux Medu, różnych firm nieruchomościowych. Pracowałem w restauracjach, pracowałem w kuchni, w restauracjach jako kelner i bardzo długo wykonywałem zwykłą pracę fizyczną. Pracowałem nawet na magazynach Zary pod Poznaniem i dopiero w momencie, w którym zostałem asystentem Krzysztofa Śmiszka, miałem okazję popracować bardziej umysłowo niż fizycznie. I to oczywiście nie jest typowa ścieżka nastolatka w Polsce. Chciałbym mieć bardzo wielkich sponsorów, ale nigdy takich nie było. My jako fundacja oczywiście pozyskiwaliśmy granty z bardzo różnych źródeł, kiedyś nawet z miasta, później z Unii Europejskiej. Tych milionów tam nie ma, bo one też nam nigdy nie były potrzebne, bo duża część pracy, którą my wykonywaliśmy, zawsze była po prostu pracą naszą, wolontariacką. (...)

Dokąd pójdzie Kacper?

To zabrzmi śmiesznie, ale trochę tam, gdzie go ludzie zaprowadzą. Plan jest bardzo prosty. Bardzo wiele rzeczy medialnych i politycznych, które robimy, wychodzi. I tu nie ma ściemy. Startowałem do rady miasta bezskutecznie, chociaż podwoiłem wynik dwójki na tej liście z poprzednich wyborów. Traktowałem to jako przetarcie się. Zawsze mam rację tak, że te propozycje do mnie przychodzą i widzę teraz, że oczywiście po tym wzmożeniu medialnym mam bardzo wielu kolegów, którzy nagle mają dla mnie różne propozycje. Mam bardzo spokojną głowę. I o tyle nie mam parcia na to, co muszę teraz zrobić, że mam dwadzieścia trzy lata a podczas wyborów parlamentarnych, będę miał dwadzieścia pięć. Gdy będą kolejne - dwadzieścia dziewięć, później trzydzieści trzy - widząc, jak wygląda polska scena polityczna, ja jeszcze za siedem kadencji Sejmu będę nazywany siłą młodego pokolenia. (...)

A nie przeszkadza Ci to, że w socjaldemokracji pierwsze skrzypce grają ludzie w wieku, powiedzmy, mocno dojrzałym, którym można ciągle wyciągnąć ten argument, że byli aparatczykami PZPR-u, PRL-u?

Tylko pytanie, jaką mamy alternatywę? Bo mnie bardzo wiele rzeczy nie pasuje, po każdej stronie sceny politycznej, też po tej lewej. Każdą partią polityczną rządzą albo mentalne dziady, albo ludzie pokolenia moich dziadków.

Albo idealisci.

Albo idealisci, którym wystarczy słusność moralna. I mnie nie pasuje słusność moralna. To powód, dla którego ja na przykład nie jestem członkiem partii Razem.

Do tego właśnie piłem.

I dlatego w mediach społecznościowych zajmuję się głównie zmienianiem świadomości ludzi. Ale polityki nie robi się na Instagramie. Polityka oznacza osiąganie większości czy w jakimś ciele samorządowym, a następnie zmienianie prawa i dystrybucję środków.

Ale dzisiaj tę większość, a nawet szansę na wybór osiąga się dzięki social mediom.

Ale to jest narzędzie. A jeżeli dla kogoś jest to jedyną aktywnością polityczną? Czego dokonał Adrian Zandberg przez jedenaście lat w polityce? Niczego. Adrian Zandberg był przez dwie kadencje posłem, miał masę słusznosci moralnej w tym, że nie będzie z tymi, z tymi, z tamtymi i z tamtymi kolaborował. Najpierw przez sześć, siedem lat mówił, że nie będzie debatował ze skrajną prawicą, bo to coś, co śmierdzi. Po czym zaczął z nią debatować notorycznie. Oczywiście rozumiem jego zarzuty do obecnego rządu i nawet ideowo je podzielam. Tylko co z tego? Od kolejnej konferencji prasowej mówiącej o sitwie i o tym, że jest strasznie nic się nie zmienia. (...)

Twoją dyskusję z europosem PIS Patrykiem Jakim większość ludzi zna z przekazu instagramowego. Potem się pojawia przekaz Jakiego, który mówi, że wyglądało to trochę inaczej. Potem pojawiają się kolejne przekazy mediów związanych z Patrykiem Jakim, które mówią, że Kacper Nowicki to nie jest postać anonimowa, tylko człowiek... Różnie Ciebie tam nazywano. Pupilem... Oskarkiem.

A na końcu pada zarzut, że to wszystko było zmanipulowane. Trudno być sędzią we własnej sprawie. Wiele osób Ciebie teraz hołubi za ten film. A jak było naprawdę? Czy możesz powiedzieć, że Patryk Jakima odpowiedź na Twoje zarzuty, bo on twierdzi, że ma.

Dyskutowałem z panem Patrykiem półtorej godziny na Placu Krakowskim w Gliwicach i jako, że ja nie mogę być sędzią we własnej sprawie, to zachęcam do obejrzenia tego filmu. To jest na profilach pana Jakiego. Cały, bez montażu, bez żadnych potencjalnych manipulacji z żadnej ze stron. I proszę po prostu to obejrzeć i wyciągnąć wnioski, ocenić mnie, ocenić pana Patryka, ocenić moją dyskusję z nim o Unii Europejskiej, o praworządności, o Konstytucji, o tych mitycznych dwustu pięćdziesięciu sześciu płciach, których nigdzie poza profilami pana Patryka nie ma. Proszę ją

po prostu obejrzeć, bo oczywiście w świecie social mediów wszystko działa tak, że liczy się pierwsze trzydzieści sekund i logiczne jest, że nie będę wrzucił na Instagrama półtoragodziny polemiki z panem Jakim. (...)

Wśród młodzieży przeważają teraz prawicowe poglądy.

Na pewno nie w Poznaniu, ale Poznań jest w ogóle ewenementem. To jedyny powiat w Polsce, w którym Zandberg miał wyższy wynik w wyborach prezydenckich niż Mentzen. I to mi się wydaje, że jest dość istotne rozróżnienie Poznania od Polski. Ale z prawicowcami paradoksalnie rozmawia się prościej niż z niektórymi lewicowcami. Na lewicy każdy lubi sobie wręczać order z ziemniaka prawdziwego lewaka. A jak się rozmawia z prawicą, to przynajmniej wiesz, gdzie stoisz. Możesz się spierać co do pewnych rzeczy fundamentalnych, ale nie spierasz się o pierdoły. Prawda jest taka, że pomiędzy Nową Lewicą, Joanną Senyszyn, Partią Razem, PPS-em czy nawet Zielonymi spory światopoglądowe są minimalne, marginalne. Mają wszyscy w dziewięćdziesięciu procentach ten sam program. Różnica polega na tym, że Nowa Lewica po części stara się ten program realizować w rządzie, a Partia Razem dalej o nim krzyczy w opozycji. Natomiast najgorzej, jak spór przestaje być o sprawie, a zaczyna być o tym, kto gdzie był pięćdziesiąt lat temu, kto się jak nazywa. (...)

Czy ten medialny szum jakoś skonsumujesz?

Pytam o przyszły rok. W przyszłym roku są wybory parlamentarne. Czuję, że w Poznaniu nie ma żadnego charyzmatycznego lidera po lewej stronie, który byłby w stanie pociągnąć ludzi do um. Ja się absolutnie od niczego nie uchylam. Jeżeli dostanę jakąkolwiek propozycję kandydowania do Sejmu, to ją bardzo chętnie rozważę. Tylko jednocześnie wiem, jak funkcjonuje ten system. Ten system nie działa tak, że ja powiem: „Dzień dobry, kandyduję dzisiaj z partii Kacpra Nowickiego do Sejmu. Na liście jest Kacper Nowicki. Proszę na mnie zagłosować”. Nie. System działa tak, że muszę wystartować z listy partyjnej. Znam historię ludzi, którzy na przykład poszli na współpracę z Koalicją Obywatelską.

Czy Kacper Nowicki będzie Frankiem Sterczewskim?

Nie będę drugim Frankiem Sterczewskim, bo uważam, że Platforma Obywatelska wykorzystała Franka, nie bez udziału jego świadomości. Platforma potrzebowała skonsumować jego i tysięcy innych ludzi sukces tzw. łańcuchów światła. Jednocześnie oczywiście było, że Franek nie ma poglądów po-

litycznych zgodnych z Platformą Obywatelską. Wiemy też chyba już po tych ośmiu latach, że to nie były najbardziej produktywne kadencje poselskie w jego wykonaniu. Na początku naprawdę miał pewne ideały i naprawdę widziałem, że z nimi szedł do tego Sejmu. Przemieilił go system wyborczy i przemieilił go system partyjny. I dlatego, jak przyszło do wyborów w 2023, to ta sama Platforma Obywatelska, która go tak wielbiła w 2019, zepchnęła go na środek listy, żeby go pogrzebać. I to nie jest polityka, która mnie interesuje. Polityką, która mnie interesuje, jest startowanie z partii reprezentującej twoje poglądy, osiągnięcie poparcia społecznego, a następnie budowanie swojego kapitału politycznego na rzeczach, które się robi. Moim największym marzeniem jest to, żeby powstał duży lewicowy blok na przyszłe wybory. Uważam, że absolutnym mamostrawstwem głosów, w Poznaniu nawet, byłoby to, gdyby były dwa komitety lewicowe, czyli osobno startowałyby Lewica, osobno Razem. To byłoby zwykłe mamotrawstwo, bo w Poznaniu partia Razem może mieć nawet wyższe poparcie niż Nowa Lewica, ale jeżeli w skali kraju robi 4,8% i skończy pod progiem, to kilkadziesiąt tysięcy lewicowych głosów w Poznaniu znowu przepadnie. Już widziałem dostatecznie dużo premierów z tabletu, posłów z TikToka i prezydentów z wywiadów w gazecie. I jestem bardzo ostrożny co do tego, czy to od deklaracji tego, że się chce gdzieś wystartować, powinno się zaczynać.

Ja zaczynam od tego, że mam w tym momencie pięćdziesiąt osób w moim poznańskim HUBie stowarzyszenia Wspólne Jutro w Poznaniu. Podobną liczbę osób, działaczy na rzecz praw człowieka i prawników w mam mojej fundacji w Poznaniu. Mam setki ludzi, którzy namawiają mnie w Poznaniu do tego, o co pan redaktor pyta i skala tego, jak wiele ludzi do mnie nawet na ulicy podchodzi i prosi mnie o to, żebym wystartował faktycznie jest zastanawiająca. (...)

To spotkanie, można powiedzieć, w świadomości wielu ludzi, zrobiło z Ciebie polityka. Ja się też od tego nie uchylam. Tylko najpierw chciałbym dowiedzieć poparcie społeczne. Widzę, że jakieś mam w tym momencie. Jednocześnie wiem, jak działa ten system mediów społecznościowych, o którym rozmawialiśmy. To znaczy, że to zainteresowanie mną za jakieś dwa tygodnie zniknie.

Wiemy, że nawet w ramach struktur samorządowych to działa jak dobrze zaprojektowana maszyna, w której za politykiem chodzi jedna, dwie, trzy osoby z tego urzędu albo z firm zewnętrznych, fotografują go,

filmują i on wyskakuje z Facebook'a, z Instagrama, z YouTube'a, z TikToka, z lodówki niedługo zacznie wyskakiwać, mimo że nie mamy kampanii wyborczej. To jest maszyna, która ma dowieść popularyzacji do kampanii wyborczej.

Ja nie mam tej maszyny. Jak zobaczymy, kto za mną chodzi, kto za mną stoi, to, to są moi przyjaciele. Na spotkaniu pana Jakiego nagrywał mnie mój znajomy. Wszystkie zdjęcia, których używam też do komunikacji, tego, co mam do powiedzenia, zrobili mi moi przyjaciele. Nagrania filmów, które publikuję w mediach społecznościowych, robię moim telefonem, bardzo często u siebie w sypialni. Więc to nie jest tak, że za mną stoi jakaś wielka firma PR-owa. I też nie uważam, że politykę się powinno w ogóle robić w ten sposób. To jest kompletny beznos.

Są tacy politycy jak Marcin Gołęk, który zaczął swoją działalność od noszenia teczek za Jakiem Jaśkowiakiem. Potem został wiceszefem PIM-u i zarabiał tam prawie bańkę rocznie, a teraz jest pupilkim Urzędu Miasta i wszyscy urzędnicy pracują na to, żeby został delfinem pana prezydenta. No i to jest polityk, w którym faktycznie możemy tą maszynę zauważyć. Ja jestem milion lat świetlnych od tego i brzydzą mnie takie metody.

A wiesz, że jeżeli zadrzesz z Urzędem Miasta, będziesz miał trudniej?

Ale ja z nimi zadzieram od wielu lat. Przecież wielokrotnie wchodziłem w spory z urzędem. Teraz walczę o rowery miejskie.

Z nadzieją na sukces?

Tak. To jest tylko rada miasta. Przestałem się bać tych organów. Mam w tym momencie więcej podpisów pod inicjatywą przywrócenia roweru miejskiego niż większość tych radnych dostało głosów w wyborach samorządowych. Niech się zgodzą lub nie zgodzą, ale niech muszę się określić. Wcześniej walczyłem o przystanki autobusowe i tramwajowe, które chciałem ponumerować. Jak miałem osiemnaście lat, to usmażyłem to jajecznicę na Rynku Łazarskim, czym doprowadziłem do szachu ówczesnego wiceprezydenta Wiśniewskiego. Pan Jacek Jaśkowiak dwa dni po wyborach samorządowych w „Gazecie Wyborczej” powiedział, że cieszy się, że się nie dostałem do rady miasta, bo krytykowałem to, co on robi. Część mojej kampanii samorządowej była oparta na beznosnym wydawaniu pieniędzy na media samorządowe, spółki miejskie i beznosną promocję w mediach. Zadzieram z nimi, trzymając się tej reguły od wielu lat. Nie wysłali mi jeszcze głowy konia jak w „Ojcu chrzestnym”, próbo-

wali mnie wielokrotnie dyskredytować, ale najwyraźniej okazuje się, że ludzie nie wierzą w to, co mówi władza na temat osób, które robią rzeczy społeczne. Ludzie czują fałsz.

(...) Przeprowadzono z Tobą w ostatnim czasie wiele wywiadów. Czy jest pytanie, którego Ci nie zadano, a na które bardzo liczysz?

Jest jedno, które mi zadano, ale na które nie odpowiedziałem poprawnie.

To masz szansę.

Co ja robię poza tym wszystkim. Bo to jest tak, że ja się od zawsze interesuję polityką. Od zawsze. Jest takie zdjęcie jak mam trzy lata i siedzę przed telewizorem i oglądam TVN24. Niemniej bardzo staram się oddzielić to życie publiczne, które jest obecnie bardzo intensywne od życia prywatnego. I to, na czym zacząłem się łapać, to że te pierwsze lata doradkości przeleciały mi właśnie na takich rzeczach jak numerowanie przystanków, robienie Młodzieżowej Rady Miasta, fundacji prawnouczniowskiej i tego typu rzeczy. I chyba chciałbym też trochę zainwestować w życie prywatne, bo ta polityka się może każdego dnia skończyć. I masa polityków się kończy z dnia na dzień, a zostaje to, co się ma prywatnego i chyba w to muszę trochę pójść w najbliższym czasie.

Czyli kiedy mówisz o zakładaniu rodziny, nie jest to hasło wyborcze?

Nie, absolutnie. Ja po prostu chciałbym mieć rodzinę. To też jest taka ciekawa zmiana pokoleniowa, bo kiedy moi rodzice byli w moim obecnym wieku, to ja szedłem do przedszkola, a ja w tym momencie, nie mówiąc już nawet o dzieciach, to nie mam nawet partnera. Mam wielu przyjaciół, ale absolutnie moje życie nie jest na kursie do zbudowania sobie spokojnej rodziny w tym momencie. Więc tak, to jest gdzieś na horyzoncie.

Z drugiej strony ja mam do czynienia z wieloma osobami w przededniu trzydziestki i tam jest wręcz niechęć do zakładania rodziny.

To jest chyba przekorność taka, z którą idę przez życie. Bo jakby spytać większość osób w tym kraju, czy ja powinienem mieć normalną rodzinę, to powiedzieliby, że nie.

W Twoim imieniu?

Tak, oczywiście, jako osoba, która pewnie miałaby dzieci z drugim facetem. Ale ja mam dość konserwatywne poglądy, jeżeli chodzi o kwestie rodzinne. To znaczy jestem Polakiem, płacę podatki. Rodzina jest podstawową komórką społeczną. Fajnie by było mieć kiedyś po prostu męża, dzieci, psa, dom i święty spokój. Zobaczyć to i ten kurs obioru, czy życie mi się trochę inaczej potoczy.

Znamy go przede wszystkim jako ojca chrzestnego polskiego bluesa. Popularność zdobył, wykonując dziarskiego rock and rolla jako Shakin' Dudi. Teraz do księgarń trafia wywiad rzeka o jego twórczości – „No. 1”. Nam Irek Dudek opowiada, jak zakochał się od pierwszego wejrzenia w swej obecnej żonie

Przewet Gzyl

IREK DUDEK: RADZĘ SIĘ NIE ZAŁAMYWAĆ, TYLKO POKONYWAĆ TRUDNOŚCI



FOT. LUKASZ RAK

Irek Dudek: nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię

Wczoraj były pana 75. urodziny. Wszystkiego najlepszego!
Bardzo dziękuję za życzenia.

Trudno uwierzyć w to, że ma pan 75 lat. Energii, optymizmu i kondycji mógłby panu pozazdrościć nie jeden młodziasek.
To miłe, iż pan uważa, że nie wyglądam na swoje lata. To prawda: mam jeszcze dużo siły do grania i organizowania festiwalu Rawa Blues. Może to zasługa tego, że mieszkam w górach i oddycham świeżym powietrzem.

Ma pan za sobą kilka trudnych przeżyć: poważne operacje i wypadek samochodowy. Te doświadczenia nie odebrały panu energii?
Zawsze miałem w życiu pod górkę, musiałem więc ciągle się mobilizować. Kiedy miałem ten wspomniany wypadek, w którym pogruchotało mi obie nogi, leżałem na wyciągu w szpitalu, poprosiłem więc żonę, by przyniosła gitarę i wykorzystałem ten czas, by lepiej nauczyć się grać na tym instrumencie. Teraz mam problemy z sercem, wszczepiono mi trzy bypasy,

gorzej mi się więc oddycha. Na przekór temu wzięłem harmonijkę ustną i ćwiczę na niej codziennie. Tego rodzaju wyzwania i noszenie swego krzyża z pogodą ducha, jest najlepszym panaceum na te ciężkie doświadczenia. Dlatego wszystkim radzę nie załamywać się, tylko pokonywać trudności.

Takie okragłe urodziny to okazja do podsumowań. To stąd pomyśl na wywiad rzekę „No. 1”?
Tak. Tytuł książki to nawiązanie do płyty, którą nagrałem

jeszcze za czasów komuny z własnym big-bandem. Jeśli ktoś przeczyta tę książkę, to zrozumie dlaczego „No. 1”.

Zadowolony jest pan z tej książki?
Tak. Miałem tylko kilka uwag. Generalnie nie wtrącam się do tych, którzy o mnie piszą. Jakbym chciał, to bym sam napisał autobiografię. Każdy ma inną wrażliwość i inaczej postrzega różne wydarzenia. Czasami jest to dyskusyjne, ale poddaję się temu. Jacek Kurek jest rzetelnym dziennikarzem i widziałem, że mu za-

leżało. Przyjeżdżał do mnie i wszystko nagrywał. Myślę więc, że dobrze wyszło. To fajny prezent na urodziny.

Dużo miejsca poświęca pan w tej rozmowie pana korzeniom. Na ile Śląsk ukształtował pana osobowość?

To właśnie na Śląsku zakochałem się w bluesie. W połowie lat 60. w Katowicach był klub Ciapek, gdzie moi starsi koledzy grali do tańca utwory The Animals, The Pretty Things czy The Rolling Stones. Ponieważ byłem za młody na wejście, stałem tam pod oknem z kumpłem i słuchałem przez kilka godzin. Pewnego razu wyszedł do nas basista Wojtek Tobo i pyta: „Co wy tu robicie?”. „Chcielibyśmy grać tak jak wy” – odparłem. „To masz harmonijkę, naucz się, to może zagrasz z nami” – powiedział. I faktycznie: pół roku później już z nimi występowałem.

Co pana zafascynowało w bluesie, że jest pan mu wierny do dzisiaj?

Wychowałem się na rock and rollu. A on przecież wziął się z bluesa. Znalazłem więc najpierw Johna Mayalla. Nauczyłem się nawet grać jego utwory jeden do jednego. To był biały blues. Potem wiedziony ciekawością, dotarłem do nagrań tych, którzy go inspirowali. To byli już czarni bluesmani z Ameryki – Muddy Waters czy Johnny Lee Hooker. W ich muzyce była prawda i szczerość – i to mnie przede wszystkim ujęło.

W latach 60. władza lansowała hasło „polska młodzież śpiewa polskie piosenki”. A pan wykonywał bluesa po angielsku. Miał pan przez to pod górkę?

Tak. Na siłę lansowano wtedy big-bitowe zespoły, które śpiewały tylko po polsku. Dlatego trafiłem na ścianę – nie mogłem nic nagrać ani dla radia, ani na płytę. Raz tylko udało mi się w Poznaniu zarejestrować cztery utwory, ale gdzieś przepadły i nie było szans, żeby je wylansować.

Duża część pana kariery to czas komuny. Jakie sobie pan radził z ówczesnymi władzami?

Występowałem przede wszystkim w klubach studenckich, a one były otwarte na taką muzykę. Nie było wtedy jeszcze dyskotek, więc po prostu graliśmy do tańca. Nie miałem żadnych oficjalnych przeszkód. Brakowało mi tylko nagrań, przez co długi czas byłem mało znany.

Co sprawiło, że się pan nie poddał?

Z perspektywy czasu te dziesięć lat łubania się po studenckich klubach wyszło mi na dobre. Wykonując standardy

rhythm and bluesowe i bluesowe nauczyłem się dobrze grać na harmonijce ustnej, poznałem arkana improwizacji, dowiedziałem się, jak aranżuje się piosenki i jak się prowadzi zespół. To wszystko zaowocowało, kiedy objawiłem się jako Shakin' Dudi. Ten czas grania i śpiewania w klubach sprawiły, że wokół do pierwszego utworu tej grupy nagrałem w cztery i pół godziny. Byłem bowiem przygotowany do wejścia do studia. A wtedy nie było żadnych komputerów, które czyściły fałszy. Dlatego uważam, że czasami dobrze jest długo ćwiczyć, zanim dokona się pierwszych nagrań.

Pod koniec lat 70. wyjechał pan do Ameryki, a dekadę później do Holandii. Nie chciał pan nigdy zostać na Zachodzie i tam próbować zaistnieć?

Kiedy byłem w Amsterdamie, poszedłem z moją płytą „No. 1” do jednego z klubów. Kiedy puściłem im, jak śpiewam bluesa po angielsku, powiedzieli mi: „Wszystko dobrze, ale my możemy mieć prawdziwych bluesmanów z Ameryki. Po co więc mamy ciebie angażować? Śpiewaj po polsku, to zobaczymy”. Uznałem więc, że mają rację. Ponieważ miałem już za sobą nagrania Shakin' Dudi, opanowałem technikę śpiewania po polsku, musiałem ją tylko przenieść na bluesa. To było trudne – ale uznałem, że skoro jestem Polakiem, to powinienem śpiewać po polsku. Tak narodził się pomysł na projekt Symphonic Blues, z którym udało mi się pograć na Zachodzie. Mój menedżer Thomas Ruf wydał płytę z naszym koncertem w słynnym klubie jazzowym Subway w Kolonii. Była więc szansa na dużą karierę. Mnie się marzyło jednak nagranie albumu w Polsce z NOSPR-em. Wróciłem więc do ojczyzny, ale wycofał się sponsor i pomysł spalił na panewce. Ruf się na mnie obraził i został z niczym.

W czasie PRL-u polski showbiznes był przesiąknięty alkoholem. Pan też nie wylewał za kółkiem. Nie dało się wtedy być muzykiem i nie pić wódki?

Z moich obserwacji raczej nie. Była to trochę rozpusta: alkohol, dziewczyny. Po latach dopiero udało mi się nad tym zapanować dzięki mojej mamie, która wymodliła, żebym przestał tak żyć i dzięki mojej żonie, która powiedziała, że wyjdzie za mnie, jeśli przestanę pić. Najgorzej było w tym pierwszym okresie mojej działalności, kiedy występowałem w klubach. Gdzie się bowiem nie wjeżdżało, tam od razu wyciągano alkohol. Nie byłem wówczas jakąś gwiazdą, ale dużo koncertowałem, więc znano mnie

w tym środowisku. Dlatego każdy chciał się ze mną napić. A że grałem prawie za darmo, ten alkohol był wtedy prawie jedyną gratyfikacją za występ. Dlatego nie odmawiałem.

Wzorem gwiazd rocka z Zachodu demolowaliście pokoje hotelowe i wyrzucaliście krzesła przez okna. To wódka dawała taką fantazję?

Ja akurat tego nie robiłem, ale moi koledzy z zespołu trochę szaleli. Zabawa była na całego i czasem musiałem na drugi dzień na recepcji płacić za wyrządzone szkody.

Alkohol sprawił, że wysiadła panu trzustka i omal nie przepłacił pan tego życiem. To wtedy przyszło otrzeźwienie?

Tak. Zło przyniosło dobro. Kiedy po raz trzeci wylądowałem w szpitalu i lekarze dawali mi nikłe szanse na przeżycie, powiedziałem, że muszę wszystko robić na trzeźwo. Nagrałem potem cztery najważniejsze w moim życiu płyty bez jakichkolwiek wspomagaczy. Sam byłem trzeźwy i tego samego wymagałem od moich kolegów-muzyków. Tak jest zresztą do dzisiaj. Nawet na kacu nikt nie wychodzi ze mną na scenę.

Nigdy nie sięgnął pan po narkotyki?

Nigdy. Coś mnie powstrzymało. Może boża opatrność? A byłem świadkiem, jak dwaj moi koledzy produkowali na własny użytek polską czarną heroinę. Mnie jakoś to nie brało. Wiedziałem, że narkotyki są wielką krzywdą dla organizmu. Koledzy się dziwili, ale tutaj się nie ugiąłem. I całe szczęście.

Wielki sukces osiągnął pan w latach 80. jako Shakin' Dudi. Jak to się stało, że coś, co miało być wyglupem, okazało się strzałem w dziesiątkę?

Byłem wtedy zafascynowany punkiem. Kupiłem sobie nawet płytę Sex Pistols. Miałem już wtedy trzydzieści lat, nie mogłem więc sam być punkowcem. Pomyślałem zatem, że poszukam tych rytmów, które kręciły wtedy młodzież, w przeszłości. I znalazłem je w garażowym rock and rollu z lat 50. W radiu leciał wtedy na okrągło angielski piosenkarz Shakin' Stevens, który wykonywał taką muzykę na dyskotekową modłę. Denerwowało mnie to i pomyślałem: „Ja będę śpiewał prawdziwego rock and rolla”. Namówiłem więc dwóch punkowców, dwóch jazzmanów i jednego bluesmana – i założyliśmy grupę Shakin' Dudi. „Robimy happening muzyczny: rozwalamy, co się da!” – powiedziałem. Poprosiłem Darka Duszę ze Śmierci Klinicznej, żeby napisał proste i dosadne teksty, opisujące

ówczesną rzeczywistość. Barwa mojego głosu i sposób śpiewania były bardzo charakterystyczne. „Gramy źle, tak jakbyśmy nie umieli grać” – zakomenderowałem. Ale jak tu powiedzieć muzykom, którzy grają dobrze, że mają grać źle? Jakoś się jednak udało – i to chwyciło. Ludzie nie wiedzieli, jak się naprawdę nazywam i kiedy pojawiłem się gdzieś publicznie, to wołali za mną: „Hej, Shakin' Dudi!”. (śmiech)

Dawaliście wtedy wręcz szalone koncerty. Naprawdę rozwalali pan fortepiany na scenie?

Tak. Pierwszy raz wydarzyło się to na festiwalu Rock Arena. Ale tylko dlatego, że był to zły instrument. Potem dyrektor się miotał, a ja mu na to: „Mogę odkupić to pianino po cenie detalicznej”. „A to pan sprytny” – nagle zmienił front, bo wtedy nie było instrumentów w sklepach. (śmiech) Z kolei na festiwalu w Jarocinie poprosiłem o wąż strażacki i lałem wodą ludzi pod sceną. Nie bardzo umiałem sobie z nim poradzić i woda tryskała nawet na głośniki i wzmacniacze. Dlatego ich właściciel bardzo się zdenerwował i wpadł przerażony na scenę. Wtedy całe 25 tysięcy widzów zaczęło wrzeszczeć: „Zabij go!”, żeby nie przeszkadzał mi w tym laniu wodą. (śmiech) Wrzasnąłem więc do Darka „Graj dalej” i polewałem tłum. Na koniec skoczyłem z blisko trzymetrowej sceny w ludzi. Ale stało tam sześciu wcześniej umówionych punkowców i mnie złapali. Czasem był to więc żywioł, a czasem coś było aranżowane.

Złota płyta” Shakin' Dudi pokryła się potrójną platyną, a pan rozwiązał zespół. Dlaczego zdecydował się pan zarząnąć kurę znoszącą złote jaja?

Bo to miał być tylko happening. Kiedy „Złota Płyta” odniosła wielki sukces, mogłem pójść dalej tym tropem i kosić niezły szmal. Nie po to jednak wymyśliłem ten zespół. Dlatego, aby być wiernym swoim słowom, musiałem go rozwiązać. Postanowiłem jednak przenieść doświadczenia z Shakin' Dudi na moją własną twórczość. I tak jako Irek Dudek nagrałem autorską płytę „No. 1”. Wtedy okazało się, że mam równie co w rock and rollu dużo do powiedzenia w bluesie. Szef festiwalu w Jarocinie Walter Chęłstowski namówił mnie, żebym połączył te dwa projekty w jednym programie „Stereo i w kolorze”. Tak też się stało i graliśmy koncerty w wielkich salach, które ludzie wypełniali do ostatniego miejsca. To były czasy komunii, a my mieliśmy swoją aparaturę i jeździliśmy kilkoma

TIR-ami oraz autobusem, jak jakieś gwiazdy rocka z Zachodu. To było wielkie przedsięwzięcie.

Wykonywał pan potem bluesa na różne sposoby: z big-bandem, symfonicznie, jazzowo, swingowo. Który z tych projektów jest panu najbliższy?

Symphonic Blues. Zjechałem z nim nie tylko bluesowe, ale i rockowe festiwale na Zachodzie. Chyba ten pomysł był najbardziej mój i inny od wszystkich pozostałych. Dużo walorów muzycznych ma jednak też płyta „No. 1”, nagrana z moim własnym big-bandem – choćby klasyczny już dziś utwór „Something Must Have Change”. W tym roku zagram go w katowickim NOSPR-ze podczas Rawy Blues. Ważna jest dla mnie też płyta „Dudek Bluesy”, ponieważ dostałem za nią Fryderyka. To miało początkowo być demo, ale realizator powiedział, że nagra to w pełni profesjonalnie. Posłuchałem potem tego materiału i pomyślałem, że dołożę sekcję rytmiczną. Zaangażowałem uznanych jazzmanów i dałem im wolną rękę. Tak fajnie to wyszło, że zadzwoniłem jeszcze po pianistę. I wtedy stwierdziłem: „To jest bardzo dobre!”. Fryderyk to potwierdził, ale koncertów zagraliśmy bardzo mało. Sam nie wiem dlaczego.

Kiedyś pan powiedział: „Koncertuję rzadko, żeby być świeżym”. To dobra zasada?

Bardzo dobra. Nie lubię chałtur. Do każdego koncertu przygotowuję się bardzo długo. Jesienią zagram na Rawie Blues – i będę się do niego przygotowywał pięć miesięcy. Ktoś by powiedział: „Czyś ty zwariował?”. Ale ja chcę wyjść na scenę i być zaważonym znowu w inny sposób.

Mówi się, że bluesman jest jak wino: im starszy, tym lepszy. To prawda?

Tak mi się wydaje. Trzeba się jednak dobrze starzeć. Bo jeśli wino się rozpuści, to zwie trzeje i zepsuje się. Dlatego bluesman musi opierać swą działalność nie tylko na wieku, ale przede wszystkim na ciężkiej pracy.

Pana dzieckiem jest też festiwal Rawa Blues, który odbywa się w Katowicach

od 1981 roku i ciągle gromadzi kilka tysięcy widzów.

Na czym polega jego sukces?

Przygotowując jego program, patrzę na bluesa szeroko. To nie tylko czarni muzycy z Chicago, ale też biali wykonawcy z pogranicza jazzu i rocka. To daje dużą świeżość. Dlatego te zespoły, które grają podczas finału Rawy, brzmią zupełnie inaczej. To przyciąga ludzi, którzy nie są koneserami bluesa, ale po prostu lubią posłuchać granej na żywo dobrej muzyki. I kiedy raz przyjdą na Rawę, to potem chodzą już co roku. A nawet z czasem zabierają swoje dzieci i wnuki. W tym roku festiwal odbędzie się w dwóch salach NOSPR-u, bo uznalem, że czas pokazać wirtuozów bluesa w sali, mającej najlepszą akustykę w Polsce. Wszystko będzie więc na najwyższym poziomie.

Kiedyś muzyk amerykańskiego zespołu Canned Heat powiedział: „Na Rawie rządzi muzyka, nie biznesman”. Może i w tym tkwi sukces tego festiwalu?

To powiedział perkusista, jedyny członek oryginalnego składu tej grupy z lat 60., który zjeździł cały świat. Jego zdaniem biznes tak przewala niektóre festiwale, że po prostu je topi. Ja staram się tego uniknąć. Dla mnie liczy się przede wszystkim muzyka.

Kiedyś wyznał pan: „Nie przywiązywałem wielkiej wagi do pieniędzy, ale jakoś się mnie trzymają”. Jak to możliwe?

Kiedy nie gonisz za pieniędzem, to on sam do ciebie przyjdzie. Jeśli robisz coś, co jest twoją pasją, to będzie to coś dobrego i ludzie się tym zainteresują. Wtedy ten pieniądz się znajdzie. Gdyby zależało mi na pieniądzach, to za czasów PRL-u nie tułałbym się po klubach, tylko pojechałbym do Zielonej Góry czy Kołobrzegu. (śmiech) Tymczasem ja grałem za pół darmo, wystarczało mi na wino i kolację. Trzeba więc umieć zaryzykować w życiu i postawić na swoją pasję. Wtedy gdzieś się te pieniądze znajdują. U mnie znalazły się dopiero przy Shakin' Dudi. Dziś też nie narzekam. Wybudowałem dom, posadziłem drzewa, mieszkam praktycznie w lesie. Czasem wychodzę sobie na przyzbę i gram na harmonijce. Bardzo dużo

ćwiczę, bo chcę pokazać na Rawie, że właśnie zacząłem od tego instrumentu.

W 1986 roku na festiwalu w Opolu poznał pan przyszłą żonę Iwonę. To była miłość od pierwszego wejrzenia?

Tak. Podeszła do mnie z prośbą o autograf dla swego brata. Siedziałem wtedy z muzykami z Shakin' Dudi przy jednym ze stolików na uboczu. Pogadaliśmy chwilę i zaproponowałem, żebyśmy się gdzieś przeszli. Spacerowaliśmy w sumie cztery godziny i w końcu mówiłem: „Ty będziesz moją żoną”. (śmiech) Zorientowaliśmy się wtedy, że poznaliśmy się już wcześniej.

Czyli?

Iwona występowała w tanecznym zespole Arabeski. I w latach 70. spotkaliśmy się w Łodzi podczas programu „Lato, lato”. Spałem w tym samym hotelu co ona i zalecałem się do niej, ale dostałem kosza. Iwona zadzwoniła więc do koleżanki w Paryżu z Arabesek i pyta się jej, czy zna Irka Dudka. A ona: „Pewnie, to taki fajny chłopak z długimi włosami”. A ja już wtedy miałem krótką fryzurę. (śmiech) Te dziewczyny pamiętały mnie więc, a Iwona nie. Powiedziałem jednak, że zostanie moją żoną. A ona myślała, że ja żartuję. Zaprosiłem ją potem do Warszawy do hotelu Europejskiego. Z czasem zrozumiała, że ja tak na poważnie.

I jesteście do dziś razem.

Kiedy zakochałem się w Iwonie, ona pracowała jako modelka w Amsterdamie. Chodziła w poważnych pokazach, jej zdjęcie było na wielkich plakatach. Zarabiała dziesięciokrotnie więcej niż ja w Polsce. Postanowiłem więc pojechać do niej, obejrzeć trochę koncertów i spróbować samemu gdzieś pograć. Posiedziałem kilka lat w Amsterdamie, bo nie chciałem jej ograniczać. Kiedy urodziły się jednak nasze córki, powiedziałem: „Wychowajmy dzieci po polsku. Wracajmy do kraju”.

Zawsze prezentuje się pan na scenie w stylowych garniturach. To żona, jako była modelka, odpowiada za pana garderobę?

Do pewnego stopnia. Często są to moje pomysły. Kiedy mieszkaliśmy w Amsterdamie, miałem ulubiony butik Paula Smitha, angielskiego projektanta, który szył ubrania w stylu lat 60. Pasowało mi to, więc co roku przed Rawą Blues chodziłem tam i kupowałem sobie cały zestaw, żeby być inaczej ubranym. Mam więc trochę tych garniturów w szafie, ale ostatnio przytyłem trochę i muszę

popracować nad sobą, żeby się w któryś z nich wbić.

Pana córka Agata została klasyczną pianistką. To pana zaśluga?

Chyba tak. Kiedy moja pierwsza córka Dorotka umarła w wieku ośmiu lat, nie chciałem, żeby Agatka poszła do tej samej podstawówki. Znalazłem dla niej szkołę muzyczną w Bielsku-Białej. Zaczęła więc grać na fortepianie. Kiedy miała iść do liceum, spytałem czy chce dalej się kształcić na tym instrumentcie. Powiedziała, że tak, więc kupiłem jej poważny fortepian – Yamahę. Skończyła potem liceum i dostała się na Akademię Muzyczną w Katowicach. Miała bardzo dobrych profesorów i teraz przygotowuje się do nagrania płyty z muzyką Liszta. To trudne kompozycje, ale wymyśliła sobie, że to był rock and rollowiec swych czasów i chce zinterpretować je w taki właśnie sposób. Być może dzięki temu po ten album sięgną ci, którzy na co dzień nie są słuchaczami klasyki. Myślę, że to niezły pomysł i uda się jej.

Nie ukrywa pan, że bardzo ważną rolę odgrywa w pana życiu wiara. Trudno przyznać się do Jezusa w polskim show-biznesie?

Ja tego nie odczuwam i nie zastanawiam się nad tym. Zostałem wychowany po katolicku, moja mama bardzo dbała o wiarę w rodzinie. Dlatego przestrzegaliśmy wszystkich tradycji. Dzięki temu zauważyłem, że jakoś inaczej przeżywa się rok ze względu na kolejne święta. Nawet ten zwykły tydzień pracy z niedzielą, poświęconą Bogu i na odpoczynek, też ma głębszy sens. Od kilku lat chodzę codziennie do kościoła na mszę o siódmej rano i przyjmuję sakrament. To pomaga mi unieść te wszystkie choroby, które mnie nie omijają. Jestem inwalidą, choruję na serce i na cukrzycę, ale mam wrażenie, że niosę ten krzyż z uśmiechem. Kiedy leżałem na trzustkę lub ostatnio na te bypassy w szpitalu, to zawsze szukałem szpitalnej kaplicy. Modlitwa była dla mnie podporą, aby tę chorobę zwyciężyć. I zawsze się udawało.

O pana życiu powinien powstać film fabularny. Jakiego aktora widziałby pan w roli Irka Dudka?

Kiedyś miałem propozycję zrealizowania filmu o sobie, ale odmówiłem, bo napisali mi głupawe dialogi. „Nie będę z siebie robił wariata” – powiedziałem. (śmiech) A dziś kto mógłby mnie zagrać? Nie mam pojęcia. Na pewno musiałby być to ktoś młodszy ode mnie, żeby mógł zagrać mnie w moich najlepszych latach.

BYŁ KILKANAŚCIE RAZY W CZARNOBYLU. OBALA MITY

Tomasza Górskiego ciągnęła do Czarnobyla chęć zweryfikowania obiegowych przekonań. – Miałem wrócić ze strefy śmierci schorowany i święcący w ciemności. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna!

Agnieszka Domka-Rybka

Minęło 40 lat od momentu, gdy 26 kwietnia 1986 r. niebo w okolicy Prypoci, w obecnej Ukrainie, rozświetliła łuna. Radioaktywny materiał wydobywał się z uszkodzonego reaktora czwartego bloku elektrowni atomowej w Czarnobylu. Tak było naprawdę. – Jednak z czasem mity na temat katastrofy zaczęły mieszać się z faktami. Z biegiem lat coraz trudniej ocenić, co jest fikcją, a co rzeczywistość tam się stało. Mitotwórczość tego miejsca jest nieprawdopodobnie gigantyczna – podkreśla Tomasz Górski, bydgoski „poszukiwacz tajemnic”, z wykształcenia archeolog i psycholog, z zamiłowania podróżnik.

Bydgoszczanina szczególnie pasjonują wyprawy do miejsc, które kryją sekrety, kręci go atmosfera opuszczonych miast i podziemi. Do tej pory odwiedził ponad 100 krajów, a w Czarnobylu był kilkanaście razy. Rozmawiał z ludźmi, m.in. byłymi mieszkańcami Prypoci, pracownikami elektrowni i słuchał specjalistów od energii jądrowej.

„Nie było żadnego grzyba atomowego”

To nie jest przypadek, że spotykamy się na terenie po byłym, bydgoskim Zachemie. Dokładnie przy rampie, która służyła do załadunku i wyładunku towarów. Na dole wciąż są nieużywane tory kolejowe (złomiarze jeszcze ich nie rozkradli), którymi kiedyś przyjeżdżały cysterny z chemikaliami.

– Mnie to miejsce kojarzy się ze strefą czarnobylską. Tam również linia torów kolejowych, tzw. eksterytorialna, przez teren Białorusi biegnie do samej elektrowni, czyli miejsca, w którym 40 lat temu doszło do katastrofy – wspomina pan Tomasz.

Skąd wzięła się jego fascynacja Czarnobylem? – Obejrzałem w telewizji film „Dzwony Czarnobyla”, wyprodukowany w 1996 r. Opowiadał, co działo się 10 lat od wybuchu reaktora. Była w nim pokazana Prypeć (obwód kijowski), czyli legendarne, opuszczone miasto du-

chów. I pojawiła się ogromna chęć, żeby je zobaczyć. Długo nie dawało mi to spokoju, aż pojawiła się możliwość, żeby tam pierwszy raz w życiu pojechać, w 2008 r. Wówczas nie było to miejsce modne, a raczej wypad tylko dla ekscentryków. Gdy powiedziałem, że wybieram się do Czarnobyla, niektórzy pukali się w głowę: „wrócisz ciężko chory” lub „w ogóle nie wrócisz” albo „będziesz świecił w ciemnościach”.

Opowiada, że rzeczywistość okazała się zupełnie inna: – Dziś już wiemy z perspektywy czasu, że do wybuchu wojny w Ukrainie była to prawdziwa perełka turystyczna. Zjeżdżały tam tysiące osób i przewodników. Ci przewodnicy mówili, że po emisji serialu „Czarnobyl” zaczął się taki napływ turystów, że wycieczki trzeba było rezerwować z dużym wyprzedzeniem.

Najbardziej pamięta swoje pierwsze wyjazdy, gdy strefa była nieznana i to, jak zderzył się z mitem: – Wystarczy wpisać Czarnobyl w Google i mamy obraz katastrofy: tysiące ofiar, olbrzymi obszar skażenia na tysiące lat, nic tam nie żyje, nic się nie dzieje, strefa śmierci. Youtube'rzy nagrywali filmiki: „Byliśmy w Czarnobylu, nawet ptaki nie śpiewają”. Bzdury! Słyszałem ptaki, wiele ptaków. Dziś to ogromny rezerwat przyrody, raj dla zwierząt, który powstał na bazie czegoś ekstremalnie tragicznego. Można było normalnie wejść – relacjonuje i od razu tłumaczy się, że nie odwiedził strefy od wybuchu wojny w Ukrainie: – Na pewno teren jest zaminowany, stacjonowały tam wojska rosyjskie. Po wojnie trudniej tam będzie pojechać, bo przecież w Ukrainie są ważniejsze miejsca do rozminowania niż Czarnobyl.

Gwoli wyjaśnienia: wraz z upadkiem ZSRR zamknięta strefa wokół Czarnobylskiej Elektrowni Atomowej uległa podziałowi na dwie części: ukraińską i białoruską. Obie znacznie się od siebie różnią i są zarządzane niezależnie od siebie. Strefa ukraińska jest bardziej znana i łatwiej dostępna. To tam znajduje się



Rampa po bydgoskim Zachemie. „Tory jak w Czarnobylu”



Pan Tomasz w sterowni bloku czwartego czarnobylskiej elektrowni. Dokładnie w nim doszło do katastrofy w 1986 r.

elektrownia, miasteczko Czarnobyl oraz słynne „opuszczone miasto” Prypeć. Strefa białoruska przez wiele lat była niedostępna dla osób z zewnątrz. Jest tam mnóstwo opuszczonych wsi, utworzono też „Państwowy Rezerwat Ekologiczny Polesie”.

Według bydgoskiego „poszukiwacza tajemnic”, katastrofa jest już mitem samym w sobie: – W filmach popularyzowanych widzimy, że nagle doszło do potężnego wybuchu. Kojarzę scenę, jak rodzina je kolację i w ułamku sekundy domem mocno trzęsie, a gdzieś za oknem widać na horyzoncie grzyba atomowego. Nic takiego się nie wydarzyło! Katastrofa była bowiem rozciągnięta w czasie. Zaczniemy od tego, że to nawet nie miała być elektrownia. Produkowano w niej pluton na potrzeby wojska do broni nu-

klearnej. I stworzono miejsce, które miało udawać elektrownię. Nietypowa konstrukcja z mnóstwem dziwactw technicznych. Reaktory o wiele większe niż standardowe, więc trudno je było zamknąć w obudowach bezpieczeństwa. Płatanina tysięcy rur i spawów, nad którymi trudno zapanować, więc w końcu musiało dojść do rozszczelnienia, właściwie na życzenie ludzi – tak postrzega to Tomasz Górski. Jak twierdzi, ktoś wymyślił, żeby przeprowadzić eksperyment, jak zachowa się reaktor w przypadku zaniku zasilania: – Wyznaczono już nawet datę próby i przeszkoloną do tego załogę. Wtedy z Kijowa przyszła informacja, że trzeba wstrzymać test w związku z bardzo dużym zapotrzebowaniem na prąd. Zaczęto więc ten dzień przesuwając

w czasie. W tzw. międzyczasie zmieniały się ekipy pracowników i przychodzili kolejni, mniej zorientowani w temacie. W końcu przeprowadzono eksperyment w nocy i uruchomił on lawinę zdarzeń. Jednak nie doszło, jak jest to przedstawiane, do wielkiego wybuchu nuklearnego z grzybem atomowym. Ciśnienie rozsadziło metalową konstrukcję, która zawierała materiał radioaktywny. Zaczął się wydostawać na zewnątrz. Pierwsza eksplozja była mała, kolejna to wybuch chemiczny wodoru i wtedy też zginęła pierwsza osoba, Walerij Chodemczuk. Był w tym momencie w pobliżu płyty reaktora, jego ciała nigdy nie znaleziono. Blisko bloku czwartego do dziś wisi tablica upamiętniająca pierwszą ofiarę Czarnobyla – pan Tomasz mówi, że widział tę tablicę.

Dodaje, że w przypadku ogólnej liczby ofiar, także mamy do czynienia z bardzo dużym rozrzutem: – Internet „informuje” nawet o tysiącach ofiar, natomiast w samej katastrofie, pożarze reaktora, zginęło 35 osób. Choć i to może być zawyżony wynik, bo wśród tych 35 ofiar były cztery, które znalazły się tam zupełnie przypadkowo. Według pana Tomasza, mitem są również opowieści, jak przebiegała ewakuacja, to, że ludzi zabrano i nie mogli tam wrócić. Miałem okazję rozmawiać z mieszkańcami Prypoci. Wspominali, że najpierw pojechali do specjalnych obozów, potem przenoszono ich do różnych hoteli robotniczych i był też czas, że pozwolono im wrócić, aby zabrać swoje rzeczy, odzież czy nawet meble. Często przydzielano rodzinom mniejsze lokale i część przedmiotów już nie była im potrzebna.

Dziś wyobraźnię rozbudza samotne przejście ulicami pustej Prypoci: – Mnie przypomina osiedle Błonie w Bydgoszczy sprzed 30 lat. Błonie bez ludzi. W Prypoci są tylko pracownicy strefy czarnobylskiej. Pilnują, żeby nie była rozkradana. Jednak lokalni złomiarze też działają.

Oczywiście, są miejsca bardziej skażone, gdzie chmura osiadała, jak m.in. w okolicy Czerwonego Lasu. Ale np. przy ścianie sarkofagu elektrowni (stalowa powłoka ochronna reaktora jądrowego, zbudowana po katastrofie) jest teraz promieniowanie radioaktywne mniej więcej na poziomie jak w Indiach (Rejon Kerała), gdzie ludzie normalnie żyją.

Tomasz Górski był w kilku lokalizacjach „grozy”, np. w sławnym czwartym bloku elektrowni, na płycie reaktora, gdzie doszło do wybuchu (łącznie znajdują się tam właśnie cztery bloki): – On robi najwcięższe wrażenie. Ta pustka, surowość miejsca, lecąca woda radioaktywna. Gdy pojechałem do Czarnobyla pierwszy raz, dużym wyczynem było w ogóle wejście do samej elektrowni, dwóch pierwszych bloków, z czasem strefa coraz bar-

dziej się otwierała. W czwartym bloku byłem z kolegą. Oprowdzał nas pan, który miał klucze do wszystkich miejsc. Zapytał: „Panowie, to co chcecie zobaczyć?”. I tak zobaczyliśmy wszystko, co tylko się dało.

Kombinezony strażaków. One wciąż promieniają

Przypadkiem zobaczył słynne zdjęcie ciężko chorego dziecka – „Igora z Czarnobyla”: – Mały chłopiec miał być zdeformowany, bo jego mama będąc w ciąży została napromieniona. Niestety Igora nie miało jednak związku z katastrofą. W jego życiu płodowym pępowina owinęła się wokół nóżek i to miało dramatyczne skutki. Historie opowiadane także o innych niepełnosprawnych dzieciach też można między bajki włożyć.

Pan Tomasz nie kryje, że od początku ciągnęła go do Czarnobyla właśnie potrzeba weryfikacji mitów. Wciąż powstają nowe. Kit dosłownie sprzed tygodnia, gdy była 40-rocznica katastrofy: – Wydawać by się mogło, że oglądam poważny program w telewizji. Była rozmowa ze strażakiem, który uczestniczył w akcji gaszenia pożaru w 1986 roku. Opowiadał niestworzone rzeczy. Mówił, że przyjechali gasić ogień i wykonali niesamowitą pracę, bowiem, gdyby nie ich działałność, to doszłoby do wielkiego wybuchu. Powstałby krater o średnicy 200 kilometrów, a strefa skażenia miałaby średnicę 800 kilometrów. Tymczasem nie było wybuchów jądrowych, które dokonałyby takich zniszczeń. Tak to wygląda, że z czasem fikcja miesza się z rzeczywistością, że coraz trudniej ocenić, co było naprawdę.

Czy pan Tomasz znalazł się kiedyś w sytuacji zagrożenia? – Tak, w podziemiach szpitala w Prypoci. Trafili do niego strażacy, którzy uczestniczyli w początkowej akcji opanowywania pożaru. Oni najbardziej ucierpieli, zmarli po kilku dniach na chorobę popromienną. Strasznie cierpieli. Ich kombinezony trafiły do ponurych piwnic szpitala. Będąc tam, przypomniałem, że wiele lat po katastrofie, musiałem je niechcący musnąć butem. Leżało tam mnóstwo różnych przedmiotów, szmaty, widziałem hełm czy butle po tlenie medycznym. Wraz z przesuwaniem się po korytarzach nasz licznik Geigera (promieniowania jonizującego – red.) zaczął intensywnie narażać, aż przelał się na tryb alarmowy. Wychodząc ze strefy przechodzi się kontrolę promieniotwórczą. Przy mnie zapaliła się kilka razy czerwona lampka, znaczy „Groźno” (zielona to „czysto” i świadczy o braku napromieniowania). Przeszedłem dezynfekcję i dopiero wtedy opuściłem strefę. Szok, że tyle lat minęło, a te kombinezony wciąż promieniają. Szok. ©

Simbę „Nowiny” odwiedziły jeszcze wiele razy. Dzięki temu w naszym redakcyjnym archiwum znajdujemy nie tylko niezwykle zdjęcia lwa, ale i nagrania wideo, na których Simba z Głogowa Młp. wygląda jak bohater animowanej, kultowej bajki dla dzieci „Król Lew”.

Pierwszy raz opisaliśmy Simbę w 2009 roku. Wtedy był malutki i jego właściciel Leszek Bielenda zabierał go do domu. Wesoło biegał po ogrodzie. Później musiał króla puszczyć zamknąć za wysokim płotem.

Ale to nie było tak, że pan Leszek wziął sobie lwa i żyli razem długo i szczęśliwie. Właściciel i jego zwierzę byli pod lupą rzeszowskiej prokuratury. Bo zgodnie z obowiązującym w Polsce prawem, lwa można trzymać jedynie w zoo bądź w cyrku. To jednak był żaden problem dla mieszkańca Głogowa. Aby móc zatrzymać Simbę, zarejestrował cyrk.

Ludzie chętnie przychodzili oglądać oryginalnego mieszkańca podkarpackiego miasteczka i robić sobie z nim zdjęcia. Szczególne zainteresowanie, co zrozumiałe, wzbudzał u dzieci.

I choć lew w Głogowie był raczej atrakcją, to byli i tacy, którym hobby głogowskiego przedsiębiorcy nie przypadło do gustu. Trafili się nawet obrońcy praw zwierząt, którzy donieśli, że mieszkaniec Głogowa Młp. miał znęcać się nad Simbą.

- Mam zarzut z paragrafu 161 kk. Nie wiem, dlaczego, bo zabezpieczenia są perfekcyjne. Spędziłem ponad trzy godziny, tłumacząc się na policji - opowiadała właścicielka kota z wielką grzywą przed kamerą „Nowin”. - To wszystko ma na celu odebranie mi lwa. Będę o niego walczył, bo nie chcę, aby trafił do jakiegoś ogrodu zoologicznego, gdzie będzie miał dużo gorsze warunki. Nie ubliżając żadnym ogrodowi i ich zabezpieczeniom.

A co, jeśli zabrali - drążył dociekliwy reporter „Nowin”.

- To byłoby niemożliwe dla mnie i bardzo ciężkie. Nie chodzi o mnie. Tu chodzi o niego. Jak on by się zachowywał z innymi lwami? Wiem, że to jest dzikie zwierzę. Ale on tu ma u mnie wszystko - odpowiadał pan i władca Simby.

Prokuratura nie dopatrzyła się naruszenia prawa.

Nie chcieli go w cyrku

Jak to się w ogóle stało, że w położonym o kilka kilometrów od Rzeszowa miasteczku zamieszkał król sawanny? Ponoć domem kociaka był cyrk objazdowy. Jego właściciel przekazał go na jakiś czas pod opiekę Leszkowi Bielendzie, bo rozpraszał innego lwa, tresowanego przez pracownika cyrku. Inna wersja



„Nowiny” w odwiedzinach w głogowskim ZOO. Nasi fotoreporterzy uwieczniają obrazy pokazujące niezwykłą więź, jaka łączy dzikiego kota i jego opiekuna

SIMBA JUŻ NA NIEBIAŃSKIEJ SAWANNIE

- Moje kolano jest w jego potężnej paszczy. Przez spodnie czuję dotyk kłów - pisał nasz dziennikarz w 2010 roku. Na szczęście do redakcji wrócił cały i zdrowy

Kinga Dereniowska

mówi o tym, że bano się, iż dorosłe osobniki, zrobią młemu krzywdę.

Po kilku miesiącach, mieszkaniec miasteczka miał zwrócić zwierzę. Tak się jednak nie stało.

- Nie mam zamiaru go nigdzie oddawać. Pokochałem go - wyznał na łamach „Nowin”.

Simba ponoć źle reagował, gdy jego opiekun wyjeżdżał w podróż. A że pan Leszek lubi zwiedzać świat, to robił to często. A „osierocony” Simba ryczał z żalu i tęsknoty.

Simba był lwem angolskim. To gatunek poważnie zagrożony wyginięciem. Charakteryzuje go jasne, paskowe umaszczenie. Niewielkie stada na wolności żyją w zasadzie tylko w rezerwa-

tach w Zimbabwe i Angoli. Do kwietnia 2026 roku mieliśmy go także w Głogowie Młp. Cemu jednak lew nie wrócił na sawannę? Ponoć przez problemy ze wzrokiem.

Urodziny

W 2011 roku „Nowiny” opisywały drugie lwie urodziny. Ważył wtedy 200 kg. Urosła mu grzywa, a jego głośny ryk słychać w promieniu kilkuset metrów. Miał niezły apetyt. Zjadał nawet 6 kg mięsa każdego dnia. W prezencie urodzinowym dostał pięciokilogramowy tort ze świeżego mięsa, ozdobiony dwoma wołowymi sercami i ogonem. Popił go ciepłym rosołem.

Początkowo zimy dla Simby nie były łatwe, mimo

że w swojej grodzie miał ciepło. Raz zachorował nawet na anginę. Poza antybiotykiem dostawał Rutinoscorbin.

- Podawałem mu po sześć tabletek kilka razy dziennie. Ale jeszcze większy numer to psykanie do gardła Tantum Verde. Najpierw się złościł, ale szybko zrozumiał, że to dla jego dobra - tłumaczył „Nowinom” pan Leszek.

Simbę odwiedzali dziennikarze z całej Polski. Drugiego takiego w prywatnej hodowli nie ma w całym kraju.

Kociak wyrósł na króla sawanny

Ostatni raz odwiedziliśmy głogowskie ZOO zimą 2016 roku. Fotoreporter uchwycił Simbę tarzającego się w śniegu. Głaskania nie było,



Wrzesień 2010 rok, Simba szybko rośnie, waży już 150 kg. To jednak młody kociak i bardzo lubi się bawić



Lew został pochowany na cmentarzu dla zwierząt w Węgliskach koło Rakszawy

bo lew wyrósł na prawie 300-kilogramowego drapieżnika.

- Jest potężnym, dorosłym zwierzęciem. Jego muskularna sylwetka z daleka budzi respekt - opisywał swoje wrażenia długoletni dziennikarz „Nowin” Bartosz Gubernat.

- Ma swoją ocieplaną grotę. Żyje za wysokim płotem. Wysoki na pięć metrów i zakończony od wewnątrz pastuchami - w 2012 roku właściciel ZOO informował naszego dziennikarza, że wydał na te wszystkie zabezpieczenia równowartość domu jednorodzinnego.

A skąd wiadomo było, ile waży Simba? Dzięki podstępowi. Specjalna waga była ustawiana na jego wybiegu. A na niej porcja mięsa. Chcąc zaspokoić głód, nieświadomy pomiaru lew wchodził na platformę i ujawniał swoją wagę.

Okazało się to bardzo ważne, gdy Simba złamał pazur i ten uwierał go w łapę. Do zabiegu trzeba było zwierzę uśpić. Aby podać bezpieczną ilość środka nasennego, trzeba było znać jego wagę.

Jak w Big Brotherze

Lew był pod stałą obserwacją kamer. Można było go podglądać, co robi, na żywo z salonu. Służyło to przede

wszystkim ochronie. Lwa i otoczenia.

A co jadał lew Simba? Zgodnie zaleceniem lekarzy, głogowski król sawanny, poza czystą wołowiną, zaczął dostawać także całe kury, króliki oraz różnego rodzaju podroby. Najbardziej smakowały mu wołowe serca oraz pełne chrząstki ogony.

Sam wykopał mu grób

Pan Leszek w ostatniej chwili zrezygnował ze spotkania z dziennikarzem „Nowin”. Tłumaczył, że utrata Simby to dla niego bardzo traumatyczne wydarzenie. Dziennikarzowi „Faktu” powiedział, że nie może sobie poradzić z jego odejściem. Przyczyną śmierci lwa miał być nowotwór. Opiekun robił wszystko, aby go uratować. Lew był na lekach (sterydy i środki przeciwbólowe)

Krótko przed śmiercią Simba wtulił się w swojego opiekuna, w ten sposób się z nim pożegnał. Dożył 18 lat. To piękny wiek, ponieważ przeciętny wiek życia lwów w niewoli wynosi 13 lat.

Simba został pochowany na cmentarzu dla zwierząt w Węgliskach koło Rakszawy. Właściciel własnoręcznie wykopał grób swojemu wier-nemu przyjacielowi.

NA DRUGIE URODZINY DOSTAŁ
PIĘCIOKILOGRAMOWY TORT ZE
ŚWIEŻEGO MIĘSA, OZDOBIONY
DWOMA WOŁOWYMI SERCAMI
I OGONEM

– Zawsze przed porodem dokładnie ustaliam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie – mówi Alina Gabrel-Kamińska z Białegostoku, fotografka porodowa

Urszula Śleszyńska

SFOTOGRAFOWAŁA JUŻ 30 PORODÓW I PRZY KAŻDYM MOCNO SIĘ WZRUSZA

Poród to bardzo intymny moment w życiu zarówno kobiety, jak i całej rodziny. Jak to się stało, że zaczęłaś w tę intymność wchodzić z aparatem?

To było 10 lat temu, w 2016 roku, ponad rok po porodzie mojego drugiego dziecka. Miałam depresję poporodową, problemy z karmieniem, więc szukałam wsparcia na kręgach kobiet. Robiłam zdjęcia na tych spotkaniach. Później zaczęłam też fotografować kobiety karmiące i jedna z mam, która była w pierwszej ciąży, spytała się, czy bym zrobiła reportaż z jej porodu. Od razu się zgodziłam. I od razu wsiąknęłam w tę tematykę. To był poród domowy, podczas którego płakałam jak bób, razem z rodzicami. Miałam bardzo trudne warunki, bo była noc i tylko kilka świeczek. Rodzice nie wyrazili zgody na publikację tych zdjęć, więc nie mogłam się pochwalić, że byłam przy porodzie. Ale te emocje, ta adrenalina, te endorfiny – tego nie da się porównać do niczego innego.

Ile porodów już sfotografowałaś?

Około trzydziestu.

Nie jesteś jedyną fotografką porodową w Polsce.

Kiedy zaczynałam 10 lat temu, było nas może trzy osoby, w tym jeden mężczyzna. Dziś w Polsce jest coraz więcej fotografów porodowych.

Myślisz, że kobietom jest łatwiej fotografować porody niż mężczyznom?

Tak, wydaje mi się, że kobietom jest łatwiej. Poród to bardzo intymny moment. Ja zawsze przed porodem dokładnie ustaliam, co mogę fotografować, czy rodzice chcą mieć na zdjęciach wyłaniającą się główkę czy nie. I myślę, że łatwiej jest zrobić takie zdjęcie mi, czyli kobiecie, która też już rodziła, niż mężczyźnie. Mój pierwszy osobisty poród był naturalny, a drugi – za pomocą cesarskiego cięcia, więc



FOT. MAGDALENA WŁASZEK

– Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno narodzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś takiego, co warto zatrzymać w pamięci – mówi Alina Gabrel-Kamińska

mam różnorodne doświadczenia i myślę, że dzięki temu jest mi łatwiej.

Kiedy podczas porodu najczęściej naciskasz spust migawki?

Trudno znaleźć konkretne momenty. Naciskam spust, kiedy czuję, że te kadry opowiedzą całą historię narodzin. Często fotografuję mało oczywiste detale, jak kosmyk włosów spadający na czoło, splecione dłonie rodziców...

Fotografia porodowa to chyba najintymniejsza z istniejących dziedzin fotografii?

Myślę, że tak. Ale wiem, że są też tacy, którzy robią jeszcze bardziej intymną, na przykład zdjęcia w trakcie... poczęcia.

Czy zdarza się, że przygotowująca się do porodu kobieta bardzo chce mieć fotograficzny zapis tego najważniejszego w jej życiu wydarzenia, a jej mąż czy też partner nie chce?

Tak się zdarza. Bywa, że mężczyzna się nie zgadza, bo uważa, że to zbyt intymne. Albo też nie zgadza się na robienie zdjęć w trakcie porodu, bo się boi, że zostaną na nich pokazane jego ogromne emocje. Ja w takich sytuacjach nigdy nikogo nie namawiam, bo to jest ich poród i to musi być ich wspólna decyzja. Ale przede wszystkim musi być zgoda kobiety, bo to jest jej ciało i jej przestrzeń.

Podczas porodów domowych kobieta i mężczyzna wpuszczają cię do swojej prywatnej przestrzeni i tam, w takiej intymnej atmosferze, z pewnością łatwiej jest fotografować poród niż w szpitalu?

To jest przepaść. Porody domowe to dużo większa swoboda dla rodziców, ale i dużo większa swoboda dla mnie. W domu rodzicami kobietę otaczają bliscy, rodzina i każdy, kogo rodzica zaprosi. Kiedyś tak właśnie wyglądały porody, że była obecna cała rodzina, tworzone kręgi kobiet. I ten poród domowy to jest taki powrót do tych więzi, do wspólnoty, na swoich warunkach. Jest pełna swoboda – rodzica kobieta może chodzić, ruszać się, wyjść nawet na spacer czy też zjeść coś, na co akurat ma ochotę. A w klinice raczej nie jest to możliwe.

W robieniu zdjęć podczas porodów domowych zapewne pomaga ci to, że pracujesz zazwyczaj ze sprawdzonymi położnymi, które dobrze znasz?

Tak. To działa w obie strony. Czasem podpowiedzą, w którą stronę układa się główka dziecka podczas porodu, że bym ją sfotografowała. Ja z kolei mogę podać im coś, czego potrzebują.

Czy bywa, że w szpitalach trafia się na opór – że rodzice bardzo chcą mieć zdjęciowy reportaż z porodu, ale personel szpitalny nie chce?

Tak. Uzyskanie zgody jest największym wyzwaniem. W jednym ze szpitali uzyskałam zgodę dopiero po bardzo długim staraniu, a w drugim – odmowę. Próbowalam różnymi metodami. To był bardzo długi proces. Myślę, że wiele osób z medycznego środowiska nie ma świadomości, że dla innych poród to nie tylko medyczne procedury, ale również relacje, emocje... Brak zgody na obecność doświadczonego fotografa odbiera rodzicom możliwość zatrzymania w kadrach tak ważnej historii. Młodsze pokolenie położnych to osoby otwarte, widzą piękno naro-

dzin. Jednak pokolenie starszych ma inne doświadczenia – często uważają, że poród to nie jest coś, co warto zatrzymać w pamięci. Kiedyś pani anestezjolog, obecna przy porodzie, zapytała mnie: co pani tu fotografuje? Powiedziałam, że wszystko: relacje, dotyk, nie tylko te czysto medyczne sytuacje. Widać było, że troszkę zrozumiała, ale nie do końca (śmiech). Jeden z lekarzy ginekologów też mnie kiedyś zapytał, co ja chcę fotografować. Przecież tutaj nic nie ma! Krocze pani będzie fotografować? – dziwił się. Pokazałam mu reportaż z porodu domowego i z kliniki. Zobaczył różne momenty, które dzieją się pomiędzy medycznymi procedurami – bliskość, napięcie, emocje, jak tata trzyma mamę za rękę, ale też uchwycony moment, kiedy wszyscy się śmieją, jedzą. I w końcu jak przytulają dziecko.

I jak zareagował?

Powiedział: Teraz wiem, co pani chce fotografować. Po czym zapytał: A jak jest podczas porodu z cesarką? Co pani pokazuje? Odpowiedziałam, że pokazuję pewne elementy procedur medycznych, ale to też jest coś, dzięki czemu kobiety się uczą, osławiając strach, bo widzą, jak to wygląda. Widzą, że to nie jest tak, jak się większości wydaje, że to prosty zabieg. To jest poważna operacja, ale też są przy tym bardzo duże emocje. Fotografuję i mamę, i personel – jeżeli się zgodzi. Te porody – naturalny i za pomocą cesarskiego cięcia – różnią się przede wszystkim szybkością. Bo emocje podczas jednego i drugiego są tak samo duże.

Jednak fotografowanie cesarki jest chyba dużo trudniejsze?

Jest trudniejsze technicznie, bo na sali operacyjnej mogę stać tylko w jednym miejscu i nie wolno mi niczego dotykać – mam więc bardzo ograniczone pole manewru. Jeżeli postawią mnie w miejscu, gdzie nie będę miała dobrego



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

Zdjęcia Aliny Gabrel-Kamińskiej wykonane podczas porodów domowych. Jedna z fotografii – „Released” (powyżej) – zdobyła nagrodę Silver Award oraz Members’ Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP

widoku – to nie zrobię tego, co bym chciała. Ale na razie widzę otwartość w klinice, w której mogę robić porodowe zdjęcia, więc to mnie cieszy. Rozcięcie powłok brzusznych czy wyciąganie dziecka – w emocjach i w kadrach to jest coś pięknego. Na zdjęciach już widać twarz dziecka i to poczucie, że mama zobaczy ją dopiero za chwilę... Maluszka pokazuje jej tylko przez moment, dają do pocałowania i zabierają. Ja też wtedy idę na pierwsze spotkanie taty z dzieckiem, kiedy może je zobaczyć i przytulić.

Wspomniałaś o wielkich emocjach rodziców, którym rodzi się dziecko. Ale chciałam też zapytać o twoje emocje – czy lży u ciebie nadal się pojawiają?

Już mniej, ale przy każdym porodzie mocno się wzruszam. Przy pierwszym porodzie bardzo płakałam, razem z rodzicami. Chłonę te ich emocje, ale staram się też zatrzymywać kadry, fotografować, jak rodzice płaczą. Jakbym sama się rozkleiła, to w ogóle żadnych zdjęć bym nie zrobiła (śmiech).

Ostatnio jedna z twoich porodowych fotografii – „Released” – zdobyła Silver Award oraz Members’ Choice Award w prestiżowym konkursie IAPBP.

Pierwszy raz wysłałam zdjęcia na taki stricte porodowy konkurs. Moja nagroda to dyplom International Association of Professional Birth Photographers. To największe międzynarodowe stowarzyszenie fotografów porodowych z siedzibą w Australii. Moje zdjęcie nagrodzono srebrnym laurem w kategorii Delivery oraz

Members’ Choice Award, które są przyznawane w głosowaniu przez profesjonalne fotograflki porodowe z całego świata! Te zdjęcia pochodzą z przepięknego porodu, który miałam okazję fotografować w listopadzie 2025 roku. Mama zgodziła się na publikację tych zdjęć. To był już jej czwarty poród i był wspaniały.

Spotkałaś się wcześniej z tą rodziną, aby omówić zdjęcia?

No właśnie nie. Zazwyczaj umawiam się z rodzicami dużo wcześniej i czekam na telefon z informacją, że poród się rozpoczął, ale na ten poród nie miałam fotograficznego zlecenia. To był trochę inny przypadek. Moja znajoma miała kręcić film na zaliczenie do szkoły o tym, jak się pracuje przy porodach. Byłam tym podekscytowana, tylko musiałam znaleźć rodzicą mamę. Wiedziałam, że do szpitala czy też kliniki nie wpuszczą kolejnej osoby, więc taki poród od razu odpadał. Jednak dzięki zaprzyjaźnionej położnej, która przyjmuje porody domowe, udało mi się znaleźć mamę, której zbliżał się termin porodu. Powiedziałam, że zrobię zdjęcia bez wynagrodzenia, a rodzica mama będzie miała na pamięć i zdjęcia, i film. Tylko warunek jest taki, że zgodzi się na publikację. Zgodziła się. Przed porodem rozmawiałymy przez telefon, wszystko ustaliliśmy i kiedy już dostałam sygnał, że poród się zaczął, zadzwoniłam od razu do tej dziewczyny od filmu. Okazało się jednak, że ją to przerosło i nie zdecydowała się jechać na poród. Byłam na nią zła, ale sama pojechałam. Było już ciemno. Usłyszałam, że w jednym z domów płacze dziecko. Pomyślałam, że się spóźniłam.

Na szczęście okazało się, że to płakało starsze dziecko. Weszłam tam zestresowana, patrzeć – a mama stoi uśmiechnięta i rozmawiają z położną. To był długi, ale i piękny poród. Było dużo śmiechu, a to nagrodzone potem zdjęcie powstało już pod koniec. Asia rodziła bardzo długo, bo skurcze zaczęły się dużo wcześniej. Ja byłam tam koło godziny 20, a ona urodziła po 6 rano i była wykończona. Była tak zmęczona, że nie dała rady stać na nogach – mąż ją trzymał. To nagrodzone zdjęcie wykonałam w momencie, kiedy Asia poczuła już ulgę i mogła odpocząć z tym małym dzieckiem na piersi.

Co jest najpiękniejsze w fotografii porodowej?

Wszystko. To oczekiwanie, te emocje. Nawet nie sam moment porodu, chociaż on jest kulminacyjny. Piękne jest to, jak się to wszystko rozwija. Piękna jest mama, która – mimo że jest jej bardzo trudno – to ma ogromną siłę i robi wszystko, by jej dziecko przyszło na świat. Piękny jest tata, który ją wspiera, a gdy widzi swoje dziecko po raz pierwszy, to płacze. Piękne jest to, że kobiety później mogą zobaczyć na zdjęciach, jak bliscy je wspierali. Nie umiem tego słowami opisywać. Mogę to pokazać na zdjęciach.

Zdarzają się też pewnie trudne chwile?

To te, kiedy nie możesz pomóc... Kiedy widać, że rodzicą mamę bardzo boli, a ja nie mogę nic zrobić. Mogę jedynie trzymać ją za rękę. Co też robię. Czasem więc odkładam aparat i po prostu jestem obok. Trzymam za rękę lub masuję plecy.



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW



FOT. ALINA GABREL-KAMIŃSKA / BEZ SŁÓW

KULTOWE SMAKI TORUNIA. RECEPTURY NIEZMIENNE OD DEKAD

Jak smakuje Toruń? Nie tylko piernikiem, jak wyobrażają sobie nierzadko turyści. Na gastronomicznej mapie miasta jest kilka lokali, które Torunianie nazywają kultowymi. Działają od 30, 40, a nawet 75 lat nieprzerwanie. Tradycyjnych receptur nie zmieniają, a często wręcz reklamują się „smakami PRL-u”

Małgorzata Oberlan

Zapiekanki u pani Eli na Wielkich Garbarach. Te same od 44 lat

Mała gastronomia „Zapiekanki” przy ul. Wielkie Garbary na starówce to... wielka sprawa. Małutki lokal ze skromnym wystrojem od 44 lat serwuje zapiekanki i hot-dogi. Obecnie prowadzi go Elżbieta Kus, a wcześniej jej mąż. Przed nim natomiast cały interes rozkręcała teściowa pani Eli.

- Jaka ze mnie „pani”? Mów mi na „ty” - poprawia mnie wciąż pani Elżbieta, którą odwiedzałam w majowy weekend. Jest zmęczona, bo ruch kolejny dzień niesamowity, ale poczucia humoru nie traci - jak zawsze. To także od lat doceniają tutaj klienci. Trudno stąd szybko wyjść, bo zawsze można pożartować, pogadać o życiu i o Polsce.

Zapiekanki i hot-dogi od ponad czterech dekad przygotowuje się tutaj według tych samych sprawdzonych receptur. Prosto, tradycyjnie - z samodzielnie robionym farszem, bez wydziwiania, na dobrych bułach, a nie jakichś dmuchanych francuskich półbagiet-

kach. Ceny? Przystępne - od 20 do dwudziestu kilku złotych za specjał, który nie tylko przenosi w czasie do PRL-u, ale i syci. Popić zapiekankę można - a jakże! - oranżadą ze szklanej butelki lub wodą „Krystynką”. Przysiąść w lokalu lub przy jednym stoliku na zewnątrz. Albo, starym sposobem, konsumować na stojąco lub spacerując. „Zapraszamy na smaki PRL-u” - takim hasłem ten lokal kusi na ulicznej tablicy. Z tego, co kiedyś było „obciachem”, zrobił swój atut.

O przywiązaniu Torunian do tego lokalu najlepiej chyba świadczy sytuacja z okresu pandemii. Lokal wówczas okresowo był zamknięty. Pogłoski o tym, że „Zapiekanki” znikną z mapy Torunia, wywołały wręcz coś na kształt ogólnej hysterii. Potem lokal znalazł się w kryzysie także po drastycznych podwyżkach cen prądu i innych mediów. Wszystkie kryzysy jednak zażegnano i biznes się kręci.

Bar „Pod Arkadami” działa od 75 lat. A przy nim kultowe okienko

Ten bar działa nieprzerwanie od 1950 r. Przez lata lokal „Pod Arkadami” upodobał sobie nie tylko mieszkańcy, ale i turyści, bo jest świetnie położony: w samym centrum, na rogu ulic, blisko ratusza i pomnika Kopernika (to ważne punkty orientacyjne dla tych, którzy są w mieście pierwszy raz). Nigdy nie było tu drogo i tak pozostało. Zawsze było „jak u mamy” i to również się nie zmieniło. Jeśli ktoś ma ochotę na żelazny zestaw typu „pomidorowa, schabowy z surówką i ziemniakami plus kompot” od lat się nie zawiedzie.

Od dekad działa tutaj też słynne „okienko pod Arkadami” należące do baru. Serwowane tu zapiekanki, gofry czy lody dla wielu nie mają sobie równych. - To są klasyczne wersje, a smak ten sam od tylu lat - chwali klienci sentymentalni. Dla wielu to, że frykasy

mają sznyt PRL-owski, to podstawowa zaleta.

Z okienkiem związana jest też od blisko 30 lat pani Anna - zawsze uśmiechnięta blondynka, dla której czas się zatrzymał. Zresztą, i w okienku, i w samym barze ekipa jest bardzo sympatyczna, co także bardzo cenią klienci.

Ponad trzy dekady baru „Panda”. Sławny schaboszczak

Torunianie „Pande” przy ul. Mickiewicza znają doskonale. Ten skromny z wyglądu bar działa na Bydgoskim Przedmieściu już od 33 lat. Iniezmienne, od dekad, karmi po domowemu. Doceniają to nie tylko studenci, ale i setki innych osób. Prowadzi go lubiana przez klientów Hanna Fiałkowska wraz z mężem.

Latem 2023 r. o „Pandzie” dowiedziała się cała Polska. To za sprawą popularnego vlogera, który odwiedził bar, zamówił schabowego, a potem rozplę-

wał się w komplementach. Ogłosił wszem i wobec (a tzw. zasięgi MrKryha ma potężne), że „Panda” w Toruniu serwuje nie tylko wyśmienitego, ale i najtańszego schabowego w kraju. - I to wszystko jest wciąż aktualne - zapewnia dziś Hanna Fiałkowska.

Naprawdę solidnych rozmiarów schaboszczak („grubo ponad 100 gramów”) wraz z ziemniakami (lub frytkami do wyboru) oraz surówką kosztuje tutaj zaledwie 21 zł i 70 gr. Amatorów tego zestawu nie brakuje. - Robimy zatem na bieżąco, zawsze jest świeży - podkreśla pani Hanna.

Oprócz tego bar serwuje też inne tradycyjne zupy i drugie dania obiadowe, np. wątróbkę czy kielbasę w zestawach. Wystrój jest tu „jak z PRL-u”, zastawa, smaki i wonie - także. I jak to się teraz gościom podoba!

„Jest klimat PRL. Duże porcje, pyszne zupy, świetna wątróbka. Do pełni szczęścia bra-

kuje mi tylko starej oranżady w butelkach, ale to, jak kto lubi. Dla mnie wspaniałe miejsce. Smaki dzieciństwa” - komentuje w sieci pan Zbigniew.

„Ten bar to miejsce magiczne, nostalgiczne i to jego wielka zaleta. Takich barów w Polsce jest już jak na lekarstwo. Jeśli ktoś chce zobaczyć, jak się jadło w latach 80. i 90., to polecam gorąco. Klimat nie do podrobienia. Jedzenie pyszne, frytki jak u mamy w domu, schabowy jak kiedyś. Ceny bardziej niż przystępne. Wróć tu bezapelacyjnie, niech będzie jak najdłużej na polskiej mapie barów” - życzy sobie i innym pan Maciej, internetowy recenzent.

Pizzeria „Piccolo” - polska pizza i barszczyk takie same od 36 lat

Czy może mieć wielki sukces pizzeria, która w karcie ma tylko jeden jej rodzaj? Tak, to możliwe! Mowa o pizzerii „Piccolo” przy ul. Prostej na starówce. To kolejny z tych punktów na gastronomicznej mapie Torunia, gdzie drzwi się nie zamykają. Pizza i barszczyk są takie same od 1992 r., czyli od 36 lat.

W menu jest tak zwana „polska pizza” - na puszystym cieście, z dużą ilością pieczarek i serem. Do niej klient wybrać może keczup, sos majonezowy lub czosnkowy. Obowiązkowo goście też zamawiają barszczyk - tym zestawem lokal robi furorę od ponad trzech dekad.

- Zawsze tutaj wracamy, będąc w Toruniu. Każdemu polecamy. Nie dość, że pysznie, to jeszcze niedrogo. Obsługa bardzo sympatyczna - zachwalają klienci.

Wiele entuzjastycznych recenzji usłyszeć można „na żywo” od tłumnie w sezonie odwiedzających pizzerię gości, ale i przeczytać w internecie. Klienci chwalą smak, który jest pewniakiem o lat. Wielu przywodzi na myśl lata młodości czy nawet dzieciństwa.

Tylko największym maruderom przeszkadza, że czasem



Bar „Pod Arkadami” - mały lokal z domowymi obiadami - działa na starówce od 75 lat. Przy nim okienko z goframi, lodami i zapiekankami. Pani Anna związana jest z nim od około 30 lat



Bar „Panda” - tutaj też nikt PRL-owskiego sznytu się nie wstydzi. Lokal działa od 33 lat. Hanna Fiałkowska wraz z mężem serwują m.in. „najtańszego schabowego w Polsce”

na stoliku znajdują ślady sosu czy serwetki. Większość gości dobrze wie, że przez ten niewielki lokal przewijają się codziennie dziesiątki klientów, więc obsługa bardzo się stara. A ceny są przystępne.

„Gospoda Pod Modrym Fartuchem”

– wątróbka, golonka i schabowy kuszą od lat

„W rogu Rynku Nowomiejskiego przy ul. Ślusarskiej stoi barokowa kamienica mieszcząca najstarszą do dziś czynną toruńską gospodę. Według tradycji została ona założona w 1489 r. przez rodzinę Szalitów. Niektórzy mówią jednak, że wybudowano ją 5 lat wcześniej, bo miał być w niej właśnie sam król Kazimierz Jagiellończyk, a on w Toruniu był ostatni raz w 1485 r. Bywał tu wraz z synami, późniejszymi królami polskimi Janem Olbrachtem i Aleksandrem. W roku 1807 gospodę ponoć odwiedził również cesarz Napoleon Bonaparte. Gospoda słynęła z dobrych miódów, węgrynia i piwa” – czytamy na portalu Toruńskiego Serwisu Turystycznego.

Tyle historii zamierzchłej w największym skrócie. Historia najnowsza „Gospody Pod Modrym Fartuchem” natomiast to czasy PRL-u, kiedy ludzie przychodzili tutaj m.in. na kultową już wątróbkę z cebulką, przemiany w latach wczesnego kapitalizmu oraz podtrzymywanie tradycyjnych receptur w XXI wieku. A także wielki kryzys i widmo plajty wskutek koronawirusowej pandemii.

Kiedy w 2021 r. najstarsza karczma w Toruniu, a także jedna z najstarszych tego typu w kraju i Europie ogłosiła, że prawdopodobnie musi zamknąć drzwi na zawsze, z pomocą pospieszyły jej setki ludzi. Pandemia zabrała jej klientów i dochody, tarcza antykryzysowa okazała się w jej przypadku dziurawa, a zobowiązania i długi rosły. Ale wierni klienci nie zawiedli.

„Przetrwiała wojny i zaborzy, przetrwała PRL, a ma ją pokonać pandemia?! Nie ma na to zgody” – stwierdzili sympatycy najstarszej gospody w Polsce. Zbiórkę pieniędzy na portalu Zrzutka.pl wsparło blisko 400 darczyńców, wpłacając łącznie ponad 22 000 zł. Pieniądze przeznaczono na opłacenie ZUS-u pracowników, czynszu i mediów, zaciągniętych pożyczek. Na wysokości zadania stanęli też wtedy sami restauratorzy, którzy postawili na wyrób domowych przysmaków (chleba, smalcu i innych) i sprzedają ich przez internet.

A dziś? Gospoda kolejny już rok przyciąga rzesze amatorów tradycyjnej, polskiej kuchni i dobrych napitków. Co oczywiste, w sezonie najchętniej chyba odwiedzają ją turyści, ale i „lokalsi” lubią tutaj wracać.

Sztandarowe dania to wspomniana wątróbka, golonka oraz kotlet schabowy w wersji XXL. Nadal w ofercie są też ulubione zupy z żurkiem na czele. Menu jest jednak zdecydowanie szersze i miłośnicy polskiej tradycji nigdy stąd rozczarowani nie wychodzą.

Lody od Lenkiewicza – nie zna miasta, kto ich nie spróbuje

„Wcale już nie taka wielka gałka”, „Nie ten smak, co kiedyś”, „Przereklamowane” – tak lubią co roku, na starcie każdego nowego sezonu lodowego, ponarzekać Torunianie. Ale, rzecz jasna, nie odmawiają sobie przyjemności sprawdzenia aktualnej oferty, wielkości „gały” oraz jej ceny. A wszystkie kawiarnie i cukiernie działające pod marką „Lenkiewicz” w Toruniu są oblegane.

I prawda jest taka, że kto „lodów od Lenki” nie spróbuje, ten toruńskiego klimatu latem nie poczuje. Dziś „Lenkiewicz” to niezwykle silna marka i kilka lokali w różnych punktach Torunia. Najstarszy jednak jest ten przy Wielkich Garbarach. W roku 1950 nestor rodu, Stanisław Lenkiewicz, kupił tutaj kamienicę pod nr. 14. Najpierw była to piekarnia. W 1960 r. zmienił profil działalności na cukierniczy i wtedy też wprowadził do oferty lody. Tak to się zaczęło...

Dziś biznes prowadzi już kolejne pokolenie. Receptury lodów, sposób ich wytwarzania oraz gama smaków na przestrzeni ponad 60 lat – to oczywiście – zmieniały się. Od wielu lat jednak receptura jest podobna, a jakość niezmiennie najwyższa – tak przynajmniej zapewniają właściciele.

Od zawsze też gałka lodów od Lenkiewicza jest naprawdę duża. Tak było 20 lat temu, tak jest teraz i wszyscy mają nadzieję, że tak pozostanie. Na samej starówce lody można kupić przy wspomnianej ul. Wielkie Garbary 14 i na Rynku Staromiejskim 33/34. Ale marka ma swoje lokale już także w różnych innych rejonach miasta.

Na domowe zupy do „Małgoški”. Ten bar czynny jest od ponad 60 lat

Działający od ponad 60 lat bar „Małgoška” przy ul. Szczytnej to młodsza siostra baru „Pod Arkadami”, o którym poszemy na wstępie. To zdecydowanie większy lokal, z szerszą ofertą, ale z identycznymi zasadami. Oba bary prowadzone są przez „Społem” Gastronomiczno-Turystyczną Spółdzielnię Spożywców w Toruniu”. To gwarantuje stabilność zatrudnienia m.in. paniom kucharkom – wiele przepracowało tu całe swoje zawodowe życie.

Od tych najstarszych lokali gastronomicznych w Toruniu, co zrozumiałe, najwięcej się



Golonka, ale też wątróbka i wielki schabowy to sztandarowe dania „Gospody Pod Modrym Fartuchem”. To jedna z najstarszych tego typu karczem w Europie

wymaga. Co jakiś czas pojawiają się utyskiwania, że „to już nie ta sama Małgoška co kiedyś, bo podrożało” albo krytyczne głosy na temat sprawności obsługi, zmienionego smaku jakiejś zupy czy wielkości porcji. Nie zmienia to jednak faktu, że szczególnie w sezonie letnim bary są oblegane. Domowy sposób gotowania nie zmienia się.

Co „Małgoška” ma w ofercie w 2026 roku? Cały czas, jak przed laty, zjemy tu tradycyjne zupy, mięsne i jarskie drugie dania obiadowe oraz surówki. Jednorazowo lokal może przyjąć nawet 150 osób, więc często pojawiają się tutaj całe zorganizowane grupy turystów. Ale bynajmniej nie tylko oni! Nie brakuje miejscowych albo ludzi kiedys w Toruniu mieszkających, którzy z sentymentu co jakiś czas do „Małgoški” przyznajmniej na ulubioną zupę lubią zajrzeć.

– No i pocuć ten klimat PRL-u. Bo w barze, mimo remontów i drobnych zmian, to czas się jednak zatrzymał. Te lady, stoliki, wazoniki, serwetki, talerze... Takich miejsc naprawdę nie ma już w kraju wiele. Pojawiają się nowe knajpy, które stylizują się na PRL, ale „Małgoška” nikogo nie udaje, nie naśladuje – podsumowuje pani Dorota z Torunia, lubiąca zajrzeć na Szczytną od... trzydziestu lat.



Pizzeria „Piccolo” od 36 lat serwuje ten sam kultowy zestaw: polską pizzę na grubym cieście i barszcyk



Żurek i inne zupy, placki ziemniaczane, pierogi, tradycyjne drugie dania obiadowe – to nadal w swojej ofercie ma społemowski bar „Małgoška”. Działa od ponad 60 lat



Zapienkanki przy ul. Wielkie Garbary zapraszają na „smaki PRL-u” od ponad 40 lat. Lokal prowadzi Elżbieta Kus. Na zdjęciu z zapienkanką pani Agnieszka, która pomagała w sprzedaży przez majowy weekend



Lody od Lenkiewicza od dekad przyciągają tłumy. Tu kawiarnia przy ul. Wielkie Garbary

Żużel Reprezentacja Polski zdobyła srebro DME w Rzeszowie

PRZERWANA PASSA POLAKÓW

Zbigniew Czyż
zbigniew.czyz@polskapress.pl

Żużlowa reprezentacja Polski nie obroniła tytułu drużynowego mistrza Europy. W finałowych zawodach rozgrywanych w Rzeszowie Biało-Czerwoni musieli uznać wyższość Duńczyków.

To była piąta edycja DME, cztery poprzednie kończyły się zwycięstwem Polaków, Duńczycy z kolei zawsze zajmowali drugie miejsce. Kadra prowadzona przez trenera Stanisława Chomskiego stanęła w Rzeszowie przed szansą przedłużenia złotej serii.

Biało-Czerwoni nie mogli jednak wystąpić w najmocniejszym składzie. W ostatnich chwilach ze składu wypadł Piotr Pawlicki, który doznał urazu w piątkowym meczu ligowym jego Unii Leszno w Grudziądzu. W miejsce zawodnika „Byków” w trybie awaryjnym powołano aktualnego młodzieżowego indywidualnego wicemistrza świata Wiktora Przyjemskiego z pierwszoligowej Polonii Bydgoszcz.

Zgodnie z regulaminem każda z reprezentacji w rozgrywanym w stolicy województwa podkarpackiego finale mogła skorzystać z jednego zawodnika startującego w cyklu Speedway Grand Prix, musiała mieć także w składzie – na pozycji rezerwowego – żużlowca



Żużlowa reprezentacja Polski zdobyła srebrny medal Drużynowych Mistrzostw Europy

poniżej 21. roku życia. Trener Chomski postawił na sześciokrotnego mistrza świata Bartosza Zmarzlika, tym samym musiał z kadry skreślić Kacpra Woręnę, Dominika Kubę i Patryka Dudka. Jako młodzieżowiec wystartował 19-letni Bartosz Bańbor, tegoroczny maturzysta.

Polskim żużlowcom, którzy byli faworytami finału, od samego początku nie szło najlepiej. W pierwszej serii dwukrotnie przyjeżdżali na ostatnich miejscach i zaczęła zarysowywać się przewaga Duńczyków. W zespole prowadzonym przez

Nikiego Pedersena punktowała cała ekipa, zwłaszcza Rasmus Jensen, startujący na co dzień w pierwszoligowej Stali Rzeszów, oraz Michael Jepsen Jensen.

Po słabszym początku Polacy zaczęli gonić Duńczyków, ale nie byli w stanie dobrać się do skóry Skandynawom. Przed biegami nominowanymi Duńczycy mieli 39 punktów, a Polacy 28. Już po pierwszym z nominowanych biegów Duńczycy mogli fetować historyczne złoto. Ostatecznie zgromadzili 43 punkty, Polacy zdobyli cztery oczka mniej.

W naszej drużynie świetnie spisywał się Bartosz Bańbor. Zawodnik Motoru Lublin zdobył 14 punktów w pięciu startach. Dwa oczka mniej, ale w sześciu gonitwach, uzyskał sześciokrotny mistrz świata Bartosz Zmarzlik. Osiem punktów zdobył Przemysław Pawlicki, trzy Bartłomiej Kowalski, a dwa Wiktor Przyjemski.

– Było ciężko, ale walczyliśmy, wystarczyło punktów na srebrny medal – powiedział po zawodach Zmarzlik, kapitan reprezentacji Polski.

Brązowy medal wywalczyli Szwedzi, ostatnie miejsce zajęła reprezentacja Łotwy.

wet na ostatniej prostej dofinansował klub kilkumilionową kwotą i generalnie – okazał się właściwym człowiekiem na bardzo trudne czasy, które zespół spod Wawelu ma już na szczęście za sobą. Gratulacje!

Szkoda natomiast, że krakowski futbol w wydaniu pierwszoligowym ma też przeciwny bieg. Tym drugim jest oczywiście Wieczysta, której właściciel okazał się – w oparciu o medialne doniesienia – człowiekiem co najmniej niepoważnym.

Wojciech Kwiecień najpierw zaangażował się w z gruntu szalony, kosztowny i w zasadzie od początku pozbawiony biznesowego sensu (działając w mega trudnym środowisku, za plecami znacznie bardziej rozpoznawalnej Wisły, której zresztą jest wielkim kibicem i ekstraklasowej Cracovii) – projekt. A kiedy był już bliski spełnienia marzenia o awansie do ekstraklasy – pojawiły się przecieki, że w przyszłym sezonie Wieczysta zacznie rozgrywki od... IV ligi. Bo człowiek, który finansował dotąd swój kaprys, zabierze zabawki

i zostanie współudziałowcem Białej Gwiazdy.

Oczywiście, to prywatny kapitał Kwietnia i ma on święte prawo dysponować nim wedle własnego życzenia. Pan Wojciech zapomniał jednak najwyraźniej, że przystąpił do gry na określonych zasadach, gdzie stawką są nie tylko spadki i awanse, ale także baraże. Termin wycieku informacji o rozważanym wycofaniu Wieczystej z profesjonalnych rozrywek na finiszu sezonu zasadniczego był najgorszy z możliwych. I to nie tylko dla zawodników tego klubu, których gra i wyniki z dnia na dzień pójdą do kosza. To bowiem także zapowiedź bałaganu, nawet w kilku ligach.

Dlaczego Kwiecień nie pomyślał o znalezieniu inwestora i wycofaniu przynajmniej części nakładów – a przy tym o szacunku dla poświęconej temu projektowi energii (zamiast o wycofaniu Wieczystej) – nie mam pojęcia. Wiem natomiast, że ludzie, dla których poważny futbol bywa chwilową zachcianką lepiej trzymać od niego z daleka.

Polscy bokserzy z wygraną w Memoriale Feliksa Stamma

Paweł Wiśniewski
redakcja@polskapress.pl

Zbieżnia lekkoatletyczna pożegnał się na dobre, kończąc karierę, Karol Zalewski – mistrz olimpijski w sztafecie mieszanej 4 x 400 metrów (Tokio, 2020), halowy mistrz i rekordzista świata w sztafecie 4 x 400 metrów mężczyzn (Birmingham, 2018). Żaden z Polaków nie biegł tak szybko 300 metrów (31,93 s).

Katarzyna Niewiadoma (Canyon-SRAM zondacrypto) zajęła 8. miejsce w klasyfikacji generalnej siedmioetapowego wyścigu kolarskiego Vuelta a Espana.

Rywalizacja rozstrzygnęła się na 12-kilometrowym, bardzo stromym podejździe na Angliu (średni kąt nachylenia 10,3 proc.), na który kobiety wspinały się po raz pierwszy.

Zwyciężyła niespodziewanie Szwajcarka Petra Stastny (Human Powered Health).

Druga, ze stratą 23 sekund, była Hiszpanka Paula Blasi (UAE Team ADQ), ale wyprzedziła o 36 sekund piątą na mecie dotychczasową liderkę, Holenderkę Annę van der Breggen (Team SD Worx-Protime), tym samym zapewniając sobie końcowy

triumf. Katarzyna Niewiadoma ukończyła etap na 11. miejscu ze stratą 2 min i 16 s.

23-letnia Blasi jest pierwszą reprezentantką gospodarzy na liście triumfatorek Vuelty. W klasyfikacji generalnej wyprzedziła o 24 sekundy van der Breggen oraz o 49 sekund Francuzkę Marion Bunel (Visma-Lease a Bike).

Pobiliśmy Brytyjczyków

W finale 41. bokserkiego Memoriału Feliksa Stamma, który tym razem gościł w Radomiu, reprezentacja Polski pokonała Wielką Brytanię 8:6. Trzecie miejsce zajęli Irlandczycy po zwycięstwie nad Niemcami 6:2.

W tegorocznej edycji turnieju organizatorzy zmienili formułę. Zamiast tradycyjnego wyłonienia zwycięzców w poszczególnych wagach, odbył się czwórmech drużyn mieszanych.

Niestety, Mateusz Rębecki poniósł trzecią porażkę z rzędu. Na gali „UFC 328. UFC 328: Chi-maev kontra Strickland”, która odbyła się w dobrze nam znanej hali „Prudential Center” w Newark w stanie New Jersey, polski „Chińczyk” musiał uznać wyższość Amerykanina Granta Dawsona. Pojedynek zakończył się przez poddanie w 3. rundzie.

©©

Adam Godlewski

„Krótka piłka”



DWA BIEGUNY PIŁKI W KRAKOWIE

W wydarzeniem tygodnia w polskim futbolu jest bez wątpienia powrót Wisły Kraków do ekstraklasy po 4-letniej przerwie. Nikt nie ma wątpliwości, a w każdym razie mieć nie powinien, że Biała Gwiazda wróciła do domu, bo jej miejsce jest w elicie. I to z kilku powodów – świetnie rozpoznawalnego w każdym zakątku kraju brandu, historycznych wyników plasujących klub z Reymonta wśród najbardziej utytułowanych w Polsce, rzeszy kibiców, a także – obecnej jakości.

Jako pierwszoligowiec sięgnęła przecież dwa lata temu po Puchar Polski, a w kończącym sezonie wyrosła ponad drugi poziom rozgrywkowy; dość powie-

dzieć, że na dystansie 32 meczów zdobyła najwięcej goli w całej stawce, straciła najmniej i doznała (nie licząc walkoweru ze Śląskiem) tylko 2 porażek.

Architektem awansu był Jarosław Królewski, postać niejednoznaczna i – nawet delikatnie określając – ekscentryczna. Godzi się przypominieć, że szkoleniowców na pewnym etapie futbolowego wtajemniczenia szukał przy pomocy sztucznej inteligencji i miewał inne mocno oryginalne (żeby nie określić: dziwne) pomysły – z niedawnym głośnym bojkotem meczu ligowego we Wrocławiu, ale na koniec dnia ten ratownik Białej Gwiazdy postawił na swoim, za co należą mu się wielkie brawa. Wytrzymał banicję, na-



Reprezentacja Polski w boksie olimpijskim okazała się bezkonkurencyjna w 41. Memoriale Feliksa Stamma



Pojawia się coraz więcej informacji o podpisaniu przez Katarzynę Niewiadomą kontraktu z nową grupą – Lidl-Trek

PIŁKA NOŻNA W SOBOTĘ GŁOGOWIANIE ZMIERZĄ SIĘ NA WŁASNYM STADIONIE ZE ZNICZEM PRUSZKÓW

Lider był za mocny dla Chrobrego

RED
Głogów

Chrobry nie sprostął bardzo mocnej w tym sezonie Wiśle Kraków. Przy ponad 30-tysięcznej publiczności Biała Gwiazda wygrała 2:0, nie pozostawiając złudzeń, że jest najsilniejszą ekipą w lidze.

Po czterech latach Wisłę mogła tym meczem przypieczętować powrót do Ekstraklasy. Komplet na trybunach i to, co działo się na boisku, pokazało, jak szczególne spotkanie było to dla Białej Gwiazdy. Gospodarze mocno ruszyli na Chrobrego i już w 15. minucie objęli prowadzenie. Frederico Duarte dograł prosto do nabiegającego Juliana Lelievelda, a ten potężnym strzałem wpakował piłkę do siatki. Dawid Arndt był bez szans.

Na tym nie koniec. 180 sekund później świetnie spisał się Arndt, który obronił strzał Duarte próbującego zmieścić piłkę między głogowskim bramkarzem a słupkiem. Z ko-

lei w 31. minucie Jordi Sanchez starał się zaskoczyć efektowną przewrotną - groźną, ale niecelną.

Pomarańczowo-Czarni nie mogli poważniej dojść do głosu, choć próbowali. Futbolówka po uderzeniach Piotra Janczukowicza czy Myrosława Mazura nie zmierzała jednak w światło bramki.

Po 45 minutach gospodarze prowadzili 1:0. Mimo wyraźnej przewagi Wisły był to wciąż wynik, który dawał nadzieję głogowianom.

Chwilę po przerwie Wisła te nadzieje mocno ograniczyła, bo w 48. minucie zrobiło się 2:0. Po dograniu z boku rezultatu podwyższył Marko Božić. Jeszcze ofiarnie próbował zablokować go Robert Mandryś, ale tego dnia Wisła była piekielnie mocna w każdym elemencie.

Pokazały to również kolejne fragmenty spotkania, bo w 54. minucie pełne ręce roboty miał Dawid Arndt, którego pokonać próbowali najpierw Božić, a chwilę później



Wisła zagrała w Krakowie bardzo dobry mecz i pokonała Chrobrego

dobijający Duarte. Gdyby nie głogowski golkeeper, byłoby wyżej, niż 2:0.

Krakowianie konsekwentnie szukali kolejnych trafień. Swoją okazję miał Božić, efek-

townym uderzeniem z dystansu próbował zaskoczyć rywali Igbekeme, a Duarte, choć trafił do siatki, nie mógł cieszyć się z gola - sędzia Patryk Gryckiewicz nie uznał bramki.

Ostatecznie skończyło się na wyniku 2:0 i ogromnej euforii w Krakowie.

To zwycięstwo dało bowiem Wiśle upragniony awans do Ekstraklasy, czego krako-

wianom należy szczerze po-gratulować.

Chrobry jeszcze walczy i przed nim dwa spotkania - ze Zniczem Pruszków i Wieczystą Kraków. Najbliższy mecz głogowianie rozegrają ze Zniczem w sobotę, 16 maja, o godz. 19:30

**WISŁA KRAKÓW
- CHROBRY GŁOGÓW 2:0 (1:0)**

BRAMKI: 1:0 Julian Lelieveld 15, 2:0 Marko Božić 48.

WISŁA: 28. Patryk Letkiewicz - 34. Raoul Giger, 50. Mariusz Kutwa, 29. Darijo Grujić, 2. Julian Lelieveld - 10. Frederico Duarte (84, 4. Rafał Mikulec), 41. Kacper Duda (77, 20. Ervin Omić), 12. James Igbekeme (84, 8. Marc Carbó), 7. Julius Ertlthaler, 17. Marko Božić (77, 52. Jakub Krzyżanowski) - 99. Jordi Sánchez (65, 51. Maciej Kuziemka).

CHROBRY: 99. Dawid Arndt - 21. Michał Kozajda, 8. Jakub Grič, 18. Myrosław Mazur, 80. Kacper Tabis - 27. Kacper Laskowski (71, 30. Szymon Bartlewicz), 23. Szymon Lewkot, 16. Robert Mandryś (62, 7. Sebastian Bonecki), 15. Kacper Nowakowski (83, 5. Radosław Bąk), 9. Mateusz Ozimek (62, 17. Kelechukwu Ibe-Torti) - 10. Piotr Janczukowicz (83, 11. Sebastian Strózik).

ŻÓŁTE KARTKI: Krzyżanowski, Mikulec.

SEDZIOWAŁ: Patryk Gryckiewicz (Toruń).

WIDZÓW: 33 000.

Dwa nieoczywiste powołania do kadry Jana Urbana? Polacy zmierzają się 31 maja z reprezentacją Ukrainy we Wrocławiu

Bartosz Głęb
Warszawa

Jan Urban od meczów towarzyskich rozpoczyna budowę kadry przed jesiennym startem Ligi Narodów.

Piłkarska reprezentacja Polski nie weźmie udziału w MŚ 2026, jednak to wcale nie oznacza, że kadrowicze będą mieli wolne do września. PZPN już ogłosił przeciwników oraz konkretne daty dwóch meczów towarzyskich, które zostaną rozegrane po zakończeniu sezonów ligowych.

Podopieczni selekcjonera Jana Urbana zgrupowanie rozpoczną pod koniec maja, jeszcze przed oficjalnym terminem FIFA. Przerwa reprezentacyjna startuje bowiem w poniedziałek, 1 czerwca. Natomiast PZPN poinformował, że już 31 maja kadra rozegra mecz towarzyski na stadionie Tarczyński Arena we Wrocławiu z Ukrainą.

Przed dwoma laty Biało-Czerwoni również grali w podobnym terminie towarzysko z Ukrainą, tyle że wtedy przygotowywali się do Euro 2024.



Najbliższe zgrupowanie kadry powinno być poligonem doświadczalnym dla Jana Urbana

Teraz będzie to test przygotowyjący do rywalizacji w Lidze Narodów, która wystartuje jesienią. Przedprzedaż biletów dla użytkowników InPost Mobile rozpoczęła się 11 maja, dwa dni później ruszyła natomiast otwarta sprzedaż wejściówek na to spotkanie.

Lokalizacja meczu nie jest przypadkowa. Przy okazji spotkania ma zostać oddany hołd Jackowi Magierze, byłemu już niestety drugiemu

trenerowi reprezentacji Polski, który zmarł nagle 10 kwietnia w wieku zaledwie 49 lat. Szkoleniowiec przez ostatnie lata mieszkał właśnie we Wrocławiu.

- Nie jest mi łatwo mówić na ten temat, bo od razu człowieka opanowuje smutek. Trudno wyobrazić sobie taką sytuację i przejść do rzeczywistości. Rozmawiamy o tym, jak moglibyśmy to zrobić, bo Jacek spędził tam trochę czasu



Ukraińscy kibice zawsze licznie dopingują swój zespół na Tarczyński Arena we Wrocławiu

trenerskiego i odniósł sukces, jakim było wicemistrzostwo Polski. Na pewno związek ma to na uwadze - zdradził Jan Urban w niedawnej rozmowie z Kanałem Sportowym.

Trzy dni po spotkaniu z Ukrainą Biało-Czerwoni zagrają towarzysko na stadionie PGE Narodowy w Warszawie z Nigerią. To afrykańska potęga, która niespodziewanie również nie zdołała zakwalifikować się na tegoroczny muni-

dial w Ameryce Północnej. W barwach „Super Orłów” występują między innymi napastnik Victor Osimhen z Galatasarayı Stambuł czy skrzydłowy Ademola Lookman z Atletico Madryt.

W przypadku starcia w stolicy z Nigeryjczykami sprzedaż otwarta biletów ruszyła 8 maja. Na oba spotkania wejściówki będą w identycznych cenach - 80 zł, 120 zł oraz 190 zł - w zależności od wybranej

kategorii. Ceny są średnio o 50 zł niższe niż na marcowy półfinał baraży MŚ 2026 przeciwko Albanii.

Z racji towarzyskiego charakteru obu spotkań w gronie powołanych na zgrupowanie powinniśmy zobaczyć przynajmniej kilka nowych nazwisk. Na liście mają znaleźć się między innymi Mateusz Żukowski robiący furorę w 2. Bundeslidze oraz zaledwie 18-letni obrońca Kacper Potulski, który zbiera bardzo pozytywne recenzje na najwyższym poziomie rozgrywkowym w niemieckim FSV Mainz.

Czy na zgrupowaniu pojawi się kapitan Robert Lewandowski, który coraz poważniej rozważa zakończenie kariery reprezentacyjnej? Jan Urban przypominał ważną deklarację doświadczanego napastnika.

- Pod koniec maja będzie chyba obecny. Co dalej? Zobaczymy. Ma swobodę decyzji, ale ma też rozwiązanie sytuacji w klubie. Szkoda by było, gdyby go zabrakło w kadrze, ale to jego decyzja - podkreślił szkoleniowiec.

eprasa.pl 319d89e571